

ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK II.

TOM IV. — ZESZYT I.

Październik.

WARSZAWA
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1877.

SPIS RZECZY.

JÓZEF KRASZEWSKI

I JEGO

„POWIEŚCI HISTORYCZNE.“

(Dokończenie).

4.

W takich rysach pomysłu i wykonania skreślone zostały trzy pierwsze utwory zamierzonych przez Kraszewskiego *Powieści historycznych*.

Powieści te czyliż są historycznemi istotnie? i czyli tym sposobem jest w nich ów najpierwszy i główny warunek w téj gałęzi: wierność odtworzenia?

Powieść pierwsza (*Stara Baśń*) jest z czasów przedhistorycznych, t. j. sięgających po za czas świadectw spółczesnych, nie łatwo więc jest ocenić czyli i co jest w niéj historyczném. Kreśli ona i wypadki dziejowe i wypadki domowe,—z pierwszych doszło nas w szacie tradycyi przynajmniéj kilka nazwisk i kilka zdarzeń, lecz z drugich nic. Najdawniejsze o obyczajach domowych wzmianki mamy dopiéro u Galla, lecz i te odnoszą się już tylko do wieku Chrobrego. Cóż więc uczynić mógł autor, iżby w kreśleniach swoich był historycznym? oto mógł uciec się tylko do źródeł ogólno słowiańskich oraz do domysłów i wniosków rozumowanych.

Źródło pierwsze niebogate jest jednak z siebie także. Do wieku XI i XII są już przynajmniéj np. Dytmar, Helmold, Saxo Grammatyk i innych dosyć szczegółów; ale do wieku Popielów i Piasta cóż odnieść się może? oto to chyba co wzmiankowali pisarze greccy z wieku VII, VIII i IX zmuszeni wspominać o Słowianach boje z ni-

mi toczących, t. j. takie ich tylko np. krótkie ogólne wzmianki. „Słowianie mieszkają w lichych porozrzucanych chatach“.... „bój wiodą niosąc tarcze i włócznie“ *(u Prokopa)* „Najpowszechniejszém ich uzbrojeniem ciężkie tarcze, kopie i łuki.“ (Ces. *Mauritus*) „wolą swobodny żywot niż doborne jadło i bogactwo“ (Ces. *Lew mądry*) i t. p.

Lecz owe źródło drugie: własne autora domysły i wnioski, obok owego bogactwa umysłowego w ogóle i daru odtwarzania, które posiadł, wystarczyło mu za wszystkie pomoce. Jak owi naturaliści z ostatnich czasów, którzy ze znajdywanych kawałków szczęki lub kostek umieli odgadnąć, odtworzyć i przed oczy nasze postawić całe postaci i kształty znikłych oddawna istot, świat cały przedpotowy, tak autor z kilku słów dawnych kronik umiał wyobraźnią swą stworzyć a sztuką odtworzyć całą owę wziętą do przedstawienia epokę kraju.

Wzmianka w Historyi Długosza, iż żoną Popiela II była *Niemka*, była, jak nam się zdaje, tą iskrą, która mu rozwidniła cały stosunek tego rządcy do kraju i całą charakterystykę epoki. Wzmianki u Galla i Kadłubka o Popielu i myszach, o aniołach u Piasta i Piaście, to przedmiot ram zewnętrznych powieści. Autor tylko zamiast ubierania w fantazye tych wzmianek, sam uważał je za fantazye, aniołowie w powieści jego to naturalni goście (z Moraw). Myszy, które zjadły Popiela, to rodzina Myszków na czele ludu, źródłem nazwiska Popiela według autora było nie Pompilius ale popiół, Piasta piastun i t. p.

Jak zaś te ramy zewnętrzne, tak też możliwie dziejowe są i wewnętrzne w powieści.

Arystokraci wiejscy, mieszkają tu jeszcze, widzimy, w chałupach których kominami są okna a całém umeblowaniem stoły i ławy; arystokracyą oznaczała tylko ilość szop i ich zasoby.

Chusty, pasy, koszule były to prawie jedyne stroje letnie płci obu o jakich wspomina powieść.

Kiedy półszpieg a półhandlarz niemiecki (Hengo) wstąpiwszy do domostwa Wisza pokazywał na podziw wszystkim wyrobki z *Kruszcu*, stary Wisz rzekł: „alboż to kości, rogu i kamienia nie dosyć“? mówiąc zaś w końcu powieści o walce Pomorzan i Niemców z Polanami, tak opisuje autor uzbrojenie tych ostatnich: „stała czeladź uzbrojona w młoty kamienne i obuchy, pałki nasiekiwane, łuki, proce i pociski. Kawał łuku lipowego stał za zbroję, a ozdobną zwała się tarcz, gdy ją kto skórą jedną lub dwiema pociągnął.“ Przypomina to (oprócz powyższych świadectw) i owę znaną powieść

trzech Słowian w obozie Greckim (u *Teofilacta*) z wieku VII, iż oni są z kraju „który *nie zna żelaza* a tylko gęśle.“

Stan religijny mieszkańców przedstawionym jest w powieści więcéj biernym niż czynnym i tym sposobem (trafnie) podobniejszym do tego, o jakim zmiankuje Prokop, gdy mówi „Słowianie czczą Boga jednego piorun ciskającego“, niż do owego wielobóstwa z czasów Helmolda, które było zapewne następnie skutkiem zetknięcia się ze Skandynawią. Tylko owa świątynia na Lednicy, w którój stał bożek piekieł „z przerażającemi oczami z kamieni czerwonych“ i śród cieniów którój palił się znicz i „rozchodził zapach ze smoły, bursztynu i spalonych ziół“ i ofiary temu bóstwu składane (o świątyni *Nii* w Gnieźnie wspomina Długosz), przypominają tu pogaństwo.

Co do stosunków społecznych, o których tylekroć wzmianki śród akcyi, wyobrażenia o nich odpowiadają tu wszędzie tym faktom jakie znane były z tradycyi i jakie kraj przez długie lata potém przeciągał, t. j. iż głównie wprawdzie czczono *wiece*, ale też uznawano konieczność i jednego rządcy. Dla tego też kiedy na zwołanym u Myszków wiecu naradzano się nad przyszłym losem kraju, gromada się odzywała: „bez Knezia nie obejdziemy się,“ a przywołany bard Słowian, aby coś zaśpiéwał, w śpiewach swych czynił wprawdzie aluzyą do konieczności obrania nowego knezia, ale zawsze knezia, i zaśpiewał między innemi taką pieśń o czasach wojewodów.

„Gdy już Lecha plemienia nie stało, nie stało, — swobody się ziemianom zachciało, zachciało, — zachciało się swobody *bezpańskiéj* wojewodów obrano dwunastu.... „Cieszyli się cieszyli nie długo,—brat rodzony wnet bratu był sługą. Co jednego nad sobą nie chcieli, dwunastu ich wybrali i mieli Dwunastu.... o Łado, o Łado!....“ Dla braku bożków nie było jeszcze prawie klasy kapłańskiéj, nie było wojskowéj, mieszkańce chaty dla chat, dworscy dla dworu byli wojskiem, nie widać jeszcze starostów, ani wojewodów i t. p. Widzimy tylko knezia i jego partye — Leszków, kmieci i obok rolników. Do partyi knezia Pepełka (przez lud zwanego *Chwostkiem*) należeli też niemcy, półniemcy, szpiegi, wykonawcy i rzędy dworzan; — świat kmieci odznaczony przez różne ich typy (tacy Wisz, Doman, Dobek Bojmir, Myszki i t. p.) śród których jeden był stronnikiem związków, czyli opozycyi z zasady, inny dla krzywd osobistych, inny przez miłość bojów dla bojów, inny przez pół sprzyjał Leszkom i t. p.

Płeć piękna była w ogóle bierna, w roli sług, czy to w Kontynie czy w chacie, tylko owa urocza Dziwa „o którój wiedzieli wszyscy, że ją duchy obrały za oblubienicę“ ratowała typ ludzki. Była ona wyższą nad nich, ale też jak ten wiek i cofnęła się niedługo od duchowości.

Takiéj barwy obrazy są w *Staréj Baśni*; lecz co głównie wznosi w niéj barwę prawdy to *ekspozycya*. Postaci działające tak tu są rozmaite i liczne, drobne stosunki osób tak wprowadzają nas w życie ich rzeczywiste, akcya ogólna rozwija się tak zwolna i szczegółowie, charaktery i sytuacye tak dobitnie przez dyalogi są odkréślone, poziom myśli i uczuć wieku tak ściśle w nich zachowany a zarazem opowiadaniu całemu tak towarzyszą wszędzie i pokój i naturalność, iż czytelnik czytając tę powieść wątpić na chwilę nie może, iżby nie rozwijała się przed nim raczéj stara prawda jak stara baśń: i że prędzéj sądzićby można, iż nie autor jéj czerpał z naszych dawnych kronik, ale że raczéj kroniki te skréślony w téj powieści przedmiot w skróceniu i z dodatkiem fantazyi opowiadały.

Autor nietrafnie uczynił napisem tym „Baśń", odbiérając z góry ułudę czytelnikowi, chyba że wyraził go tylko przez kokieteryą.

Dwie powieści następne *Lubonie* i *Bracia Zmartwychwstańce* wchodzą już na grunt ścisłéj kronikarskiéj historyczności. Treść ich, to z pewnéj strony przedmiot, który miał się stać podwaliną i gruntem treści wszystkich następnych, mowa tu bowiem nietylko o dziejowych wypadkach, ale o samém założeniu państwa oraz o początku i wejściu doń pierwiastku, który miał wywrzéć wpływ główny na jego charakter. Nim przeto wyrazimy tu zdanie: jak? i czyli trafnie? autor oba te względy pojął i skréślił, powiédzmy najprzód jak na nie patrzymy sami, t. j. jak zdaniem naszém patrzéć należy. Krótki ten nowy ustęp uczyńmy znowu (że powtórzymy słowa powyższe) z dobréj okoliczności.

Jakichże był właściwie granic i jakiego właściwie charakteru był i miał zostać kraj Mieszka i Bolesława?

Najdawniejszą historyczną wiadomość o plemionach zachodnich słowiańskich mamy u Eginharda, historyka z końca VII i początku VIII wieku. Sekretarz ten Karola w., który w czasie wypraw tego monarchy do Saksonii był z nim nad Elbą, zarówno w swych *Rocznikach*, jak w *Życiu* Karola W., wspomina iż od Wisły po Elbę i po za Elbę zamieszkują plemiona słowiańskie, mówiące prawie jednym językiem, a które lubo mają wielu drobnych rządców ulegają jednemu w Wilcy mieszkającemu. Nie było jeszcze wtedy imienia Polski, imię to ukazało się dopiéro z przyjęciem chrześciaństwa, jakoby imię chrzestne tego kraju (1), ale że owe plemiona od Wisły

(1) Jeszcze Mieczysław (Mesicos) nazywanym był „Książęciem tych Słowian którzy się zowią Llcieavikl (według *Lelew.* Tęczycanie), i nawet Dytmar uważać można iż w pierwszych swych wzmiankach o nim zowie go tylko *Mesco* a dopiéro przy wzmian

do Elby i wzdłuż morza były jedném i témże plemieniem, które mieszkało nad Wisłą, historycznym tego dowodem, jest wzmianka u pisarza z wieku XI Adama Bremeńskiego, który w swéj *Kronice kościelnéj* (XI. 10) mówi iż „*Winulowie* są tegoż języka i obyczaju co Polacy za Odrą." Winulami zaś, jak objaśnia *Helmold* w swéj *Kronice Słow.* (§ 2), zwali się „Słowianie pomorscy, rugijscy i nadelbiańscy" (1) i świadectwo domowe Nestora, który wyraża iż „od *tych Lachów* (którzy osiedli nad Wisłą) jedni się nazwali Lachowie *Lutycy*, drudzy *Pomorzanie*, inni Mazowszanie." (§ 3). Ale od owego wieku Karola W. zaczęło się też i stałe działanie, po części zewnętrzne a po części wewnętrzne, które stopniowo rozdzielało tę jedność. Założone przez tego monarchę cesarstwo nowe zrazu Franko-germańskie, a pod następcami zamienione na czysto-germańskie pod pozorem gorliwości chrześciańskiéj nawracało a zarazem podbijało i przez osadników germanizowało te ludy. Ulegli téj przemianie stopniowie Starogrodzianie, Obotryci, Redary, Luzacy, Miśnianie (2) i t. p. i koléj przychodziła na Polan, ale tu śród normalnego rozwoju i biegu dziejów miał nastąpić zwrót inny. Chrześciaństwo, ten religijny pierwiastek, którego zadaniem było przemieniać stopniowe ludzkość, była to wprawdzie we wszystkich miejscach i czasach jedna nauka i jedno *ziarno*, ale przyjęcie się tego ziarna i rozrost (jego objawy zewnętrzne) zależéć jeszcze miały i od natury *roli* na którą padał. Kraj Ottonów należał do liczby tych, które przyjąwszy je u siebie uosobić miał głównie płynące zeń siłę wiary i siłę władzy, ale pomijał zupełnie prawie wzgląd na etykę,—ten wzgląd tj. wzgląd na stosunki jednostek do jednostek śród kraju i stosunki kraju do krajów, uosobić dobitniéj miały inne *role*, t. j. inne kraje, a do liczby ich miał należéć właśnie i kraj Mieszka. Stało się zatém, iż ów kraj,

---

ce o przyjęciu przezeń chrztu nazwał go po raz pierwszy „Dux *Polenorum.*" Nomenklatury *Polonia*, *Poloni* spotykają się po raz pierwszy w téj właśnie Kronice Dytmara w *Passio Sancti Adalberti* i Przywilejów Henryka Cesarza z r. 1086 dla Biskupstwa w Pradze.

(1) Jakoż istotnie nomenklatury u Helmolda miejscowości słowiańskich nad Elbą i bóstwo Rugijskie *Zwantewith* mają dźwięki nosowe, które pośród narzeczy słowiańskich ma tylko polskie.

(2) Krótko ale najjaśniéj historyą tych przemian w tamtych miejscowościach określił Naruszewicz, mówiąc w swojéj Historyi: „W XII wieku odmieniła się postać kraju między Elbą i Odrą. Zjawiły się Księstwa i Hrabstwa: *Szlązkie, Holzackie, Brandeburskie, Meklenburskie, Miśnińskie, Luzackie, Pomerańskie* na ruinach pognębionych dawniéj osad słowiańskich." I. 43.

którym władał i który zakładał Mieszko, nie miał wcale uledz władzy Ottonów, germanizacyi (i owszem do głównych faktów w jego przyszłych dziejach miały należéć *Psie pole*, *Grunwald*, *Byczyna*), a ów główny przepis chrześciański „miłuj bliźniego" miał go powściągać daléj, za utwierdzeniem się swém, od walk dla podbojów i od pozbawiania różnorodnych połączonych z nim plemion, cech im właściwych. Ten téż ewangelijny przepis: „a który jest między wami większy niech będzie jako sługa" stosować téż miał wewnętrznie, w swych ustawach społecznych, ten kraj słowiański.

Wtrącając tę uwagę nie utrzymujemy tu wcale, iżby kraj Mieszka stać się miał ideałem i mistrzem w tych nowych kierunkach. Wprawdzie bieg jego dziejów objawił niespodzianie następstwa, których wcale na celu nie miał, t. j. iż szczupłe jego pierwotnie granice rozciągnęły się od morza do morza, a utrata ziem owych po Elbę była tylko igraszką w miarę tych przestrzeni i granic, które miał zyskać od południa i wschodu, i że owe różnorodne plemiona (snać w skutek samej przyjaźni) połączyły się po pewnym przeciągu z sobą jednym duchem i mową (1), ale wiadomo także, iż stosowania owe miały je-

---

(1) Z dziejów naszéj literatury widzimy, iż ci, którzy najprzód pisać u nas zaczęli językiem polskim byli to nawet nie mieszkańce z nad Warty i Wisły, gdzie wszystko odbywało się po łacinie, ale mieszkańce *Rusi* (Falimirz, Chwalczewski, Leopolita, Rej, Orzechowski, „gente Ruthenus", jak sam siebie nazywał, i t. p.). Mieszkańce pochodzenia *niemieckiego* po miastach, którzy dla sądów udawali się do Magdeburga nie rozumieli daléj wyroków, a odpisy tych Urtheile (Ortyle Magdeburskie) w przekładzie na język polski z wieku XV i może XIV należą do najdawniejszych zabytków języka polskiego. *Tatarowie* zapomniawszy języka przodków głoskami arabskiemi zmuszeni zostali wyrażać w swych modłach obrzędowych dźwięki polskie. *Ormianie* już w wieku XVI przełożyli swe prawa na język polski, w tymże wieku i *Litwini* z inicyatywy własnéj swój statut. U wielu rodzin *inflanckich* i *pruskich* pozostały tylko nazwiska niemieckie. Jak dalece kraj Mieczysława nie dążył do tych następstw przez przymus, dość będzie wspomnieć, iż ludy od Niemna za Dźwinę zastrzeżone miały prawami między innemi: iż urzęda z nich zaczynając od urzędników wiejskich do wojewodów pełnić mogli tylko *miejscowi*, nabywać i posiadać własności ziemskie mogli tylko miejscowi,—prawa, przewód sądowy, nauki szkolne były w języku miejscowym (przywileje te lubo w rozrzuceniu można np. widzieć nawet w dziele z r. 1867 A. Ratcza, p. n. Świedienia o polskom miat. T. I. str. 178—231). Ustawy Władysława Jagiełły nieprzychylne dla wyznawców kościoła Wschodniego, jako niesejmowe nie miały nigdy zastosowania, a na głośnym sejmie Lubelskim z roku 1569 głównymi stronnikami mocyi Królewskiéj byli właśnie Ostrogski i Czartoryski, wyznawcy kościoła wschodniego. Od czasu jak przy końcu wieku XVII i początku XVIII poformowane na prowincyach większoście poczęły uciskać mniejszoście i zaprzeczyły dawnemu charakterowi, zmieniły się też, uważać można i następstwa.

szcze wiele i cech ujemnych (zwłaszcza w stosunku do klas najniższych), i że ogólny wypływ dziejowy nie skończył się dla samego kraju dodatnio. Mówimy zaś tu tylko o faktach, o ogólnym obrazie kraju w przebiegu jego dziejów i zarazem o stanowisku z jakiego sądzoną być winna sztuka, która go kreśli.

Taki pogląd na granice pierwotne państwa i na ten fakt, iż wprowadzenie chrześciaństwa miało się stać jedném ze źródeł nowéj potęgi, formującéj się w odwrót germańskiéj, jest też właśnie mianym na względzie i jest trafnie odbitym w „Powieściach historycznych.“—Jakoż autor, jak to widzieliśmy, nawet podboje Chrobrego usprawiedliwiał, objaśniając, iż celem ich było nie zagarnianie cudzego, ale oswobodzanie własnego. Różność dwóch sąsiednich pierwiastków, pod względem etyki, dobitnie też wskazana w powieści pierwszéj i w znacznéj części w dwóch drugich. Postać Mieszka, założyciela tego nowego i z nowym charakterem państwa, mistrzosko też, zwróćmy uwagę, skréślona w powieści Lubonie. Mieszko tu przedstawiony nie jako nagły tylko i machinalny sprawca chrześciaństwa, jak go kreślą Kroniki, lecz jak rzetelny wielki człowiek dziejowy. Jest on tu w swych ruchach i krokach i nagły i cierpliwy, ostry i popularny, niecofający się i od niewygodnych wypraw incognito (do Pragi, do Quedlinburga) dla poznania dróg nowych, dla torowania ich i t. p. Nie tajne mu były zmowy kapłanów, wieszczków i stronników pogaństwa, wiedział iż śród samych swych dworzan miał czyhających na życie jego, ale tu nagłym czynem, tu nagłém ukazaniem się, tu postrachem, tam jasną perswazyą umiał poskramiać, usuwać lub jednać sobie swych wrogów. A kreśląc w taki sposób wielkiego człowieka nie zapominał też autor iż kreśli—człowieka. Mieszko życzył w kraju chrześciaństwa, wszystko czynił, na wszystko się narażał, iżby ujrzał je wprowadzoném i utwierdzoném, wszakże i sam nie był odrodnym od reszty ludzi, i chociaż nie szanował i nie lękał się robionych bożków, wahał się jednak sam nie raz i lękał ostrości i obowiązku religii nowéj. Umiał on powstrzymać gorliwość swéj małżonki Dąbrówki, gdy ta (co było charakterystyczném) w dzień przybycia z Pragi zaraz po pierwszym obiedzie, z gorliwością i niecierpliwością niewiasty wołała: że „już czas zacząć chrzcić,“—i powściągał następnie długo, nim starania dojrzały, raz zaś nawet na ponawiane ulegania tak do niéj rzekł. „Miłościwa moja! ja sam poganinem jeszcze jestem,—nawróćcie wprzódy mnie i nauczcie... słucham was często i nie rozumiem,—co u nas cnotą było u was jest występkiem... Mięsa mnie zakazują jeść, a skądże ja wezmę siłę? zemsta wzbroniona, a któż mnie będzie się lękał? Że zaś chrześciaństwo rzeczywiście za Mieszka nie mogło być wprowadzo-

ném nagle, to oprócz naturalnego wniosku, z biegu zwykłego rzeczy dowodem jest i owa silna reakcya, która wybuchła była następnie w kraju za jego wnuka. Jak zaś Mieszko, tak równie znakomicie odtworzoną została w powieści i małżonka jego Dąbrówka, zwana przez autora *Dubrawką*. Skréślenie téj postaci historycznie nie było łatwém;—jeżeli bowiem kronikarze nasi i niemieccy (Dytmar) kréślą ją jako niewiastę wzorową, kiedy np. Długosz wzmiankując o niéj wyraża: „Mieszko pojął za żonę zacną i pełną najpiękniejszych przymiotów dziewicę,“ spółziomek jéj Kozmas Pragski pisze: iż „nie była to pani szczególnéj cnoty (nimis, mówi, improba fuit) i już była nie młodą, kiedy poślubioną została księciu Polańskiemu.“ Trudność tę umiał jednak autor szczęśliwie pokonać, nie zaprzeczając stronom ujemnym ale kréśląc zarazem tę postać jako pełną sobie właściwych zalet i godną być bohatérką. Musimy tu przytoczyć tę napozór tak naturalną, ale w gruncie wysoko sztuczną charakterystykę. Kiedy Mieszko przybywszy incognito pod Pragę i tu z towarzyszami swymi tajemnymi (chrześcianami Dobrosławem i Własłem), układłszy się w lasku, ujrzał przez gałęzie drzew grono dziewic zabawiających się na murawie,—śród nich była właśnie i Dąbrówka, i autor tak ją określa:

„Śród tego wieńca dziewczątek od lat 15-u do 18-u dobranych, Jakby do wieku i miary, stała urodziwa dziewica, którą po stroju i twarzy można było poznać za panią.

Głową całą, wzrostem bujnym przechodziła towarzyszki swe, a postawą poważną i dumną wszystkie je gasiła. Z wianka i kos znać w niéj było dziewicę nie dopiero roskwitłą, ale w pełnym młodości kwiecie. Dziecko pańskie, krew rycerską, potomstwo jakiejś Libuszy czuć było w pięknéj pani. Silna jéj dłoń biała nie ulękłaby się snać miecza, ani cugli szalonego konia, na twarzy nieco smagłéj, w czarnych oczach ognistych pałało nieustraszone męstwo.

Taką niewiastę, panią, ujrzawszy Mieszek, wlepił oczy ciekawe, oderwać się nie mogąc od tego zjawiska wydającego mu się czémś czarodziejskiém.“

I niżéj.

„W jéj pięknych rysach napół męzkich widać było bujną krew tego rodu Przemysławów, który *i w złém i dobrém* nie miał miary, córkę Drahomiry Lutyckiéj co nad miłość własnego dziecka przeniosła chęć panowania, córkę Bolka Lutego co nad sobą starszemu nie chciał dać przewodzić, synowicę Wacława co pobożnością stał się niemal kapłanem, cnotą doszedł świętości, pogardą życia męczeństwa.“

W powieści słusznie też ją autor przedstawił taką tylko, jaką się okazała w nowym kraju i jaką pozostała w tradycyi tego kraju, to jest gorliwą krzewicielką chrześciaństwa, dobrą żoną i dobrą matką.

A trudność ta, jaką miał autor w skréśleniu historycznie Dąbrówki, przedstawiła mu się tym więcéj w skréśleniu historycznie postaci Chrobrego, dla którego kronikarze nasi mieli tylko słowa uwielbienia pod każdym względem, a dla którego niemcy i czescy (zwłaszcza Dytmar i Kozmas) same tylko przydomki potępiające. Jak zaś ją umiał pokonać widzieliśmy właśnie. Do rysów jego przytoczonych w treści dodamy tu tylko, iż wszystkie one, tak świetne jak w części ujemne albo dwuznaczne, są ściśle odgłosem historyczności. Kraszewski wiek ten Chrobrego już nie od dzisiaj nawet studiował, jak to widzićć możemy z jego rozbioru „Bolesława Chrobrego" Szajnochy (*okruszyny* 1859), a owoc ich i w obecnym obrazie właśnie odbił. Wskażemy tu np. iż o owéj wzmiankowanéj w powieści obfitości stołów (40 codziennie), o zbytkach w ubiorach niewiast, bogactwach niezliczonych, sposobie zarządu państwa, wymierze sprawiedliwości, zabawach domowych i t. p. czytać można w Gallu, o otyłości króla niedozwalającéj mu prawie utrzymać się na koniu w Nestorze, o wspaniałomyślności dla zwyciężonych w tak skądinąd nieprzyjaznym mu Dytmarze,—o przebiegłości dyplomatycznéj, trzymaniu szpiegów po Dworach nawet o domowym doradcy opacie Tynieckim („Abbas nomine Tutti") w tymże Dytmarze (1). Dodał tu tylko autor od siebie imię temu opatowi Aron, tak jak bohatérom powieści nazwisko Jaksow. Co do rodziny Chrobrego poszedł tu Kraszewski i słusznie za wzmiankami kronikarzy niemieckich. Nasi kronikarze wzmiankują o jednéj tylko żonie Bolesława, Judycie, i jedynym synu z téjże Judyty urodzonym Mieczysławie, autor zgodnie z Dytmarem Mieczysława mieni synem Emnildy, a syna Judyty Bespryma uważa jako usuniętego,—zgodnie też ze wzmiankami u innych, za czwartą i ostatnią żonę Bolesława uważa *Odę*. Co do koronacyi, kronikarze nasi przestając na wzmiance, iż Bolesław ukoronowanym był przez Ottona III, nie wspominają o innéj koro-

(1) Wtrąćmy tu uwagę nawiasem, że piszemy po dawnemu *Dytmar*, nie zaś jak wielu dziś u nas idąc za Bielowskim *Thietmar*. Bielowski lubił nowości, Dzierżwę pisał *Mierżwa*, Galla *Gawel*, Lechitów *Lęchici* itp. Pisarze niemieccy wzmiankują istotnie, że *Dytmara* nazwisko właściwe było *Thiethmar*, dla czegoż więc przezwali go *Dytmar?* Powodem najprędzej były względy fizyologiczne wymowy. Lecz w każdym razie najwłaściwiej pisarza tego nazywać tak, jak go nazwał jego rękopism, jak nazywa nagrobek. i jak go nazywali wszyscy wydawcy, nawet w Niemczech do ostatnich czasów.

nacyi,—kronikarze niemieccy wzmiankują, iż Bolesław starał się usilnie o poświęconą koronę w Rzymie, gdy jednak Cesarz Henryk nie dopuścił skutku koronował się solennie w r. 1025 w Gnieźnie, koroną przez arcybiskupa tylko poświęconą. Z wiadomością tą autor złączył oczywiście wzmiankę, znajdującą się w życiu Ś-o Romualda przez Piotra Damiani, iż cesarz mniemał schwytać posłańca królewskiego a schwytał w istocie tylko posłańca Kamedułów piszącego w ich interesie do Rzymu, i w duchu tych dwóch podań przedstawił szczegół jak wzmiankowaliśmy. Od autora powieści historycznéj nie możemy wymagać, iżby przedstawiał fakta z całą ścisłością historyczną, pisze bowiem powieść a nie historyą; wymaganie zaś to tym więcéj ograniczone być musi, gdy się ściąga do czasów, w których ścisła prawda jest dopiéro poszukiwaną. Mamy np. krytyczne badania z tych czasów o imionach i liczbie synów Bolesława Chrobr. w artykułach takiéj pracy i takiéj wartości jak Bielowskiego *Synowie Chrobrego*, Szajnochy *Bolesław Chrobry* i Dra. Anatola Lewickiego *Mieszko II* (w *Rozpr. i Sprawozd.* Akad. umiejętności z r. 1876) jednak ostatecznie nie jest jeszcze rozjaśnionym ten przedmiot;—dla autora powieści historycznéj nawet jest dosyć, jeżeli ma na względzie ostatnie badania i trzyma się ducha dziejów, a warunkowi temu uczyniły zadość powieści Kraszewskiego.

Co do postaci w obu tych ostatnich powieściach tworzonych z fantazyi, jak równie co do ogólnéj w nich ekspozycyi, toż tylko powtórzyć wypada cośmy powiedzieli wyżéj, mówiąc o pierwszéj, t. j. że przejęcie się przez autora przedmiotowością, różnostronność szczegółów, pełność i wykończenie w obrazach, a zarazem (że jeszcze raz powtórzymy o obu tych cechach) ten pokój i ta naturalność, które tu towarzyszą wszędzie opowiadaniu, są to pierwiastki, które w umyśle czytelnika zdolne są wzbudzić to przekonanie, że przedmiot, o którym czyta, to przedmiot prawdy.

Dodamy tylko, iż gdy historyczność wypadków w powieściach tych o krok jest posunięta, o krok téż rozszerzone (a tém samém i o okrok więcéj widne się stały) i owe pierwiastki.

Tak np. jeżeli w powieści pierwszéj mieliśmy tylko przed sobą stronników knezia i kmieci, w powieściach tych dalszych oprócz partyj wewnętrznych, mamy i stronnictwa zewnętrzne, mamy stronników pogaństwa i stronników chrześciaństwa, talent przedmiotowości autora jaśniéj tu więc jeszcze się odbił, autor w kreśleniu tych partyj nie tylko być umiał bezstronnym, ale rzec nawet można był równie stronnym dla każdéj. Z równym np. efektem i mocą kréśli słowa i przekonania stronników królewskich a przeciwników cesarskich w Poznaniu, jak stronników cesarskich a przeciwników kró-

lewskich w Quedlinburgu i Magdeburgu, z równym zaciekłość i przekonania pogańskie Wargi, Wojsława, Domosula, jak pobożność i gorliwość chrześciańską: Dobrosława, Własta, Opata Arona i t. p. Historyczność w tych dwóch powieściach pełniejszą jest jeszcze i przez to, iż czytelnik widzi już w nich nietylko kraj własny, lecz i sąsiednie; w powieści Lubonie: Pragę, Quedlinburg, w Zmartwychwstańcach: Magdeburg, Rzym, ziemie niemieckie, a każdy z tych obcych obrazów z właściwą mu przedmiotowością miejsc, obyczajów i ówczesnych postaci, równie wiernie skréślony. O całość historycznie możliwą w powieści ostatniéj autor był tak troskliwym, iż oprócz tych różnorodnych postaci o jakich wzmiankowaliśmy w treści, widzimy tu nawet ukazujących się lubo chwilowie, i jednego z wygnańców i jednego ze ślepców przez króla niegdyś sprawionych. Nie można też nie wspomniéć trafnéj charakterystyki braciszków Benedyktyńskich, a zwłaszcza opisu z całą techniczną drobiazgowością ich zajęć przy sporządzaniu zwojów pargaminowych i t. p.

Dodajmy jeszcze, iż w tych, jak we wszystkich innych obrazach Kraszewskiego (jak bywa to spólne zwykle doskonałym charakterystom), widną jest zawsze pamięć na różnostronność pierwiastków natury ludzkiéj, że przeto prócz potoczności w powieści każdéj, widać zawsze i trochę mistyczności i trochę ironii (śmiechu) i t. p; pierwiastek mistyczny reprezentują np. między innemi wtrącane tu: postacie kabalarek, guślarek; ironiczny, przydwornych śmieszków, w powieści Zmartwychwstańce—Karzeł, Zug; w Luboniach pogańskiego jeszcze dworu Mieczysława—błazen Psiajucha, przy tym dworze wyborny lubo krótki obraz Seraju Mieszka i t. p.

Co do koloru wreszcie, czyli znaczenia duchowego powieści tych historycznych, ten zawartym już jest w tym przymiocie, iż są historyczne. Lekcya, którą czytelnikowi dają, jest to lekcya historyi.

Wielka przewaga téj barwy w barwie powieści jakkolwiek nie szkodzi wcale artystyczności ich, nie wiemy jednak czyli nie szkodzi trochę popularności. Powieść iżby popularną być mogła musi budzić w swéj ekspozycyi zajęcie. To zajęcie w czytaniu powieści jest wtedy, kiedy się budzi *oczekiwanie* rozwiązania jakiegoś węzła, wypadku z jakiegoś zawiązku; nić interesu zrywa się, jeśli oczekiwanie to słabnie, lub wcale znika. Otóż kto w powieściach obecnych szukać będzie źródła tego zajęcia w najczęstszych powieściowych węzłach, jako w romansach, jakiejś intrydze i t. p. ten się zawiedzie. W każdéj wprawdzie z powieści tych jest i romans, są i pewne intrygi, ale w każdéj są wyraźnie na drugim i trzecim planie i nie budzą głównego zajęcia. W powieści pierwszéj romans, ukazawszy się, zaraz po pierwszych kartach znika i z przed oczu i pamięci czy-

telnika, iżby się ukazać dopiéro na ostatniéj,—w drugiéj i trzeciéj i romanse i losy bohatérów rozwiązują się wpółpowieści i nie pozostaje następnie pod tym względem żadne oczekiwanie,—przyczyna jest, iż autor za głównego bohatéra swego uważał w każdéj powieści nie tę lub owę jednostkę, ale kraj, t. j. Polskę w danym okresie. Czy połączenie bliższe w ekspozycyi obu tych barw, obu środków zajęcia zupełnie jest niemożliwe, i czy w następnych obrazach autor i téj nie pokona trudności, to da się widziéć; lecz i w téj barwie jak jest, powieść jego powieścią być nie przestaje, i ma owszem tę cechę, iż dziejowość pozostaje w niéj zawsze przedmiotem głównym.

Kraszewski w tych powieściach swych historycznych zamierzył, jak to już wyżéj wspomnieliśmy, przedstawić cały cykl dziejów krajowych, jest zaś dopiéro w wieku XI-ym. Cel drogi jest więc jeszcze daleki, nader daleki. Czy danem będzie autorowi, zwłaszcza śród tylu przerw jakie dobrowolnie sam sobie czyni, doścignąć go prędko, a nawet kiedykolwiek, nikt tego, zacząwszy od samego autora, wiedziéć nie może. Lecz jeśliby go doścignął a doścignął w obrazach téjże treści i barwy i téjże wartości, jakie dał dotąd, ujrzelibyśmy pierwszy podobno przykład w literaturze i pierwszy w naturze podobnego odtworzenia się kraju.

Zapisaliśmy właśnie już byli kilka powyższych uwag o trzech pierwszych powieściach historycznych Kraszewskiego, kiedy się ukazały w prędkim po sobie następstwie dwie nowe: *Masław* i *Boleszczyce* (1). Być może, iż nim pośpieszymy je odczytać i coś o zawarciu ich dodać, ukażą się z kolei i dwie jeszcze nowsze, ograniczymy się więc możliwie tylko krótkim dodatkiem o tém zawarciu.

Powiémy to najprzód z góry: iż te cechy i te zalety, które się okazały własnością trzech pierwszych historycznych powieści, odnoszą się z całą ścisłością i do dwóch nowych. Taż historyczna wierność w szczegółach głównych, takież bogactwo, taż pełność w obrazach szczegółowych, tenże pokój w ich przedstawieniu, taż naturalność.

Co do treści, ta w najogólniejszych swych rysach jest w nich następna.

Po śmierci Mieszka II-o, którego państwo rozdarli najprzód brat (*Besprym*, krótko tylko rządzący), potém sąsiedzi, rozruch dworski wygnał za kraj bezsilną jego małżonkę *(Ryksę)*, a następnie i mało-

---

(1) *Masław* powieść z XI wieku. T. II, 1877. *Boleszczyce* powieść z czasów Bolesława Szczodrego T. II, 1877.

letniego syna jéj Kazimierza, a na czele tego rozruchu stał *Masław*. Syn Kmiecy, nie przestał on na usunieniu z kraju rządców szlachty, lecz chciał się pozbyć, by mu nie była rywalem, całéj szlachty i głównego podarunku téj szlachty: *chrześciaństwa*. W popiół poszły dwory, kościoły, klasztory, kraj cały zamienił się w cmentarz i zgliszcza, gdzieniegdzie tylko utrzymywały się jeszcze jakaś szlachecka partya, jakiś szlachecki dworek. Do jednego z tych dworków wprowadza właśnie autor czytelnika w początku powieści, był to Gródek władyki *Beliny* zwany *Horodyszcze Olszowe*. Do Gródka tego schroniła się cała niedobita szlachta z okolic bliższych i dalszych, młodzież zdrowa i ranna, starce, niewiasty, dzieci, ochraniał ich, dzielił się z nimi ostatkiem chleba władyka Belina i liczył na ich pomoc. Ludzie są zawsze ludźmi: śród nieszczęść, mordów, pożogi, serca ludzkie są sercami ludzkiemi, w zamkniętym i uzbrojonym dworku Beliny zawiązała się i nić powieściowa. Śród rycerzy, którzy się schronili byli do Horodyszcza, było między innymi dwóch dzielnych braci Doliwów. *Wszebór* i *Mszczuj*, śród niewiast była między innemi żona poległego w obronie swojego Gródka władyki *Spytka* i córka ich *Kasia*. Dla Doliwów: i ich więzienie, i niewygody, i trudy obrony, i sama śmierć co dnia im grożąca, były urocze, bo spoglądała na nich codzień, bo ich mogła nagradzać słowem jednêm i drugiém urocza Kasia. Dla załogi było koniecznêm wiedzieć jakie właściwie ma siły i jakie ma zamiary *Masław*, dziś kneź na Płocku,—Wszebór był niegdyś towarzyszem jego na dworze Mieszka i ochotnie wziął na siebie tę misyą. Był w Płocku, widział wszystko i wrócił, ale powrócił smutny i zrospaczony. Był smutny, bo ujrzał czerń niezliczoną, którą rozrządzał Masław i cel jego, aby iść przedewszystkiém na Horodyszcze Olszowe, był smutnym bo napotkany przezeń oddział szlachecki pod wodzą *Trepki* odmówił pomocy Horodyszczu tłómacząc się, iż zajęty być winien raczéj wybawieniem całego kraju, jak Gródka jednego, lecz nadewszystko był smutny i zrospaczony z tego, co ujrzał w tym Gródku, t. j. iż stracił wprawdzie rywala w bracie, który się zajął wabiącą go ku sobie córką Beliny (Hanny), ale znalazł sroższego, bo przez samę Kasię odznaczanego, w młodym synie Beliny (Tomku). Czerń z Masławem na czele, w asystencyi Pomorców, Prusaków i innych pogan zbliżyła się tymczasem pod Horodyszcze, załoga Gródka była tylko garstką wobec tych tłumów, chciała się jednak bronić, wolała zginąć, jakoż połowa już legła, legnąć miała i reszta, gdy niespodzianie na kark napastników napadł oddział Trepki, a śród niego ukazał się przybyły wreszcie, a sprowadzony przezeń do kraju młody król Kazimierz z pomocą od Dziadka. Bici z dwóch stron napastnicy,

zmuszeni ustąpić, partye Beliny i Trepki witają z zapałem króla, święcą zwycięstwo.

W stosunkach osób zaszły były w tym czasie następne zmiany. By zyskać Kasię starał się był zrazu młody Wszebór przypodobać jéj matce, matka Kasi była sama rzeźwa i piękna i zaloty jego odniesła do siebie, a kiedy wierny i pełen radości sługa doniósł jéj że mąż jéj Spytko, lubo mocno ranny, lecz żyje, płakała ze wzruszenia trzy dni i trzy nocy, i na wstawienie się króla do męża, a zgodnie z wolą męża zgodziła się na zaręczenie Wszebóra ze smutną Kasią. Lecz oto stary Spytek z ran skonał, nadzieje wdowy odżyły, sama ułatwia zakochanemu Tomce porwanie córki, a sprawy domowe, równie jak sprawy krajowe, kończy powieść obrazem restauracyi, albowiem widokiem trzech wesel: Tomka z Kasią, Mszczuja z Hanną i Wszebóra z bogatą matką kochanki, Masława obwiesił w lesie na drzewie snać własny hufiec.

Powieść obecna zarówno jak i poprzednie słusznie nazwisko ma historycznéj, i ramy jéj w duchu wiernéj historyczności są rozszerzone. Noc i zamęt wypadków z owego czasu, o których najogólniéj i w najkrótszych tylko wyrazach wzmiankują kroniki, szczegółami ludzkiemi powieści, jakby światłem latarni tu rozjaśnione. Długosz wzmiankując o Masławie wyraża, iż „celował on nad innych *rodem* i zdolnościami“, dając do zrozumienia w ten sposób, iż jedynie egoizm i pycha popierały go do zdradnych uczynków, wszakże bliżsi Masława, Kadłubek i Boguchwał (Baszko) mówią, że „de infimo genere“ pochodził, każąc wnosić w ten sposób, iż był uosobieniem ukrywających się w najniższych warstwach ludności, zasad a przeto reakcyi. Kraszewski z właściwą sobie trafnością oraz naturalnością połączył te oba twierdzenia. Z jednéj strony, dzieląc podanie bliższe ma go za syna Kmiecego („Masław? woła w początku powieści rycerz Lassota, a któż tego chłopiego syna nie znał na Mieszkowym dworze? liżąc nogi pochlebstwem dobił się do podczaszostwa“,) uważa go też jakoby za uosobienie żywiołów niwelacyi i nihilizmu, czyli mówiąc językiem dzisiejszym „socyalizmu“, z drugiéj jednak strony, skréślony on tu zarazem jako samolubny panek, który socyalizm ten za narzędzie tylko swoje uważa. Ujrzawszy w Płocku Wszebora, swego niegdyś kolegę, przechwalając się przed nim i objaśniając obecne swe położenie, tak między innemi, mówił Masław: „Prusaki, naród dzielny, ci to sami co Wojtaszka (Ś. Woj.) zabili, co go Bolko wykupił, a ja z nimi brat, swat, co ty na to? hę? Masław niegłupi. Na zamku w Płocku siedzieli Benedyktyny, nie ma ich i nogi. Z kościoła zrobiłem chram, tak jak oni z chramów robili kościoły. Stare stanice popodnosili ludzie,

wołając Łado! Ot siła moja!" A gdy Doliwa nadmienił, iż winien się dobrze liczyć z siłami, gdyż i Chrześcian sporo, Masław rzekł: „Nie rozumiesz ty nic! Który Bóg mocniejszy będzie temu się i ja pokłonię. A mnie co?

Co do drugiego historycznego bohatéra powieści *Kazimierza*, autor spór o jego mnichostwo godzi w ten sposób, iż uważa go jako wychowanego w klasztorze, gdzie jednak nie był jeszcze zakonnikiem, skréślony zaś równie w rodzaju swoim charakterystycznie jak i Masława obraz jego, powtórzymy tu:

„Milczący, zamknięty w sobie był król młody. O przeszłości mówić nie lubił, chciał o niéj zapomniéć. Dla wszystkich równie przystępny, nikomu serca nie otwierał. Obyczaj niemal zachowywał zakonny, obchodził się małém. Przed bitwą Topór i co mu towarzyszyli z Leodium wątpili zrazu, ażali się w nim wojenny duch obudzi. Zawiedli się na tém. W pierwszéj chwili rozpoczęcia walki Kazimierz stał jakby nierozbudzony, zdumiony, niepewny co pocznie. Gdy się rycerstwo puściło, zachrzęszczały zbroje, miecze zabłysły; zwarły pierwsze szeregi, rumieniec wystąpił mu na twarz bladą, zapłonęło oko,—dobył z pochew Bolesławowski miecz i już powstrzymać go nie było można."

O restauracyi jednak niewiele jest mowy w powieści, główny obraz składają reakcya, Masław;—i bohater ten możliwie różnostronnie jest przedstawiony. Skréślony on jest w stosunku do swych kolegów dawnych, do zwolenników nowych, do kraju, do krewnych, do matki, a koniec jego zgodnym jest z tym powtarzanym przez wszystkich prawie kronikarzy, frazesem, a który miał wyjść z ust tych, którzy go ostatecznie ukarali: „Wysokoś piął się, bądźże wysoko."

Co do niewiast w powieści: młode *Hanna* i *Kasia* nakréślone są biernie i przez to samo (ile młode) trafnie. Doskonałą zaś jest Spytkowa, zwłaszcza gdy sama Rusinka swatała już wcześnie młodego króla z Rusinką (żoną Kazimierza była jak wiadomo istotnie następnie: Kniaziowa *Dobrogniewa*).

Do głównie efektowych i oryginalnych obrazów w powieści należą: widok natłoczonego Horodyszcza oraz dworu i hufców Płockich przy właścicielu kneziu. Mniéj znajdujemy efektowym, ile w powieści *historycznéj*,—ukazywanie się matki Masława półwarjatki, gdy pierwszy raz w czasie uczty truje mu chwile swojém ukazaniem się,—a przy końcu zdjąwszy trupa jego z drzewa, na którym wisiał, i wydzierając go z paszcz wilków, grzebie go, kładzie się na mogile i sama rozszarpaną zostaje przez wilków;—wszakże zaprzeczyć nie można, iżby i te obrazy nie były oryginalne i bezpoetyczne.

Jeżeli w powieści *Masław*, karty jéj zajmuje przeważnie nić powieściowa, romans, w powieści *Boleszczycach* przedmiotem kreślonych obrazów jest przeciwnie prawie wyłącznie treść historyczna, tj. rozszerzone tylko i rozjaśnione ramy właściwéj historyi.

Długosz w swéj historyi wzmiankuje, iż po ujściu z kraju Bolesława, brat jego *Władysław*, zająwszy opuszczony tron wezwał do powrotu z wygnania żonę jego i kilkunastu wiernych rycerzy, którzy towarzyszyli mu, a których imiona poszczególnia. Z téj krótkiéj wzmianki autor umiał odbudować całą przeszłość epoki danéj. Jeżeli był zastęp tych, którzy królowi pozostali wierni, tedy i w kraju musiał mieć król stronników i przeciwników, jeśli ten zastęp był mały, tedy zbyt większe i silne musiało być stronnictwo przeciwne, tak silne, iż zmusiło nawet do wyjścia dumnego króla.

A był to król z jednéj strony wielki, bo rycerz, i miał prawo być dumnym,—był litościwy i hojny i nazywany był szczodrym, ale był téż ten król mordercą, a mordercą nie zbrodniarza, nie łotra, ale męża bezbronnego, cichego, słynnego z cnót. Taki obraz wymagał wprawnéj i silnéj ręki malarskiéj, i autor z właściwą sobie siłą i talentem nakreślił go.

Poeta, któregośmy podali wyżéj za skrytego rywala autora (w dziale poezyi), w dziełku swém pod napisem *Pierwsze wieki historyi polskiéj*, mówiąc o Bolesławie II i o tym fakcie, iż biskup Krakowski Stanisław był pierwszym w kraju, który się był odważył stanąć w śmiałéj opozycyi przeciw despotycznym czynom króla Piasta, uważał ten fakt za historyczną epokę krajową i dodał: „*Cześć* Ś-go Stanisława stała się pierwszym artykułem konstytucyi tego kraju, od dnia jego umęczenia zaczyna się nowy okres historyi polskiéj, Polski nowéj.“ Zdanie to historyka poety, zdaje się nam, iż autor wziął za motto szczegółów swojéj powieści, swego historycznego obrazu.

Wnuk, czy prawnuk Chrobrego, dziedzic jego imienia (Bolesław) był dziedzicem i jego męstwa, lecz nie dziedzicem całości jego ducha;—natchnienia matki i żony, przykład Kijowa, odznaczyły politykę jego. Sądząc nie wzywał on na wzór dziada Rady 12-tu, nie całował w rękę Opatów, rozjątrzony przeciw rycerstwu, które go w Kijowie w części odbiegło, wrócił do kraju, aby się nad nim znęcać; prześladował rycerzy, głowy im ścinał, żony ich powoływał na dwór swój rospustny, nie znał innego prawa nad samowolę, a gdy pasterz duchowny karci (Biskup Stanisław), chcąc jako „pasterz dobry“ powściągnąć króla, ściągnął tylko jego gniew i nienawiść, i zmuszony był rzucić nań klątwę; zaciekły król nie zawahał się własną ręką odciąć od ciała głowę bezbronnego.

Cztery partye, czyli cztery główniе obrazy nakreślone zostały dobitnie w ramach powieści. Król Bolesław i jego dwór. Zastęp młodzi, która bezwzględnie i w złém i dobrém była mu wierną, a którą przezwał autor *Boleszczyce*. Szlachta dawna, któréj reprezentantem w powieści jest głównie *Odolaj* herbu *Jastrząb*, jakkolwiek najwięcéj było Jastrząbców śród Boleszczyców, oraz *Mścisław* z Bużenina (którego żonę Krystę porwał był król do swego Seraju) i wreszcie Biskup Stanisław.

Powiedzieliśmy, iż te wszystkie obrazy nakreślone są silnie, nie przez to jednak, iż były kreślone namiętnie, jaskrawie, ale przez to właśnie, iż są kreślone z pokojem i naturalnie.

Czytelnik sam to przyzna, sądzimy, gdy przytoczymy kilka literalnych wyjątków z obrazów głównych, przytoczenia te będą téż same najlepszą charakterystyką powieści.

Bolesław i *Krysta* (obraz z zabawy Dworskiéj).

...Twarz jego (Bolesława), choć zmęczona piękną jeszcze była, nadewszystko dumy, siły, namiętności i ufności w siebie pełna. Z króleską dumą na twarzy téj, łączyła się króleska ludzi pogarda i pycha niezmierzona. Młode i zdrowe lice, życie i trudy jego już pofałdowały były i zmięły, wyciskając na niém ślady burz, przez które przeszły zwycięsko.

I ta twarz była, jak kwietniowych dni niebo, zmienna, błękitem naprzemiany, obłokami czarnemi, chmurkami białemi, oponami szaremi, słońcem wesołém i złocistém bramowana, któréj poranek nie ręczył za wieczór, a burza nie trwała dłużéj pogody. Piorun mógł z niéj uderzyć niespodziany, a w chwilę potém mogły się otworzyć spokojne błękity.“ (Kontrasta te zjednały téż dwa różne temu królowi przydomki: surowy (śmiały) i szczodry.

Mistrzoskim jest i obraz sultanki:

„Niewiasta siedząca przy nim, piękna i młoda na twarzyczce niemal dziecinnéj, miała wyraz zalotności wyzywającéj, śmiałéj, niewstydzącéj się wcale, naiwnéj.

Białéj płci, z małym rumieńcem, nieco blada, czarnemi wielkiemi wesołemi oczyma patrzała w króla jak w tęczę. Śmiała się jemu, światu, życiu, wszystkiemu na co patrzala, mężczyznom co przechodzili, złotym dzbanom, pochodniom i nocy pogodnéj, która oknami zaglądała. Ani wstydu, ani *uczucia innego* nad to rostrzpiotane wesele nie widać w niéj było.

Tuż za tą króleską parą stało kilka niewiast młodych, pięknych, strojnych, wesołych także, szepczących poufnie między sobą, śmiejących się i chichoczących ciągle, spoglądających śmiało po

mężczyznach, którzy króla otaczali. Piękne te niewiasty zdawały się dobrane, aby i wesołość pani i jéj wdzięczną twarzyczkę jeszcze weselszą i wdzięczniejszą czyniły. Przy niéj wydawały się tak gminne i pospolite, jakby z innego pochodziły świata.

Ich srom nawet był od jéj zalotności bezwstydniejszym.“

Święty Stanisław. Jadący Boleszczyce spostrzegłszy zbliżający się naprzeciw siebie orszak śród którego był biskup Krakowski wesoło zeń urągali, odgrażając się, iż mu nie myślą ustąpić, za zbliżeniem się jednak ustąpili mu mimowolnie z uszanowaniem. Męża, który przewodniczył orszakowi, tak opisuje autor.

„W pośrodku ich jechał na koniu kapą okrytym mężczyzna lat średnich, pięknéj postawy, wspaniałego oblicza. Wierzchowiec jego spokojny nie świecił żadnemi ozdobnemi rzędami ani wisiadły; na sukni téż czarnéj, którą on sam był odziany, oprócz krzyża na piersi nic więcéj widać nie było. Twarz nie potrzebując oznak innych dostojności znamionowała męża co się czuł silnym i nad pospolity tłum wzniesiony wysoko.

Wejrzenie miał, które raz zwrócone na człowieka zmuszało do poszanowania i trwogi, nie żeby gniewne było, albo surowością zaprawne, ale majestat z niego promieniał i siła jakaś niezwyciężona. Piękne rysy osłaniał pokój niewzruszony.“

Idąc zawsze za historyą, autor nie pominął i owéj „zdrady czeskiéj,“ o którą oskarżał go Gallus „Rzucę nań klątwę (wołał Biskup wzruszony), ogłoszę go wywołańcem. Natenczas bezpańskie ziemie nasze niechaj zajmuje Wratysław (mąż siostry Bolesława Światawy), aby nie stały otworem dla wrogów, łupieżą dla czerni. Ziemianie przyjmą go, rycerstwo rade będzie. Dwa potężne królestwa się zjednoczą.“

Opinią kraju o głównych bohatérach powieści Boleszczycach najlepiéj kreślą następne słowa *Odolaja* głowy Jastrzębców, których najwięcéj było śród Boleszczyców, a od których w deputacyi przybył był doń Dobrogost. Kiedy ten na uwagi Odolaja o Bolesławie rzekł: „Nie nam go sądzić.“ Odolaj zawołał: „Ale ja stary sądzić go mam prawo. Ja i Mieszka I-go i Bolka wielkiego, co jak słońce jasny był, i wszystkich ich pomnę, żadnego takiego nie było jako ten. Jeszcze mu z dziewcząt i żon naszych daninę przyjdzie słać jako smokowi na Wawelu a wy mu do tego służycie. Wróciwszy na dwór powiecie swoim wszystkim jastrzębiom ile ich tam jest: że ja ich za ród mój i krew moję znać nie chcę, póki w tym kale zostaną. Na wojnę idźcie, niech was i pozabijają, jest dzieci dosyć, narodzi się ich jeszcze więcéj, ród nie przepadnie, a po barłogach dworskich

wylęgać się, wara! Postroili was na pośmiewisko, jak króleską kobyłę, która słyszę też w złotogłowiu chodzi.“

Do głównie efektowych w powieści obrazów należą: opisy rozpusty Dworskiéj, kłótnia w Jakuszewicach reprezentantów opinii kraju z Boleszczycami, opis klątwy,—i wreszcie opis ostatniéj a głównéj zbrodni królewskiéj. Autor postąpił trafnie, iż nie przedstawił na scenie saméj téj zbrodni, krwawy obraz musiałby być albo za słabym, albo za wstrętnym. Autor przedstawił tylko obraz Dworu w godzinę zbrodni, i powtórzymy go tu, wątpimy czyli czytelnik uzna, iż jest za słaby. Jest to opis poranku po nocy na rozpustnéj uczcie spędzonéj.

„Po wczorajszéj uczcie, gdy wszedł dzień, około dworców króleskich dziwnie wyglądało. Noc długo kryła biesiadne śmiecisko, gdy rozwidniało odkryło się ono w całéj szkaradzie swojéj.“

....W przedsieniach dworu, pod budynkami i okopami, na ziemi i ławach leżała rozpierzchła, uśpiona jeszcze, pijana gawiedź ze psy razem. Daléj na wałach widać było precz wyrzucone dwa trupy tych, co się na śmierć zapili, nawpół odarte. Czekały one aż je gdzieś wywloką.

Gdzieniegdzie stały brudne jakieś kałuże, jedne jakby krwawe, drugie od saméj krwi ohydniejsze. Bili się i tłukli skłóceni, na śmiech drugim, a wielu z ranami i potłuczonemi wyszło głowami, nie czując kalectwa nawet.

. . . .

Zmęczona wczorajszą wrzawą, od któréj nierychło uciec mogła, Krysta spała długo — obudził ją *dzwonek na skałce* u Ś. Michała, a potém zaraz tentent koni.

Zadrżała, zerwała się, pobiegła w koszuli wyjrzéć przez okno, odsunęła okiennicę i zobaczyła jak król jechał otoczony Boleszczycami.... Dokąd? nie wiedziała, ale serce jéj biło strachem.

Ona co tak dobrze dawniéj umiała śmiać się, o wszystkiém zapomniéć, wesołością swą dziecinną drugich rozśmieszać, czasem aż do szału się rozpasać, rozgzić — wczoraj nie mogła być nawet wesołą.

Coś ją cisnęło na sercu; oczy pana patrzały jakoś tak dziko, szał téj uczty półchłopskiéj wył tak straszno.... Mimowoli przypominała sobie inne czasy, lata inne, macierzyńskie podwórko ciche, matki uścisk pieszczony i usypiający tak słodko, mężowski dwór taki spokojny.... ciepłe ognisko domowe, co się śmiało gospodyni.....

Trwoga i dreszcze przebiegały po niéj. Zrywała się krzycząc: Jutro! co będzie jutro!

Jak ten dzwonek na Skałce brzmiał jakoś i jęczał strasznie pogrzebowo! Był to ten sam, co w dniu klątwy lud zwoływał i dzwonił świecom zgaszonym.

....Krysta siedziała w oknie, o krawędź oparta, patrzała i słuchała, myślała coś i rwały się jéj myśli. Chciała odgadnąć dokąd znów król mógł pojechać tak rano?

Nie na łowy?—psów ni sokołów nie mieli z sobą, ani łuków, ani oszczepów — miecze tylko.

Wśród téj głuchéj ciszy — nagle — czy się jéj przydało? — usłyszała zdala krzyk okropny.... Dzwonek na Skałce począł się poruszać żywo, bijąc jak na trwogę, raz poraz, nieustannie.

Serce jéj zaczęło bić strasznie — wczorajsza trwoga i smutek wróciły silniejsze jeszcze.

Zatętniało nagle szalonym biegiem. W bramie ukazał się król, Krysta go nigdy jeszcze takim nie widziała strasznym, zakryła oczy. Blady był jak trup, a oczy mu wyskakiwały z powiek — usta miał otwarte, zęby zacięte. Patrzał i nie widział, na jednym policzku miał jakby plamę krwi, krew zdawała się ściekać jeszcze, obie ręce krwią miał oblane, mieczyk, który mu wisiał u pięści, ściekał krwią i bryzgał kroplami.

Tuż za nim lecieli pobroczeni krwią, jak on, pijani morderstwem Boleszczyce.... Stali, odchodzili, siadali, ocierając ręce krwawe o murawę, o ścianę, o poły, i otrzéć ich nie mogąc".

Krysta nie mogła dotrwać długo na zamku i opuściła go.

„Nie wiedziała, ani dokąd szła, ani co się z nią stać miało, uciekała od krwi, która goniła za nią. Ku miastu zszedłszy, obaczyła kościołek na Skałce, widok jego przeraził ją na nowo, uchodzić zaczęła pędząc co sił, bez drogi, na oślep — a krzycząc: „krew, krew!"

Jak Krysta, tak opuścił króla kraj cały; żelazne rycerstwo od Krakowa upraszało go, aby się wyniósł z kraju; odjechał z Boleszczycami; najprzód do Węgier na dwór króla, a skończył na pokucie w Ossiaku.

Kończąc tę krótką wzmiankę o dwóch ostatnich powieściach historycznych Kraszewskiego, zwracamy uwagę raz jeszcze, iż obok

ukazania się ich autor równocześnie drukuje i inne niehistoryczne i tysiące jednocześnie prac innych; nie zadziwiałby jeszcze nas tyle sam ten fakt ile szczegóły faktu, t. j. rzadka pełność i wykończenie każdéj z tych prac. Przypominamy, iż pisząc kiedyś (w r. 1844) o *Witoldowych bojach* i zwracając uwagę na wady tego poematu z pośpiechu płynące, uczyniliśmy byli uwagę, iż duch ludzki musi być wprawdzie sam w sobie duchem prawdy, ale snać ciąży nad nim jakowaś fatalność i musi odbyć *pokutę* (pracę), nim się zdoła okazać w szacie swéj prawdy; patrząc dziś na zaletę i pełność utworów autora, zaledwiebyśmy tu nie dodali, iż te pokuty snać duch autora już przebył, jeżeli nie przez ilość trudu wyłożonego na jednę z tych prac, tedy przez sam trud wyłożony na ogół ich.

A. Tyszyński.

WSPÓŁCZESNE RUCHY ISLAMU.

(Dokończenie).

Przenieść się teraz musimy na ulice Damaszku, gdzie już element druzyjski żadnej nie odegrywał roli.

Tam Szeik Abdalla-Halebi karmił fanatyków duchowną strawą, a chcąc obalić ostatnie skrupuły, fetwami układanemi na posiedzeniach swoich teologów, tłómaczył wersety koranu w myśl powziętego planu zniszczenia. Achmet pasza ze znajomością sztuki wojskowej, przez swoich zaufanych, przygotowywał atak na wszystkich punktach, a obiecując konsulom, że obmyśli środki bezpieczeństwa, sam usuwał się za kulisy i pozwalał działać drugim. Wszystkie świadectwa miejscowe, urzędowe raporta, sprawozdania komisyi śledczéj, opisy francuskich autorów zgadzają się w tém, iż zamach został wykonany systematycznie, o jednéj i téj saméj godzinie na rozmaitych punktach.

Dzielnica chrześciańska w Damaszku Harat-il-Nassara, zamieszkana przez rękodzielników, pełna była bogatych domów, a jak wszystkie dzielnice chrześciańskie w miastach tureckich stanowiła część zupełnie odrębną. Tamto bandy kurdów, muzułmanów damasceńskich, baszybuzuków w służbie rządowéj i nieco regularnych żołnierzy udały się na mord i rabunek, który wedle nowych pojęć apostołów miał wlać siłę żywotną w doktryny Pan—islamizmu.—Druzów tam nie było, dopiéro ku wieczorowi, zwabieni dymem szerzącego się pożaru, zaczęli nadbiegać wietrząc łup.

Był to dzień 9 lipca. Wyznawcy Hakema od dawna już oddawali się dziełu zniszczenia, Fuad-pasza w Stambule przewidywał jakie z tego wywiązać się mogą trudności, inni siedzieli cicho, knując intrygi i wyczekując co powie Europa na te pierwsze próby. Widziano

dnia tego dobrego Szeika Abdalla-Halebi u wejścia dzielnicy Harat-il-Nassara; dobry Szeik uśmiechał się, gładząc brodę, popatrzał tęsknym wzrokiem na bogate domy chrześcian i zwrócił napowrót ku miastu, spokojnie, powoli, jak na muzułmanów przystoi, bez wzruszenia i obawy. Na drzwiach mieszkań giaurów widne były czarne kółka na kształt znaków, które kwatermistrze kreślą, po domach zajmowanych na kwaterę dla wojska w miasteczkach, tym razem siniecri wysłała swoich kwatermistrzów, główny jéj urzędnik Abdallah zrobił przegląd, snać robota nieźle była wykonaną, bo Szeik wkrótce zdążał ku domowi.

O południu muezin z galerij meczetów głosi wiernym słowa proroka, w dniu 9 Lipca liczne głosy muezinów potężniéj zabrzmiały na wysokich krużgankach—lud wierny zabrał się do dzieła. Bandy po 300 do 500 ludzi ukazały się jednocześnie na wszystkich rogach ulicy dzielnic Harat-el-Nassara i Mejdonu; ludzie składający te bandy spokojnie wchodzili do domów piętnowanych czarnym znakiem i systematycznie brali się do dzieła.

Od dnia 9 Lipca rozszalały fanatyzm walczył o lepsze z rozszalałym pożarem wznieconym przez zbójców. Gody te trwały dni pięć, t. j. 9, 10, 11, 12, 13 Lipca, a i 14-go rzeź nie ustała od razu. Przedmieście Mejdanu o wiele biedniejsze od dzielnicy Harat-il-Nassara nie tyle ucierpiało, co to ostatnie, nęcące ku sobie nadzieją dobrego połowu. To też w Harat-il-Nassara na blisko 4,000 domów, większa połowa zniszczoną została, a reszta mocno uszkodzoną.

Łuna pożaru zwiastowała Beduinom możność rabunku, ku schyłkowi trzeciego dnia, tysiąc koni z pustyni stanęło pod Damaszkiem. Jeźdzcy albo wpadali do miasta, lub stojąc na przedmieściach rzucali się na tych, którzy obładowani zdobyczą uciekali. Kobiéty, które zdołały wyrwać się z przybytku mordu i gwałtu, wpadały w dzikie łapy smagłych synów pustyni i wkrótce znikały z nimi może na wieki.

Achmet-pasza i Szeik Abdalla-Hallebi spoglądali spokojnie na szerzący się obraz nieszczęścia i uśmiechali się nawzajem, winszując sobie powodzenia w dziele odrodzenia Islamu.

Generał-Gubernator zbywał konsuli obiecankami, nic nie czyniąc, zostawiając drugim czas do ukończenia raz rozpoczętéj roboty. Jedénaście kościołów, zakłady misionarzy, siostr St. Wincentego a Paulo, domy konsularne Francyi, Austryi, Włoch, Rossyi, Grecyi, były poniszczone—między temi zgliszczami, wśród dymu i popiołów, wznosił się ocalały dom konsulatu angielskiego, spokojny i czysty, jak zawsze, 8 tysięcy zabitych, więcéj 2 tysiące domów zrównanych

z ziemią, 25 milionów rubli sr. szkód pieniężnych, oto owoc smutnej pamięci dni lipcowych.

Z pomiędzy tych hord barbarzyńskich, prowadzonych chęcią mordu i łupieztwa, lub fanatyzmem, obok słów zwodniczych Achmet-paszy, uśmiechów strasznych pobożnego Szeika Abdalla-Hallebi, zarysowuje się postać potężna szlachetnością i odwagą. Pan pustyń Algieru, król stu bitew, Abdel-Kader, ów wieczny wróg Francyi, staje oporem przeciw rzeziom; przedstawienia jego u paszy nie pomagają, stary emir zbiera wierną mu drużynę Algierczyków i sam, narażając się na śmierć, rozpoczyna dzieło ratunku. Przeszło 3 tysiące osób zawdzięcza mu życie, a ludzie co to widzieli przekażą czci potomstwa swego pamięć rycerskiego przywódzcy Arabów.

Okrzyk zgrozy, jaki się podniósł w Europie, zmusił W. Portę nagloną przez ambasady i konsulaty zarządzić środki ratunku. 14-go Lipca Mashar-pasza nadciągał z 6-ciu batalionami do Damaszku, a zarazem usunięto Achmet-paszę z urzędowania, dla przytłumienia ruchu, ze Stambułu wysłano specyalnego urzędnika.

Był to rok 1860. Francya stała u szczytu potęgi. Na epoletach francuskich żołnierzy ciemniał niestarty jeszcze pył bitew, Bufalora, Magenta, Solferino. Francya drgnęła boleśnie na widok spustoszeń. 15 tysięcy zarzniętych od dnia 30 Maja po 15 Lipca 1860 r., dzielnica Harat-il-Nassara obrócona w perzynę, 340 wsi spalonych, 500 kościołów i kaplic zniszczonych, 40 klasztorów i 25 szkół wołało o pomstę. Ekspedycya syryjska zadecydowaną była.

Wyczekiwanie po pierwszych zaburzeniach w Libanie pchnęło fanatyków do strasznych zbrodni w Damaszku. W Jaffie, w Alepie a nawet Bagdadzie ponure ruchy muzułmanów zaczęły się przejawiać; jednak stanowczy krok wysłania ekspedycyi uśmierzył wszystko—partya pan-islamska nie dała drugiego hasła. Pędząc na wyścigi z francuską ekspedycyą nadzwyczajny komisarz Sułtana przybył 17-go Lipca do Bejrutu dla wymierzenia sprawiedliwości i zadość uczynienia naruszonemu prawu i porządkowi. Tym komisarzem był znany minister spraw zagranicznych Fuad-pasza; spieszył się on z dwóch głównie powodów: 1-o dla zaczęcia kroków, o które domagały się mocarstwa zagraniczne, pierwéj nim przybędą wojska francuskie, a tém samém zmniejszenia doniosłości obcéj interwencyi, tak w obec poddanych Sułtana jak i w oczach innych państw; 2-o dla zakrycia pewnych przekroczeń urzędników ottomańskich i wymierzenia kary nim drudzy tego zażądają.

Kiedy się mówi o historycznych wypadkach lat ostatnich w dzierżawie kalifów, niepodobna rozminąć się z nazwiskiem Fuada-paszy, przezwanego przez prawowiernych Giaur-paszą, i warto nie-

co bliżéj z nim się zapoznać. O ile w dzisiejszéj chwili wybitną postacią w Turcyi jest Mithad-pasza, uosabiający w sobie myśl stronnictwa, którego twórcą i podporą jest wezyr banita, o tyle Fuad pasza uosabniał także systemat dawniejszych reformatorów, systemat zgasły wraz z jego śmiercią, a nawet przed zgonem Fuada mocno zachwiany.

Fuad, jak Mithad, padli obaj pod naciskiem intryg ciemnéj panislamskiéj partyi, wyobrażającéj dawnego ducha islamu, nieprzyjaznego wszelkiemu postępowi. Dwaj ci znakomici mężowie stanu tureccy, pokonani zostali przez ludzi, którzy chcą zbawić swój kraj, ale, nie pojmując ani ducha czasu, ani politycznego i socyalnego rozwoju Europy, zgubią niechybnie Turcyą, jeżeli już jéj bezpowrotnie nie zgubili. W razie zaś, gdyby po upadku Turcyi w Europie, potrafili dać jéj chwilowe powodzenie w Azyi za pomocą fanatyzmu muzułmańskiego, przez który i dla którego wszystko robią, to gotując drogę politycznego rozboju a nie rozwoju nagromadzą posępne ruiny, w czém okazali się niejednokrotnie mistrzami, i zagrzebawszy wiele pod niemi sami się także zagrzebią.

W chwili przyjazdu do Bejrutu, Fuad-pasza miał lat czterdzieści kilka, urodzony z matki poetki i ojca historyka (Izef-effendego), Fuad od dzieciństwa okazywał niepospolite zdolności. Wychowanie odebrał staranne, skończył szkołę medyczną, następnie przeszedł do biura tłómaczy, zmieniając naukę Eskulapa na polityczną szermierkę.

Fuad-pasza jeden z rzadkich poetów tureckich, mistrz w szybkich zwrotach dowcipu i trafnych odpowiedziach, władał francuskim językiem jak swoim, zasłynął téż niebawém w salonach europejskich z niezliczonych bons mots i dwuznaczników; przytém pisał pełne werwy broszury polityczne i szybko postępował naprzód. W chwili gdy się z nim spotykamy na syryjskim brzegu był już ministrem spraw zagranicznych i został mianowanym nadzwyczajnym komisarzem Sułtana w Turcyi z władzą nieograniczoną.

Fuad należał do obozu reformatorów i był jego głównym przywódzcą, nie zdawał się jednak silnie wierzyć w trwałość bytu i niezależność polityczną Turcyi europejskiéj. Znał Europę i jéj polityczno-społeczny rozwój, wiedział, że wszystkie próby tamowania postępu nie zdadzą się na długo, a utrzymanie dawnych podboi ostrzém pałasza uważał za mrzonkę. Postępowy pasza szukał więc środka najdłuższego i najmniéj uciążliwego konania, marzył w Europie o federacyi turecko-słowiańskiéj i na niéj się opiérał, a sam będąc dalekim od wszelkiego fanatyzmu nie lubił go w drugich, i pomny również na szkołę Reszyda przed wojną Krymską, pomny także

na pomoc zagraniczną, nie pałał nigdy nienawiścią dla giaurów. Takim był Fuad-pasza w r. 1860 i nieco późniéj—czas i okoliczności trochę go potém zmieniły. Turcy zeuropejczeni stają się w znacznéj większości najzagorzalszemi fanatykami, widząc jak mało idee tureckie mogą się z europejską pogodzić kulturą; rzecz tak się miała z Achmet-paszą, generał-gubernatorem Damaszku, z Achmet-Vefikiem dzisiejszym prezesem parlamentu, z Namukiem-paszą, Mechmet-Kibryzłym i tuzinami innych; to też i Fuad-pasza, w ostatnich latach życia swego nielubiony przez panującego i kolegów, zaczął nieco chylić się na stronę przeciwną, mówię zaczął, gdyż nikt mu zarzucić nie może, iżby otwarcie przejął się doktrynami pan-islamskiéj partyi. Przeprowadzając paralelę między Fuadem a Mithadem można powiedzieć, iż pierwszy mniéj radykalny a może mniéj patryotyczny od Mithada opiérał istnienie państwa osmanlisów na rozmaitych kombinacyach i wybiegach politycznych, nie wierzył bowiem w podtrzymanie go siłą militarną, a tém mniéj wierzył w możność wszczepienia cywilizacyjnego pierwiastku w dusze wyznawców koranu i sądził, że operacye podobne prowadzą prosto do roztopienia żywiołu muzułmańskiego w cywilizacyi europejskiéj.

Nadzwyczajny komisarz Sułtana był jednym z typów reformatorskiéj partyi Abdul-Medżida, zwalczonéj przez partyą islamu; w kilka lat póżniej Mithad, nie zwątpiwszy ostatecznie o egzystencyi państwa, lecz czując, że ona mocno zagrożona na sile islamu chciał oprzéć odrodzenie, a siłę islamu, wbrew pan-islamskiemu stronnictwu, na przyjęciu pierwiastku cywilizacyjnego zasadzał—inaczéj mówiąc, jak nie po raz pierwszy powtarzam, zmieniał zasadę: „rozbój na rozwój.”

Pomimo tych literalnych zasad, trudno przypuszczać, aby Fuad-pasza przynajmniéj po wybuchu rzezi nie wiedział i nie znał tajemniczéj nici, łączącéj wypadki syryjskie z kombinacyami dygnitarzy używających wygodnego kiefu na roskosznych brzegach Bosforu. Wiedziano o tém, że Fuad był zręczny, energiczny, nieprzebierający nader w środkach i znający się dobrze z giaurami i na giaurach.

Nadzwyczajny komisarz W. Porty zawinął 17-go Lipca 1860 r. do bejruckiego portu, najdaléj za miesiąc spodziéwano się przybycia francuskich żołnierzy, przez ten czas trzeba było: kraj uspokoić, zacząć wymiar sprawiedliwości, uprzedzić wymagania Europy.

Fuad-pasza (1) wylądowawszy w Bejrucie, poprzedzony rozgłośną sławą liberalnego reformatora, został dosłownie obléżony przez

---

(1) Nazry-Franco-pasza, późniejszy Generał-Gubernator Libanu, znajdywał się podówczas jako urzędnik w kancelaryi Fuada i wszystkie te szczegóły nieraz opowiadane z ust jego słyszałem.

mnóstwo wdów, sierot, kobiét i mężczyzn podających prośby. Straty żon, mężów, dzieci, majątku, nakazywały względem poszkodowanych zachować pewne względy; to też minister Sułtana ujmował wszystkich grzecznością, a nie mając nic a szczególniéj kruszczu, do osłodzenia biéd i dolegliwości, osładzał czém mógł, t. j. obietnicami; tych ostatnich nie żałował, i jakoś potrochu zdawkowa ta moneta zaspokoiła pierwszy głód. Lecz czas naglił—zabawiwszy ledwie 4 dni w Bejrucie nadzwyczajny komisarz ruszył do Damaszku, tam rozpoczął czynność na wielką skalę, a energia jaką rozwinął w obec okoliczności, w jakich się znajdował, nacechowana jest zimną determinacyą i odwagą.

Fuad-pasza znalazł w Damaszku tylko 6.000 żołnierzy nizamów, z tych jedna część przybyła 14-go Lipca z Mazhar-paszą, druga stanowiła dawną załogę damasceńską. Zgliszcza dzielnicy Harat-il-Nassara dymiły się dotąd, a na rękach i jataganach oprawców krew jeszcze nie oschła.

Z temi to 6.000, z których połowa fanatyzowaną była przez emisariuszy pan-islamskiéj partyi i głównego ich komendanta, z temi to mówię siłami, Fuad miał wprowadzić porządek między 140 tysiączną roznamiętnioną ludnością; lecz nadzwyczajny komisarz w danych razach nie wahał się. Wkrótce po jego przyjeździe, po odbytych aresztowaniach, konsulowie którzy czasem wiele wiedzą o tém co ich powinno lub nie powinno obchodzić, dowiedzieli się, iż Fuad-pasza zamierza robić egzekucye ryczałtowe.

Wiadomość podobna przeraziła niektórych z tych panów, muzułmanie odgrażali się, wojsko nie było w dostatecznéj sile. Pewnego wieczora urzędnik konsulatu francuskiego zjawił się u Fauda-paszy w towarzystwie paru innych osób, przedstawiając paszy całą nierozważność tak gwałtownego postępowania. Fuad, jak zawsze uprzejmy, uśmiechnięty, przychylił się do zdania przybyłych, upewniając że źle są powiadomieni, że mają fałszywe wieści, a naśmiawszy się do syta pożegnał gości. Nazajutrz rano 80 wisielców zdobiło wystające belki damasceńskich domów, lub powieszeni po kilku na jedném drzewie kołysali się monotonnie—stu jedenastu rozstrzelanych uzupełniało obietnice dane agentowi.

W mieście głucha zapanowała cisza—muzułmanie spoglądali ponuro na nowego paszę, chrześcianie z przerażeniem czy te środki nowych nie wywołają rozruchów—jeden Fuad-pasza spokojnie, sam, lub ze służącym, przejeżdżał się po pustych ulicach Damaszku, strojny, jakby na paradę, uśmiechnięty, jakby przy wesołym obiedzie.

Rozszalałe hordy żelazną zteroryzowane ręką umilkły. Szeik Abdalla-Hallebi i całe zebranie marcowe, o którém wspominałem

wyżéj, jęczało w kajdanach między prostemi złoczyńcami. Achmet pasza stawiony przed sąd wojenny w Stambule, zdegradowany wrócił na miejsce przestępstwa, bohatérowie rzezi Deir-el-Kameru, Beit ed-dinu, Hasbei i Raszei—półkownicy, Abdul-Salambej i Osmanbej, czekali wyroku śmierci. Kary na razie, z jakich bądź powodów, z obawy zagranicznéj interwencyi i dla niedania jéj pola do popisu, wymierzano surowe, Fuad pasza nie spuszczając z oka celów rządu starał się o ile można zabezpieczyć od wdawania się obcych i zamyślał ograniczyć działania okupacyi francuskiéj do minimum, dla tego téż usiłował ściągać do Damaszku zbiegłych ztamtąd chrześcian, nagradzał jak mógł, pokonfiskował dobra Szeika Abdalli i innych.

Cały ten przebieg działań od przybycia Fuada do wylądowania francuskiego wojska i potém nie mieszcząc w sobie czynności pan-islamskiéj partyi nie wchodzi w zakres niniejszego opowiadania, a należy raczéj do historyi rzezi syryjskich. Fuad, aczkolwiek nie przyłożył ręki do nieszczęść, skoro teraz spełnione zostały, nie omieszkał z nich skorzystać i prowadzić wyłączną politykę swego rządu, to jest sturczenie na przebój, asimilowanie bezwzględne Libanu z tureckiém imperium.

Wróćmy więc do pan-islamskiéj partyi — zastraszona wylądowaniem wojsk Napoleona III-go siedziała ona cicho, wprawdzie fanatycy muzułmańscy z Akki i Alepu rzucali proklamacye, chcąc daléj prowadzić raz rozpoczęte chlubne dzieło, ale obecność Francuzów oraz działania Fuada-paszy zamach ten zneutralizowały.

Achmet-pasza, sądzony jako żołnierz za przestępstwa wojskowe sądem wojennym, był zdegradowany, na żądanie ambasadorów europejskich odesłano go do Damaszku i tam komisya śledcza badała go; lecz Achmet pasza posiadał dokumenta świadczące przeważnie, iż nietylko on jeden był twórcą myśli przewodniczącéj w wypadkach 1860 r. Póki proces odbywał się w Stambule przy samych dygnitarzach W. Porty, póty wyjawienie nawet podobnych papiérów nie stawało się szkodliwém, a przynajmniéj nie tyle szkodliwém, ile to być mogło w Damaszku wobec komisyi śledczéj, przed którą dla zadosyć uczynienia naciskowi zagranicznemu, musiał być stawiony. Tymczasem Achmet-pasza w chwili najgorętszéj w Damaszku wymówił się przed jednym z europejczyków, iż on Achmet odpowiedzialności się nie lęka, ma bowiem czém się zasłonić i przechwałka ta w ciągu roku sprawy w Konstantynopolu wyjawioną nie została, lecz po przybyciu zdegradowanego marszałka do Damaszku, wniesiono ją przed sąd; to zaniepokoiło silnie Fuada, odpowiedzialność, jaką zrzucali z siebie ludzie rządzący w Stambule, została za-

kwestyonowaną, widocznie piśmienne dowody były, a takowe przy złym a nieuniknionym obrocie sprawy, Achmet-pasza dla uniewinnienia siebie nie omieszkałby przedstawić.

Chodziło więc o środki złagodzenia niefortunnéj interpelacyi, o środki? u Fuada paszy.... tych mu nigdy nie brakowało. To téż wkrótce do celi Achmeta zawitał nadzwyczajny komisarz W. Porty. „Przychodzę zwiastować ci dobrą nowinę, rzekł, dla oka, dla zadowolnienia zagranicy, będziesz skazany na śmierć, lecz mam dla ciebie gotowe ułaskawienie Najjaśniejszego Monarchy. Wywieziemy cię na plac i w chwili gdy cię będą mieli rozstrzelać egzekucya wstrzymaną zostanie, poczém pójdziesz na wygnanie. Wygnanie w Turcyi dla Turka — Achmet-pasza musiał uśmiechnąć się złośliwie. Od téj pory przez ciąg bardzo nielicznych posiedzeń eks-gubernator Syryi stawał się coraz lakoniczniejszym, coraz mniéj przeczył zarzutom, coraz to więcéj zadawalniające dawał odpowiedzi. Nadszedł dzień 8-go Września 1860 r.

Od kilku tygodni żołnierze francuscy biwuakowali na syryjskim brzegu — trzeba było kończyć sprawy.

Przeczytano wyrok śmierci Achmet-paszy, skazany przyjął go spokojnie, jak w ogóle wszyscy muzułmanie, a może i zapowiedziana łaska żywiła w nim nadzieję. Były Generał-Gubernator pożegnał znajomych, oświadczywszy w krótkich słowach, iż ginie szczęśliwy, spełniwszy święty obowiązek.

Około godziny 4-éj po południu Achmet udał się na plac gdzie dużo ludzi, wojsko i pluton żołnierzy czekało jego przybycia. Pasza stanął przed dawnemi kolegami, nie pozwalając sobie zawiązywać oczu, bądź co bądź tchórzem nigdy nie był; rzucił niespokojnym wzrokiem do koła, spodziewany adjutant z rozkazem nie przybywał, nagle oficer komenderujący skinął pałaszem, pluton dał ognia, trup marszałka państwa padł na ziemię, unosząc z sobą tajemnicę.

Pułkownicy Osman bej, Abdul-Salam bej, Nurribej i jeszcze jeden oficer, którego nazwiska nie pamiętam, takiemuż samemu ulegli losowi.

Wojska pociągnęły na swe kwatery, tłum rozszedł się cichy, ponury; tylko cztery krwawe trupy widniały jako obraz sprawiedliwości ludzkiéj, koło mogił i zgliszcz dzielnicy Harat-il-Nassara wznosił się grób oprawców.

Fuad-pasza nie ustawał. Ludzi więziono, dobra konfiskowano. Nassif-pasza, Abdalla-Hallebi, ów poważany dygnitarz duchowny w kajdanach wywiezieni byli na wyspę Cypr, co prawda, niezbyt nieprzyjemne miejsce wygnania. Said bej Dżemblat siedział okuty w więzieniach Bejrutu, zawdzięczając życie li tylko protekcyi an-

gielskiéj, przeszło 4 tysiące młodych ludzi z Damaszku zaciągnięto do wojska i wysłano z Syryi, jedném słowem do dni 2o cisza rozlegała się na posępnych ruinach. Druzowie uciekali w strome skały Horanu, a na przeprawach doliny Bekaa, Beduin-Anezy spięty w szerokich strzemionach czyhał na nadejście wyznawców Hakema obładowanych łupem.

Wtenczas zdarzały się straszne sceny mordu między samemi złoczyńcami, na widok karawany smagławy arab dawał hasło i beduińskie konie wpadały jak stado sępów na braci rabusiów, najczęściéj dzidy beduinów przemagały, lecz arabowie zabrawszy dobytek rzadko podług rozkazu Fuada zwracali takowy rządowi.

Inaczéj rzecz się miała z zabliźnianiem ran, 15 tysięcy zabitych do życia nikt powrócić nie zdołał, a ruiny ztąd wynikłe trudno powetować było.

W chwili gdy Fuad-pasza przybywał do Damaszku, w Paryżu za wdaniem się cesarza Napoleona III-go komisya europejska układała punkta, na mocy których wyprawa francuska mogłaby się udać ratować resztę niedorzniętéj ludności. Dnia 3-go Sierpnia ostateczne protokuła były spisane — pierwszy opiewał „że ponieważ Sułtan żąda zatrzymania rozlewu krwi (par des mésures sages et efficaces), a ponieważ Francya, Rossya, Austrya, Anglia i Prussy trwają w tymże zamiarze, przeto reprezentanci tych mocarstw i reprezentant Sułtana zgadzają się na następne punkta, które w streszczeniu brzmią jak następuje.... „12 tysięcy wojsk europejskich mogą być wysłane do Syryi z tych 6 tysięcy Francuzów odpływa natychmiast; wrazie zaś gdyby liczba podobna nie wystarczała dla utrzymania porządku to inne państwa porozumieją się z W. Portą o tém, które z nich ma wysłać resztę kontyngensu. Czas trwania okupacyi ogranicza się do sześciu miesięcy (podpisano) Thouwenel, Kissielef, Covley, Reuss, Metternich, Ahmet-Vefyk.

Protokół następny, wyjaśniający niektóre szczegóły tłómaczę in extenso.

Protokół 2.

3 Sierpień 1860 roku.

„Pełnomocnicy Francyi, Austryi, Rossyi, W. Brytanii i Prus „chcąc określić odnośnie do życzenia ich dworów prawdziwy cha„rakter współdziałania udzielonego W. Porcie stosownie do protoku„łu pierwszego (tegoż dnia i roku) podyktowanego im przez uczucie „najzupełniejszéj bezinteresowności, oświadczają stanowczo, — że „państwa współdziałające nie będą się starały i nie starają o jaki

„bądź zabór ziemi, o żaden wyłączny wpływ, o żadną koncesyą „odnoszącą się do handlu ich poddanych, koncesyą, któraby nie mo„gła być udzieloną dla jakiegobądź innego narodu.

„Niemniéj jednak podpisani nie mogą się wstrzymać przypomi„nając ustanowienia Sułtana, których wartość stwierdza art. 9 trakta„tu paryskiego z d. 30 Marca 1856 r., o ile ich dwory wysoko przy„wiązują cenę do tego, iżby stosownie do uroczystych zapewnień „W. Porty przedsięwzięte zostały środki administracyjne w celu po„lepszenia losu chrześcian wszelkiego wyznania na całym obszarze „ottomańskiego państwa.

„Pełnomocnik Turcyi zaznacza to oświadczenie i podejmuje się „przesłać takowe rządowi swemu, zwracając jednak uwagę, że W. „Porta używała i używać nadal będzie wszelkich usiłowań w myśl „wyżéj spisanéj deklaracyi (podpisano) Thouvenel, Metternich, Kissie„leff, Covley, Reuss, Ahmet-Vefyk.“

Oba te protokóły, powtórzone przez wszystkie gazety, noszą na sobie te same cechy, lecz drugi jeszcze dobitniéj wykazuje ile różnym mocarstwom zależało na tém, aby Francuzi nie rozgospodarowali się w Syryi i nie zdołali jakimbądź sposobem wyrestaurować szkody wyrządzone ich wpływowi przez rzezie Damaszku i Libanu, obok tego uwydatnia się tym że samym faktem, silne parcie opinii publicznéj we Francyi w celu niesienia pomocy ofiarom syryjskim. Francya urzędowa na widok zagrożonego wpływu swego na wschodzie i Francya ludzka taka jaką zawsze była podały sobie dłonie w chlubnéj misyi, a wstępując w nią, niosąc miliony franków i życie swych dzieci, z góry wiązała sobie ręce i tamowała drogę do zysków materyalnych.

W kilka dni potém, francuskie oddziały wyruszyły z Marsylii pod wodzą generała Beaufort, udając się do Bejrutu, gdzie stanęły 16-go Sierpnia, uprzedził ich Fuad-pasza, spiesząc wprowadzić porządek, tak, aby Francuzi nie mieli nic do roboty. Ministrowi W. Porty sztuczka powiodła się znakomicie, rzeczywiście, wojsko francuskie nie dało ani jednego strzału, nie uwięziło ani jednego Druza, lub muzułmanina, biwuakując nieszkodliwie jako niemy świadek wymiaru tureckiéj sprawiedliwości. Tém się skończyły zaburzenia w Syryi, których polityczne cechy uwydatniają się jasno.

O powrocie do tego stopnia wpływu i rozwoju elementu chrześciańskiego w Syryi i Libanie, w jakim się znajdował przed Marcem 1860 r. myśléć było trudno, 15 lat ciężkiéj i uciążliwéj pracy zaledwie mogłoby powetować wyrządzone krzywdy moralne i straty materyalne. Partya pan-islamska chełpiła się na widok tak chlubnie rozpoczętego dzieła. Piętnaście lat pracy! lecz czyż okoliczności,

w których miał żyć nadal ten kraj nieszczęśliwy, mogły dać piętnaście lat poprzedniego istnienia? Stronnictwa reformatorskie rządowe i pan-islamskie zgadzały się z sobą w jednym punkcie, co do wprowadzenia jedności państwowéj i assymilacyi; anglicy ze swéj strony dławili jak mogli rozwój francuskiego wpływu, a osamotniona i słaba ludność spustoszonego kraju nie miała ani siły, ani odwagi do dalszéj pracy, ani steru, w którym by pokładała wiarę. Zniszczony Liban nie podniósł się od téj pory, a aczkolwiek zastrzeżono mu prawo utrzymywania wewnętrznego porządku za pomocą milicyi mięszanéj Druzów i Maronitów, oraz na urząd generał-gubernatora miał być zawsze mianowany chrześcianin, jednak osoby dochodzące do téj wysokiéj godności nigdy nie były maronitami. Generał-Gubernatorowie, wybierani z pomiędzy ludzi duszą i ciałem oddanych rządowi, nietylko nie omieszkiwali być powolném narzędziem Stambułu, lecz bojąc się jako giaurzy podejrzenia ze strony Turków, przechodzili gorliwością wielu muzułmanów. To téż w Libanie systematycznie zacierano indywidualność krajową, sturczanie prowadzono ustawicznie, i sam byłem świadkiem, jak milicye libańskie ubrane w arabski strój narodowy prosiły o łaskę zastąpienia takowego tureckim mundurem.

Szkoły misyonarzy i oświata upadły znacznie, wpływ Francyi po Sedanie zmalał, a rząd turecki, nie posiadając rywala w Anglii, zgodnie z nim działającéj, nie natrafiając na siłę oporu od zniszczonéj szlachty libańskiéj, oraz Kesrawanu którego powstanie w 1866 r. dobiła do szczętu, miał wolne ręce do działania i puszczania w niepamięć przywilei, które nadać musiał.

Na tém wprawdzie ucierpiał kraj i jednocześnie finanse państwa, gdyż rozchody powiększyły się znacznie, lecz w dymie pożarów damasceńskich i Libanu idee — rządowa, angielska i pan-islamska wzięły górę; czyli jakem to z początku twierdził zeszły się tu trzy siły — polityka rządowa, działania Anglii ku wzmocnieniu swych wpływów, i wejście w szranki pan-islamskiego stronnictwa. Wszystkie trzy odnosiły korzyści. Tradycyjna polityka niwelacyi praktykowana przez W. Portę została zupełnie zadowolnioną, bowiem szlachta dżebelska przedstawiająca cień jakiéjś siły padła, a na jéj miejscu niczemu wyrość nie dozwolono, wpływ Francyi podkopany. Polityka W. Brytanii widziała z przyjemnością nadwerężenie straszne francuskiego wpływu, który przedtém, dzięki punktowi oporu jaki miał w Syryi, szachował wpływ angielski w Stambule. Co się zaś tycze pan-islamistów, ci uważali te wypadki za objaw siły czysto islamskiéj, za objaw życia silnie zakwestyonowanego, za bodziec do rozwinięcia i przyjęcia ich programu politycznego.

Owóż program polityczny tych panów, dziś tak zawzięcie i tak szkodliwie gospodarujących w Konstantynopolu, zarysowuje się jasno w wypadkach syryjskich — szczegóły w przeprowadzaniu myśli starałem się skreślić acz pobieżnie, zawsze jednak na tyle, iżby mogły dać poznać systemat działania.

Reasumując fakta widzimy: że zasada pan-islamizmu, jakem to z początku przedstawił, opiéra byt i odrodzenie państwa bezwarunkowo na mieczu (1), na islamizmie, który ma zastąpić europejską ideę połączenia w imię tożsamości ras. Pan-islamizm żąda takowego zlania na mocy wyznania, opiérając jedność państwową na podstawie jedności religijnéj.

Ile takowa propaganda może miéć wpływu na świat muzułmański, i jaką ma przyszłość, o tém przekonać może pobieżna nawet analiza charakteru ludności miejscowéj i nauki Mahometa. Wiadomém jest, iż patryotyzm z nader małemi wyjątkami ustępuje tu miejsca fanatyzmowi religijnemu, ztąd każden muzułmanin więcéj jest muzułmaninem, niżeli Turkiem, Czerkiesem lub Indianinem. Czysta, prawowierna nauka proroka, nie dopuszcza postępu, a więc stronnictwo, opiérające się na niéj, musi się stosować do jéj przepisów, musi działać szablą i wybiegiem podług dawnych tradycyj i żyć podbojami. W historyi cywilizacyi muzułmańsko-tureckiéj, nie ujrzymy nigdzie rozwoju umysłowego, postępu normalnego społeczeństwa, w niéj zauważyć można, chyba chwilowe odbłyski ukazujące się nakształt krótko trwałych meteorów; tym więc sposobem życie świata muzułmańskiego, oparte na zasadach dziś przodującéj w narodzie partyi, odrzuca wszelką spółkę, z rozwojem i oświatą Europy, nie pożąda jéj i obawia się; bowiem wytrzymanie konkurencyi jest niemożliwém, a odgradzając życie muzułmańskie od cywilizowanego świata, nie wszczepiając tego pierwiastku w naród, rozbudza się

(1) *Koran* „Różni prorocy mawiał Mahomet zsyłani byli od Boga, i tak: Mojżesz miał łaskawość i opatrzność, Salomon mądrość i chwałę, Jezus Chrystus prawość, „wiedzę i potęgę; prawość czystością postępków, wiedzę znajomością serc ludzkich „potęgę cudami. I na cóż to się zdało! Nie uwierzono w cuda Mojżesza i Jezusa. Przeto ja ostatni z proroków Boga zesłany jestem z jego mieczem! Wyznawcy moi niech „nie wdają się w spory z niewiernymi, mieczem niech upór ich łamią. Ktokolwiek wal„czy za wiarę, pada, lub zwycięża, odbierze świetną nagrodę! Miecz jest kluczem do nie„ba i piekła; ktokolwiek walczy nim za wiarę wynagrodzonym będzie, każda kropla „krwi wylanéj, każdy znój zapisanym mu będzie w niebie. Jeżeli padnie w boju, „grzechy jego tym zgonem zmazane będą. Czeka go raj,—rozkoszować się będzie w towa„rzystwie czarnookich hurysek."

w niém dawną żądzę podboi, utrzymanie istnienia za pomocą wojen i zaborów— w tém się zawiera rozumienie życia pełną piersią podług prawowiernych.

W historyi państwa Ottomanów widzimy, iż dzięki chwilowej potędze do jakiéj doszli Osmanowie, oraz wielkim ich zawojowaniom, cały późniejszy czas poświęcony był nie na racyonalne gospodarstwo państwowe, ale na stopniowe przejadanie spadku po Mahometach, Sulejmanach i Selimach; rozum zaś ludzi rządzących polegał albo na tém, żeby się lada czém okupić, albo na jak najszczuplejszém spożyciu pozostawionéj sukcessyi; podobnym idąc porządkiem społeczeństwo nie nabierało ochoty do pracy, do racionalniejszego familijnego życia, a ludzie będąc z natury sybarytami, z religii fatalistami, gotowymi byli i są, czy to do bardzo miękiego życia, czy téż do wypraw wojennych mogących im w następstwach przysporzyć roskoszy, a jednocześnie powodowani fatalizmem nie obawiają się śmierci, boć i ta gdy przeznaczono nie minie. Trudno żądać, żeby ustrój społeczny w tym rodzaju nadał jednostkom myśl organicznéj pracy, trwałéj i ciągłéj, i wlał w ich duszę pierwiastek cywilizacyjny.

Potężny wpływ, jaki wywiera partya pan-islamska, oraz silne uznanie jakiém się cieszy w masie narodu, pochodzi ze złego zastosowania reform dawniejszych, równie jak z tego, iż naród, mało oświecony a bardzo przywiązany do swéj wiary, przestrzegaczy takowéj, ludzi którzy zbawienie kraju na niéj opierają, z porządku rzeczy szanować i wielbić może, łączy się z tém wada religijno-klimatyczna ludności wschodu. Religia Mahometa jest przedewszystkiém religią żołnierzy, ustawodawca jéj miał na celu podboje, i do tych naginał naturę poddanych mu ludzi, ztąd przy małych, daleko mniejszych potrzebach życia od mieszkańców północy, wytworzyła się w narodach muzułmańskich pewna anomalia duchowa jednostek,— to jest: chęć nadużywania życia, możność życia byle czém i małe cenienie tegoż życia, przymioty zdolne doprowadzić do zenitu lenistwa najzawziętszego robotnika stref chłodniejszych.

Posługując się więc złemi instynktami poczciwego narodu, wyzyskując takowe jak to się dzieje nie w jednéj Turcyi, przywódzcy pan-islamskiéj partyi pchając naród w przepaść, sami dochodzili do potęgi.

Z ich systematem mrzonką być tylko mogło utrzymanie się w Europie, nie siła bagnetów tego lub owego państwa, ale bieg rzeczy, siła cywilizacyjnego prądu starłaby się tak silnie z zastojem i uporem fanatyczno-muzułmańskim, iż islamizm reprezentowany przez Turków na Bałkańskim półwyspie musiałby prędzéj czy późniéj

runąć pod uderzeniami cywilizacyi, której rzecznikiem nie wiadomo ktoby został. Pozostaje zatém życie Turków w Azyi, oparte na panislamizmie. Istnienie to nader poważnie oddziaływać może na interesa W. Brytanii, tak, iż nim do określenia jego przystąpimy nieodzownêm zdaje mi się zapoznać się z mithadowską partyą reformy, a wtedy, wobec znajoméj sytuacyi, starać się skréślić położenie tak usilnie popieranych interesów Anglii.

Czynności osobiste człowieka muszą dawać mniéj więcéj prawdziwe wyobrażenie o jego charakterze, to téż zdania o stronnictwie Mithada, a raczéj o nim samym, ugruntowywać należy na czynach, jakiemi znakomity ten człowiek napiętnował przebieg swéj kariery polityczno-administracyjnéj.

Mithad od czasu wejścia w urzędowanie znany był ze swéj energii, pracy, pomysłów przedsiębierczych, biografie umieszczane teraz w wielu gazetach i pismach zgadzają się na to wszystkie.

Mithad pasza wyróżnia się od wszystkich dygnitarzy tureckich umysłem twórczym; gdy generał-gubernatorowie prowincyj oddają zawsze następcom mniéj niżeli wzięli, z przyczyny, iż czas i administracya turecka niszczą to co było, Mithad po rządach swoich zostawiał ład i postęp. Być może, iż W. Wezyr nie był zbyt łagodnego charakteru, może za ostro przycierał rogi Bulgarom burzącym się w r. 1868 to jednak pewno, iż na polu administracyjném nigdy nie próżnował; zakładał bowiem drogi, miasta, osady, próbował urządzać nawigacye na rzekach, jedném słowem, pod jego ręką prowincye, w których gospodarzył, czy to takie jak wilajet dunajski, czy téż bagdadzki, ożywiały się szybko. Mithad czując w sobie potrzebny zapas życia i ognia, widząc go także w niektórych ze swych współrodaków, sądził kochając kraj, iż wlać weń potrafi zaczyn cywilizacyjny, zdolny pubudzić go do życia. Po długich przedwstępnych robotach doszedł do szczytu władzy i złamany został, jak wielu, potężną siłą ciemnoty.

Czy Mithad-pasza nie przerachował się, czy stronnictwo jego, mając wiele przeszkód do zwalczenia, mogło stanowczo zwyciężyć i oddziałać konsekwentnie na ustrój państwa Osmanów, o tém upewniać trudno; faktem jest jednak, iż Turcya mithadowska byłaby Turcyą do zniesienia.

Owóż program jego, zasadzający się na rozwoju społecznego życia, wytworzyłby niechybnie w niezbyt długim czasie reformę religijną, zmianę w pierwotném wychowaniu i w życiu haremowém, któreby były ścisłym wynikiem cywilizacyi i pracowitszego żywota, tym sposobem, Turcya byłaby rzeczą nieszkodliwą. Rzeczywiście, gdy się spojrzy na kilkaset milionów azyatów, zadać sobie można

nieraz pytanie, jakim sposobem kwestya zaszczepienia cywilizacyi europejskiéj załatwioną zostanie; boć przecież trudno doraźnym sądem, jak to niejedni czynią, skazać miliony te na zagładę, a system podobny wywołując starcie, czyż może nie spowodować strasznych katastrof? Otóż Turcya miała i ma dotąd pretensyą być świecznikiem cywilizacyjnym dla Azyi, w części jestto prawdą, lecz dzisiejsza cywilizacya turecka zagłuszywszy arabską kulturę cóż daje azyatom? Oto myśl uzbrojeń na model europejski, trochę zmiany w kroju sukien, a ani jednego morga lepiéj zoranego, ani jednéj fabryki udoskonalonéj, gdy przeciwnie, Turcya z tą absolutną przewagą i powagą, jaką się szczycić może w świecie muzułmańskim, zaprowadziwszy u siebie rządy sprawiedliwe, pozbywszy się nadużyć, dając rozrost bogactwu i przemysłowi krajowemu, nietylko stopniowo oddziaływałaby na zmianę usposobień, rozleniwiałéj i zniechęconéj ciągłą krzywdą i ciągłém niepowodzeniem ludności, ale nie potrzebowałaby obawiać się niezadowolnienia, jakie nowy porządek rzeczy wywołałby między teologami, klerem i innymi próżniakami muzułmańskimi.

Taka zdaje się była przewodnia myśl Mithada, myśl, któréj urzeczywistnienie łatwiejszém być mogło w razie zostania Turków w Europie, zostawaliby oni bowiem w bezpośrednim stosunku z Europą, gdy tymczasem, przerzucony do Azyi, żaden reformator nie ostoi się wobec islamsko-fanatycznych imanów.

Przy takiém położeniu Ottomańskiego państwa, przy bezwarunkowym tryumfie Mithada, na dwóch krańcach Azyi, stanęłyby dwa rządy działające w jeden i ten sam sposób, angielski w Indyach i stambulski na ich północy, rząd bowiem rosyjski ze względu na podwładną mu pół dziką azyatycką ludność, wstrętną wszelkiéj kulturze, nie mając w ręku ani takiego klucza, jak stambulska agitacya, ani panując, jak anglicy muzułmańskim żywiołom, skłonnym ku oświacie, w wielkich miastach, pomimo najlepszych chęci, nie ma sposobności do prowadzenia takiéj akcyi.

Czynność Anglii w Indyach jest absolutnie tolerancyjną, mającą na celu wszczepić oświatę i chęć do takowéj, wywoła to przeobrażenie religijno-socyalne w Indyach, oraz wytrąci przewagę z rąk ludności wyznającéj tę lub ową wiarę. Identyczne z tém jest oddziaływanie zastosowania reform radykalnych w Turcyi konstytucyjnéj, a oznaki życia, jakie daje parlament, rezolutna postawa w obec pokuszeń pan-islamskiéj partyi, żądającéj powrotu do starego porządku, pozwalają mieć chociażby słabą nadzieję, iż stronnictwo działając łącznie z przywódzcą, prowadzone energiczną wolą i głową Mithada, mogłoby jeszcze wyrwać z toni gmach walący się.

W obec więc faktów przytoczonych zaciętość w protegowaniu przez gabinet londyński Mithada i w ogóle Turcyi łatwa jest do pojęcia. „Anglija jest największém państwem muzułmańskiém" dawno powiedział z trybuny jeden ze szlachetnych lordów—i prawdę powiedział.

Odłożywszy na stronę potężne interesa w Brytanii na Śródziemném morzu, interesa mniéj więcéj znane, weźmy Angliją li tylko jako państwo muzułmańskie, posiadające pod berłem swoim przeszło 3o milionów mahometan, odległych o mil tysiące od zjednoczonych wysp. Cóż więc zadziwiającego, iż państwo, mające tak potężnie splątane z losem dzierżawy kalifów, losy owych posiadłości, a tém samém handlu i potęgi, usilnie się zajmuje biegiem wypadków nad Bosforem. Dla Anglii jestto kwestya życia i śmierci, a odrzuciwszy wszelkie inne kombinacye, kwestya nader silnie związana ze stanowiskiem, jakie po opuszczeniu Europy, Turcya może zająć w Azyi.

Dla tego też gabinet St. James tak szczerze popiérał Mithada, z nim bowiem przypuszczalném było utrzymanie się Turków w Europie na podstawach rozwoju, zatém istnienie coraz więcéj normalne, oddane nieskończenie długiemu zabliźnianiu ran; bez Mitadowskiego stronnictwa i polityki, pobyt Osmanów na europejskim brzegu Bosforu, chociażby się wojna nie skończyła zupełną ich porażką, w bardzo krótkim czasie stanie się niemożliwym.

Z przesiedleniem się Turków do Azyi role zmieniają się.

To co śmiem powiedzieć niech zbyt czytelnika nie dziwi. W 19-m wieku do niespodzianek nawyknąć trzeba, widzieliśmy potężne i niespodziewane rzeczy, spełniające się w oczach naszych: Włochy, Niemcy, Francya, Austrya, Rossya uległy olbrzymim przewrotom, ujrzeliśmy dużo, możemy ujrzéć jeszcze więcéj—wywołuję obrazy te pierwéj nim postawię dość oryginalną hypotezę, a mianowicie zagrożenie potędze angielskiéj w Azyi przez Turków.

Dla poparcia podobnie dziwnego przypuszczenia, oraz przejrzenia, jakie stanowisko w staréj kolebce rodzaju ludzkiego może zająć państwo tureckie, przypuśćmy, co łatwo uczynić da się, iż Osmanowie nasi, niestraciwszy swéj siły i obszaru w Azyi, wyrzuceni zostali z Europy.

Wyrzucenie to spowodować musi absolutne panowanie stronnictwa pan-islamskiego, powrót do tradycyjnéj polityki zaboru, oraz wytwarza taką sytuacyą, iż zabór staje się konieczny i możliwym.

Panowanie partyi rzeczonéj, żądającéj zjednoczenia państwowego, nie dając podstaw ku temu zjednoczeniu, jak tylko siłę propagandy religijnéj i oręża, musi jako logiczny wynik wytworzyć asymi-

lacyą tych prowincyj muzułmańskich, które nie podlegają władcom islamskim, do tureckiego imperium a tém samém wojnę Turcyi o swych współwyznawców lub pomaganie im do wyswobodzenia się z podobnego jarzma, tam gdzie oddalenie lub inne okoliczności nie uczynią to wręcz niemożliwém.

Stosunkowo do Anglii, czysto islamskie azyatyckie państwo, i to wielkich rozmiarów, nie może jak być dla niéj najnieprzebłagańszym i najniebezpieczniejszym wrogiem. Państwo takie nie miałoby, jak dzisiejsza dzierżawa kalifów dogorywająca na pięknych brzegach Bosforu, interesu ku oszczędzaniu W. Brytanii, oraz spodziéwaniu się od niéj pomocy. Czytelnicy zapewne znają fakt słynnych pogróżek Osmanlisów, zapowiadających, iż w razie niedania im pomocy przypomną Anglikom o istnieniu przeszło 30 milionowéj mahometańskiéj ludności w Indyach, wiadomemi są także składki zbiérane przez muzułmanów indyjskich na rzecz swych współbraci tureckich. Objawy te nie są zaprzeczeniem hypotezy powyższéj.

Widzimy małe państewka, jak chanat Jakubbeja, w krótkim czasie dorastający znaczenia, cóż za porównanie zrobić można środków, jakie miał Jakubbej, i jego potęgi, ze środkami i potęgą muzułmańsko-turecką, w razie gdyby po odpadnięciu Stambułu stolica nanowo do Azyi przeniesioną została.

Państwo Ottomańskie posiada flotę, kadry wojska, jaką taką organizacyą państwową, rutynę rządową, tradycie polityczne, nienasyconą chęć zdobyczy,—posiada Mekkę, zwierzchnictwo nad wiernymi wyznawcami Koranu, zatém klucz do najpotężniejszéj propagandy, jaką świat mógł ujrzéć, środki do pewnego rodzaju kruciaty sfanatyzmowanych ludów (1).

---

(1) *Koran. Wojna Święta.* „Wojna święta jest obowiązkiem. Walczcie z nieprzyjaciołmi w wojnie religijnéj, zabijajcie ich gdziekolwiek znajdziecie, niebezpieczeństwo zmiany religii jest gorszym od zbrodni. Walczcie z nimi dotąd, aż nie będzie wam grozić żadna pokusa i wiara boska ustali się. Niech wszelka nieprzyjaźń skończy się w chwili, kiedy porzucą swoich bałwanów—gniew wasz nie powinien dotykać jak złych tylko—wobec nich gwałcie prawa, których by oni nie zachowali względem was, raj jest w cieniu szabel, trudy wojenne stanowią większą zasługę, aniżeli post, modły i inne praktyki religijne. Waleczni, polegli na placu bitwy, idą do nieba jako męczennicy. O wierni! gdy idziecie na wojnę świętą, miarkujcie czynności wasze i niech żądza zdobyczy nie każe wam uważać za niewiernych tych, którzy się wam skłonią spokojnie. Bóg posiada skarby nieprzebrane, niech ci, którzy bez potrzeby zostają po domach nie będą traktowani na równi z tymi, którzy niosą krew i mienie w obronie wiary. Bóg wyniósł tych nad pierwszymi,—wszyscy będą posiadać najwyższe dobro, ale w stopniu wyższym ci, którzy giną za wiarę, Aniołowie zapytali winnych, których ukarali śmiercią: Jakiéj religii jesteście? Ci odpowiedzieli. Byliśmy nędzni mieszkańcy kraju bałwo-

Państwa pomniejsze, chociażby chanat Kaszgaru i inne nie odrzucają zwierzchnictwa Sułtana, i owszem, ale, w wojnie europejskiéj interesa ich nie są zaczepione, gdy tymczasem wojna w celu utworzenia odrębnéj azyatycko-muzułmańskiéj potęgi znajdzie ich zawsze gotowych do boju.

Przepatrzmy teraz tradycie polityczne Stambułu.

Polityka turecka w czasach swéj potęgi nie zapominała nigdy o Indyach, a Indyanie o następcy proroka także zapominać nie chcieli. Fakt ten w historyi państwa Ottomanów powtarza się kilkakrotnie.

Za panowania Sulejmana Wielkiego, po zwycięskich wojnach tego monarchy, widzimy go zajętego myślą wyprawy do Indyi na wzór Aleksandra macedońskiego; lecz posiadając potężną flotę i wielkie środki przewozu, wyprawę takową umyślono wysłać z Egiptu.

Zimą po wyprawie perskiéj, dwór rezydujący w Adryanopolu ujrzał ambasadę indyjską w osobie Burhan-bega, syna Iskendera, sułtana Delhi i ambasadora od Behadir-Szacha, księcia Guzeraty. Poseł Behadir-Szacha w imię zasad Koranu żądał pomocy przeciw giaurom Portugalczykom, Behadir Szach bogactwa swoje złożone ze trzystu kufrów złota i srebra zastawiał jako depozyt w Mekce, sam zaś oddawał się pod opiekę potężnego monarchy. Ambasada otrzymała to czego żądała. Urządzono wyprawę złożoną z 20 tysięcy żołnierzy pod wodzą Sulejmana paszy, który nie mogąc zdobyć miasta Diu zawojował Jemen, i wylądowawszy w Dżedah powrócił do Stambułu. Behadir Szach zmarł, a skarb jego zabrał padyszach. Druga ekspedycya już przy schyłku panowania Sulejmana W. prowadzoną była przez słynnnego Korsarza Murada, następcy Piri-paszy, który za zrabowanie wyspy Ormuz został skazany na śmierć i konfiskatę niezliczonych bogactw; Murada zamienił w komendzie Lidi-Alim, a ten po nieszczęsnych potyczkach z Portugalczykami zawi-

---

chwalczego. Aniołowie znów zapytali. Czyż ziemia nie jest przestronną? nie mogliścież opuścić miejsca waszego pobytu? Ich pobyt będzie w piekle. Ten, który zostawi kraj swój dla bronienia wiary, znajdzie dostatek i licznych towarzyszy, wierny, który porzuciwszy rodzinę stanie pod sztandarem Boga i religii, i tam zginie, odbierze wynagrodzenie od Pana miłosiernego."

Według mniemania muzułmanów, najwyższém szczęściem pośmiertném ma być raj (Dżennath) pełen hurysek, mieszkających w pałacach z pereł i drogich kamieni, kąpiących się w fontannach wody różanéj, wiecznie młodych, niemających żadnych potrzeb ludzkich, jak tylko miłość, do tego raju idą zasłużeni muzułmanie, (patrz Koran art. II pag. 23. art. XLIV i art. LIV.)

nął do Demenu, gdzie zostawiwszy sułtanowi Gudszuraty, resztę swych statków, pieszo z 30 towarzyszami, przez Sabulistan, Bedahszan, Transoksanją, Chorozan i Persyą, po trzech letniéj podróży wrócił na dwór Sułtana i rzecz dziwna nie został ścięty. Sidi Ali przywoził z sobą całą pakę listów uniżonych od rajów indyjskich i sułtana Usbegów (patrz Hammer, Hadżi śalfa Historya wojen morskich, Petszewi, Aali, Sołakzade).

Potężne zamysły Sulejmana, siła jaką posiadało wówczas państwo jego, mogą służyć za powód do nasycenia i pobudzenia żądzy zaborów tkwiącéj w samym że prawie Koranu; lecz objawy podobne nie są jedynym faktem. Za Mahometa IV (1649—1687) w r. 1656 w dni kilka po strasznêm straceniu malkontentów Rum-Hassana, Szamły-Mehmeta, Jamakli i Kara-Osmana. przed zakrwawione stopy tronu Sułtana stawił się poseł indyjski Kaim-beg, z trzema uniżonemi prośbami. 1°) O udzielanie pomocy przeciw Persom dla odebrania od nich Kandoharu. 2°) O wyznaczenie osobnego miejsca w Mekce dla pielgrzymów indyjskich. 3°) O architekta dla postawienia pośmiertnego pomnika Nurmahal, który do dziś jest arcydziełem sztuki.

Dwa pierwsze punkta puszczono w niepamięć, trzeciemu zadość uczyniono, i Turcy słusznie szczycić się mogą znamienitêm dziełem wybudowanêm w Achmedabad (1).

Mahomet IV nie omieszkał skorzystać z dobrego usposobienia Indyjskiego władcy, dla rozpowszechnienia przewagi Sułtanów tureckich w świecie muzułmańskim. Syn znamienitego emira Druzów Fakr-el-din'a Maansade-Hussein udał się, jako ambasador W. Porty, do Indyi zaopatrzony w bogate dary, które wraz z Kassim begiem, posłem Dżihanszacha, odwiózł na miejsce przeznaczenia.

W r. 1659 wrócił Maansade-Hussejn, przywiózłszy podarunki od Sułtana Muradbasz. W Indyach wówczas szalała wojna domowa, tak że zawiązanie ściślejszych stosunków było prawie niemożebnêm. Kantu wzmiankuje także o stosunkach, a nawet o zbiorze osobnych praw u Turków dla Indyan muzułmanów, ciekawe są pamiętniki Babura (Baburi-Wakiti) i inne. Cytaty te robię dla wykazania, iż tradycie polityczne gabinetu stambulskiego mieszczą w sobie fakta, które na tęż samę drogę pchnąć mogą nową politykę Turcyi, skoro

---

(1) *Achmedabad miasto w Indyach angielskich* (Bombaj) *nad Sabermati* niegdyś ludne i kwitnące handlem, 100 tysięcy mieszkańców, dziś mało znaczne. W r. 1783 należało do Mahratów, obecnie powiatowa mieścina powiatu angielskiego tegoż nazwiska.

ta, wziąwszy rozbrat z światem europejskim, na azyatyckim stanie gruncie.

Owe więc stanowisko Turków w Azyi zdaje się być następném: a) Upadek reformatorskiéj partyi. b) Wzrost siły czysto islamskiéj i powrót do dawnego ducha Koranu, zatém tryumf pan-islamskiego stronnictwa, którego rozbudzenie się i czynności sledziliśmy w wypadkach r. 1860 c) absolutna polityka zaboru.

W polityce dla uczynienia jakiegobądź kroku potrzebnemi są, chęć, lub konieczności położenia, tradycie polityczne, jako wskazówki i możność.

Chęć podboi tkwi w zasadzie wiary, w usposobieniu mieszkańców, w systemie gospodarstwa i życia tak państwa, jak i jednostek, konieczność wyradza się ztąd, iż gdzie nie ma rozwoju społecznego, rozwoju dobrobytu i przemysłu, musi być grabież jako główny czynnik podtrzymujący istnienie stanu i osobników; tradycie polityczne wskazujące niejako drogę, po któréj postępować można i trzeba, znajdują się takoż w archiwach rządowych Stambułu, a dla poparcia moich dowodzeń w streszczeniu przytoczyłem właśnie dokumenta tyczące się indo-tureckich stosunków. Zostaje zatém możność, ta ostatnia kwestya jest kwestyą najgłówniejszą, o którą wszystkie inne rozbijać się zwykły.

Dla rozpoznania więc onéj potrzebném jest poznać grunt, na którym się działa, oraz sposoby ku prowadzeniu akcyi. Grunt stanowią Indye, a jednocześnie położenie anglików w obec ludności. Sposoby są to czynniki, jakiemi następca proroka, czy rząd jego, może na swą korzyść rozporządzać.

Sytuacya Indyj angielskich każdemu z czytających ludzi mniéj więcéj jest znaną, przedstawia ona ogromną cyfrę 250 milionów krajowców, rządzonych przez 100 tysięcy Anglików (1). Miliony te wprawdzie, podzielone na liczne kasty religijne, wyjąwszy muzułmanów, nie posiadają nic a nic wojowniczego ducha, lub wielkiéj siły oporu. Dawny ustrój ludności indyjskiéj przewagę zostawiał zawsze, w ręku jednéj kasty, albo plemienia. Dla zapobieżenia złemu mogącemu ztąd wyniknąć, rząd angielski przedsięwziął czynność nader chwalebną, to jest, szczere ucywilizowanie Indyi dla Indyi; tym sposobem przy rozgałęzieniu nauk ścisłych i w ogóle oświaty, wszystkie śmieszności wyznań miejscowych wychodzą na

---

(1) Populacya Indyjska wynosi około 200 milionów poddanych angielskich, i 460 księstw niezależnych niby, posiadających 55 mil. ludzi i 210.000 mil kwadr. przestrzeni, oraz dających 362 mil. fr. dochodu.

jaw, wiara słabnie i nie może służyć za węzeł, łączący te rozmaite gromady ludzi.

Czynność tolerancyjna zabija wpływ monakalny, gdy jednocześnie niezważanie na pochodzenie heraldyczne, w przyjmowaniu do szkół i urzędów, wywraca dawną przewagę kastową. Że zaś rząd bezwarunkowo dobrze rządzi, że dobrobyt mieszkańców wzmaga się ustawicznie w olbrzymi sposób i tém zwalcza dawne wady charakteru Indyan, lenistwo, apatyą, fatalizm i inne przesądy, że opiekunowie angielscy, w czasie małoletności niby niezależnych książąt, zawsze przy dojściu ich do pełnoletności, kraj w kwitnącym stanie oddają, przeto wszystko to zniewalać musi do uznania, iż ze wszystkich rządów, jakie w Indyach panowały, rząd angielski jedynie rządzi, i to z pożytkiem kraju.

Taką jest czynność gabinetu londyńskiego, prowadzona przez swych wice-cesarzy i gubernatorów, czynność uwieńczona, dla oddziałania na dziecięce wyobrażenia tuziemców, przyjęciem tytułu cesarzowéj przez królowę Wiktoryą. Jednakże zabiegi powyższe nie doszły do najpomyślniejszych rezultatów. Najsilniejszy punkt oporu przedstawiają wyznawcy Koranu, chociaż i inne wyznania, żywiąc uznanie, nie żywią miłości dla zdobywców.

W Azyi religia Mahometa daleko się więcéj rozprzestrzenia niż którakolwiek inna, nie straciła ona swéj mocy, a w obecnéj chwili zauważano, iż zyskuje licznych prozelitów. Mahometanizm, jak widzimy na Turkach w Europie, nie osłabł nawet w przekonaniu tych jednostek, które uczęszczały na kursa naukowe w stolicach świata cywilizowanego, tém bardziéj więc w Indyi przechowuje się on w całéj sile, i nie można pokładać nadziei, aby w krótkim czasie stracił swe znaczenie w przewrotach politycznych Azyi. Ku stwierdzeniu powyższego zdania służyć mogą ciekawe fakta, zamieszczone w artykule P. Sierakowskiego, (1) oraz wszelkie inne sprawozdania w téj mierze. Mieszkańcy Indyi nawykli do rządów absolutnych, pamiętają panowanie W. Mogoła. Z natury swojéj lubią oni nadzwyczajności, bajki i legendy o wojennych czynach—opowiadania są pokarmem dla tych co do czynów nie są zdolni. Muzułmanie wie-

---

(1) Biblioteka Warszawska, Maj 1876 r. Wyznania w Indyach i wpływ jaki na nie wywarły rządy angielskie. Adam Sierakowski.

Revue des Deux Mondes I-y Sierpień 1876 r. La mission de l'Angleterre dans l'Inde progrès moral et materiel de la colonie par le comte Goblet d'Alviella.

Revue des Deux mondes 15 Luty 1875. Progrès materiels de l'Inde anglaise par M. de Valbezen.

rzą w potęgę wszechwładnego padyszacha i cieszą się tém, iż królowa Wiktorya umiała pozyskać przyjaźń słońca Wschodu; a chociaż w Indyach dużo jest szyitów to przecież między nimi a Turkami nie ma téj nienawiści, jaką tchną Persowie pomni na dawne, krwiożercze wojny.

O tém usposobieniu wiedzą Anglicy, i dla tego nie ma poświęceń, nie ma pracy, któréjby nie łożyli w celu wprowadzenia rozkładu, w celu osłabienia wiary muzułmańskiéj, odebrania jéj wszelkiego uroku; a przez to usiłują odwrócić uwagę od muzułmańskiego centrum i zwalczyć coraz to gorętszą w ostatnich latach propagandę z Mekki.

Na to potrzeba czasu, jestto robota długa, ale osnuta na dobrych danych, robota, która zmianą stosunków w Azyi, przez powrót Turków na dawne siedziby, zupełnie sparaliżowaną być może; i ztąd statu quo w imperium tureckiém jest dla w. Brytanii tyle pożądaném.

Trudno bowiem zapomnieć o ostatniém powstaniu Sipajów i o zagrożeniu przez nie potęgi angielskiéj. Od tego czasu sposób postępowania zmienił się w Indyi i w Turcyi.

Rząd angielski humanitarnemi środkami przeprowadza myśl swoję, szerząc postęp, oświatę, bogactwo, i tém przemawia do tuziemców, wykazując jasno, iż szczęście kraju nie zależy od dawnego ich ustroju, i że tylko z Anglią może być im dobrze.

Niezawodnie, iż rząd królowéj Wiktoryi ma słuszność, lecz by ta słuszność była pojętą, potrzeba pewnego stopnia kultury umysłowéj, niemogącéj przejawić się w jednéj chwili, dziś jéj nie ma, i dla tego ostatecznego uznania dotąd nie pozyskał.

Z drugiéj strony. spostrzegamy w Turcyi rozwój fanatyzmu muzułmańskiego, którego próbkę przedstawiłem czytelnikowi. Biorąc więc Indye, jako pole na które oddziaływa los państwa kalifów, widzimy je obecnie w stanie przejściowym, z rozkładem religijno-społecznym starych przesądów i starych wyznań, z upadkiem kast i ich wpływów; natomiast z całéj téj masy jeden islamizm staje twardo oporem dotąd mało nadwerężony, przeciwnie, rozpowszechniający się wszędzie, mający w sobie warunki do ponownego rozbudzenia fanatyzmu. Wyznawcy Koranu stanowią kastę wojowniczą z tradycyi i usposobień, przedstawiając potężną cyfrę, dosięgającą 40 milionów.

Co się zaś tycze Turcyi, to zauważyć potrzeba, że przy tryumfie partyi pan-islamskiéj, propaganda, która odbywa się w Mekce, coraz potężniejsze przybiera rozmiary, że propaganda ta sama przez się

czerpiąc swą siłę w wersetach i ustawach koranu musi oddziałać znacząco na ludność muzułmańską. Od lat kilkunastu chwycono się tego sposobu, a istnieniu tego faktu, nikt z ludzi znających gruntownie Wschód i Syryą zaprzeczyć nie jest w stanie. Potęgę téj propagandy, stanowi słowo proroka i serca żądne tego słowa. Panislamizm musi przez swoje ustawy, z punktu z którego wyszedł, dążyć do rozszerzenia się, do zjednoczenia religijnego ras, i dąży doń. Nie można porównać z innemi propagandami wiary z jaką głoszą słowa proroka teolodzy, lub imani, i wiary i zapału z jakiemi je ludność przyjmuje; nie ma to nic wspólnego z mówkami i giestykulacyą na zimno, estaminetowych mówców o rozczochranych czuprynach, lub z ideami wylęgłemi w cieplarniach dyplomatycznych. Stare idee staréj Europy przebrzmiały, nowe jeszcze nie dojrzały, lecz stara idea muzułmanów w dziecięcéj wyobraźni Wschodnich ludów, znajduje pole wdzięczne i zapalające się dotąd dusze. Takiego zbiorowiska takich ludzi, jacy się tłoczą w Mekce, ani Rzym, ani Jerozolima pewno nie widziały.

Możność urzeczywistnienia planu, będącego logicznêm następstwem wiary, prawa, życia i usposobień, znajduje poparcie w wytworzeniu odpowiednéj siły, czynnikiem któréj staje się propaganda islamska, przedzierżgająca się w siłę czysto materyalną, w siłę oręża. 40 milionów mahometan indyjskich, a których nikt inny oprócz Szerifa muzułmańskiego z Mekki poruszyć nie zdoła, prowadzonych z planem, mógłby wiele przysporzyć kłopotu wice-Cesarstwu indyjskiemu. W rewolucyi Sipajów, w tym ruchu bez planu i bez uczestnictwa jakiéjbądź regularnéj rządzącéj siły, panowanie angielskie mocno zachwianém było; cóż dopiéro, gdyby wybuch podobny znalazł poparcie moralne i materyalne w państwie, około którego cały świat muzułmański nie przestaje grawitować.

Bądź co bądź, oddaloną czy bliską jest taka sytuacya, niemniéj przeto nie jest niemożliwą. Któż zabroni jakiemuś muzułmańskiemu władcy zamarzyć o wielkości i podbojach? Któż przewidzieć może czy nowy Timur-leng nie zabłyśnie na polach Azyi, lub ambitny minister, jak Hussein-Awni, a tych w Turcyi nie mało, nie obierze nowéj drogi.

Jeżeliby Osmanowie nie utrzymali się w Europie, to przypuszczać należy, iż Anglia z przewidującą swoją polityką postara się, aby państwo Sułtana w Azyi, jak najmniéj potężném było, postara się oto zmienieniem azyatyckich granic, czém dawną swą przyjaciółkę zaszachuje interesami drugich mocarstw, boć Persya, pomimo opieki jaką jéj udzielić mogą, nie przedstawi żadnéj siły. Dziś już

widzimy zachody w Brytanii w celu utworzenią linii drobnych państewek na swéj północnéj granicy, czy ta linia składająca się przeważnie z Chanatów muzułmańskich może być skuteczną obroną, o tém wątpić należy, to jednak pewne, że rezydenci angielscy przy dworach tych małych satrapów wszczepiają i wszczepiać w nich będą idee absolutnéj niezależności.

Czytelnicy nasi ciągle zwrócone mieli oczy na teatr europejskich wypadków, postanowiłem na chwilę zwrócić ich uwagę na Wschód daleki, którego komplikacye mają w obecnych wypadkach swą doniosłość, inaczéj być nie może. W grze téj ze strony przeciwnéj największe dwa muzułmańskie mocarstwa rzuciły lub rzucą kości. Wszelka tranzlokacya muzułmanów zmieni zobopólną pozycyą tych mocarstw, niszcząc łączność interesów.

Nie dotykałem się w niczém europejskich stosunków, te są znane, a choćby może niejedno powiedzieć się dało, to poświęcając artykuł ten azyatyckim zawikłaniom wolałem pierwsze opuścić.

Przedstawiłem początek rozwoju fanatyzmu islamskiego, próbkę jego działania, oraz prąd tegoczesny przejawiający się w islamizmie i unoszący go daleko, a jednocześnie bezwarunkowo mięszanie się Anglii dla przyczyn nader poważnych.

Po tém wszystkiém łatwo poznać obecny stan rzeczy nad brzegami Bosforu, łatwo poznać ludzi Damaszku, Achmetów, Hurszydów, Namuków w dzisiejszych dygnitarzach w. Porty, dławiących brutalną pięścią przejaw cywilizacyi i przyszłości, przedstawianéj przez stronnictwo Mithada, zauważyć także można zachcianki Szefketa Paszy owego naśladowcy Achmeta z Damaszku i innych.

Porta, potrzebując Europy i bojąc się jéj, powściągnęła krwawe wybryki dzieci islamu, lecz niemniéj noszą one na sobie też same cechy co i wypadki 1860 r. Wpływy zaś angielskie działają bez przeszkód, tutaj nie było Maronitów, zniszczenie których będąc możliwém podkopywała wpływ jakiegokolwiek innego mocarstwa, i dla tego agenci angielscy częściéj spoglądali w luki dział kołyszących się na kotwicach statków,—i dla tego nie zostawiono pan—islamistom wolnéj ręki.

W polityce niejedni Anglicy w środkach nie przebierają, a i przebierać trudno. Wypadki syryjskie i wmięszanie się tolerancyjne Anglii wykazują dobitnie, jak kapitalny interes przywiązuje rząd W. Brytanii do utrzymania bezwarunkowych swych wpływów na wschodzie, a czytelnicy znając dostatecznie europejską stronę sprawy wschodniéj, zobaczywszy i azyatyckie zawikłania w przy-

szłości, mocniéj jeszcze przekonają się o konieczným torze polityki gabinetu St. James.

Turcya także doszła do okresu, w którym polityka dwustołkowa miejsca mieć nie może. Państwo Osmanlisów stanęło na przełomie. Przełom nastąpił za pomocą konstytucyi Mithad-paszy. W innych narodach fakt podobny nie byłby do cofnięcia i raz nazawsze pchnąłby naród na wyznaczoną drogę, w Turcyi tak nie jest.

System konstytucyjny w dzierżawie kalifów pod niektóremi względami ma pewną analogią z postępowaniem Anglików w Indyi, a mianowicie w tém, iżby za pomocą reform z góry, dać czuć potrzebę takowych narodowi i uczynić z nich ożywczą siłę, walczącą przeciw ciemnocie i przesądowi. Ztąd powrót do dawnego porządku okazuje się możliwym. W Europie podobny sposób nie był praktykowany, gdyż u nas swobody udzielane stanowiły konieczną potrzebę rządów i życzenie narodu.

Po tryumfie partyi konstytucyjnéj, stronnictwo pan-islamskie ponownie wzięło górę, a przy powodzeniu, zabije bezwątpienia wszelkie reformy udzielone ogółowi mieszkańców Turcyi. Ze stronnictwem tym Turcya wystąpi z granic Europy, a jeżeli nie rozdrobią jéj w Azyi, to zacznie żyć tam życiem czysto muzułmańskiém.

Podstawy tego życia i środki ku rozwinięciu takowego starałem się wykazać faktami i rezonowaniem. Przeczyć trudno, iżby muzułmanie na téj opierając się zasadzie nie mogli dojść do wielkiéj potęgi w Azyi, przeciwnie, przy nieco zdolniejszym monarsze, lub wodzu, miecze islamskie krwawo mogą zabłysnąć w staréj naszéj kolebce, lecz będzie to odnośnie do życia narodów, błysk chwilowy i ponury—ruiny, pożogi i bezrząd, będzie to ostateczna walka z europejską, chrześciańską cywilizacyą.

Obecnie przedstawiała się właśnie krótka chwila, w któréj zreformowane i ciągle roformujące się państwo tureckie, stawało się narzędziem cywilizacyjnym w świecie azyatycko-muzułmańskim, a działając oględnie, stopniowo, niszczyło stopniowo dawne przesądy i wady narodowe, bez katastrof, bez cofnięcia się wstecz, jak mu to dziś grozi.

Mało jest danych, aby przy rozkładzie, jaki panuje, przy fanatyzmie sklejającym rozpadający się gmach, idee postępowe mogły się utrzymać w czasie podobnych wichrów i zaburzeń, w dzierżawie Kalifów, a dotknąwszy do głębi raka toczącego społeczeństwo muzułmańskie, zdrowo na nie oddziałać.

Na szczęście moje nie jestem Turkiem, to mi pomogło bezinteresownie i spokojnie skréślić krótką historyą i charakterystykę ruchu, który, oparty na ciemnocie i wyzyskiwaniu ujemnych stron narodu, pchnie go niechybnie na drogę zagłady, inaczéj bowiem ohydy i ślepoty działań pan—islamistów niemożliwém byłoby mi opisać bez pewnego rodzaju żalu, być może—nienawiści.

Historya obecna Turcyi, jak wielu krajów w rozkładowym stanie, nosi na sobie też same cechy, fanatyzm przy rozstroju, zaburzenia i nieporządek domowy przy wojnie zewnętrznéj, zapoznanie i niewdzięczność względem swych wielkich ludzi, smutne i groźne poznaki!

Kazimierz Burzyński.

IDEAŁY WOBEC POZYTYWIZMU.

Pozytywizm przeniósł zasadę ścisłego przyczynowego związku zjawisk ze świata przyrodniczego w sferę zjawisk społecznych, a przeniósł ją nie w skutek dowolnego zachcenia symetryczności filozoficznéj, lecz wspiérając się na obserwacyi zjawisk społecznych. Pozytywizm jest filozofią wiedzy, i o ile sięga wiedza ludzka, zdobycie panującego stanowiska przez doktrynę pozytywną jest niewątpliwym faktem przyszłości, tak niewątpliwym, jak nieodwołalnym jest faktem ustąpienie alchemii przed chemią, astrologii przed astronomią i t. p. Czuli téż tę jego niezwalczoną potęgę w danych granicach założyciele szkoły i, wierni swéj metodzie, pozostawili po za granicami pozytywistycznych studyów, te szerokie, a ponętne sfery ludzkiego myślenia, które się ściągają do poszukiwania przyczyny przyczyn i ostatecznych celów bytowych. Sfery téj, pomimo insynuacyj, jakie się może zawierają w pracach założycieli szkoły, nie wyrzeknie się nigdy całkowicie myśl i uczucie ludzkie, ale dopóki wiedza ludzka w sfery te nie przeniknie, jeżeli w nie w ogóle przeniknąć kiedykolwiek zdoła, stoją one po za obrębem systematu pozytywnego tak stanowczo, jak wszystko w tych granicach zawarte stanowi niezaprzeczoną sferę jego poszukiwań.

W téj ostatniéj sferze zawiérają się téż ideały ludzkie, jeżeli tém mianem nazwiemy nie jakieś nieokreślone marzenia, ale świadome aspiracye ducha ludzkiego, dążące do swego wcielenia. Tak dobrze ich geneza, jak i wpływy ich na życie wchodzą wtedy w sferę zjawisk, mogących być obserwowanemi, w sferę zatem wiedzy, w sferę pozytywizmu.

Objaśnić, *posiłkując się metodą pozytywną*, ogólną genezę i znaczenie ideału, wskazać wpływ filozofii pozytywnéj na kierunek w po-

szukiwaniu ich poprawności, oto jest zadanie, do wypełnienia którego chciałem się w miarę sił moich w niniejszém studium zbliżyć.

Powszechnie znaną jest to rzeczą, że zacieśniony sposób pojmowania pewnéj doktryny przez jéj adeptów, najniepomyślniéj częstokroć oddziaływa na jéj rozwój. Niejedna już doktryna ucierpiała w sposób bardzo dotkliwy w skutek tego rodzaju gorliwości patentowanych jéj wyznawców, pozytywizm często w podobnym bywa wypadku.

Skonstatowawszy raz obecność ścisłych praw, rządzących wypadkami społecznemi w podobny sposób, jak inne ścisłe prawa rządzą wypadkami przyrodniczemi, spostrzegłszy nadto poważny wpływ tak zwanych przyrodniczych czynników na zjawiska *życia* ludzkiego, konkludują często w sensie wyłącznego działania tych czynników, zacieśniają pojęcia życia do zjawisk w sposób bezpośredniejszy namacalnych. Ale przyroda, ale byt szerzéj sięgają, niż zacieśniona myśl doktrynerska, obejmują one sobą całość wszystkich zjawisk, począwszy od najprostszych do najbardziéj skomplikowanych, od zjawisk świata mineralnego do najpodnioślejszych zachceń myśli i uczucia ludzkiego. Objęta w tym sensie całość *życia*, zaciera antagonizm czynników tak zwanych przyrodniczych i moralnych, antagonizm tak zwanego stanu natury i skomplikowanych zjawisk cywilizacyi. Wszędzie, począwszy od zjawisk chemii nieorganicznéj do najwznioślejszych łez i radości ludzkich, do najwytworniejszych płodów myśli ludzkiéj, panuje reguła, porządek, wzajemna zawisłość faktów, złączonych nierozerwanym łańcuchem w jednę całość *życia*, a jeżeli rozgałęzienia konarzystego dębu tak dobrze, jak i żołądź, stanowią sferę studyów botanicznych, to i wspaniałe drzewo rozwiniętego *życia* ludzkiego, również jak najpierwotniejsze czynności człowieka, wchodzi w zakres studyów socyologicznych. Proste skonstatowanie istnienia pewnego zjawiska w świecie tak zwanym przyrodniczym wystarcza do zwrócenia poszukiwań w kierunku odkrycia przyczynowego związku tego faktu z innemi, nadanie podobnego kierunku studyom społecznym, główną jest zasługą pozytywizmu. To też tylko wykrzywieniu podniosłéj myśli założycieli szkoły po zytywnéj, zawdzięczamy owo wulgarne pojęcie o rzekomym antagonizmie idealizmu i pozytywizmu, z którym się niejednokrotnie, zapewne, każdy z nas spotykał.

Ale w jaki sposób się tworzą, czém są ideały w ogóle i ideały społeczne w szczególności?

Nauka przedstawia nam każde dane zjawisko, czy też dane ugrupowanie zjawisk, jako konieczny wynik działania pewnych czynników, nierozerwanym łańcuchem przyczynowości związanych.

Ale umysł ludzki nie zadawalnia się skonstatowaniem faktów i praw, według których odbywają się one; właściwą mu jest chęć panowania niejako nad niemi, nagięcia ich do zachceń człowieka. Chęć ta z kolei staje się jednym z czynników warunkujących przyszłe zjawiska. Od naukowego ocenienia zjawisk roślinności, siły pary, elektryczności, człowiek przeszedł do agronomicznych zastosowań, do parowozu, telegrafu i t. d.

Ta chęć nagięcia danych zjawisk do własnego zachcenia, z równą objawia się siłą odnośnie do zjawisk społecznych; świadkiem tego, odwieczne starcia się ludzi niezadowolonych daném status-quo z resztą społeczeństwa, nieustające przez całe wieki historycznego życia ludzkości domagania się przeobrażeń i wynikające ztąd wypadki; słowem to, cośmy zwykli nazywać aspiracyami społecznemi. Aspiracye te są odwieczném prawem, nieprzedawnioną właściwością natury ludzkiéj. Ale człowiek nie jest jakiémś oderwaném, bezwzględném pojęciem; ludzkość przeżyła długie lata i ślady tego życia nosi w swéj piersi i głowie. Każdy wypadek, każde uczucie i myśl każda, co głębiéj przenikła w człowieku, modyfikuje pierwotną jego naturę. To téż gdy zasada taka, jak zasada ścisłego przyczynowego związku zjawisk, przenikła głębiéj w umysł ludzki, nie pozostawi ona nietkniętym żadnego zakątka myśli i uczucia, odbije się i na kierunku aspiracyj ludzkich. Związek między sposobem zapatrywania się na zjawiska życiowe i kierunkiem, jaki przybierają aspiracye i dążenia zastosowawcze, nie może ulegać wątpliwości, gdy te dążenia mają na celu nagięcie tych zjawisk do pewnych wymagań; doświadczenie zaś nas uczy, że sposób zapatrywania się na przedmiot naszéj czynności określa i charakter téj ostatniéj.

Przypatrując się życiu ludzkiemu, spostrzegamy w niém bardzo znaczną rozmaitość czynników pobudzających działalność człowieka; wśród téj rozmaitości jednakże daje się dośledzić główny ogólny motor świadomych siebie czynności ludzkich. Motorem tym jest dążenie do zadowolenia. Ludzie mogą się bardzo różnić co do warunków dających im zadowolenie; jedni ludzie mogą przekładać pewne zadowolenia nad inne, które są znowu najponętniejsze dla innych ludzi; mogą znajdywać tam zadowolenie, gdzie inni tylko źródło przykrości lub postrachu widzą i t. d., słowem, ludzie bardzo mogą się różnić co do warunków, które dla każdego z nich z osobna określają zadowolenie, ale nikt z ludzi nie wyłamuje się z pod ogólnego prawa *dążności do zadowolenia.*

Jednostronne rozumienie tego dążenia często zaciemnia ogólną zasadę, często nawet oburzenie przeciw niéj wywołuje; zastanowie-

nie się jednak prowadzi do niéj koniecznie. Rzeczą jest jasną dla każdego, że nikt nie dąży do zrobienia sobie przykrości bez żadnéj przyczyny, a jeżeli się na przykrość decyduje, to albo w celu uniknienia innéj większéj przykrości, albo dla otrzymania przyjemności, która owę przykrość ma okupić. Dla tego wystawiane przeciw téj zasadzie argumenta dobrowolnych prywacyj, ofiar i t. d. nie mają tu siły, jeżeli tylko nie potrafimy dowieść, że poczucie spełnionego obowiązku, zadośćuczynienie własnym wyobrażeniom moralnym i uczuciom nie daje zadowolenia. Dzieje ludzkości zadają kłam takiemu mniemaniu. Hus, śpiewający psalmy na stosie, na który się skazał wiernością swemu przekonaniu, pierwotni chrześcianie, idący dobrowolnie na mękę dla wiary swojéj, bohatérowie różnych ideałów politycznych i t. d. tak mało wyłamują się z pod téj ogólnéj zasady, jak zwyczajni uczniowie Epikura. Chodzi o to, że wytrwanie we własnéj wierze, nieugięcie swéj myśli i uczucia przed grożącém z zewnątrz niebezpieczeństwem daje samo przez się zadowolenie, które podnosi tu nadzieja nagrody niebieskiéj, tam nadzieja wcielenia własnéj myśli w życie ludzkości, ówdzie współczucie drogiego nam serca ludzkiego i t. d.

Nie mam tu polemicznego zamiaru podwyższać, lub poniżać naturę ludzką w ogóle lub w szczegółowych jéj objawach, i sądzę, że twierdząc, iż ogólnym podstawowym motorem świadomych siebie czynności ludzkich jest dążenie do zadowolenia, nic więcéj nie robię, jak formułuję starą prawdę, koniecznie przedstawiającą się uważnéj obserwacyi. Ile skłonności w naturze ludzkiéj, tyle specyalnych rubryk dla faktów, dających nam zadowolenie lub przykrość. Z dążeniem zadowolenia naszych skłonności wiąże się popęd do tworzenia ideałów, tak że ile skłonności w naturze ludzkiéj, tyle odnośnych ideałów. *Ideał* tu *nie jest niczém inném, jak umysłowém zgrupowaniem faktów, mogących przypuszczalnie w zupełności zadowolić wiadomą skłonność ludzką; ideały zaś stosownie do kategoryi skłonności naszych, którym odpowiada to umysłowe zgrupowanie faktów, nazywamy ideałami piękna, siły, sprawiedliwości* i t. p.

Nie konieczne pod każdym względem umiemy zdać sobie dokładnie sprawę, określić i wyrazić nasz ideał, ale świadomie lub bezwiednie posiadamy zwykle pewne kryteryum, według którego umiemy zaliczać przedstawiające się naszemu sądowi fakty do rubryki zadowolenia lub niezadowolenia. Od takiego kryteryum do postawienia sobie ideału krok tylko jeden, a ten zawiera w sobie uporządkowanie rozpierzchłych, doraźnych ocenień różnych faktów, i umysłowy wybór tych z pomiędzy nich, które najpełniejsze dają nam zadowolenie. W jednym razie, ideał jest świadomym sie-

bie, w innym, jest on w stanie bezwiednym nieuszykowanego materyału.

Pracę tę uszykowania i wyjaśnienia może jeden człowiek zrobić za innego, tj. znając dokładnie danego człowieka i jego sposób odczuwania rozmaitych faktów, możemy określić jego ideały. Co się powiedziało o pojedyńczym człowieku, da się powiedzieć i o całych społeczeństwach. W ten sposób określamy ideały estetyczne Greków, ideały moralne chrześcian, ideały polityczne Anglii i t. d.

Ponieważ ideał zawiera w sobie umysłowe zgrupowania faktów dających nam przypuszczalnie największe zadowolenie, ponieważ dążność do osiągnienia zadowolenia główną jest dźwignią naszych czynności, istnienie więc u nas pewnego ideału pociąga za sobą popęd do wcielenia jego, siła zaś tego popędu zależną jest od siły odczuwania przez nas danego ideału, od miejsca, jakie w naszym moralnym organizmie zajmuje skłonność, której on odpowiada.

W skutek tego stosunek nasz do różnych ideałów bywa albo czynnym, albo biernym. W pierwszym razie, do wcielenia ideału staramy się przyczynić bezpośrednio, odpowiednią działalnością: takim jest stosunek do ideałów plastycznego piękna artysty, do ideałów społecznych—myśliciela, męża stanu, publicysty i t. d. W razie bierności naszego stosunku do danego ideału ograniczamy się unikaniem krzyżowania się naszéj czynności z tym oto ideałem. W ten sposób ludzie nieoddani sztuce, starają się zwykle uniknąć kolizii między ich czynnością a ich ideałami formalnego piękna, chętnie korzystają z wcieleń tego ideału, nie przyczyniając się do nich. Nie treść już w tym razie naszéj czynności, ale jéj granice niejako zakreśla dany ideał.

Teraz, rozumié się, że między zupełnie czynnym a zupełnie biernym stosunkiem do ideałów, są różne gradacye—w ogóle jednak, jakkolwiek z różną siłą odczute, w różnym stopniu wpływające na działalność naszą; wpływają one jednak zawsze na nią w kierunku zbliżenia naszéj czynności do wcielenia ideałów.

Wśród rozmaitych ideałów—ideały społeczne niepospolicie szerokie zajmują miejsce w sferze myśli ludzkiéj, żywo się odczuwają przez szerokie koła ludzkości. Przypatrzmy się więc bliżéj ich genezie.

Jedną z właściwości natury ludzkiéj jest to cobym nazwał *wrażliwością społeczną*. Wrażliwość społeczna jest to zdolność odczuwania przez jednostkę w sposób przyjemny, lub przykry wypadków, dotyczących innych jednostek. Tak np. widok fizycznego bolu innéj jednostki zwyczajnie sprawia nam przykrość, wtedy kiedy widok zdrowia i t. p. w innych zwykł nam sprawiać przyjemność. W ogóle

mówiąc, właściwém jest nam przypuszczać, że okoliczności, które będąc zastosowane do nas sprawiłyby nam zadowolenie lub przykrość, spowodują podobneż sensacye u innych, i wrażliwość społeczna wyraża się zwykle w tym sensie, że przypuszczane przez nas wrażenie zadowolenia lub przykrości w innych ludziach obudza w nas analogiczne, chociaż zwykle mniéj silne uczucie. To prawda, że nie zawsze w tym kierunku działa wrażliwość społeczna, świadkiem np. uczucie zazdrości, zemsty i t. p. powyższy jednak kierunek nie przestaje być dominującym. Zresztą, na ten raz chodzi mi nie o wskazanie kierunku, w jakim działa wrażliwość społeczna, lecz o wskazanie jéj egzystencyi.

Właściwość ta natury ludzkiéj wydaje mi się tak samo wrodzoną, pierwotną, jak np. właściwość odczuwania w sposób przyjemny, lub niemiły, wrażeń dźwiękowych, zmysłowych, wrażeń formy i. t. d. i dla tego tak mało mam pretensyi do objaśnienia przyczyny przyczyn wrażliwości społecznéj, jak przyczyny przyczyn przyjemności, lub przykrości tego lub owego zmysłowego wrażenia, tego lub owego łączenia dźwięków, form i t. d. Objaśnianie téj właściwości tém, co nazywamy ścisłym bezpośrednim interesem własnym, wydaje mi się jednostronném lub naciąganém; przykrość lub przyjemność wynika, tu zdaje mi się, bezpośrednio z odczuwania faktu, i sama przyjemność lub przykrość wrażenia wydaje mi się rzeczywistym interesem własnym, tak samo znowuż, jak np. przyjemność lub przykrość danego wrażenia muzycznego, plastycznego i t. d. Mówiłem już o téj formie interesu własnego, wskazując dążenie do zadowolenia, jako główną dźwignię czynności ludzkich. Bez takiego zrozumienia wrażliwości społecznéj, nie daje się objaśnić nietylko to, co nazywamy zaparciem się siebie, ofiarą i t. p., ale nawet proste uczucia sympatyi lub antypatyi dla interesów, które nas nie dotyczą bezpośrednio. Takiemi są np. znane powszechnie z niedawnéj przeszłości zwykłe sympatye Europejczyka dla interesów niewolnika amerykańskiego, sympatye i antypatye dla rozmaitych wypadków i postaci przeszłości, dochodzące często do znacznego stopnia egzaltacyi, pewne względy na interesa przyszłych pokoleń ze strony ludzi niemających z niemi bezpośredniego związku, uwydatniające się np. przy eksploatacyi różnych zasobów bogactwa krajowego, że już nie mówię o napotykanych nieraz sympatyach dla interesów innych ludzi, z którymi wszystkie inne interesa, oprócz interesu współczucia, stoją w sprzeczności, o działaniu zgodném z tém współczuciem—słowem, o tym kierunku uczucia i czynności ludzkiéj, który w podniesionym stopniu zaparciem się, poświęceniem i t. d. zwykliśmy nazywać. W obec tych wszystkich i tym podobnych faktów, ja-

ko konieczność przedstawia się nam uznanie faktu, że naturze ludzkiéj właściwą jest zdolność odczuwania, w sposób dający zadowolenie lub przykrość, wypadków dotyczących nietylko nas samych, ale i innych ludzi, i że ta właściwość wywołuje u nas wśród wielu innych, jeden jeszcze bezpośredni własny interes. Interesem tym jest dostarczenie zadowolenia wrażliwości społecznéj.

Wrażliwość ta społeczna, podobnie jak każda inna wrażliwość natury ludzkiéj, otwiérająca pole wrażeniom zadowolenia lub przykrości, idzie równolegle z popędem natury ludzkiéj do tworzenia odnośnych ideałów. Tak wrażliwość sensualna powoduje ideały erotyczne, bachantkę z wieńcem winogron na głowie i t. p., wrażliwość na piękno-formalne ideały estetyczne w rzeźbie, malarstwie, architekturze i t. d.; wrażliwość społeczna—ideały społeczne, odnośne do społecznego porządku, siły państwowéj sprawiedliwości i t. d. Ideały społeczne, stosownie do wyżéj już zrobionego określenia ideałów w ogóle, dadzą się specyalnie tak określić: ideał społeczny jest to umysłowe zgrupowanie takich faktów życia społecznego, o których przypuszczamy, że ich urzeczywistnienie to jak najpełniejsze zadowolenie naszéj wrażliwości społecznéj.

Jakkolwiek wcale nie jedyną, bardzo jednak silną dźwignią życia ludzkości są ideały społeczne. Tak np. jednym z objawów tego, com w ogóle nazwał wrażliwością społeczną, jest to, co nazwę wrażliwością rodzinną, tj. wrażliwością społeczną do najbliższego zastosowaną kółka. Wzajemne ustępstwa członków rodziny, pieczołowitość matki, starania ojca, nagięcie do interesów rodzinnych życia ekonomicznego, używanie własności nie indywidualne, lecz rodzinne, powtarzające się codziennie, jako panująca norma i t. d., są symptomatami przeważnego wpływu ideałów rodzinnych na życie ludzkości.

Idźmy daléj. Jedną z najenergiczniejszych i najpowszechniejszych pobudek działalności ludzkiéj jest chęć posiadania i używania bogactwa. Ideały powodowane wrażliwością społeczną modyfikują działanie téj pobudki swoim energicznym wpływem. Rzeczywiście, zastanowiwszy się nad potęgą pobudki posiadania i używania bogactw, pobudki, która tak przeważną część wysiłków ciężkiéj pracy ludzkiéj pochłania, bylibyśmy zdziwieni stosunkowo małą liczbą kradzieży i grabieży, gdybyśmy nie wzięli na uwagę poczucia pewnego ideału harmonii społecznéj. Żadna interwencya stróży porządku publicznego nie mogłaby się bez tego poczucia wytworzyć, ani wytworzywszy się nie przejść zaraz w działanie zorganizowanéj bandy rabusiów.

Patrzmy dalej, jak przeważnie wpływa na dzieje ludzkości religia i filozofia, których treścią zastosowawczą jest przyprowadzenie odrębnych ideałów społecznych do ogólnéj wspólnéj podstawy. Patrzmy na dzieje starożytnego wschodu, poruszające się około idei religijnéj, z jego wyznawcami, ascetami, męczennikami, z potęgą jego kapłanów, ze wspaniałością jego świątyń; patrzmy, jak ideały piękna i swobody poruszają cały świat grecki, w jakich wspaniałych czynach i pomnikach rozrósł się ideał obywatelstwa rzymskiego, spojrzyjmy na dzieje bliższych nam chrześciańskich narodów.

Ideały ewangeliczne grupują ludzi koło pewnéj idei moralnéj i określają ich sposób postępowania, miłość bliźniego staje się prawem, na któréni „zawisł zakon i proroki;“ odtrąceni przez społeczeństwo niosą swe „doczesne dobra“ na rzecz potrzeb gminy, swą żywą wiarę w podziemia i na krzyże męczeńskie. Koło tych ludzi się rozszerza teologiczna strona, doktryna zaczyna się rozwijać, równie jak dążność organizacyi rozpierzchłych praktyk miejscowych, zjawiają się miejscowe patryarchaty, a krok jeszcze jeden i ideały organizacyjne przelewają się w całość kościoła katolickiego. Organizatorowie, z natury samego ruchu zabierają przodujące miejsce; stolica rzymska z całą organizowaną falangą duchowieństwa staje się centralnym punktem wypadków świata chrześciańskiego. Rzym rozdaje korony, Rzym sądzi sprawy królów i narodów, i nikt mu téj władzy nie zaprzecza, kościół pochłania kwiat intelligencyi; nauka pod jego skrzydła się chroni; sztuka koncentruje się w świątyni, kapłan rozstrzyga wątpliwości sumienia dla wszystkich w ogóle i każdego zosobna. Cały świat moralności życiowéj w zależności od teologicznego źródła swego bytu zdaje się zakończonym; dla wąpliwości i krytyki nie ma miejsca.

Ale kościół, który ogarnął całe życie, podlega z kolei wpływowi samorodnych jego objawów; przedstawiciele kościoła tracą cechy swéj nieskazitelności; zbyt ufni w swoję powagę nie szanują jéj należycie, zbytek sług bożych, barońska rozpusta wyższego duchowieństwa, pogański kult ciała, wywołuje sarkastyczną piosnkę mieszczańską. Myśl ludzka zaczyna się niecierpliwić w pętach hierarchicznych; wysnuwa się cały szereg tez spornych; ideał ludzkości występuje po za obręb prawowiernego kościoła.

Rozum ludzki, raz pchnięty na drogę krytyki, coraz śmieléj zaczyna analizować podstawy przewagi kleru, zjawia się Erazm Roterdamski, Reuchlin, cała szkoła humanistów, a kontynuator tych, którzy na stosach ginęli, pali publicznie bullę papieską, układa podstawy zreformowanéj wiary, oddaje przetłómaczoną biblią w ręce

ludu; najwyższy sąd konfesyonału ustępuje przed sądem własnego sumienia.

I całe pokolenia i całe narody grupują się koło tego nowego kierunku; biblia służy im jeszcze za niepodlegającą analizie podstawę, ale prawo robienia z niéj wniosków narody wycofują z rąk kleru i uważają za swoje prawo. Biblijny protestantyzm przenosi swój analizujący pierwiastek ze spraw kościoła do spraw społeczności i państwa, podnosi sztandar wojny chłopskiéj, tworzy natchnienia Jana z Leiden, uzbraja purytanów, określa dziejowe wypadki Niemiec, Anglii, Szkocii, przenosi życie cywilizowanego świata do przyszłych stanów zjednoczonych Ameryki, ogarnia Szwecyą, Norwegią, Danią, powoduje częściowe wypadki we Francyi, odbija się w Polsce.

Z kolei nie wystarcza ludzkości ideał protestancki; rozum ludzki, który zakontestował duchowieństwu wyłączne prawo tłómaczenia biblii—kontestuje wszelkie zwierzchnie nad sobą prawo tłómaczenia wypadków i poszukiwania dróg życiowych. Daje się słyszéć śmiech Voltaire'a; Encyklopedja stara się rozpatrzéć z nowego stanowiska wszystkie zjawiska życiowe; studya Montesquieu i marzenia Rousseau określają kierunek polityczny tego nowego ruchu. I oto przysłuchuje się zdumiona ludzkość „deklaracyi praw człowieka," powstaje pośród niéj cały naród bohatérów, gotowy do boju z nią i dla niéj. Szczęk broni zapełnia Europę a kodeks francuski zanosi równość obywatelską w oddalone zakąty cywilizowanego świata.

Z kolei zwierzchnia absolutność wywodów racyonalizmu znowu jest zakontestowana, w imię rozmaitości potrzeb i objawów życia ludzkiego; wiara w absolutność ideałów, wyrobionych w gabinecie filozofa, a popieranych gilotyną, rozwiewa się na widok uzurpatora, który wczorajszych entuzyastów prowadzi zachwyconych pod sztandarami imperyalizmu po trupach całéj Europy.

Racyonalizm filozoficzny, biorący rozum już nie za regulatora tylko, ale za jedyne źródła życiowych wypadków,—radykalizm jurydyczny, ślepy na stojące po za obrębem zwykłego prawa zjawiska życia społecznego, zaniedbujący zasadę stopniowego rozwoju, i łudzący się jednorazowém przetworzeniem ludzkości mocą prawnego edyktu, nie wystarczają już ludzkości. Powstaje nowa filozofia, nowe ideały społeczne. Zbyt blisko stoimy tego nowego zwrotu, żebym się nad nim miał rozszerzać—przecięż nie o skreślenie dziejów ideału, lecz o skonstatowanie jego obecności w naturze ludzkiéj, o wskazanie doniosłości jego wpływu na bieg wypadków mi chodzi.

Ale skoro tylko tak jest, skoro dążność do tworzenia i wcielenia ideałów jest rzeczywiście właściwością natury ludzkiéj i czynnikiem wypadków społecznych, to dla pozytywnéj nauki wypada następujący wniosek:

Studyum naukowe nad społeczeństwem nietylko nie stoi w sprzeczności z poszukiwaniem ideałów w ogóle i społecznych w szczególności, ale i owszem—dążność do tworzenia i wcielenia ideałów powinna wejść jako składowy pierwiastek do nauki społecznéj, pod niebezpieczeństwem jéj niepełności.

Wypowiedziawszy, jaki obowiązek wkłada obecność ideałów na naukowe studyum społeczne, chcę teraz wyjaśnić myśl inną: jaki wpływ wywiera i jaki obowiązek wkłada, objektywne studyum naukowe, na tworzenie ideałów w ogóle i społecznych w szczególności. Nauka pod tym względem w dwojaki sposób wpływa na tworzenie ideałów: już to pobudzając myśl ludzką, odkrywając przed nią coraz to szersze horyzonty, obudzając w niéj pragnienie prawdy i ćwicząc w metodach jéj poszukiwania, już to przyczyniając się do wyrobienia kryterium, wedle którego sprawdzamy, oceniamy i doskonalimy ideały.

Tworzenie ideałów niezaprzeczenie jest pewnym psychicznym aktem podniesionego działania umysłowego; nie wystarcza wiedzieć o faktach, żeby już sięgnąć po ideał; trzeba je żywo uczuć, trzeba znać je w całéj ich głębokości, w całéj doniosłości ich wpływu na wrażliwość ludzką, żeby samodzielnie zapragnąć ich uszykowania, w sposób dający przypuszczalnie najpełniejsze zadowolenie. Historya tworzenia ideałów ludzkości jest historyą olbrzymich wysiłków, wspaniałych uniesień myśli ludzkiéj, ale ideały nie tworzą się „für sich und an sich:“ gorąca atmosfera, wśród któréj w twórczych wylęgają się głowach, obudza popęd do ich wcielenia, i tu się przechodzi w sferę realnych zjawisk, w bogatą sferę faktów.

Pierwsza pobudka zapragnienia ideału, dane rzeczywiste fakta, jest ostateczną sferą ich rozwoju. Poprawność praktyczna, zastosowalność ideału leży nam tak żywo na sercu, jak harmonia składowych części naszéj idealnéj koncepcyi. Nie wystarcza nam stworzyć ideał, lubować się nim w skrytości naszego serca, pragniemy go wyprowadzić na jasne słońce, na szerokie powietrze, pragniemy, żeby dane umysłowe zgrupowanie faktów stało się normą grupowania się ich w rzeczywistości.

Szeroko kiedyś rozprawiano o ideach wrodzonych i nabytych. Nie wejdę na śliski grunt téj nieskończonéj dyskusyi; chcę się tu zawrzéć w granicach danéj praktycznéj potrzeby.

Przypuszczając istnienie idei wrodzonych w człowieku, trzeba się jeszcze z tém zgodzić, iż szereg pojęć człowieka rozszerza się niezmiernie przez obserwacyą zjawisk zewnętrznych; że nawet istniejące w tém przypuszczeniu idee wrodzone, dopiéro w skutek obserwacyi przeistaczają się w określoną formułę, odnośną do danych zjawisk, same służąc raczéj za wskazówkę w poszukiwaniu téj formuły, niż za samę już formułę.

Z drugiéj strony, jakąkolwiek byśmy przyznawali doniosłość wpływowi zjawisk świata zewnętrznego na formowanie się pojęć ludzkich, przyznać jeszcze musimy w człowieku zdolność odczuwania, obserwowania i kategoryzowania tych zjawisk, tém skuteczniéj działającą, im szerszém jest pole spostrzeżeń.

Wszelka więc koncepcya ludzka doskonali się w miarę zetknięcia człowieka z faktami podlegającemi jego obserwacyi, a jakością człowieka i jakością faktów téj obserwacyi podległych, określa się jakość jego koncepcyi. Toż samo z ideałami.

Ideał nie polega na dowolném kréśleniu obrazów żadnego z rzeczywistością nie mających związku; jest on raczéj dowolnym doborem *faktów*, przystrojonych do wymogów naszego *ja*. W idealnéj koncepcyi naszéj nienowe tworzymy fakta, lecz nowy ich stosunek, udzielając jednym z nich szersze, niż zajmowane przez nie w rzeczywistości, miejsce, zacieśniając sferę działania innych.

Postępujemy tu na podobieństwo muzycznego kompozytora. Nie człowiek stworzył dźwięki, ale harmonijne ich ożenienie, ale przystosowanie ich do wymagań ludzkiego *ja* — jest dziełem człowieka. Gdy ze sfery dźwięków przejdziemy w sferę form—sonatę zastąpi posąg lub świątynia; gdy podobny nastrój myśli przeniesiemy w sferę wzajemnych stosunków ludzkich, spotkamy się z etyką, ekonomiką, prawem i t. d.

Ale nie ma sonaty po za obrębem dźwięków, nie ma posągu po za obrębem wzajemnego stosunku form, nie ma ideałów społecznych, po za obrębem stosunków życia ludzkiego, nie ma ideału po za obrębem faktów, służących mu za budulcowy materyał. Jakością człowieka, lub społeczeństwa, i dostępnych dla jego wyboru faktów pewnéj kategoryi, określi się jakość jego ideałów, odnośnych do téj kategoryi zjawisk; ztąd różność ideałów odrębnych społeczeństw i ludzi.

Ideały piękna pogańskiéj Grecyi różnią się wybitnie od estetycznych ideałów chrześcijańskich wieków średnich, ideały sprawiedliwości biblijnéj ze swojém „oko za oko i ząb za ząb“ różnią się od ideałów wyrozumiałości i przebaczenia ewangelicznego, ideały swobody beduina — od ideałów swobody współczesnéj Anglii i t. d. Każdy prawie człowiek, jak każda społeczność i każdy okres hi-

storyczny równolegle z rozmaitością swych zjawisk życiowych niesie rozmaitość ideałów.

Tworzenie się ideałów, równie jak wszystkie funkcye życia społecznego, odbywa się według ogólnych ścisłych praw przyczynowego związku zjawisk.

Ale społeczność ludzka nie jest prostym aglomeratem przeciętnych jednostek statystyki, po nad jéj powierzchnią wystrzela niejednokrotnie wysoko myśl i uczucie utalentowanéj jednostki, w piersiach takiéj jednostki mieszczą się bogate światy harmonii, prawdy i piękna, o których się ani śniło naszym mieszczańskim filozofom. Myśl jednostki wznosi się po nad myślą powszedniego tłumu, i powstaje ideał górujący po nad ideałem współczesnych, powstaje spór przodującéj myśli z wyobrażeniami większości. Najszczytniejsze i najwięcéj poziome namiętności ludzkie ściérają się w zaciętym boju, nim ziarno przyszłego plonu zapadnie w łono ludzkości.

Po któréj stronie prawda i przyszłość? Gdzie sprawdzian stosunkowéj doskonałości ideału?

Szukajmy go w naukowéj metodzie.

Na wytworzenie ideału, jak na wytworzenie wszelkiéj koncepcyi ludzkiéj składają się dwa pierwiastki: zjawiska otaczającego nas świata i właściwości natury ludzkiéj.

Ideał, odpowiadający pewnéj kategoryi skłonności ludzkich, mówiłem, jest to umysłowe zgrupowanie takich faktów, o których przypuszczamy, że ich wcielenie dałoby odnośnym skłonnościom największą pełnię zadowolenia. Jakość ideałów pewnéj kategoryi, zależy od jakości człowieka, lub społeczeństwa tworzącego te ideały, i od jakości materyału, wśród którego się robi idealny wybór faktów.

Stopień więc *obfitości i różnorodności faktów pewnéj kategoryi przy tożsamości człowieka, stopień zdolności odczuwania przez człowieka faktów pewnéj kategoryi przy tożsamości tych faktów — określi względną doskonałość ideałów, tak, że największa z możebnych obfitość i różnorodność faktów pewnéj kategoryi, obok jak największéj z możebnych zdolności człowieka w odczuwaniu tych faktów, określi najdoskonalszy z możebnych ideał odnośny do téj kategoryi faktów.*

Stopień obfitości i różnorodności faktów pewnéj kategoryi łatwo się rozumie; trudniéj jest określić stopień zdolności ich odczuwania przez człowieka; wyżéj przywiedziona jednak formuła zawiera wskazówkę, jakim sposobem skonstatować wypada ten stopień zdolności człowieka.

Stopień obfitości i rozmaitości faktów, powiedziałem, przy tożsamości człowieka określi względną doskonałość jego ideałów, ró-

wnie jak stopień zdolności ich odczuwania przez człowieka przy tożsamości faktów.

Człowiek więc, który ze szczuplejszego zakresu faktów pewnéj kategoryi wyciągnie takiż sam ideał i jaki inny człowiek z bogatszego materyału faktycznego, będzie człowiekiem zdolniejszym do odczuwania faktów danéj kategoryi, tak że: *tożsamość ideałów przy różnym stopniu obfitości i rozmaitości faktów, służących za podstawę idealnego pomysłu, określi, w odwrotnym stosunku do bogactwa faktycznego materyału, zdolności tych ludzi.*

Rozpatrzmy, w jaki sposób dziejowy pochód ludzkości wpływa, już to na nagromadzenie faktycznego materyału, służącego za podstawę idealnych koncepcyj, już to na zdolność ludzką odczuwania faktów téj lub owéj kategoryi.

Zacznijmy od rozpatrywania, w jaki sposób gromadzi się dla oddzielnych pokoleń i ludzi faktyczny materyał ich idealnych koncepcyj.

Na życie społeczeństwa składa się bardzo wiele czynników, często wspiérających się wzajemnie, ale też często wzajemnie osłabiających się i przeciwdziałających sobie. Współistniejące warunki życiowe wzajemnie określają doniosłość swego wpływu. Czynność ludzka modyfikuje ten wzajemny ich stosunek, potęgując działanie jednych, osłabiając działanie innych czynników. Wynikają ztąd przekształcenia społeczne bądź przewidywane przez początkującą myśl ludzką, bądź w sposób nieprzewidziany wypływające z danego składu spraw ludzkich.

Krytycznym i świadomym był wybór ludzkości między ideałami katolickiemi i protestanckiemi, między biblijnym protestantyzmem i samodzielnością myśli ludzkiéj, między niewolnictwem, glebae adscriptio i swobodą pracy, między pierwotnemi warunkami produkcyi i współczesném ich udoskonaleniem i t. p.

Skąd inąd czasem nowe warunki życia powstają niezależnie od przewidującéj czynności ludzkiéj, wywołującéj ruch w danym kierunku. Tak np. dążność do zapanowania w celach utylitarnych nad naturą zewnętrzną wydała rezultaty zgodne z jéj punktem wyjścia, ale obok nich i inne niezależne od niego. Ujarzmiona dla praktycznych celów, podpatrzona w swych tajemnicach natura w inny sposób działa na wyobraźnią i uczucie współczesnego człowieka, niż działała przed wiekami. Handel osłabia uprzedzenia międzynarodowe; stopień dostatku wiąże się z moralnością; warunki dobrobytu wpływają na formowanie się rodzin. Krzyżowe wojny nie osiągnęły założonego rezultatu, grób Chrystusa pozostał w ręku „niewier-

nych," ale przyczyniły się one do emancypacyi gmin; rezultat, którego wcale sobie nie zakładali baronowie i szlachta krzyżowa. Wojny odrębnych narodów, zakładające sobie usunięcie jednego lub drugiego z karty dziejowéj, wydają częstokroć wcale nieprzewidziane rezultaty. Rzym zwycięski poddał się wpływowi Grecyi, a zwyciężony wpłynął na barbarzyńców, którzy go posiedli i z wzajemnego ich oddziaływania, przy wpływie chrześciaństwa, wynikła kultura średnich wieków, o któréj nie marzyli ani Rzymianie, ani barbarzyńcy, ani chrześcianie i t. d.

W ten sposób, czy to zgodnie z przewidywaniem początkujących sił ludzkości, czy niezależnie od takiego przewidywania, materyał, służący za podstawę do idealnych koncepcyi, wzbogaca się pod pewnemi względami, pod innemi ubożeje. Wzrastający materyał wiedzy coraz szersze daje podstawy dla ideałów nauki; powołanie do życia obywatelskiego coraz to szerszych kół ludzkości, wyzwolenie z pod ciężkich prawnych warunków pracy ludzkiéj, dają miejsce coraz to wyraźniejszemu zarysowaniu się samodzielnych prądów społecznych, wzbogacając w ten sposób materyał społecznych ideałów i t. d.

Nie tak się dzieje z materyałem innych koncepcyj idealnych. Wzrastająca znajomość zjawisk nas otaczających osłabiła działanie ich na wyobraźnią; dla tego pełni odnośnych koncepcyj wyobraźni, w przeszłości a nie w przyszłości poszukiwać możemy. Naiwna nieświadomość nie wyda już mitologicznych koncepcyj, homeryczna naiwność nie stworzy już Iljady. W podobny sposób tłómaczy się fakt upadku sztuki plastycznéj, pomimo postępów techniki. Granice dla kultu formy zarysowały się wyraźniéj, natchnienie nie chwyta się dzieła, dla którego brak mu wiary. Nasze pokolenie, które wierzenia swoje coraz to wyraźniéj we własnych nosi piersiach, nie składając ich w ręce kapłana, nie sanktyfikując obrządku, nie umié wystrzelić w niebo wieżycami gotyckiéj świątyni i t. d.

Tu jeszcze leży źródło tych melancholijnych zwrotów do przeszłości, które wśród nieubłaganego prądu życiowego późniejszych pokoleń przemawiają w imieniu umarłych, nieraz tak potężnie, że żywi zatrzymują się w zadumie nad nieznaną siłą téj niezgodnie z ich życiem dźwięczącéj nuty. Chodzi o to, że rodzajowe skłonności natury ludzkiéj też same, zmienił się tylko ich stosunek i warunki, dające większą pełnię zadowolenia niektórym z tych skłonności, złożone niepowrotnie w przeszłości.

Gdy w taki sposób wśród dziejowego pochodu ludzkości, rozkłada się faktyczny materyał idealnych koncepcyj ludzkich, rozpatrz-

my, w jaki sposób, inny początkujący ich pierwiastek, zdolność odczuwania odnośnych faktów, rozkłada się wśród odrębnych pokoleń ludzkich.

Postępowy pochód moralnego życia ludzkości nie odbywa się tak ściśle miarowym, że tak powiem, krokiem, żebyśmy nie mogli zaznaczyć chwil i postaci, które ze szczególną siłą początkowania wpłynęły na rozwój bytu ludzkiego.

Spostrzegamy najprzód kolejowanie się narodów pod względem przodownictwa w rozwoju myśli ludzkiéj; wśród odrębnych narodów, spotykamy całe pokolenia żyjące w podniesionéj atmosferze zapragnień idealnych, samodzielnie stanowiących całe szeregi zagadnień życiowych, obok pokoleń przerabiających w zmudnéj pracy powszedniéj wielkie zagadnienia swych poprzedników, lub wprost zmęczonych częściową porażką poprzedników w ich wzniosłym boju o wielkie zasady; spotykamy jednostki wspaniale zarysowane na ogólném tle ludzkości.

Czém się dzieje to nierównomierne rozłożenie twórczego życia wśród pokoleń i ludzi, nie moją jest rzeczą objaśnić. Ponieważ do twórczego zapragnienia ideału, potrzebne jest pewne niezwykłe rozbudzenie myśli i uczucia, nagromadzenie więc w pewnych chwilach warunków wywołujących to rozbudzenie, jest prawdopodobnie przyczyną podnieconego ich prądu życiowego. Jedną z nich jest nowość faktów obok ich siły; budzi ona potężniejsze prądy myśli, podobnie, jak ziarno upadłe na nowinną rolę potężniejsze wydaje plony, niż na roli zużytéj. Każdy z nas doświadczał niezwykłego rozbudzenia, w chwili otwiérania się przed myślą naszą po raz pierwszy nowych dla niéj horyzontów; późniejsze w nich rozpatrzenie się znacznie wzbogaca naszę wiedzę, jaśniéj je przedstawia naszéj myśli, ale uniesienie pierwszéj chwili z nieporównaną siłą obudza działalność życiową. Coś podobnego daje się spostrzegać w życiu całych społeczeństw. Współcześni Grecy wiedzą znacznie więcéj i dokładniéj, niż Arystoteles, a przecież potęgi jego myśli nie zaćmiewa żaden współczesny uczony grecki.

Porównajmy współczesne ministerya greckie z wiekiem Peryklesa! A przecież niewątpliwie lada minister współczesny zna daleko dokładniéj grę skomplikowanego organizmu społecznego, niż wielki Ateńczyk. Chrześciaństwo nie powstaje wśród faryzeuszów; około „syna cieśli“ gromadzą się pasterze, rybacy, gmin profanów w rzeczach wiary. W dalszym swym rozwoju chrześciaństwo ledwo się zarysowuje, jako mało znana sekta marzycieli, na dziejach wschodu, z którego łona powstało, którego całe życie dotychczas sku-

piało się koło myśli religijnéj. Trzeba mu było przejść w świat nowy, przejęty życiem dnia dzisiejszego, świat klasycznego pogaństwa, dostać się w ręce barbarzyńców, zapaść w myśl ludzi, któréj nigdy jeszcze tak subtelne zasady jak monoteizm, beznarodowościowa miłość bliźniego, przebaczenie wrogom, gdyż „nie wiedzą co czynią" i t. p. nie poruszały, żeby się stać wielkim czynnikiem dziejowych wypadków. Anglia bliżéj przecię stała zasad zgromadzenia narodowego, niż Francya, gdy się rozpoczynał wielki ruch rewolucyi francuskiéj. A przecięż nie na ziemi odwiecznych swobód powstał najpotężniejszy ze znanych ruchów politycznych, nie tam podniesiono najśmieléj zawiłe zadania społeczne. Cały świat nowych zjawisk stanął przed Francyą, od chwili kiedy poprobowała się zmierzyć z zasadą bezwarunkowego absolutyzmu, który całe jéj życie ogarniał; nowość zupełna tych wrażeń wywołała znany w dziejach entuzyazm zapragnień ideału społecznego.

W podobny tylko sposób mogę sobie tłómaczyć to kolejowanie narodów pod względem przodowania myśli ludzkiéj, które spostrzegamy w historycznym rozwoju społeczeństw. Społeczeństwo, które już szerzéj rozwinęło życie, świadome nie jednego już zawodu, niełatwo entuzyazmuje się nową myślą, niechętnie wierzy w przetworzenie przez nią całego skomplikowanego składu życia. A jednak myśli takie się wyłaniają i przekształcają ludzkość. Jednostronnością wszakże byłoby przypuszczać, że tylko wśród nowych ludzi i nowych społeczeństw rozwijają się idealne zachcenia ludzkości. To prawda, że ideał oświeca często, nakształt błyskawicy, wśród burzy i gromów, ciemnie życiowe, ale téż częstokroć rozszerza się on stopniowo, nakształt wspaniałéj spokojnéj rzeki, zmierzającéj ku swemu ujściu, ku bezbrzeżnym sferom prawdy i piękna.

W taki sposób majestatyczny i spokojny coraz to szerzéj zarysowują się ideały koncepcyj naukowych, w podobny sposób wśród zgiełku politycznych i prawniczo-ekonomicznych wypadków, rozwijają się w cichości domowego ogniska i codziennych stosunków życiowych ideały etyczno-towarzyskie obcowania ludzkiego, wyzyskując na swą korzyść każdą zdobycz kultury, każdy ruch myśli i uczucia ludzkiego. Ideały te rozwijają się w cichości i stopniowo, pięknieją co chwila, jak bryła marmuru pod dłutem artysty, chociaż i w ich rozwoju, raz silniejsze, to znów mniéj silne tętno ogólnego życia ludzkości spostrzegamy.

Czasem téż i ideały, których każdy krok naprzód, gdzieindziéj ostre porodowe bole wywoływa, przenikają z czasem tak głęboko organizm pewnych społeczeństw, że wśród stopniowości i ciągłości

ich rozwoju nie dadzą się prawie zaznaczyć jego etapy. W taki naprzykład sposób rozwijają się w Anglii ideały samorządu i reprezentacyi narodowéj, a za niemi i wszystkie prawie zagadnienia społeczne. Ideały te, przeniesione na stały ląd Europy, wywołały burzę rewolucyjną, sięgnęły tam w sfery podówczas nieporuszane na staréj ziemi swobód, ale ani ogólna zasada, ani jéj dalszy rozwój nie opuścił Anglii.

Czasem znów pewna społeczność zawrze się w formule danego ideału, jakby w ostatniém swém słowie, zdając niejako dalszy jéj rozwój w nowe ręce. Tak np. stało się z chrystyanizmem. To prawda, że rozwinął się on i zakwitł w pogańskiéj i barbarzyńskiéj Europie, nie na teologicznym wschodzie, ale rozplenił się wśród społeczności, któréj ostatnim cywilizacyjnym był wyrazem. Herezjarchami bywali zwykle słudzy kościoła, zatopieni w kardynalnéj jego księdze, i mnich ją oddał w ręce ludu, jakby symbolizując zrzeczenie się kleru na rzecz jego.

Temu ogólnemu pochodowi ludzkości towarzyszy ruch wahadłowy do pewnego stopnia. W jedném i tém samém społeczeństwie, z kolei to jedna grupa ideałów występuje na pierwszy plan, to znowu inna i to częstokroć ta, która ścieśnioną była w poprzedzającym peryodzie; tu znowu z kolei ustępuje pierwszy plan poprzedzającéj grupie ideałów i t. p. Tak np. z kolei ustępują sobie pierwszy plan raz ideały powagi, potém analizy, to ściśléj reglamentacyi, to samodzielności społecznéj, to idealizmu, to realizmu w sztuce i t. d., i to w jedném i tém samém społeczeństwie. Ideały jednéj epoki, zadają niby fałsz ideałom poprzedzającéj. Chodzi o to, że naturze ludzkiéj moralnéj właściwe są przymioty analogiczne z inercyą i elastycznością ciał materyalnych, kiedy raz pewne przyczyny wywołały ruch społeczeństwa w danym kierunku, to ruch ten zwykł iść daléj, niżeli przyczyny, które go wywołały, ściśle tego wymagają; wyobraźnia, obudzenie, pociąg—słowem, różne pierwiastki egzaltacyi wzmagają ruch w tym kierunku; wywołany w ten sposób wzajemny stosunek ideałów zaczyna ciążyć społeczności przez zbytnie zacieśnienie pewnéj ich grupy, następuje reakcya w imieniu téj ostatniéj; ten nowy kierunek zwykł znowu w ostateczność wpadać. Społeczeństwo ludzkie nietylko zastanawia się, porównywa i rozumuje, ale także czuje, egzaltuje się i roznamiętnia.

Ale wśród téj nierównomierności i wahadłowości ruchu, wśród téj barwności jego objawów, nie gaśnie nigdy całkowicie pochodnia myśli ludzkiéj; zagadnienia życiowe, poruszane śmiałą ręką przez dawniejsze pokolenia, prędzéj lub późniéj skupiają dokoła siebie

podniesione życie następnych pokoleń; ideały dawniejsze rosną, przekształcają się, olbrzymieją często do niepoznania, jeżeli nie ustąpiły miejsca innym potężniejszym od nich. W życiu ludzkości spostrzegamy nieprzerwalność (continuité) ludzkich koncepcyj.

Szczególnie energicznym czynnikiem téj ciągłości jest wiedza. Jedną z właściwości natury ludzkiéj jest, wynikająca z rodzajowego podobieństwa ludzi, zdolność wzajemnego rozumienia się i przyswojenia przez daną jednostkę wyobrażeń innéj. Wynika ztąd ciągłość pracy przy formowaniu pewnych koncepcyj przez cały szereg pokoleń. Zjawisko téj ciągłości objawia się szczególnie w pracach naukowych, gdzie następujące pokolenie kontynuje pracę poprzedzającego, od punktu, na którym tamto się zatrzymało, przyswajając daleko szybciéj koncepcye poprzedzającego, niżeli tamto je tworzyło. Jak olbrzymią oszczędność czasu i wysiłków sprawia w rozwoju nauki ta zdolność przyswojenia koncepcyj innych ludzi, nie potrzebuję mówić. Powtarza się to, chociaż w ogóle w mniéj silnym stopniu, nie tylko w nauce: powtarza się to, np. w religii, któréj dana formuła zdobywaną była niejednokrotnie całemi wiekami wysiłków, a przyswaja się z nieznoszącą porównania szybkością, w produktach prawodawstwa, sztuki i t. d.

Ogólnym czynnikiem tych przyspieszonych przyswojeń cudzych pomysłów, jest poznanie ich, wiedza. Przechowuje ona skarb myśli i uczuć zgasłych pokoleń, ku pożytkowi następnych. To też, pomimo osłabienia tego i owego czynnika myśli i uczucia ludzkiego, stopniowy rozwój ludzkości w głównych swych podstawach wiąże się w jednę całość.

Popatrzmy, w jakim ciągłym, nieprzerwanym, upartym boju zdobywa człowiek coraz to pełniejsze panowanie nad naturą zewnętrzną. Dla nas, którzy przejeżdżamy Alpy z cygarem w ustach w wygodnym wagonie, nikną bohatérskie cechy hannibalowskiéj przeprawy; wyrażenie „wiatr pomyślny, lub przeciwny“ staje się prawie ciekawym zabytkiem, figurą retoryczną w obec parostatku; dla ludzi, którzy we wszystkich przedniejszych miastach Europy znają wypadki New-Yorkskie jednocześnie prawie z chwilą, w któréj się one odbywają, nikną trudności przestrzeni i czasu. Głodowy pomór w krajach zaawansowanéj uprawy staje się własnością wspomnień historycznych; średnie życie ludzkie wzrasta.

Ale człowiekowi nie wystarcza nagiąć naturę do praktycznych swych celów; im silniéj włada on nad zjawiskami, tém śmieléj sięga po odwieczne tajemnice ich związku. Bóg wiatrów ustępuje

przed kapitanem okrętu; klekot lokomotywy rozpędza fantastyczne istoty z górnych rozpadlin; fantastyczna geneza ustępuje miejsca geologicznym poszukiwaniom, ogon komety, zamiast przerażenia wywoływanego swą nieprzewidzialnością, zjawia się jako świetne potwierdzenie przewidywań umysłu ludzkiego.

Społeczeństwo ludzkie samo w sobie się przekształca. Stosy i wojny religijne zastąpiła polemika słowa, zasady niewolnictwa, któréj nie umiał się wyrzec Plato w swych idealnych marzeniach, nie rozumić już prawie umysł współczesnego człowieka. W naszym kraju, gdzie wczoraj jeszcze pędzono na pańszczyznę i ćwiczono chłopa za najmniejsze zboczenie, doraźna rozprawa pięścią staje się faktem boleśnie rażącym sumienie społeczne, a wolność pracy nieporuszonym dogmatem rozumowań społecznych. Gdy w krajach i warstwach mniéj cywilizowanych, rekluzya kobiét, niewolnictwo żony, fizyczne znęcanie się nad kobiétą silniejszego mężczyzny, jest faktem codziennym, ludzkie obcowanie członków rodziny staje się dogmatem życia społecznego krajów i warstw wykształceńszych, stany zaś zjednoczone amerykańskie agitują kwestyą politycznego równouprawnienia kobiéty. Międzynarodowe zamknięcie, podział na Żydów i Samarytan, znika stopniowo w przodujących umysłach w obec zasady braterstwa ludów; porty Chin i Japonii otwierają się dla hadlu europejskiego.

Ludzkość się przekształciła.... ale w pierwszém sięgnięciu człowieka po samorodny owoc tkwi początek zwycięskiéj walki człowieka z zewnętrzną naturą; w pierwszéj legendzie mitologicznéj poczęła ludzkość sięgać po tajemnice życia; w pierwszéj łzie współczucia leży początek wszystkich humanitarnych przekształceń ludzkości. Pierwszy krok walki rozrósł się we wspaniały gmach potęgi ludzkiéj, z legendy wyrosła świątynia wiedzy, samorzutny ruch współczucia ludzkiego rozlał się w szerokich ideałach społecznych.

Stałość głównych zapragnień natury ludzkiéj, ciągłość koncepcyi ludzkiéj wiążą w nierozerwalną całość przeszłe i przyszłe pokolenia ludzkości. W istnieniu téj ciągłości pilne oko badacza znajdzie wskazówkę do odszukania sprawdzianu względnéj doskonałości ideałów.

Sprawdzian ten, oczéwiście, nie może leżéć po za obrębem natury ludzkiéj, skoro nie odmówimy człowiekowi kompetencyi co do zadowolenia lub przykrości, wynikającéj z tych lub owych wrażeń przez niego odbieranych. Im szerzéj spojrzymy na dzieje ludzkości, tém wyraźniéj rodzajowe właściwości téj natury przed nami się za-

rysują, wtedy gdy w oderwaniu wzięta ta lub owa chwila da nam raczéj pojęcie o gatunkowych jéj właściwościach. Stopień zadowolenia, dostarczony rodzajowym właściwościom natury ludzkiéj, przez tę lub owę idealną koncepcyą, będzie sprawdzianem względnéj poprawności danéj koncepcyi.

Kiedy spostrzeżemy, że pewien ideał coraz to szerzéj się rozwija przy każdém żywszém obudzeniu myśli ludzkiéj w odnośnéj sferze, mamy już wskazówkę, że poprzedzająca formuła ideału niedostatecznie wyczerpywała pragnienia odnośnych skłonności ludzkich. Czasowe zatrzymanie jego rozwoju, a nawet pewne cofanie się wstecz w danéj oderwanéj chwili nie przesądza jeszcze kwestyi; może być ono wynikiem bądź to znanego już nam czasowego osłabienia prądu życiowego, bądź pewnéj czasowéj reakcyi, związanéj z wahadławością rozwoju społeczeństw ludzkich.

Jeżeli pewien ideał przeżył już swój czas, jeżeli inne potężniejsze od niego zajęły jego miejsce całkowicie, lub w przeważnym stopniu, to pozostanie już on przy swych skromnych rozmiarach, i przy silniejszém obudzeniu się życia ludzkości, obudzenie to raczéj wzmoże wzrost ideałów, które zacieśniły sferę doniosłości jego, niż odwrotnie. Inaczéj rzecz się będzie miała, jeżeli nie dla braku odnośnego materyału, nie dla potęgi współzawodniczących z nim ideałów, a tylko w skutek czasowego osłabienia prądu życia ludzkiego, stracił on chwilowo swą siłę. Przy nowém, silniejszém obudzeniu twórczości ludzkiéj wystąpi on silniejszym i potężniejszym, szersze sfery zjawisk ludzkiego życia ogarnie, i dopóki odnośnie do pewnego ideału, w chwilach obudzonego w danéj sferze życia ludzkości, spostrzegamy podobny wzrost, dopóty, jak nam samo to życie przyświadcza, rozwój jego nie znalazł jeszcze ostatniego wyrazu, ideał jest w drodze doskonalenia się. prawda i przyszłość jest po stronie konsekwentnego rozwoju jego podstaw.

To samo stosuje się nietylko do miejsca danego ideału w ogólném życiu ludzkości, ale i do poszczególnych cech jego. Cechy, wzmagające się stopniowo w warunkach wyżéj wskazanych, dają większą pełnię zadowolenia, niż inne i odwrotnie.

Wahadłowość niejaka rozwoju społecznego daje dopełniające wskazówki pod tym względem.

Wśród zmieniającéj się kolejno przewagi rozmaitych grup idealnych, daje się spostrzegać stopniowe ustępowanie jednych i rozszerzanie się innych, przy każdém kolejném ich wypłynieniu na pierwszy plan. W chwili tryumfu swego, lub dążąc do niego, pewne ideały dla tego, żeby pozyskać sympatye społeczne, ograniczają swoje

wymagania, zacieśniają dobrowolnie granice swéj przewagi, wtedy kiedy inne, dążąc do tryumfu, lub tryumfując, rozszerzają swoje podstawy i granice swego panowania, wskazując w ten sposób, iż w przyszłości szersze należy się im miejsce. Na tém nie dość. Ideały, które, do pewnego czasu z coraz większą wyrażając się siłą, osłabiały niejako podstawy reakcyi, doszedłszy do pewnego punktu, nietylko że ją wywołują, ale stopniowo przy każdym nowym zwrocie towarzyskim, przy każdéj nowéj kolei, jakém się wyrażał, reakcya ta coraz silniejszą się staje, tj. odwrotna w stosunku do poprzedzającéj historya powtarza się z niemi. Punkt ten przełomu w ich rozwoju, oczéwiście, określi według przyjętéj tu metody właściwą granicę ich przewagi.

I znowu toż samo co do poszczególnych cech danego ideału. Jeżeli w historyi rozwoju pewnego ideału, spostrzegamy wahadłowy ruch różnych cech składających się na jego wytworzenie, to cechy, które po każdym z kolei ruchu wahadłowym w ich stronę coraz szersze w idealnéj koncepcyi zajmują miejsce, w doskonalszym ideale przyszłości zajmą więcéj panującą pozycyą, niż cechy zacieśniające sferę swéj przewagi przy każdym ruchu wahadłowym w ich stronę. Granicznym punktem wzrastającego ich rozwoju będzie punkt przełomu, po za którym cechy te odwrotnie ruch swój pod względem udziału w koncepcyi idealnéj wykonywać zaczynają.

Z takiego stanowiska rozpatrywana poprawność ideałów, przyjmując stopniowe ich doskonalenie się, wyróżnia się jednak stanowczo od tego, cobym nazwał wulgarną postępowością. Postępowość taka widzi, w ugrupowaniu i cechach danych ideałów każdéj danéj ostatniéj chwili, najdoskonalsze wcielenie zapragnień natury ludzkiéj, a kłam, zadawany takiemu rozumieniu rzeczy przez nierównomierny i wahadłowy ruch społeczeństw ludzkich, najsilniejszym jest argumentem przeciw téj powszedniéj koncepcyi umysłu ludzkiego.

Po nad rozwojem odrębnych koncepcyj idealnych, odpowiadających odrębnym skłonnościom natury ludzkiéj, wznosi się kwestya wzajemnego ich stosunku. Tu jest źródło téj koncepcyi umysłu ludzkiego, którą nazwę dla krótkości *ideałem ogólnym*, nie przywiązując zresztą wagi do tego terminu.

Ideał ogólny jest to takie zgrupowanie ideałów szczegółowych, o którém przypuszczamy, że jego wcielenie dałoby nam największą pełnię zadowolenia.

W tém określeniu ogólnego ideału, widzimy stosunek jego do określenia ideałów szczegółowych. Możnaby ten stosunek wyrazić w matematycznéj formule: tak się ma ideał ogólny do ideałów szcze-

gółowych, jak ideały szczegółowe do odrębnych faktów, odpowiadających danéj kategoryi skłonności naszych.

Wyrażenie tego stosunku prowadzi nas do wskazania drogi, służącéj do ocenienia względnéj wartości rozmaitych ideałów ogólnych.

Rzeczywiście, jak przy wyborze faktów dla wytworzenia szczegółowéj idealnéj koncepcyi, wybór jednych ogranicza udział w niéj drugich, tak samo przy tworzeniu ogólnego ideału stopień udziału w téj koncepcyi jednych ideałów warunkuje stopień udziału w niéj innych.

Tylko już tu nie ma wyboru między faktami, sprawiającemi zadowolenie, lub przykrość, jak to miało miejsce przy wyborze faktów dla szczegółowego ideału—wybór ogranicza się porównaniem stopnia zadowolenia, jaki różne kombinacye idealnych koncepcyj nam dają.

Względna więc poprawność téj koncepcyi w podobny sposób da się studyować, jak poprawność każdéj odrębnéj koncepcyi idealnéj. Czém były dla poszczególnych ideałów odrębne ich cechy, tém są dla ogólnego ideału poszczególne ideały, i sposób, który nam służył do ocenienia względnéj poprawności cech poszczególnych idealnych koncepcyj, da się całkowicie zastosować do poszukiwania poprawności stosunku składowych części ogólnego ideału; wzrastanie zaś udziału idealnych koncepcyj w życiu ludzkości i punkt przełomu, po za którym ten udział przy każdém silniejszém obudzeniu jego coraz to silniejszą obudza reakcyą, wskaże właściwe granice wpływu idealnych koncepcyj na życie ludzkości.

Ogólny ten ideał nie jest wyłącznie utworem krytycznéj myśli, pewną filozoficzną fikcyą. Im wyżéj wznosi się myśl ludzka, tém więcéj zacierają się indywidualne i gatunkowe odrębności, tém wydatniéj występuje wiążąca rozmaite zjawiska życia rodzajowa ich spójnia. Jak zasady rozumowania ludzkiego w rozmaitych sferach życia do kilku ogólnych reguł logiki się sprowadzają, tak i zasady twórczéj myśli idealistycznéj. Zasady siły, równowagi, symetryi, harmonii towarzyszą wszystkim idealnym koncepcyom ludzkim; przenikają one ideały prawdy naukowéj, ideały piękna formalnego, ideały muzycznéj harmonii, ideały prawdy społecznéj. Opuszczamy pracownią nauki i sztuki dla forum, w chwili, gdy wielkie zadania prawdy, harmonii, piękna, przenikają życie społeczne; wśród pragnień prawdy i piękna myśl naszę i uczucie zachwyca i podnosi wzniosła istota ludzka, najpiękniejsze, na jakie stać naturze, wcielenie prawdy i piękna. Dopełnia się téż wzajemnie świat idealnych koncepcyj ludzkich, a jeżeli

ludzkość w swym dziejowym pochodzie zatraci znany jéj w przeszłości wyższy stopień pewnéj idealnéj koncepcyi, to rozrośnie się inna gatunkowa forma idealnych zachceń ludzkości.

Rozszerzyła się sfera jéj wiedzy i czynu, rozszerzy się też sfera idealnych zapragnień, a jeżeli wiara w coraz lepszą przyszłość téj ludzkości, do któréj już ani najdroższe nam wśród niéj jednostki, ani my sami należéć nie będziemy—jeżeli ta wiara, mówię, zdolna jest w nas wywołać żywsze serca bicie, to świadczy ono o sile harmonijnych zachceń człowieka, o wznoszącém się po nad powszedniością jego życia pragnieniu ideału.

Tadeusz Rylski.

NAUKOWA PODRÓŻ NA OKOŁO ZIEMI

ANGIELSKIEJ KORWETY „CHALLENGER"

WEDŁUG OPISU CZŁONKA WYPRAWY

W. J. J. SPRY.

(Dokończenie).

Osada Somerset na przylądku York składa się jedynie z zabudowań, pozostałych po żołnierzach marynarki angielskiéj, którzy 1867 r. opuścili to miejsce po odstąpieniu go rządowi australskiemu. Rząd kolonialny starał się podnieść osadę, lecz zamiar nie powiódł się, tak dla ubóstwa samej miejscowości, jako też złego klimatu i częstych napadów ze strony dzikich mieszkańców wysp sąsiednich. Okolica zdaje się składać z niskich pagórków, dolin i obszernych równin, a wybrzeże jest skaliste, albo też piaszczyste lub bagniste. Na równinach wznoszą się ogromne mrowiska, wysokie na 10 do 12 stóp, zbudowane z czerwonéj gliny i piasku.

Pierwotni mieszkańcy krainy nie posiadają żadnych mieszkań, mając krzaki za jedyne schronienie przed słotą. W ogóle, ludność ta bardzo mało różni się od innych mieszkańców Australii. Wszyscy mają przedziurawioną przegródkę nosową i pospolicie wybity jeden ząb przodowy. Nigdy nie noszą ubrania, a ich ozdoby bardzo są nędzne. Z naczyń posiadają tylko kosze, uplecione z sitowia, oraz wielkie muszle, służące do gotowania strawy. Broń składa się z maczugi, włóczni i strzał. Głównem ich pożywieniem są wielkie, żółte i mączyste owoce mdłego smaku, jako też owoce magnolii; oprócz tego kobiéty wyszukują muszli na płytkich wybrzeżach, lub w ba-

gnach magnoliowych, a mężczyznie udaje się niekiedy rybę pochwycić.

Na przylądku York i sąsiednich wyspach rościągają się ogromne lasy drzewa gumowego (Eucalyptus) o guzowatém pniu i bezlistnych gałęziach; tylko tu i owdzie zdarzają się cieniste zarośla i pojedynczo wyrastające palmy. Okolicę ożywiało wiele ciekawych ptaków, pomiędzy któremi niepoślednie miejsce zajmowały nogale (Megapodius Gouldi) wielkości zwykłego indyka, które wspólnemi siłami gromadzą kupy zeschłych liści, patyków, kamieni, ziemi, zbótwiałego drzewa i innego śmiecia, aby składać w nie swe ceglaste jaja, które rozwijają się pod wpływem ciepła słonecznego, lub też ciepła wywiązującego się skutkiem gnicia istot gniazdo składających. W jedném takiém gnieździe często znajdowano po czterdzieści do pięćdziesięciu jaj, wielkości jaja łabędziego.

Z rana, 8 Września 1874 roku, podniesiono kotwicę i, przepłynąwszy cieśninę Endeavour, zatrzymano się w pobliżu wyspy Hammond. Niektórzy z członków wyprawy, udawszy się na ląd, znaleźli na wybrzeżu groby krajowców, którzy mają dziwny sposób grzebania umarłych. Pokolenie zachowuje trupa dopóty, dopóki nie nastąpi rozkład ciała, poczém starannie wyjmują kości, farbują je na czerwono i obwijają w korę drzewną, a następnie, zachowując pewne obrzędy, umieszczają w grobie, przedstawiającym pagórek rowem otoczony. W czterech rogach pagórka wkopują tęgie pnie drzewne, a boki pospolicie ozdabiają wielkiemi muszlami, oraz czaszkami i kośćmi piersiopływki (Halicore). Naokoło grobów widać było ślady świadczące o tém, że krajowcy przed niedawnym czasem zwinęli swój obóz, ztąd też uznano za rzecz konieczną bez zwłoki powracać na okręt, stojący w odległości kilku mil od brzegu.

Następnego dnia korweta popłynęła do wyspy Booby, na którą wylądowano dla odwiedzenia *urzędu pocztowego*. Jestto prosta chata drewniana, gdzie przechowuje się dziennik, w którym każdy okręt, po szczęśliwém przebyciu cieśniny Torresa, zapisuje swoje nazwisko i pozostawia listy, zabiérane przez pierwszy statek przepływający w przeciwnym kierunku. Skoro czółna powróciły, korweta puściła się w dalszą drogę ku wyspom Arru, dokąd 15 Września przybyła.

Grupa wysp Arru ciągnie się 100 mil morskich od południa ku północy, lecz zachodnia ich granica nie jest dokładnie poznana. Wyspy są niskie i błotniste, lecz wydają się wyższe dla wysokich lasów, jakie je pokrywają; zdala widziane wyglądają jakby jedna

wyspa i dopiéro zbliżywszy się, można dostrzedz pomiędzy niemi liczne, poplątane kanały.

Korweta 16 Września zarzuciła kotwicę przy wyspie Dobbo; wkrótce na pokład weszli urzędnicy malajscy, odziani w jaskrawe i piękne suknie urzędowe, zdala już zwiastując swe przybycie flagami, zdobiącemi ich wązkie i długie czółna, oraz odgłosem bębnów i nawoływanie wioślarzy. Następnie przybyli urzędnicy holenderscy, dziwnie niezgrabnéj powierzchowności, zapewne dla tego, że się przyodziali w czarne suknie urzędowe. Z trudnością można było się od śmiechu powstrzymywać na widok tych panów przebranych w suknie z ubiegłego stulecia, z połami do saméj ziemi sięgającemi i tak długiemi rękawami, że zaledwie wystawały z nich końce palców. Najzabawniejsze były jednak staroświeckie kapelusze, często zbyt obszerne na właściciela i dopasowane do jego głowy za pomocą zwitków papieru, lub gałganów. Oczywiście byli oni bardzo zadowolnieni z ukończenia swego posłannictwa, albowiem powracając na ląd coprędzéj zrzucili z siebie szaty urzędowe.

Wyspy Arru, leżące przy południowo zachodnich wybrzeżach Nowéj Gwinei, są zamieszkałe przez czarnych ludzi o szczeciniastéj czuprynie i ciemnobrunatnéj skórze; oprócz krajowców dają się tam spotykać malaje, chińczycy i papuasy. Ubiór krajowców składa się z kawałka tkaniny, obwiązanéj koło pasa i spadającéj do kolan, a na ramionach i u kostek noszą obrączki z drzewa, muszel, pereł, lub kolorowego szkła. Uszy mają szeroko przedziurawione dla zakładania wielkich kolczyków, których niekiedy kładą po dwa i po trzy w jedno ucho. Dla ozdoby noszą także pierścienie i z trawy plecione przepaski, tęgo na ramieniu zawiązane, do których przyczepiają pęk włosów lub świetne pióra ptasie.

Wszystkie domy są bez ścian bocznych i jednakowo zbudowane jako proste szopy, wsparte na grubo ociosanych słupach; podłoga stroma wznosi się pod sam dach, pięknie liściem palmowym pokryty, i znacznie wystaje po za boki budowli, a szczyt dachu zdobią drewniane rogi, z których zawieszają się długie taśmy nasadzane muszlami. Plecione przegrody rozdzielają wnętrze domów na pojedyncze sypialnie dla dwóch lub trzech rodzin, pospolicie jeden dom zamieszkujących. Sprzęty składają się z kilku mat, koszyków i naczyń kuchennych, nabytych u obcych handlarzy, a broń stanowią włócznie i łuki.

Bujną roślinność lasów ożywiają wspaniałe ptaki rajskie, papugi, kakadu, oraz wiele innych ptaków świetnie upierzonych.

Po siedmiodniowym pobycie przy wyspach Arru, korweta udała się daléj, spotykając po drodze stada ryb latających, które setki łokci w powietrzu przelatują.

Wieczorem zatrzymano się przy Wielkiéj Kii, któréj mieszkańcy, przybywszy na pokład korwety, długi czas zabawiali podróżnych swemi tańcami. Następnego ranka korweta zarzuciła kotwicę przy wsi Kii Doulan, która z pokładu piękny przedstawiała widok, lecz zbliska mniéj była powabną, albowiem mieszkańcy nie troszczą się o porządek ani wewnątrz, ani na zewnątrz domów.

Na wyspie piasek zatok składa się z okruchów koralowych oślepiającéj białości. Nad wilgotnemi zatokami i w dolinach obficie rosną drzewa sagowe, dostarczające mieszkańcom głównego pożywienia, a w lasach dużo jest budulcu, z którego wyrabiają piękne łodzie.

Z rana 26 Września korweta udała się w dalszą drogę, przepływając pomiędzy grupami lesistych wysp, niedokładnie lub całkiem nieznanych, których geograficzne położenie poznaczano. Po trzydniowéj podróży, poświęconéj sondowaniu i łowieniu włokiem, korweta przybyła do wulkanicznych wysp Banda, których bujna i świetnie zielona roślinność dawała poznać, że wyspy leżą po za pasem suchych i gorących wiatrów, które wieją ze środkowych równin Australii.

Wyspy Banda należą do bardzo pięknych miejscowości. Trzy wyspy otaczają bezpieczną przystań, któréj woda tak jest przejrzysta, że w głębokości siedmiu do ośmiu sążni wyraźnie widać na wulkanicznym piasku żywe korale i najmniejsze przedmioty.

Korweta stanęła na kotwicy pomiędzy Gross-Banda i Banda Neira, u stóp Gunong Api, czyli góry płonącéj, t. j. u stóp stożkowatego, czynnego wulkanu, wznoszącego się na 2.300 stóp nad powierzchnią morza.

Banda Neira składa się z pagórków, wznoszących się tarasowato do wysokości 500 stóp i do samego wierzchołka pokrytych bujną roślinnością. Na jednym z pagórków stoi Fort Belgica, na którym powiewa holenderska flaga, a u stóp pagórka wznosi się fort Nassau, wzniesiony 1609 roku, po pierwszém przybyciu Holendrów na te wyspy. Na wszystkie strony widać porozrzucane wsi, których główna, cienista ulica zawsze ciągnie się wzdłuż zatoki, gdy tymczasem plantacye korzeni i lasy kokosowe są bardziéj od brzegu oddalone. Mieszkańcy oczéwiście należą do rasy mięszanéj i przynajmniéj trzy czwarte ludności przedstawia mięszaninę malajów, papuasów, arabów, portugalczyków i holendrów. Malaje i papuasy sta-

nowią większą część ludności, lecz zdaje się przeważać ciemna skóra i kręcone włosy ostatnich.

Plantacye muszkatowe wspaniały przedstawiają widok, albowiem mało jest roślin hodowanych równie pięknych, jak drzewa muszkatowe, wysokie 20 do 30 stóp i okryte jasnym, lśniącym liściem, pomiędzy którym siedzą małe żółtawe kwiatki. Owoce są mniéj więcéj wielkości i koloru moreli; składają się one z mięsistéj i tęgiéj powłoki, która pęka za dojrzeniem, ukazując ciemno-brunatny orzech, okryty wspaniałą powłoką aksamitną jaskrawo-czerwonego koloru.

Handel gałką muszkatową był długi czas monopolem, i rząd holenderski wyniszczył na wyspach wszystkie drzewa muszkatowe i goździkowe, aby łatwiéj czuwać nad uprawą dwóch lub trzech plantacyj; obecnie jednak monopol ten zniesiono.

Po trzydniowym pobycie „Challenger" odpłynął do Amboyny, dokąd przybył po dwudniowéj podróży.

Wyspa Amboyna składa się z dwóch półwyspów, prawie zupełnie zatokami rozdzielonych, albowiem łączą się pasem ziemi, tylko jednę angielską milę szerokim. Miasto, tego samego co wyspa nazwiska, uchodzi za stolicę wysp Moluckich. Za starą warownią fortu Niew Victoria, naokoło pięknego trawnika stoją domy urzędników i kupców, a w najpiękniejszém miejscu wznosi się budynek klubu. Każda, nieco większa osada w Indyach holenderskich posiada dwa lub trzy zakłady tego rodzaju, zaopatrzone w gazety i czasopisma, gdzie europejczycy gromadzą się dla przepędzenia chłodnych wieczorów.

Na wyspie znajdują się liczne plantacye drzewa goździkowego, które wsławiło ją po całym świecie. Woda w zatoce jest zupełnie przejrzysta, a dno morskie, pokryte różnokolorowemi koralami i innemi zwierzętami, dziwnie piękny przedstawia widok, niedający się żadnemi opisać wyrazami; po za zatoką, wbrew oczekiwaniu, morze jest bardzo słabo zaludnione.

Życie na Amboynie, podobnie jak we wszystkich niemal osadach holenderskich, bardzo jest nudne. Jednostajność przerywają tylko wielkie wieczory u rezydenta, raz lub dwa razy na miesiąc wydawane dla wszystkich europejczyków i znakomitszych krajowców. Do wielkich wydarzeń należy także przybycie parowca pocztowego, oraz trzęsienie ziemi.

Po sześciodniowym pobycie na Amboynie „Challenger" 10 Października odpłynął w dalszą podróż ku północy; w trzy dni późniéj przeszedł przez równik, a nazajutrz, przepłynąwszy około wulkanicznych wysp Baczian i Tawali, wieczorem stanął w przystani wyspy

Ternate, nieopodal miasta położonego na zachodnim stoku wulkanicznéj góry, wznoszącéj się 5.000 stóp nad powierzchnią morza.

Góra u spodu łagodne ma spadki, pokryte drzewami owocowemi, wkrótce jednak stromo wznosi się w górę zorana głębokiemi bróżdami. Wygląda ona spokojnie, niemniéj jednak są w niéj czynne siły, od czasu do czasu wyrzucające strumienie lawy, a jeszcze częściéj objawiające się trzęsieniem ziemi. Ostatni wielki wybuch nastąpił 1840 roku, przyczém zniszczeniu uległo wszystko, co tylko lawa dosięgła, a poniesione szkody obliczano na 100.000 funtów szterlingów. Miasto wkrótce dźwignęło się z gruzów i obecnie liczy dziewięć do dziesięciu tysięcy mieszkańców.

Niedaleko przystani wznosi się mieszkanie rezydenta, a w pobliżu stoi budynek klubu, oraz domy europejczyków. Zwyczajem holenderskich miast w Indyach wschodnich, Ternate jest podzielone na „Kampongi“ czyli cyrkuły, z pomiędzy których południowy służy za pobyt europejczykom, północny zaś chińczykom i arabom. Tuż po za tym cyrkułem wznosi się fort Orange, wzniesiony przez portugalczyków 1607 r., a za nim ciągnie się część miasta zamieszkała przez krajowców. Nieopodal wznosi się pałac sułtana, utrzymującego dwór za pieniądze holenderskie, a jeszcze daléj, bambusowe chaty wiosek kryją się w cieniu palm kokosowych.

Do plantacyj, obejmujących wspaniałe drzewa sagowe, wysmukłe drzewa betelowe, bogate krzaki pieprzowe i kakaowe, oraz drzewa cynamonowe, muszkatowe i goździkowe, prowadzą śliczne aleje, przerzynające okolicę pokrytą okazałemi drzewami, oraz tu i owdzie porozrzucanemi chatkami krajowców.

Przed odpłynięciem korwety, rezydent Amboyny wydał wieczór na cześć członków wyprawy, na którym zebrały się wszystkie znakomitości i piękności miejscowe, tworząc dziwną mięszaninę; znajdowali się tam arabowie w pstrych turbanach i długich burnusach, dziwnie wyglądający chińczycy z długiemi warkoczami, wygoleni malaje, przybrani w lamowane kaftany, i wreszcie spokojni holendrzy w swém europejskiém ubraniu. Panie, z małym wyjątkiem, należały do rasy mięszanéj. Wprawdzie przygrywała na balu muzyka „Challengera,“ lecz płeć piękna wolała tańczyć przy żałosnych tonach miejscowéj muzyki, składającéj się z piszczałki i kilku skrzypiec.

Z wielkim żalem opuszczono gościnne Ternate. Po przebyciu cieśniny Moluckiéj i morza Celebes, korweta 23 Października przybyła do wsi Samboangan na wyspie Mindanao. Po odwiedzeniu statku przez hiszpańskich urzędników, oraz wymianie zwykłych, uroczystych wizyt, każdy mógł udać się na ląd.

Z właściwą sobie uprzedzającą uprzejmością, hiszpańscy urzędnicy poczynili przygotowania dla uprzyjemnienia gościom jedynego wieczoru, jaki mieli na wyspie przepędzić, urządzając w górnych pokojach domu kapitana przystani narodowe tańce indyan z Malagahi. Muzyka składała się z bębnów rozmaitéj wielkości, cymbałów, fletów i dziwnych skrzypców dwustrunowych. W bębny bito pałkami, struny zaś uderzano długiemi kijkami metalowemi lub bambusowemi, wydobywając z instrumentów rozmaite tony, mile i harmonijnie w ucho wpadające. Skoro wszystko przygotowano, wystąpiły tancerki, po większéj części przybrane we wspaniałe, świetne suknie, jedwabne i atłasowe, złotem haftowane. Poruszenia ich były wdzięczne i lekkie, postawa przyzwoita.

Ponieważ wypadało dotrzéć do Hongkong przed zmianą monsunu, przeto korweta, pomimo uprzejmości gospodarzy w Samboangan, następnego ranka podniosła kotwicę i przez morze Sulu popłynęła do wyspy Panay, gdzie stanęła na parę dni, dla zaopatrzenia się w węgiel.

Miasto téj wyspy w części tak nisko jest zabudowane, że ulice bywają podczas przypływu morza zalewane, a ztąd domy stoją na wysokich palach. Na przedmieściach indyanki wyrabiają z włókien ananasowych nadzwyczaj lekką tkaninę zwaną pina. Delikatne, białe nitki wyciągają z liści i sortują z największą starannością, a następnie tkają z nich materyą, podobną do cienkiego muślinu; jest to robota tak zmudna, że przez dzień nie można utkać więcéj jak pół cala.

Uzupełniwszy zapas węgla, korweta 31 Października odpłynęła do Manilli, odległéj o 350 mil morskich, dokąd przybyła 4 Listopada.

Handlowa część miasta Manilli bardzo jest piękna; posiada ona długie, ładne ulice, oraz obszerne spichlerze i składy, w których znajdują zajęcie setki kulisów i innych robotników, przenoszących paki i wyładowujących okasty. Najciekawszemi jednak są fabryki cygar. W jednéj z nich ma pracować cztery tysiące kobiét i mniéj więcéj dwa tysiące mężczyzn, w drugiéj zaś dziewięć tysięcy kobiét i siedm tysięcy mężczyzn. Uprawa i wyrób tytuniu stanowią wyłączny monopol rządu i pozostają pod ścisłym i wyłącznym dozorem władzy wojskowéj, która z największą troskliwością pilnuje zbiorów, aby robotnicy nie usuwali najlepszych liści. Liście tytuniowe przedewszystkiem poddają fermentacyi w kupach dachem nakrytych, a następnie suszą i odsyłają do fabryk.

Miasto leży w bogatéj i urodzajnéj okolicy, lecz na równi z innemi miastami tych wysp, posiada potężnego wroga w trzęsieniach

ziemi, od czasu do czasu sprawiających straszne spustoszenia, o czém w Manilli świadczą zwaliska kościołów i budynków publicznych.

Po dziewięciodniowym pobycie w Manilli, korweta 11 Listopada odpłynęła do Hongkong, dokąd, po burzliwéj przeprawie, przybyła 16 tegoż miesiąca.

Nie więcéj, jak przed pięćdziesięcioma laty, gdy Anglia obejmowała wyspę w posiadanie, była to naga skała, na któréj piraci i przestępcy szukali schronienia. Obecnie Hongkong jest ogniskiem obszernego handlu; okręty z Bombay, Kalkutty i Singapore przywożą tu najpiękniejsze płody tych krajów, dla dalszéj przesyłki do Europy, Ameryki i Australii, zkąd znowu zabiérają odpowiednie towary. Hongkong jest obecnie jedną z najbardziéj kwitnących kolonij angielskich na wschodzie, a ma jeszcze wielką przyszłość przed sobą; jest ono ostatnią stacyą pocztowych statków parowych, co tydzień wyprawianych z Anglii i Ameryki, a za pomocą podmorskiego telegrafu jest bezpośrednio połączone ze wszystkiemi niemal ważniejszemi punktami Europy.

Na północnym brzegu wyspy, nad wspaniałą zatoką, leży Wiktorya, stolica kolonii, zupełnie otoczona wzgórzami, które, jako pik Wiktorya, wznoszą się na 1.200 stóp nad poziom morza. Wzgórza przez całe pół roku zupełnie powstrzymują podmóch ożywczego wiatru morskiego, skutkiem czego Hongkong należy do najniezdrowszych kolonij angielskich. Lato jest skwarne i bardzo zdrowiu szkodliwe, a chociaż w ostatnich czasach przedsięwzięto różne środki celem poprawienia warunków sanitarnych, zawsze jednak znaczna część osady, stojących tu okrętów wojennych, utraca zdrowie, albo pozostaje w mogiłach miejscowego cmentarza „Happy Valley" (szczęśliwéj doliny).

Miasto posiada piękne ulice, a na wzgórzach stoją liczne domki bogatych kupców. Chińczycy, zawsze gotowi gromadzić się w nowo otwiéranych punktach handlowych, tłumnie przybyli z lądu stałego, aby się na skałach osiedlić, gdzie téż zbudowali oddzielne miasto.

Domy i sklepy dziwnie są zbudowane i w szczególny sposób urządzone, a nigdzie, choćby w najmniejszym i najbiedniejszym domu nie brak domowego ołtarza czyli tak zwanego „joss," oraz wielu innych, dziwnych i szczególnych urządzeń, właściwych tylko temu ludowi. Wszędzie widać tam ślady niezmordowanéj pilności i przedsiębierczości tego zadziwiającego plemienia. Na każdéj ulicy i uliczce spotyka się tych drobnych ludzi o żółtéj twarzy, śpieszących za interesami, a wszyscy noszą taką samę barchanowę suknią i spodnie, bawełniane pończochy i jedwabne trzewiki na grubych

podeszwach drewnianych. Niektórzy noszą kapelusze, inni chodzą z gołemi głowami, wygolona głowa i długi warkocz nadają wszystkim tak wielkie podobieństwo, że trudno odróżnić jednego od drugiego. Ubiór kobiét mało różni się od męskiego, mężatki w dziwny sposób zaczesują włosy, dziewczęta zaś obwijają warkocz naokoło głowy.

Skoro się rozpoczną dzienne zajęcia, powstaje zgiełk i ruch niezwykły; ulice zapełniają się niezliczoną mnogością ludzi najrozmaitszego wyznania i koloru, jako to: żydów, pogan, chrześcian, buddystów i parsów, chińczyków, japończyków i europejczyków. Kupcy na Queens Road tak są do siebie podobni, że opis jednego z nich stosuje się do wszystkich innych. Są oni pospolicie tłuści, z okrągłą twarzą i poważną miną; ubiérają się jak najbiédniejszy kulis, chociaż używają cieńszych nieco materyj; zawsze są czyści i aż do pięt spuszczają długi warkocz, ozdobiony na końcu czerwonym lub niebieskim jedwabiem.

W sklepach znajdują się najosobliwsze i najrozmaitsze rzadkości. Kupcy są pospolicie bardzo uprzejmi i pokazują wszystko co posiadają, bez względu na to, czy przychodzień ma zamiar kupować lub nie, ale z drugiéj strony żądają za towar dwa razy więcéj niż mogą wziąść. Gdy się w jakim sklepie kupiło parę drobiazgów, kupiec przy każdéj sposobności zawiązuje rozmowę, zaprasza wejść i częstuje filiżanką herbaty, albo téż jadłem.

W innéj części miasta spotyka się znowu cieśli, stolarzy, wyrabiających skrzynie kamforowe, brązowników wyrabiających półmiski, a wszędzie przechodzą sprzedający wodę sodową, jarzyny, ryby, owoce i t. p., zachwalając towar w sposób równie niedorzeczny jak w Londynie. Inni znowu noszą na kiju przenośny przyrząd kuchenny, równoważony stołem, zawieszonym na drugim końcu kija, i za mały pieniądz sprzedają obiad, złożony z mięczaków, ryżu i jarzyn, a kulisy i inni robotnicy po rogach ulic wyczekują na zarobek.

Na ulicach spotyka się także dentystów, pisarzy publicznych, wróżbitów, tandeciarzy, sprzedających wszelakie przedmioty, golibrodów, mających dużo do czynienia z goleniem głów i czyszczeniem uszów swoich klijentów, dalej nosiwodów i roznoszących musztardę, a wszyscy chodzą w narodowém ubraniu i mają długi warkocz zwieszony z tyłu, lub okręcony koło głowy.

Dużo tu jest traktierni, zajazdów i teatrów, nad któremi policya ścisły ma nadzór, przedewszystkiem jednak uwagę przybysza zwracają liczne nisze po ulicach przeznaczone dla „jossa,“ przed któremi według obrzędów znanych samym tylko chińczykom, w pewnych godzinach dnia palą pstre papiérki, oraz wonne pręciki.

Główną cechą chińczyków jest cierpliwość, z jaką umieją znosić niedostatek; doznawszy nieszczęścia, żyją samym tylko ryżem i znoszą biédę, nigdy się nie skarżąc. Rzadko zdarza się spotykać rospustnego chińczyka, a leniuchów prawie tu nie ma, albowiem pracują dopóki im sił starczy, nikogo o pomoc nie prosząc. Europejczycy często utyskują na brak pracy, czego chińczyk nigdy nie czyni, albowiem zawsze znajdzie jakieś zajęcie, i to jest powodem, że się tu rzadko spotyka żebraków.

Każdy chińczyk umie czytać, pisać i biegle rachować na przyrządzie, składającym się z gałek nawleczonych na druty, rzędami w ramie osadzone. Za pomocą tych gałek, których szeregi oznaczają jedności, dziesiątki, sta, tysiące i t. d., obliczają cenę najmniejszego drobiazgu, przesuwając gałki w tę i w owę stronę z biegłością artysty grającego na fortepianie.

Do głównych rozrywek chińczyka należy teatr, czyli tak zwany dom śpiewu. Mowa chińczyków jest bardzo muzykalna, można więc dużo spodziéwać się po ich śpiewie, lecz w rzeczywistości okazuje się wprost przeciwnie. Śpiew jest szkaradny, a muzyka instrumentowa jeszcze gorsza. Muzykanci mieszczą się na scenie wraz z aktorami i bez wszelkiéj melodii dmą w rogi i biją w cymbały, jedynie dla tego, aby tym hałasem przerywać jednostajność przedstawienia. Przedmiot sztuki, czy to tragicznéj czy komicznéj, w żaden sposób odgadnąć się nie daje, i zdaje się, że sztuka nie ma ani początku, ani końca, lecz ze swemi scenami bitew i miłości ciągnie się od dnia do dnia, dopóki nie wyczerpie cierpliwości widzów.

W chińskiéj części miasta, na ulicy Curio szczególną uwagę zwraca niezmordowana pilność i pracowitość chińczyków, pracujących w swoich sklepach, gdzie toczą i wyrzynają z kości słoniowéj, oraz wyrabiają wielce ponętne szkatułki z drzewa sandałowego, oraz różne przedmioty lakierowane, szyldkretowe, jedwabne i haftowane. Daléj ciągną się młyny zbożowe, ryżowe, farbiernie, warsztaty cieśli, parasolników, szewców, krawców, fabrykantów latarni, golibrodów i wszelakie inne zakłady rzemieślnicze, a każdy właściciel na jaskrawéj, ruchoméj tablicy oznajmia o swojém nazwisku i jakości wyrobów.

Świątynie „jossa“ bynajmniéj nie mają charakteru religijnego, lecz są to wyrocznie w rodzaju wyroczni delfickiéj.

Wewnątrz świątyni znajduje się wyobrażenie „jossa,“ umieszczone na wzniesieniu ozdobioném piórami pawiemi, a wokoło stoją długie chorągwie z pstréj materyi, obrazy, kwiaty, podarunki składające się z kawy, oleju i opium, jarzące świece woskowe, zwolna ża-

rzące się, wonne pręciki, jossowi poświęcone, koryta z dymiącemi się właściwemi papierkami, i w końcu skrzyneczki bambusowe z pęczkami małych pręcików, które są na końcach opatrzone napisami kabalistycznemi. O pewnych godzinach porannych poświęcają świątynie; jestto czas wyroczni. Do jossa przychodzi wtedy każdy, kto się wybiéra w drogę, lub zamierza załatwić jakie kupna, a pragnie dowiedzieć się, czy będzie szczęśliwe i zysk przyniesie. Szukający wyroczni oddaje jossowi cześć pokłonami, zapala świéce łojowe, lub woskowe, i składa dary; po chwili, gdy sądzi, że joss jest mu przychylny, bierze skrzyneczkę z zapisanemi pręcikami, wstrząsa ją, wyjmuje sześć pręcików i oddaje je kapłanowi czyli szeong-ti (synowi nieba), który wyszukuje znaczenia znaków w księdze tajemnic i odczytuje wolę jossa. Gdy joss ostrzega o nieszczęściu, podróż zostaje odłożona, a kupno odroczone aż do dnia szczęśliwego; gdy joss pomyślną da odpowiedź i interes dobrze się powiedzie, wtedy szczęśliwy kupiec przynosi bogaty podarunek. Tak więc, joss jest poprostu wyrocznią, a szeong-ti mądrym i przebiegłym łotrem, który woli żyć z łatwowierności swoich ziomków, aniżeli z pracy rąk własnych.

W Chinach znajduje się niezliczona mnogość świątyń buddyjskich, w których modlą się do trzech bogów: przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Posągi są pospolicie ze złoconego drzewa, w postawie siedzącéj, na wpół nagie i z wełnistemi włosami. Jeden posąg trzyma na łonie kulę świata, drugi jest ozdobiony świętą nicią, a trzeci trzyma wzniesione palce, jak gdyby ludzkość nauczał. Przed temi trzema posągami pospolicie stoją trzy mniejsze, z których jeden wyobraża boginią łaski, drugi boga wojny, a trzeci opiekunkę marynarzy. Przed posągami stoi wysoki stół na świéce i kadzidła; pośrodku bundynku stoi wielki metalowy kocieł dla palenia pstrego papiéru, a przy nim znajduje się wielki dzwon, w który uderzają, zwiastując przybycie jakiéj znakomitéj osoby. Oprócz tego wszystkiego, w świątyni znajdują się jeszcze maty i poduszki, na których pobożni klękają.

Chińczycy nie mają peryodycznie powtarzających się świąt, odpowiadających naszéj niedzieli, i jedyną przerwą w ciągłéj ich pracy jest uroczystość Nowego Roku, który zwykle cały tydzień świętują.

Po siedmiotygodniowym pobycie w Hongkong, wyprawa odpłynęła do Manilli 6 Stycznia 1875 r., mając nowego dowódcę w osobie kapitana Thompson, albowiem kapitan Nares został powołany na przywódcę wyprawy do bieguna północnego, wysyłanéj w owym czasie przez rząd angielski.

Pięciodniowa podróż do Manilli, z powodu wzburzonego morza, mało sprzyjała poszukiwaniom naukowym, niemniéj jednak udało się kilkakrotnie sondować morze i mierzyć temperaturę jego wody w różnych głębokościach. Przybywszy do Manilli 11 Stycznia, członkowie wyprawy zawiadomili hiszpańskich urzędników o powołaniu na tron hiszpański don Alfonsa, o czém za pomocą telegrafu dano znać z Anglii admirałowi Shadwell w Hongkong. Wiadomość była przyjęta obojętnie, a władze nic nie przedsięwzięły celem obwieszczenia jéj ludowi. Wieczorem 14 Stycznia podniesiono kotwicę, a następnego dnia korweta przebyła wąską cieśninę San Bernardino. Z lewéj strony ciągnęła się wyspa Luzon z wspaniałym wulkanem Taal, oraz licznemi wulkanicznemi szczytami, pokrytemi lasem do samego wierzchołka; pomiędzy górami dawały się spostrzegać niskie płaskowzgórza, tu i owdzie pokryte pięknemi grupami domów, oraz polami z żółtawą trawą lub zieloną trzciną cukrową. Z prawéj strony leżała wyspa Cabra i Lubang, oraz obszerna i dzika wyspa Mindoro, zamieszkała przez niebezpieczne plemię, małouprawna, lecz za to obfitująca w jelenie i dziki. Po czterodniowéj żegludze korweta przepłynęła koło małéj wysepki Matan, na któréj królowa Izabella II wzniosła pomnik Magelhanowi, który tu życie zakończył, i wkrótce zawinęła do miasta Cebu, położonego na wyspie tegoż nazwiska. Wyspa zdaje się być najpiękniejszą w całym archipelagu Filipińskim, ale miasto, liczące 35.000 mieszkańców, nie posiada żadnych piękniejszych i obszerniejszych domów, lecz składa się jedynie z walących się chat i starych budynków, gdzie biéda z każdego kąta wygląda. Głównym przedmiotem handlu są miejscowe konopie, chociaż zresztą uprawiają tu wiele kawy i tytuniu. Na wyspie znaleziono także węgiel kamienny dosyć dobrego gatunku, który mógłby być bardzo korzystnie wywożonym, gdyby nie trudność dostania sił roboczych, dająca się uczuwać na wszystkich w ogóle wyspach Filipińskich. Krajowcy nie potrzebują pracować, albowiem banany, orzechy kokosowe i bambus, dostarczają im wszystkiego, czego potrzebują do żywności i mieszkania, gdy zaś zapragną nieco ryżu i ryby suszonéj, tedy półdzienny zarobek wystarcza im na kupno tych przedmiotów przez cały tydzień. Ziemia jest po nad wszelki wyraz urodzajna, i to bogactwo, które krajowców prawie zupełnie uwalnia od pracy, dostarcza kupcowi cennych płodów, otrzymywanych bez wielkiéj pracy i wydatku.

W Cebu wyprawa powzięła wiadomość o wybuchu wulkanu na wyspie Camiguin, położonéj w pobliżu Mindanao, udała się tedy na miejsce dla zbadania tego zjawiska. Wyspa Camiguin 1871 roku

doznała kilku gwałtownych wstrząśnień, poczém nastąpił wybuch wulkanu, którego krater stopniowo wzniósł się do wysokości 2.000 stóp, a podstawa jego powoli zasypała całe miasto Camiguin, liczące niegdyś do 10.000 mieszkańców. Od czasu wybuchów wulkanu, wyspa, dawniéj najpłodniejsza i najbogatsza z całego archipelagu, prawie zupełnie opustoszała; domy są po większéj części poobalane a plantacye ryżu i konopi opuszczone i zielskiem zarosłe. Naokoło wulkanu, drzewa i w ogóle cała roślinność wyginęła w skutek wyziewów siarkowych.

Z Caminguin korweta pożeglowała do Samboanga na wyspie Mindanao, odległéj 250 mil morskich. Miasto niewielką ma przyszłość, albowiem widać tam brak kapitału, a zakłady handlowe są na małą skalę prowadzone. Wnętrze wyspy mało jest znane, albowiem posiadłości hiszpańskie zdają się ograniczać na wąskim pasie wybrzeża. Hiszpanie pozwalają rajahom rządzić dzikiemi pokoleniami malajów, mało więc wpływają na cywilizacyą ludności, ani też wyzyskują bogactwa wyspy, która według wieści ma posiadać kopalnie złota, srebra i rtęci.

Pierwotnie zamierzano udać się z Mindanao do wyspy Greenwich, dla zbadania nowéj drogi z Australii do Chin i Japonii, lecz z powodu słabego i po większéj części nieprzyjaznego wiatru zamiaru tego zaniechano i skierowano korwetę ku Nowéj Gwinei. 23 Lutego spostrzeżono górę Cyklopów, wysoką 6.000 stóp, a następnie przylądek Caille i przylądek Bonpland, pomiędzy któremi znajduje się wejście do zatoki Humboldta, gdzie korweta stanęła na kotwicy. Dumont d'Urville, jako kapitan francuskiego okrętu Astrolabe, 1827 r. pierwszy zawinął do téj przystani i miejscowościom nazwy ponadawał; następnie 1858 r. odwiedził ją holenderski parowiec wojenny Etna, poczém dopiéro Challenger zawinął do przystani 1875 roku.

Ląd, przed którym stała korweta, dotychczas mało, albo wcale nawet nie był dotknięty nogą europejczyka, gorącém więc było życzeniem członków wyprawy bliżéj go zbadać pod wszelkiemi względami, lecz losy inaczéj zrządziły.

Pierwszego ranka, po zarzuceniu kotwicy, jakie ośmdziesiąt łodzi otoczyło korwetę, która, dla wynalezienia lepszego stanowiska, ku wielkiemu przerażeniu krajowców, zwolna ruszyła w głąb' przystani. Skoro kotwicę zarzucono, dzicy rozpoczęli żywy handel wymienny, dający powód do wrzasku, przechodzącego wszelki opis. Zwolna wzrastała chciwość dzikich, którzy gotowi byli oddać wszystko co posiadali za zardzewiałe obręcze żelazne, małe siekierki, noże,

paciorki i t. p. przedmioty. W ogóle dzicy okazywali się bardzo uczciwymi w całym tym handlu.

Przedsięwzięto wylądowanie, celem zbadania wspaniałych lasów, lecz skoro szalupy zbliżyły się do lądu, natychmiast otoczyły je łodzie dzikich, którzy chwytali wszystko, co tylko dosięgnąć mogli. Oczéwiście dzicy chcieli nieprzyjaznemi demonstracyami przeszkodzić wylądowaniu, albowiem ponaciągali łuki i grozili strzałami. Nie widząc możności doprowadzenia zamiaru do skutku, szalupy z wielkim smutkiem powróciły do okrętu. Późniéj znowu próbowano wylądować we wsi, położonéj na przeciwnym brzegu zatoki. Wprawdzie dzicy, stojący na platformie łączącéj pojedyncze chaty, groźnie się z początku zachowywali, lecz następnie pozwolili wysiąść na ląd, gdzie natychmiast przybyszów otoczyli i przez wieś przeprowadzili. Dzicy byli ciemno-brunatnego koloru, niskiego wzrostu, lecz dobrze zbudowani; włos mieli wełnisty i po większéj części pomazany czerwonym proszkiem, czoło proporcionalne, nos szeroki i płaski, wielkie nozdrza, pospolicie ozdobione kłami dzika, grube wargi i mało wystającą brodę; niektórzy mieli małe faworyty i wąsy. Dużo mieli na sobie ozdób, lecz ze szczególném upodobaniem zdają się przystrajać kwiatami i silnie pachnącemi roślinami. Twarz i ciało mieli pomalowane, a mianowicie po większéj części mieli pionową pręgę przez czoło; każde oko kółkiem otoczone, oraz pojedyncze plamy koło ust i na całém ciele, co szczególnie ich szpeciło. Stroją się oni także w pasy i napierśniki z piór kazuarowych, lub psich kości; jako téż w chorągiewki z liści pandanowych. Oprócz tego noszą rozmaicie ufarbowane, gęste peruki z kędzierzawych włosów, naramienniki z trawy plecione, oraz naszyjniki z muszli, czarnych nasion, lub psich zębów.

Prawie wszyscy byli uzbrojeni w łuki i strzały. Łuki są wyrobione z czarnego i mocnego drzewa o gęstym słoju, cięciwa zaś z bambusu. Strzały mają końce z orzecha kokosowego, lub bambusu, osadzone w lekkiéj trzcinie i przymocowane za pomocą pięknéj plecionki z trzciny; groty strzał są ponarzynane, a często w ten sposób urządzone, że się w ranie obłamują.

Mężczyzni chodzą zupełnie nago, kobiéty zaś noszą fartuchy, mające stopę kwadratową powierzchni; kobiéty mają włosy krótko obstrzyżone i żadnych nie posiadają ozdób, które, jak się zdaje, są wyłącznym przywilejem mężczyzn.

Wieś, składająca się z dwónastu do dwódziestu chat o wysokich dachach, była umieszczona na platformie, wznoszącéj się po nad wodę na cienkich palach i połączonéj z lądem za pośrednictwem mostu.

Ponieważ dzicy uchodzą za zdradzieckich, przeto podróżni nie zapuścili się na ląd, lecz w towarzystwie licznéj flotylli czółen powrócili do okrętu. Czółna papuasów, wyrobione z jednéj sztuki bambusu, bywają długie 20 do 30 stóp i tylko 18 cali szerokie, a na brzegach dwóch czółen spoczywa mała platforma na jednę lub dwie osoby. Wiosła są długie na 6 stóp i często pięknie wyrobione i fantastycznie wyrzynane.

Ponieważ nie można było liczyć na pomyślne wylądowanie, korweta nie bawiąc dłużéj odpłynęła do wysp Admiralskich i 3 Marca zatrzymała się przy jednéj z nich, nadano jéj nazwę Wild Island (dzika wyspa), a saméj zatoce nazwę Nares Harbour (przystań Naresa) na cześć poprzedniego przywódcy wyprawy.

Następnego dnia o wschodzie słońca powtórzyła się scena z zatoki Humboldta. Korwetę otoczyli krajowcy, którzy, sprawiając ogłuszający hałas, w zamian za drobiazgi europejskie ofiarowywali swoje wyroby, jako to: włócznie, kamienne noże i siekiery, pięknie wyrzynane naczynia do picia, modele czółen i t. p. Wkrótce okazało się, że z dzikimi łatwo wejść w przyjazne stosunki, więc téż bez zwłoki przystąpiono do wylądowania, zawsze jednak uzbroiwszy się od stóp do głów, albowiem dzicy należą do tego samego szczepu co i wyspiarze archipelagu Salomona, których podróżnicy opisują, jako nieprzyjacielskich i zdradzieckich. W rzeczy jednak saméj, dzicy wkrótce zaprzyjaźnili się z przybyszami i nie przeszkadzali im nawet zaglądać do chat, gdzie siedziały ich żony i dzieci.

Wieś składała się z wielu chat zbudowanych z pni drzewnych i dobrze pokrytych liśćmi palmowemi; pospolicie trzy, lub cztery chaty opasuje wspólny płot z liści palmowych upleciony. Drogi i place w osadzie były wysypane białym piaskiem, a nawet wewnątrz zagród dawały się spostrzegać słabe próby zakładania ogrodów, albowiem rosły tam krzaki świetnie kwitnące.

Krajowcy mają czarniawo-brunatną skórę, nieco ciemniejszą od mieszkańców zatoki Humboldta, lecz wyraz ich twarzy jest inteligentny, często nawet przyjemny. Nie mają oni ani łuków, ani strzał, a całe uzbrojenie składa się z włóczni z obsydianowym grotem. Ubiór dzikich jest bardzo prosty; kobiéty noszą pas, od którego aż do kolan zwieszają się liście i trawa, mężczyzni zaś noszą tylko wielką, białą muszlę (Ovulum ovum), oraz naramienniki plecione z trawy, lub kory drzewnéj, jako téż podobnie uplecione pasy. Niektórzy posiadali naramienniki z dużych muszli szlifowanych i podobne ozdoby nosili na szyi i w uszach, które niekiedy tak dalece bywają wyciągnięte, że prawie do ramion sięgają. W przedziurawionéj przegrodzie nosowéj noszą sznurki z zębami psiemi, sięgające

daleko poniżéj ust, albo téż przetykają przegrodę długą kością, a na plecach zawieszają kości ludzkie, ozdobione różnemi piórami. Do smarowania całego ciała używają farby, prawdopobnie przygotowanéj z oleju palmowego i węgla drzewnego, lub wapna z muszli palonego.

Mieszkańcy Dzikiéj Wyspy, zwłaszcza mężczyzni, ze szczególną starannością zaczesują włosy, w których pospolicie noszą grzebień drewniany, długi na jednę stopę, z sześcioma długiemi zębami i grzbietem ozdobionym piórami lub wstęgami. Wszyscy mieli łopatki i ramiona grubo tatuowane. Z początku zdawali się bardzo dziwić białemu kolorowi skóry przybyszów; mniemali oni, że kolor ten zależy od pomalowania ciała białą farbą i prawdę poznali dopiéro wtedy, gdy się należycie zbliżyli i obmacali skórę palcami. Jestto fakt przemawiający za tém, że nigdy jeszcze białych ludzi nie widzieli. Dzicy, mieszkania, broń, naczynia i bałwany bożków ozdabiają czarną, białą i czerwoną farbą.

Nigdzie nie było widać grobów, ani można się było na pewno przekonać, gdzie swych trupów składają, wszakże znakami dawali poznać, że za najlepsze uczczenie pamięci przyjaciół i krewnych, uważają pożéranie ich ciała; tak mianowicie dzicy stawiali na ogniu duże gliniane naczynie, pokazywali jakoby ciało na części rozcinali, kładli do naczynia i pożérali. Zresztą chętnie sprzedawali czaszki i w ogóle byli gotowi na wszelką ofiarę, byle dostać obręczy żelaznych.

Nie wiadomo czy jaki europejczyk odwiedził wyspy od 1792 roku, w którym to czasie D'Entrecasteaux zawinął do jednéj z nich, lecz ani wysiadł na ląd, ani mógł skłonić krajowców do wejścia na pokład, gdy tymczasem podczas bytności Challengera dzicy zawsze byli życzliwi i przyjacielscy, chętnie przychodzili na pokład i dawali się fotografować, ważyć i mierzyć.

Po całotygodniowym pobycie w zatoce Naresa, poświęconym pomiarowi wysp oraz rozmaitym wycieczkom, korweta 10 Marca odpłynęła w dalszą drogę do Yokahama w Japonii.

Zamierzano odwiedzić po drodze wyspy Karolińskie i Rozbójnicze, lecz na przeszkodzie stanęły zmienne, a stale nieprzyjazne wiatry. Podczas téj nudnéj przeprawy, trwającéj 32 dni, natrafiono na największą z wymierzanych głębin, wynoszącą 4.475 sążni; wielkie ciśnienie wody popsuło termometry, tak że jeden tylko ocalał, pokazując temperaturę znacznie niższą na dnie morskiém niż na powierzchni. W końcu, 11 Kwietnia, korweta weszła do zatoki Yedo.

W zatoce korweta przepływała koło malowniczych wysp z porozrzucanemi domkami rybackiemi, oraz koło miast, mających swoję

historyą z czasów dawniejszego pobytu europejczyków jako to: koło Yokosuka, Kanagawa, Treaty Point, Mandarin Bluff itd. Gdy korweta stanęła w przystani, oczy podróżnych uderzył dziwny widok niewidzianych dotychczas domów i ulic, nieznanéj im fizionomii ludu, jego ubioru i obyczajów, wszystko to było zupełnie odrębne i nowe, nawet porównanie z Hongkong.

Miasto Yokohama przed niedawnym czasem powstało z małéj wsi rybackiéj, a obecnie posiada już dużo pięknych budynków, jako to: wielki ratusz, urząd celny i pocztowy, mieszkania urzędników i obcych konsulów, biόra telegraficzne, banki, kilka kościołów, dworzec kolei żelaznéj, nawet tor wyścigowy i ogrody publiczne. Ulice miasta, czy to w części europejskiéj, czyli téż japońskiéj, są szerokie, gazem oświetlone i posiadają najrozmaitsze sklepy i składy z wyrobami jedwabnemi, bronzowemi, lakierowanemi porcelanowemi i rzadkościami.

Cmentarz w Yokohama zasługuje na szczególną uwagę, albowiem jego nagrobki i tablice pamiątkowe są obrazem burzliwych dni i niebezpieczeństw, jakie tu musieli przeżyć pierwsi osadnicy europejscy, którzy nie mogli wysunąć się po za osadę, albowiem zawsze czatował na nich zbójca, czyli tak zwany *ronin*, równie tchórzliwy jak krwiożerczy, zdradziecko napadający na swą ofiarę.

Przy wejściu do cmentarza wznosi się najokazalszy pomnik pewnego zamordowanego oficera rosyjskiego; daléj spoczywają dwaj kapitanowie holenderscy zabici w Benten, major Baldwin i porucznik Bird, zamordowani w pobliżu Kamakura, Richardson rozsiekany przy Kawasaki, oraz jedénastu francuskich żołnierzy rozstrzelanych przy Osaka. Nadto stoi tam wiele nagrobków mających historyczne znaczenie, ze względu na historyą pierwszych osad europejskich w Japonii.

Koléj żelazna prowadzi z Yokohama do Szinbaszi, zkąd nowomodnym japońskim powozem „dżinirikisza,“ za ćwierć dollara dojeżdża się do Yedo. Droga prowadzi pośród szeregu sklepów, podobnych do zwyczajnych bud jarmarcznych, w których sprzedają przedmioty codziennego użycia, jako to: parasole, wachlarze, obówie i jadło, a nadto koszyki, wyroby lakierowane i kamienne, zabawki i szklane ozdoby. Na przedmieściu Yedo każdy domek jest otoczony pięknie i gustownie urządzonym ogrodem.

Po za pałacem cesarskim, w najwyższym punkcie miasta, wznosi się warownia, z któréj widać całą wspaniałą panoramę ogromnéj téj stolicy. Po za miastem mnóstwo jest letnich mieszkań, składających się z pięknego, strzechą pokrytego domku, ocienionego niezli-

czonemi drzewami owocowemi i porośniętego pnącemi się roślinami; nadto każdy domek otaczają nader gustowne kwatery kwiatów.

Na końcu długich alei, pomiędzy ogromnemi drzewami kamforowemi i cedrowemi, dają się spostrzegać błyszczące świątynie, przed któremi spoczywają kapłani ociężałej powierzchowności, ubrani w przezroczyste jedwabne materye; za małém wynagrodzeniem chętnie pokazują oni wnętrze tych buddyjskich świątyń.

Podłogę świątyni zaściełają maty, a słupy bogato są lakierowane i złocone. Las sztucznych kwiatów otacza niszę zastawioną porcelanowemi i złotemi naczyniami, oraz jarzącemi świecami, w której stoi złocony posąg. W świątyni stoją liczne skarbonki, do których pobożni wrzucają pieniądze nie ze względów miłosierdzia, lecz dla dostarczenia kapłanom środków na wyżywienie zgłodniałych złych bogów. Naokoło świątyni znajdują się piękne groty, otoczone drzewami wawrzynowemi, cytrynowemi i morelowemi; miniaturowe mosty prowadzą przez strumyki i stawy rybne; a ogromne lichtarze kamienne i bronzowe nadają całości nader imponujący pozór. Do największych i najsłynniejszych należy świątynia Asakusa. W pobliżu téj świątyni ciągną się długie ulice bardzo ożywione, z każdéj strony obstawione straganami z jadłem i naczyniami z wodą, a wszystko to, podobnie jak porozwieszane ręczniki, jest przez kapłanów poświęcone. Przed budynkiem, zdobnym w złoto, inkrustacye i starannie wyrzynane dachy i słupy, stoi wielki bronzowy posąg buddy. Święta nisza, przed którą modlą się tłumy pobożnych, jest zasłonięta wielką kratą drucianą. Sposób okazywania czci jest bardzo dziwny, pobożni kupują od kapłanów małe, czworokątne papierki z pewnym hieroglificznym napisem, żują je przez chwilę, a następnie urobiwszy w kulkę rzucają niemi w kratę, na której widać liczne ślady tego niechlujnego obyczaju. Stosownie do tego, czy kulka trafia w kratę, lub wpada przez jéj oka do niszy wróżą o mającém nastąpić szczęściu, lub nieszczęściu.

Tuż obok świątyń stoją wielkie budynki, w których odbywają się walki, stanowiące jednę z najulubieńszych rozrywek japończyków. Pośród budynku wznosi się platforma, mająca 10 do 12 stóp średnicy. Na dany znak występuje dwóch zapaśników, wysokiego wzrostu, którzy z początku wzajemnie przyglądają się sobie, niecierpliwie bijąc nogami w podłogę; następnie chwytają się i rozpoczynają walkę, kończącą się tém, że jeden z nich zostaje ze wzniesienia zepchnięty. Powtarza się to co godzina: widzowie, podobnie jak w teatrach, zasiadają na cały dzień, a służba ciągle obnosi ryż, ryby i inne pokarmy.

Wyszedłszy za miasto Spry, wraz ze swym przyjacielem w Yedo zamieszkałym, wstąpił posilić się do kawiarni, położonéj po nad rzeką. W kawiarni spotkali towarzystwo znajomych pań i panów japońskich, którzy zaprosili ich do przyjęcia udziału w zamówionym posiłku. Zaproszenie chętnie przyjęto, lecz niemałe było przerażenie Anglików, gdy w lakierowanych miseczkach podano mięszaninę, składającą się z gotowanéj i surowéj ryby, ryżu, morszczyzny i soku soja, a potém kręgi jakiéjś dziwnéj substancii, co do któréj nie można było stanowczo określić, czy była przyrządzona z ryb, ptastwa, albo téż warzywa. Usługujące dziewczęta bardzo były rade z zakłopotania przybyszów i ciągle ich jadłem częstowały, lecz w końcu okazało się, że mięszaniny dadzą się spożywać. Na deser podano brzoskwinie, jabłka, morele i słodycze, a następnie herbatę i krótkie fajki z wonnym japońskim tytuniem. Następnie wystąpiły tancerki, lecz muzyka tak była nieharmonijna, że nie można było długo jéj słuchać.

W handlowéj części miasta niezliczone sklepy są przepełnione najrozmaitszemi przedmiotami najdoskonaléj wykonanemi, jako to: wyrobami lakierowanemi, porcelanowemi, koszykarskiemi, bronzowniczemi, wspaniałemi materyami jedwabnemi, haftami, rzeźbami z kości słoniowéj lub drzewa itd. Przekupnie uliczni, noszący towar na trzcinach bambusowych, lub rozstawiający go na rogach ulic, zawsze mają bogate zapasy. Akrobaci i kuglarze zabawiają zgromadzone tłumy, a opowiadacze powieści prawią ciekawym słuchaczom o wypadkach, przypominających cudowne historye z tysiąca i jednéj nocy. Ulice zapełniają setki oficerów armii i marynarki, oraz urzędników cywilnych, przybranych w europejskie mundury złotem obszywane, ze złocistemi guzikami i oznakami stopnia; nawet policyanci i żołnierze są ubrani na sposób europejski. Wreszcie po ulicach kręcą się powozy (dżiniriki), kulisy i tragarze, ciągnący wózki wyładowane towarami wszelkiego rodzaju.

Wieczorem ulice są pełne życia i ruchu, wszędzie widać ludzi śpieszących do domu, lub udających się do rzęsisto oświetlonych łazienek przez ściany których widać mnóstwo kąpiących się mężczyzn i kobiét. Kawiarnie napełniają się, a na ulicy we wszystkie strony poruszają się jaskrawo i dziwacznie pomalowane latarnie, albowiem istnieje prawo, mocą którego za nadejściem ciemności każdy obowiązany jest nieść latarnię z wypisaném nazwiskiem właściciela.

Podczas swego pobytu w Japonii Challenger udał się do doków Yokosuka, dla dokonania niektórych napraw. W warsztatach Yokosuka zaprowadzono wszelkie ulepszenia nowoczesnéj mechaniki,

i w ciągu niewielu lat położono pierwsze podstawy floty parowéj. W Yeddo znajduje się szkoła marynarki, w Yokosuka zaś filja téjże szkoły, a obiedwie pozostają pod zwierzchnictwem oficerów marynarki angielskiéj.

W pobliżu Yokosuka, we wsi Hemi-Mura, znajdują się groby Will Adamsa i jego żony japonki. Adams pierwszy z pomiędzy anglików przybył do Japonii. Jako marynarz 1607 r. odpłynął on z dużą flotą holenderską, i po bardzo trudnéj przeprawie do Japonii przybył tylko okręt, na którym się Adams znajdował. Z początku Japończycy okrutnie się obchodzili z przybyszami, lecz następnie traktowali ich po przyjacielsku, a Adams, posiadający pewne wiadomości matematyczne i znajomość sztuki budowania okrętów, taką zyskał miłość szoguna, że został wyniesiony do wysokich godności. Żył on w Yeddo długie lata, powszechnie przez ludność kochany, a że nie miał już do kraju powracać, więc pojął za żonę japonkę. Mieszkańcy Tokio swoim kosztem wystawili mu nagrobek i dotychczas co rok na jego cześć uroczyście obchodzą dzień 15 Czerwca.

Siedm mil (angielskich) daléj w dolinie, otoczonéj wzgórzami, leży Kamakura, klasyczna ziemia japończyków, albowiem tutaj rozegrywały się ważniejsze wypadki japońskéj historyi i historycznych podań, lecz obecnie zaledwie pozostały ślady dawnéj wielkości miasta. Mniéj więcéj o milę daléj leży wieś Hasemura, przy któréj stoi sławny posąg bronzowy buddy, nazywany przez japończyków daibutsu. Posąg ma przeszło pięćdziesiąt stóp wysokości, a w jego wnętrzu mieści się świątynia, obejmująca wiele złoconych bożków, oraz zwitki papiéru zapisanego modlitwami i ślubami wiernych. Kapłani sprzedają historyczne księgi, oraz fotografie wielkiego bożka.

Kawiarnie w pobliżu tego miejsca są bardzo miłe tak dla pięknych ogrodów, jako téż dla wspaniałego widoku na okolicę, lecz przekąski i napoje nie bardzo odpowiadają europejskim wymaganiom. Przekąski składają się z ciastek, ryb i jarzyn, oraz słodyczy bardziéj dla oka, niż smaku przyrządzonych. Z napojów sprzedają herbatę, w smaku podobną do odwaru z popiołu, która według japończyków ma być zdrowsza od używanéj przez europejczyków, oraz odwar z kwiatu morelowego jeszcze gorszy od herbaty, albowiem zebrane kwiaty kładą do soli, aby w razie potrzeby przyrządzać z nich słaby odwar. Wreszcie, można tam dostać wódki z ryżu pędzonéj, czyli tak zwanego saki, ulubionego napoju japończyków.

Po dokonaniu naprawy okrętu, wyprawa 10 Maja udała się do Hiogo, lecz zaledwie wypłynęła na otwarte morze została zaskoczo-

na przez gwałtowną burzę, która zmusiła ją schronić się do zatoki Usima. W nocy wypogodziło się, i korweta, opłynąwszy przylądek Siwo Misaki, południowy cypel Niponu, weszła do kanału Kii, a następnie stanęła na kotwicy w zatoce Osaka, koło miasta Kobe.

Podczas pobytu Challengera w téj przystani przypadły dni uroczyście obchodzone, co dało sposobność przyjrzéć się religijnym obrzędom i tyle sławnym procesyom japońskim. Ulice ozdobione pstremi chorągwiami i festonami pstrych latarni; kulisy na bambusowych tragach nosili małe świątynie złocone i inkrustowane, poświęcone miejskim bóstwom, oraz dziwnie powyrzynane wózki z muzykantami, wydobywającemi z instrumentów niemiłe i disharmonijne tony; pstro ubrane chłopaki i dziewczęta ciągnęły wozy, w których siedzieli sławni ludzie, kapłani i inne osoby, a damy i kawalerowie zamykali pochód, siedząc w noszach ozdobionych niezliczonemi chorągwiami. Od czasu do czasu zatrzymywano się przed domem jakiego dygnitarza, gdzie po odczytaniu stosownéj odezwy następowały przedstawienia teatralne i tańce. Tego rodzaju procesye powtarzały się przez kilka dni, trwając aż do chwili, w któréj miasto latarniami iluminowano. Japończycy wierzą, że swemu bóstwu najlepiéj się zasłużą zawsze szczęśliwie żyjąc i nie naprzykrzając się ciągłemi prośbami i modłami; są oni przekonani, że bóstwo z przyjemnością widzi każdego przy niewinnéj rozrywce.

Pewnego dnia podróżni otrzymali zaproszenie od niejakiego Mumagami, jednego z najznakomitszych mieszkańców miasta i brata wielkiego kapłana z Hongandżi Kyosta. Za przybyciem gości służba powitała ich w przedpokoju miejscowym obyczajem, kładąc rękę na kolanie i goleni i jednocześnie silnie wciągając powietrze, poczém przybycie gości oznajmiono gospodarzowi, który wyszedł dla powitania ich. Następnie przybyłych przedstawiono damom, a mianowicie dwóm siostrom gospodarza, Noriko i Sacziko, oraz obecnym ich przyjaciółkom. Były to piękne kobiéty, zwłaszcza téż jedna z nich, piękna brunetka, wspaniale przybrana w świetne, lecz mile w oko wpadające kolory.

W maleńkich filiżaneczkach porcelanowych przyniesiono herbatę, oraz słodycze i saki, a następnie w rozmaitych złoconych i lakierowanych miseczkach podano jarzyny, kaczki, słodkie galarety, morszczyznę i ryby. W końcu podano fajki i tytuń, a kobiéty dały przykład w paleniu.

Przy pożegnaniu panie nisko się skłoniły i wyrzekły parę wyrazów w swoim języku; gospodarz odprowadził gości do bramy, życząc im dobrego powodzenia.

Podczas pobytu w zatoce odwiedzono także miasto Osaka, regularnie zabudowane i urządzone, stosownie do zwyczaju japońskiego. Korweta 2 Czerwca znowu powróciła do Yokohama dla nabrania węgli i zapasów żywności na dłuższą podróż. Przed opuszczeniem przystani osada zaprosiła osiadłych w Yokohama europejczyków, kilku urzędników japońskich, oraz marynarzy amerykańskich, francuskich i japońskich, celem pokazania sondowania, zaciągania włokiem i innych czynności wyprawie właściwych. Przy sprzyjającéj pogodzie wycieczka doskonale się powiodła ku powszechnemu zadowolnieniu.

Wkrótce potém, 16 Czerwca, korweta opuściła zatokę Yokohama, udając się do wysp Sandwich.

Z początku zdawało się, że podróż będzie pośpieszna, wkrótce jednak nieprzyjazne wiatry zaczęły ją znacznie opóźniać, tak że dopiéro 27 Lipca korweta zawinęła do wyspy Oahu, będącéj siedliskiem rządu wysp Sandwich.

Wzdłuż przystani stoją drewniane piękne domki i z trawy zbudowane chatki krajowców, a po obu stronach ciągnie się miasto Honolulu, nawpół zakryte palmami, bananami, drzewami chlebowemi i innemi, po nad które wystają tylko publiczne budynki i wieże kościołów. Miasto leży na niskim pasie ziemi u stóp kilku wulkanicznych pagórków. W roku 1830 Honolulu składało się z niewielu chat, obecnie zaś liczy 15.000 mieszkańców.

Drobny handel po większéj części pozostaje w ręku Amerykanów i Chińczyków, znaczne przynosząc zyski. Znajdują się tu także ludwisarnie, fabryki żelaza i inne zakłady przemysłowe, oraz parowa pralnia, zatrudniająca 30 ludzi, co tydzień piorąca czterdzieści do pięćdziesięciu tysięcy sztuk bielizny. Na sześć czasopism wychodzących w Honolulu, dwa wychodzą co miesiąc, a cztery co tydzień. Miasto posiada nadto bibliotekę publiczną i czytelnią, towarzystwo straży ogniowéj, teatr i inne miejsca rozrywek, a życie towarzyskie, piéniądze, hotele i t. p. są urządzone na sposób amerykański.

Król Kalakua sprawuje rządy monarchiczne, posiadając dwór złożony z radców tajnych, radców stanu, oraz wielu innych dygnitarzy, a nadto każda wyspa posiada swego vicekróla. Ciało prawodawcze składa się z 45 członków,—30 z wyborów, 15 dożywotnich, przez króla wyznaczonych. Ministeryum zależy od woli króla, a nie od większości sejmu. Głosować może każdy mężczyzna umiejący czytać i pisać, oraz posiadający co najmniéj 75 dollarów rocznego dochodu.

Królowie nie wstępują na tron drogą następstwa, jak to ma miejsce w Europie, lecz następcę wyznacza poprzedni król, albo też

wyboru dopełnia ciało prawodawcze. Gdy królowa Lunalito umarła 1874 roku, nie wyznaczywszy następcy, stawiło się dwóch kandydatów do tronu: Emma, wdowa po Kamehamcha IV, i Dawid Kalakua, który otrzymał 39 głosów, a Emma tylko 6. Stronnicy téj ostatniéj wszczęli zaburzenia, które wszakże wkrótce przytłumiono przy pomocy majtków i żołnierzy wojennych okrętów angielskich i amerykańskich; po uwięzieniu wichrzycieli, wszystko powróciło do porządku.

Dochody państwa wynoszą 500.000 dollarów, z których król pobiéra listy cywilnéj 50.000 dollarów rocznie, a każdy minister 5.000 dollarów pensyi.

Położenie miasta nie jest szczególnie piękne; lecz niedługa przejażdżka przez piękną dolinę Nuanu do tak zwanéj Pali pozwala z łatwością zamienić kursa miejskich ulic na rozkoszny pobyt wśród wspaniałych i rozległych widoków.

Co dzień, zwłaszcza w sobotę, tłumy wesołych krajowców obojéj płci cwałują po drogach. Kobiéty zdają się jeszcze lepiéj jeździć od mężczyzn, dosiadając konie zupełnie w ten sam sposób; ich jaskrawe suknie jak chorągwie powiéwają za niemi, a kwiaty i wieńce ozdabiają kruczy włos.

W ogóle, krajowcy wysp Sandwich lepiéj wyglądają od wyspiarzy daléj na południe zamieszkałych; mają oni nos mniéj spłaszczony, mniéj wystające wargi, bielszą skórę, oraz więcéj inteligencyi i dobrotliwości w rysach twarzy i łatwiéj od innych wyspiarzy Polynezyi przyjmują cywilizacyą europejską.

Z budynków publicznych przedewszystkiém zasługują na uwagę gmachy ciała prawodawczego, wzniesione w europejskim stylu, według planów budowniczego z Sydney. Rząd, mając fundusze do rozporządzenia, wzniósł obszerny hotel, który ma przyciągać przybyszów, dostarczając im miłego schronienia. Jestto piękny budynek dwupiętrowy, bogato ozdobiony werendami i pnącemi się roślinami, wszystkie niemiłe dla oka miejsca są zasłonięte rozmaitemi pięknemi kwiatami, a plac naokoło hotelu wysadzono egzotycznemi drzewami.

Honolulu posiada kilka kościołów. Na wyspach przeważa religia katolicka, zaszczepiona przez francuzów 1847. Następnie 1862 wprowadzono kościół anglikański i utworzono dyecezyą, lecz niewielu jest zwolenników tego wyznania. Wreszcie, metodyści także posiadają swój kościół, ale podobno mało mają zwolenników.

Królewski pałac Jolani składa się z małego budynku drewnianego, otoczonego małym, ogrodzonym placem, lecz wkrótce ma stanąć większy pałac.

Podczas pobytu Challenger'a w Honolulu, król odwiedził korwetę; był on przybrany w zwyczajne suknie i miał na sobie tylko jednę gwiazdę orderu Kamehameha, gdy tymczasem jego świta, składająca się z gubernatorów, ministrów i innych dygnitarzy, była przybrana w świetne mundury ze złotemi galonami, szlifami i pióropuszami. Skoro król wszedł na okręt, wywieszono na wielkim maszcie królewską flagę, majtkowie stanęli na rejach, a muzyka zagrała narodowy hymn hawaii. Następnie całe towarzystwo obejrzało osobliwości zebrane w ciągu podróży i po dłuższym pobycie powróciło na ląd. Wieczorem król wydał obiad w hotelu „Hawaii," albowiem pałac bardzo jest szczupły.

Po dwutygodniowym pobycie w Honolulu, wyprawa 11 Sierpnia odpłynęła do Hilo na wyspie Hawaii i, po trzydniowéj, bardzo burzliwéj przeprawie, zawinęła do portu Byron, czyli Hilo, który ma być najpiękniejszym na oceanie Spokojnym.

Budynki miasta są w najrozmaitszym stylu wzniesione, albowiem cudzoziemcy budowali się we właściwy sobie sposób, najmilsze jednak wrażenie sprawiają chaty krajowców z trawy zbudowane, z wysoką strzechą i werendami ozdobionemi jaśminem, dzikiém winem i passiflorą. W niewielkiéj odległości od przystani znajduje się wspaniały wodospad Anuenue, czyli tęczowy, który z wysokości stu stóp spada do basenu otoczonego wspaniałemi paprociami i rozmaitemi krzewami egzotycznemi.

Największą osobliwością wyspy Hawaii jest olbrzymi wulkan Kilanea, który właściwie skłonił wyprawę do odwiedzenia wyspy. Z Hilo do wulkanu prowadzi wąska droga leśna, stopniowo wznosząca się do wysokości 4.000 stóp, i dopiéro przy kraterze nagle spostrzega się niebo zaczerwienione dymami wulkanu. Odpocząwszy nieco w hotelu wulkanowym, podróżni wyruszyli do krateru i dotarli do samego brzegu, mogącego mieć do dziewięciu angielskich mil obwodu. Widok téj czeluści przewyższa wszelki opis. Rospalona do czerwoności lawa przedzierała się przez poszarpane skały, a stygnąc na ich brzegach, zwieszała się w festonach. Dymu i pary prawie wcale nie było. Lawa nigdy nie przelewa się przez brzegi krateru, lecz nagromadziwszy się w jego wnętrzu przedziera się przez boki góry, pospolicie sprawiając straszne spustoszenia. Na szczęście rzadko się to przytrafia i już wiele lat upłynęło od czasu ostatniego wybuchu w 1868 roku, podczas którego wylał się szeroki strumień lawy i, niszcząc po drodze lasy, chatki i plantacye, spłynął do morza. Wybuchowi towarzyszyło straszne trzęsienie ziemi, skutkiem czego zginęło wielu ludzi i dużo majątków zniszczało.

Korweta opuściła wyspę 19 Sierpnia i skierowała się na południe, ku wyspom Towarzyskim czyli Tahiti.

Przeprawa była jednostajna i nudna, oraz pod tym względem nieszczęśliwa, że 13 Września zmarł na korwecie Willemoes-Suhm, docent zoologii przy uniwersytecie w Monachium, który znajdował się na pokładzie Challengera, jako członek zoologicznéj sekcyi wyprawy. W końcu, po trzydziestodniowéj przeprawie korweta 18 Września zawinęła do przystani Papeite na wyspie Tahiti, którą francuzi zajęli 1843 roku, rozciągając swój protektorat nad miejscowym rządem i wyznaczając królowéj roczną pensyą 1.000 funtów szterlingów.

Miasto Papeite, stolica i siedlisko królowéj i rządu, jest bardzo małą osadą, niewiększą od zwykłéj wsi. Domy europejczyków są drewniane, kryte palmowym liściem, a ulice z obydwóch stron wysadzone palmami, drzewami chlebowemi, brzoskwiniowemi i kakaowemi, skutkiem czego miasto miły przedstawia widok.

Pierwszego wieczoru po przybyciu korwety, jéj muzyka grała na placu królewskim, ściągając do tego miejsca całą ludność miasta i okolicy. Przez cieniste aleje dążyli majtkowie, żołnierze francuscy, policyanci, dziewczęta i młodzieńcy. Można tam było spotkać piękności wszelkich odcieni, od ciemnych tahitanek do ślicznych dam europejskich, a wszystkie jednakowo mniéj więcéj były ubrane w różnokolorowe długie i wolne suknie, fałdzisto spadające z ramion aż do stóp, a włosy miały ozdobione wspaniałemi kwiatami i śnieżnéj białości reva-reva, t. j. gazą z pędów młodéj palmy kokosowéj. Na plac Królewski przybyli także francuscy oficerowie z białemi paniami i pięknemi kreolkami, wielu oficerów Challengera, oraz ludność mniéj lub więcéj odległych okolic. Wszyscy byli weseli, swobodni i szczebioczący, z każdym można było zawiązać rozmowę, nie obawiając się obrażenia go.

Królowa Pomare przyjmowała w pałacu oficerów Challengera, a następnie sama odwiedziła korwetę i przy téj sposobności załoga wyprawiła bal dla niéj.

Na północnym końcu wyspy wznosi się przylądek Point Venus na którym kapitan Cook dokonał spostrzeżeń astronomicznych w celu dokładnego oznaczenia położenia wyspy, a następnie 1769 roku, obserwował przejście wenery przez tarczę słońca. Na przylądku wznosi się latarnia morska, któréj ogień widać w odległości 14 mil morskich, a tuż obok stoi drzewo tamarindowe, zasadzone przez kapitana Cooka na miejscu, gdzie ukończył prace, któremi wsławił się, jako największy odkrywca na oceanie Południowym.

Mieszkańcy Tahiti odznaczają się uprzejmością i przyjacielskiém obejściem. Wszędzie można spotykać mężczyzn w czystych białych koszulach, którzy, ściskając za rękę, z przyjacielskim uśmiechem witają serdeczném „yarana,“ t. j. wyrazem, oznaczającym wszelkie powitanie i błogosławieństwo. Chaty krajowców mają pewne podobieństwo do wielkich klatek, albowiem są zbudowane z prętów ślazu lub bambusa, powtykanych w ziemi co kilka cali. Dachy, sztucznie uplecione z liści palmowych, znacznie wystają po za ściany domu. Mieszkańcy Tahiti, podobnie jak inni wyśpiarze oceanu Spokojnego, odznaczają się lekkomyślnością, albowiem mało mają potrzeb, które mogą z łatwością zaspokoić, znajdując wszędzie obfitość bananów, drzew chlebowych, brzoskwiń, ananasów, dzikich platanów, oraz gujawy, które w 1815 r. sprowadzono z południowéj Ameryki od pewnego misyonarza.

Wszyscy cudzoziemcy zgadzają się, że Tahiti jest wyborném miejscem pobytu, oraz posiada piękny i zdrowy klimat, łagodzony wiatrem od morza i z lądu wiejącym. Grunt nadzwyczaj jest urodzajny i z małą pracą można tam uprawiać wszystkie niemal rośliny zwrotnikowe; w rzeczy saméj hodują tam cukier, kawę, bawełnę, wanilią, kakao, indygo, ryż i kukurydzę, a z owoców obficie się rodzą banany, owoce chlebowe, ananasy, melony, orzechy kokosowe, jabłka, cytryny, gujawa, pandangi i tykwy.

Z rana 3 Października korweta podniosła kotwicę i ze sprzyjającym wiatrem odpłynęła do Valparaiso, odległego 5.000 mil morskich. Nieprzyjazne wiatry i cisze opóźniały podróż, tak, że dopiéro w sześć tygodni po opuszczeniu Tahiti spostrzeżono wyspę Juan Fernandez.

Wyspa składa się z gór najdziwaczniejszych kształtów, które piętrzą się do wysokości 3.000 stóp, tworząc wzniesienie odpowiednio do kształtu nazwane „Kowadłem“ (El Yunque). Wyspa jest od wierzchołka gór do samego dołu pokryta roślinnością i zachowała jeszcze ślady ludzkich osad, a pomiędzy innemi resztki starego fortu San Juan Battista, jakotéż walące się chaty, w których mieszka czterdziestu lub pięćdziesięciu ludzi, utrzymujących się ze sprzedaży świeżéj żywności przepływającym okrętom. Na tę wyspę okręt „Cinque Ports“ 1704 roku wysadził Aleksandra Selkirk, który w zupełnéj samotności przemieszkał tu przeszło cztery lata. Gdy następnie okręt „Duke“ odwiózł go do Anglii, opowiedział on historyą swego pobytu na wyspie słynnemu podówczas powieściopisarzowi Danielowi Defoe, który według niéj napisał słynne po dziś dzień wypadki Robinsona Kruzoe. Osada angielskiego okrętu „Topaze“ 1868 roku

przybiła pamiątkową tablicę żelazną na czatowni Selkirka, t. j. na stroméj skale, wznoszącéj się 2.000 stóp nad powierzchnią morza.

Wyspa jest mniéj więcéj dziesięć do dwunastu mil angielskich długa i cztery szeroka; jéj wybrzeża składają się z ciemnych, nagich, poszarpanych skał, wznoszących się nad powierzchnią morza 800 do 900 stóp. Tu i owdzie widać łąki i obszerne doliny pokryte rozmaitemi drzewami, pomiędzy któremi dużo jest moreli, jakie 1741 roku miał zasadzić lord Anson podczas swéj sławnej podróży naokoło ziemi. W lecie dojrzewają tu także figi, poziomki i wiśnie.

Od czasu odkrycia wyspy w 1563 roku, zachodziły na niéj rozmaite zmiany. Pierwotnie odwiedzali ją tylko rozbójnicy morscy. W roku 1681 przypadkiem pozostawiono na niéj murzyna z Indyj zachodnich, który przeżył trzy lata w zupełnéj samotności, we dwadzieścia parę lat potém Selkirk pędził tam samotny żywot, a późniéj jeszcze kilka osób samotnie żyło na Juan Fernandez, który w rzeczy saméj zasługuje na nazwę wyspy Robinsona. Rząd hiszpański 1717 roku założył na wyspie kolonią, którą wszakże zupełnie zniszczyły trzęsienia ziemi. Chili objęło wyspę w posiadanie po ogłoszeniu swéj niepodległości 1810 roku, i następnie 1819 roku założono na niéj karną osadę, w któréj bywało do pięciuset więźniów, lecz osada tak była kosztowna, że po buncie zbrodniarzy 1835 r., sprowadzono ich na ląd stały. Od tego czasu wyspa znowu jest pusta, a obecnie wydzierżawiono ją kupcowi chilijskiemu, który osadników zatrudnia wyrąbywaniem lasu, paszeniem bydła, oraz połowem psów morskich, których rocznie zabijają do 2.000 sztuk, a jednę skórę sprzedają po 16 dollarów. Klimat wyspy jest łagodny i ma być zdrowy, lecz bardzo jest zmienny.

Wieczorem 15 Listopada korweta opuściła przystań, udając się do Valparaiso, odległego o 360 mil morskich, lecz z powodu nieprzyjaznych wiatrów do portu tego zawinęła dopiéro 19 Listopada.

Valparaiso ma zupełnie europejską powierzchowność; na ulicach i placach wznoszą się wysokie domy i okazałe hotele, a we wspaniałych sklepach można dostać wszelkich towarów, chociaż za bardzo wygórowaną cenę. Valparaiso posiada różne gmachy publiczne, z pomiędzy których najpiękniejsza jest giełda, zabudowania komory celnéj i pałac sądowy, a banki, teatry, loże wolno-mularskie i t. p. budynki są porozrzucane po całém mieście, które od jednego do drugiego końca przerzynają konne koleje żelazne. Za pośrednictwem podmorskiego telegrafu miasto jest połączone z Europą, a liczne parowce krążą pomiędzy niém i Panamą, oraz cieśniną Magelańską. Na przylądku San Antonio wzniesiono silnie ufortyfikowane

baterye, a nadto w pobliżu miasta znajduje się kilka innych bateryj. Zatoka jest obszerna, lecz od północy otwarta i wystawiona na burze z téj strony idące, które często znaczne szkody zrządzają w okrętach.

Po trzytygodniowym pobycie w Valparaiso, korweta 11 Grudnia odpłynęła do cieśniny Magelańskiéj. Nieprzyjazne wiatry zapędziły korwetę aż do wyspy Juan Fernandez, i dopiéro 31 Grudnia spostrzeżono przylądek Tres Montes, na wyspie tegoż nazwiska, i wkrótce korweta stanęła w porcie Otway, gdzie przepędzono ostatnie godziny 1875 roku. Po północy zwiastowano nadejście nowego roku, s zesnastoma uderzeniami w dzwon, z których ośm żegnało stary a drugie ośm witało nowy rok.

Z rana 1 Stycznia 1876 roku korweta przepłynęła zatokę Penas, po południu weszła do kanału Messier, a wieczorem stanęła w Hale Cove, małéj przystani naokoło otoczonéj krzaczystemi pagórkami. Następnego dnia korweta daléj płynęła przez kanał Messier pośród wybrzeży pokrytych wysokiemi górami, które do 1.000 stóp wysokości są drzewami pokryte i dużo mają wodospadów, rzucających się z urwisk. Wieczorem zatrzymano się w Gray Harbour; naokoło widać było wyspy do saméj wody drzewami porosłe, a daléj wznosiły się wysokie góry z wierzchołkami pokrytemi wielką masą śniegu. Wycieczka do wielkiego, w pobliżu leżącego jeziora bardzo się powiodła, albowiem złapano kilka ryb i zastrzelono nieco ptaków, lecz jedno z towarzystw, przebiegających wybrzeże wypadkiem podpaliło wysoką trawę; ogień ogarnął drzewa i krzaki i wkrótce płomienie srożyły się we wszystkich dolinach wzdłuż brzegu. Całą noc płomienie strzelały w górę, oświetlając wzgórza i spokojną powierzchnią morza, i jeszcze srożyły się 4 Stycznia podczas gdy korweta opuszczała zatokę. Tego samego dnia okręt przeszedł niebezpieczną cieśninę English Narrows.

Krajobrazy coraz bardziéj zmieniały się w miarę posuwania się ku południowi, niebo zachmurzyło się, powietrze znacznie oziębiło, a z gór dęły lodowate wiatry. Niedaleko po za wyspą Saumarez skierowano korwetę ku lądowi stałemu i zatrzymano się w porcie Grappler, gdzie spostrzeżono mały znacznie uszkodzony parowiec, zostający pod strażą czterech ludzi. Był to „Karnak,“ należący do towarzystwa żeglugi parowéj Kosmos w Hamburgu, który wypłynąwszy przed miesiącem z Valparaiso rozbił się o szkopuł w pobliżu portu, dokąd go załoga zdołała wprowadzić, a następnie, złożywszy ruchomości na Middle Island, odpłynęła na francuskim okręcie wojennym, z którego przesiadła się na inny okręt, idący do Valparaiso; załoga tego okrętu, dowiedziawszy się o rozbiciu parowca, zawinęła do por-

tu Grappler i wzięła parowiec w posiadanie, zostawiając na straży czterech ludzi. Po odpłynięciu Challengera, parowiec naprawiono i odprowadzono do Montevideo.

Naokoło portu Grappler, po za zaroślami rozciąga się dosyć jednostajna dolina, jak się zdaje bagnista.

Na drugi dzień, 5 Stycznia, korweta płynęła daléj na południe przez Wide Channel (szeroki kanał) i stanęła na kotwicy w zatoce Tom, na wschodnim brzegu kanału Madre, tuż przy wejściu do kanału Conception. Całą noc padał deszcz, a nad ranem zerwał, się tak gwałtowny wicher, że okręt zerwał się z kotwicy i zaledwo przy pomocy pary zdołano nieszczęścia uniknąć. Cały dzień dęły silne wiatry, które uspokoiły się dopiéro wieczorem. Z rana 8 Stycznia korweta pożeglowała wzdłuż kanału Trinidad; zamierzano przystąpić do wymierzenia rozmaitych przystani, lecz niebo znowu się zachmurzyło, musiano więc zmienić zamiar. Przepłynąwszy kanał Conception, korweta weszła do kanału Innocent a następnie, przebywszy Guia Narrows, zatrzymała się na dwa dni w zatoce Puerto Bueno. Na zatoce są porozrzucane liczne wysepki lesiste; wzdłuż wody ciągnie się pas ziemi trawą zarosłéj, po za którym wznoszą się liczne drzewa i krzaki, a za temi, jak tylko okiem można zasięgnąć, widać nagie pagórki tu i owdzie nędzną trawą pokryte, oraz trzęski grunt z niskiemi i gęstemi zaroślami.

10 Stycznia, korweta znalazła się pośród zimowego pejzażu, albowiem po obu stronach wznosiły się nagie skały i góry śniegiem pokryte. Płynąc cały dzień pomiędzy lądem stałym i wyspami ciągnącemi się wzdłuż wybrzeża, korweta zawinęła na noc do przystani Isthmus Bay na półwyspie Zach. Następnego dnia, pomimo częstéj ulewy, od czasu do czasu wyjaśniało się, tak że można było przyjrzéć się brzegom patagońskim i ziemi ognistéj pokrytéj stromemi górami, których wierzchołki wszędzie były śniegami zasłane. Następnie korweta przybyła do wschodnich wybrzeży wyspy królowéj Adelajdy, na któréj widać było poszarpane, szare góry, pokryte śniegiem oraz lodowcami ciągnącemi się całe mile. Wkrótce korweta przybyła do przylądka Pillar, wznoszącego się przy wejściu do cieśniny Magelańskiéj, i stanęła na kotwicy w wygodnéj i bezpiecznéj zatoce Churruca, gdzie cały następny dzień przepędziła.

Opuściwszy zatokę, korweta przepływała wzdłuż ogromnych lodowców sięgających do samego morza, a koło południa zatrzymała się w zatoce Fortescue na wyspie Ognistéj. Mieszkańcy wyspy niekiedy noszą na ramionach małe skóry fok, najczęściéj jednak, tak mężczyzni, jak kobiéty zupełnie są nadzy, co w tak ostrym klimacie jest rzeczą wielce zadziwiającą. Koło 4 po połu-

dniu korweta doszła do przylądka Froward, stanowiącego południowy koniec Ameryki, a następnie zatrzymała się na noc w Port Famine (porcie głodowym). Port otrzymał swą nazwę od ciężkiéj niedoli kilkuset hiszpanów, którzy 1581 roku wylądowali tu pod dowództwem Sarmienta, aby założyć osadę i obwarować to miejsce wraz z przylądkiem Possession, celem przeszkodzenia Anglikom w żeglowaniu po tych wodach. Sarmiento wkrótce udał się do Hiszpanii, lecz został schwytany przez Waltera Raleigh i odwieziony do Anglii, a nieszczęśliwi zostali wystawieni na śmierć głodową. O ich losie dowiedziano się dopiéro wtedy, gdy Cavendish 1587 roku wpłynął do cieśniny i znalazł tam 24 kolonistów, jacy z czterechset pozostali.

Rząd Chilijski 1843 roku założył w Port Famine kolonią karną. Osadnicy kilka lat nędzny pędzili żywot, często nie mając żywności z powodu opóźnionych dowozów, aż wreszcie przestępcy zbuntowali się i wymordowali straż, wszystko zrabowali i spalili.

Wycieczka na ląd nie powiodła się podróżnym, z powodu przemoczenia całéj okolicy długo trwającemi deszczami, lecz za to bardzo pomyślnie zaciągnięto włokiem w przystani.

Z rana 14 Stycznia korweta zawinęła do Punta Arenas, jedynéj osady, jaką Chili posiada na cieśninie Magelańskiéj. Osada składa się z domów drewnianych, które tworzą nieporządną ulicę, ciągnącą się wzdłuż brzegu. Od téj ulicy wychodzą inne ulice dotychczas zabudowane jedynie domami, co pół mili angielskiéj stojącemi. Założono tam także plac targowy, przy którym stoi szpital i mieszkanie konsula angielskiego, dom gubernatora wznosi się na końcu głównéj ulicy, a daléj stoją baraki, więzienie i strażnica.

O sześć mil angielskich od lądu znajdują się kopalnie węgla kamiennego, połączone z miastem za pośrednictwem kolei żelaznéj. Znaleziono tam także złoto i zawiązała się kompania dla eksploatawania kopalni, lecz zyski tak były nędzne, że zaledwie można było prowadzić daléj roboty.

Ludność kolonii ciągle wzrasta, i zapewne osada znacznie się rozwinie, albowiem w Punta Arenas zatrzymują się parowce pocztowe, kursujące po oceanie Spokojnym.

Po czterodniowym pobycie w Punta Arenas udano się w dalszą drogę i, po trzechgodzinnem żeglowaniu, zatrzymano się przy wyspie Ś-éj Izabeli czyli Elżbiety; jestto szereg wzgórz, ciągnących się jakie ośm mil angielskich i pokrytych gęstą, szczeciniastą trawą. Wycieczka na ląd bardzo była pomyślna, albowiem nietylko powiodło się polowanie, ale nadto znaleziono masę starych, suchych kości; zatrzy-

mano się tedy cały następny dzień, wysyłając na ląd kopaczy, którzy do wieczora wydobyli stos kości kopalnych. Z rana 20 Stycznia udano się w dalszą drogę; po opłynięciu przylądka Virgines, korweta znowu weszła na ocean Atlantycki.

Z rana 22 Stycznia 1876 roku spostrzeżono wyspy Jazona na północ wysp Falklandzkich, potém skałę Eddystona, koło przylądka Delphin na północnym brzegu zachodniego Falklandu, a następnego dnia korweta stanęła na kotwicy przy mieście Stanley na wschodnim Falklandzie. Wyjąwszy może wyspę Tristan d'Acanha, niezawodnie nie ma równie pustéj, smutnéj i mało zajmującéj osady, jak miasto Stanley. Nie ma tu ani jednego drzewa, ani krzaka zdatnego na jaki bądź użytek, a wszelkie próby sadzenia drzew zupełnie się nie powiodły. Przy wylądowaniu przedewszystkiém uderza obelisk, wystawiony na pamiątkę bytności księcia Alfreda w Stanley w 1868 roku; zresztą miasto nie przedstawia nic uwagi godnego. Wyspy Falklandzkie zajęto na kolonią angielską 1833 roku, lecz pierwiastkowo siedliskiem rządu był Port Louis, i dopiéro 1842 roku przeniesiono stolicę do Stanley. Położenie wysp jest bardzo ważne pod względem handlowym, albowiem leżą one na drodze do Australii i zachodnich wybrzeży Ameryki; w każdym jednak razie niebezpiecznie jest zbliżać się do nich, chociaż z drugiéj strony posiadają dużo dobrych przystani, w których można naprawiać okręty i zaopatrywać je w świéżą żywność.

Klimat wysp ma być bardzo zdrowy, lecz zima jest równie ostra jak w północnéj Szkocyi, a lato bardzo burzliwe. Zdaje się, że deszcz, wiatr, lub jedno i drugie, są zwykłym stanem powietrza na tych wyspach, które wyprawa chętnie opuściła 6 Lutego, po czternastodniowym pobycie w Stanley, gdzie pogrzebano Tomasza Bush, jednego z majtków korwety, który zginął podczas burzliwéj nocy.

Morze ciągle było wzburzone, lecz w miarę zbliżania się do wybrzeży Ameryki południowéj pogoda stawała się coraz przyjemniejszą, a włok dostarczał obfitych zdobyczy.

Z rana 15 Lutego korweta weszła na Rio de la Plata, a po południu stanęła przed miastem Montevideo, w zatoce napełnionéj wojennemi i kupieckiemi okrętami.

La Plata jest co do wielkości trzecią z porządku rzeką nowego świata; przy ujściu jest ona szeroka 100, a pod Mantevideo 55 mil angielskich. Wybrzeża rzeki na przestrzeni całych setek mil przedstawiają niezmierzoną jednostajną płaszczyznę, na której pasą się liczne stada bydła. Samo miasto Montevideo jest zbudowane w hiszpańskim guście, przeważającym w Ameryce południowéj. Ulice są proste, szerokie i czyste, zabudowane wygodnemi domami,

a sklepy są zaopatrzone we wszelkie przedmioty potrzeby i zbytku. Plac katedralny ze swemi pięknemi ogrodami i przyjemnemi przechadzkami jest głównem miejscem spacerowem bogatszych mieszkańców. Szeroka, pięknie zabudowana i drzewami ocieniona ulica prowadzi z placu do wysokiego słupa, ozdobionego na wierzchołku bronzowym posągiem bogini wolności. Ulice są bardzo ożywione. Miasto posiada teatr, operę, cyrk i inne miejsca rozrywek.

Po dziesięciodniowym pobycie w Montevideo podniesiono kotwicę, udając się w kierunku wyspy Tristan d'Acunha. Dnia 13 Marca 1876 roku korweta przecięła drogę, którą 1873 r. płynęła z Bahia do Przylądka Dobréj Nadziei. Okręt opłynął tędy ziemię naokoło, przebywszy 44.000 mil morskich, przyczém 200 razy sondowano morze i tyleż razy włokiem zaciągano.

Zbliżywszy się na 300 mil do wyspy Tristan d'Acunha, zawrócono statek na północ do wyspy Wniebowstąpienia (Ascention), odległéj o 1.700 mil morskich, którą Anglicy zajęli 1815 roku; 27 Marca korweta zawinęła do południowych jéj brzegów.

Wyspę pokrywają nagie skały, pagórki przepalonego kamienia, oraz równiny z popiołów i lawy. Naprzeciw przystani stoją składy i budynki warsztatowe, mały fort, ładny kościół, szpitale, jakoteż porozrzucane mieszkania oficerów marynarki i baraki żołnierzy. Admiralicya, pod któréj zwierzchnictwem wyspa pozostaje, założyła na niéj składy dla zachodnio-afrykańskiéj stacyi marynarki. Na wyspie znajdują się liczne pagórki; najwyższy z nich nazwano Green Mountain (zielona góra), dla zieloności pokrywającéj jego wierzchołek, na którym założono wspaniałe ogrody owocowe i warzywne. Zielona góra wznosi się pośrodku wyspy mniéj więcéj do wysokości 2.800 stóp, naokoło otaczają ją nagie przestrzenie bez wszelkiéj zieloności, pokryte chropowatą lawą, przez którą przeprowadzono drogę. Wierzchołek góry zatrzymuje parę wodną i tym sposobem zaopatruje osadę w ten ważny żywioł, spływający do cystern pozakładanych na stokach góry. Gdy cysterny nie wystarczają, potrzeba uciekać się do aparatów destylacyjnych. Niedaleko wierzchołka góry znajduje się szpital rekonwalescentów, oraz liczne wille, a na wszystkie strony widać wypalone kratery, i niedaleko wznosi się kamieniste płaskowzgórze „wide-awake fair," na którém gnieżdżą się tysiące ptaków morskich.

Klimat wyspy jest bardzo zdrowy, albowiem leży ona w pasie południowo-wschodniego passatu i posiada suchy grunt bez wszelkich bagien, zdarzało się tylko, że czasami okręty przynosiły febrę z niezdrowych wybrzeży afrykańskich.

Wyspa Wniebowstąpienia jest słynna ze swych olbrzymich żółwi, hodowanych w umyślnie pozakładanych stawach i nazywanych bydłem wyspy, albowiem od czasu do czasu mieszkańcy muszą się wyłącznie żywić mięsem tych żółwi.

Połów żółwi trwa od Grudnia do Czerwca. W tym czasie na wybrzeżu rozstawiają czaty, które pilnują samic na ląd wychodzących. Żółwie czołgają się na wybrzeże, wykopują nogami głęboki dół w piasku, składają do niego jaja i znowu dół zasypują, a następnie do morza powracają; podczas tego odwrotu pilnujący chwytają żółwia i szybko na grzbiet odwracają, aby za nadejściem dnia odwieść go do stawu. Niektóre żółwie ważą do siedmiu centnarów. Jeden żółw składa od 70 do 80 jaj, mających półtora cala średnicy i miękką, nawpół wapienną skorupę. Samica składa jaja dwa lub trzy razy w ciągu pory lęgowéj.

Na wyspie przepędzono cały tydzień, poczém 3 Kwietnia podniesiono kotwicę, udając się do wysp Zielonego Przylądka, odległych 1.800 mil morskich.

Po bardzo nużącéj podróży wzdłuż brzegów afrykańskich, korweta 16 Kwietnia 1876 r. zarzuciła kotwicę przy mieście Praya na wyspie St. Jago, a nabrawszy świéżéj żywności tego samego dnia odpłynęła do St. Vincent i na drugi dzień stanęła na kotwicy przy Porto Grande. Zatoka jest bezpieczna i obszerna, dużo więc zawija do niéj statków parowych dla nabiérania węgla na dalszą podróż.

26 Kwietnia wyprawa wyruszyła z powrotem do Anglii. Wkrótce po opuszczeniu Porto Grande znowu zaczęły dąć silne wiatry, które zmusiły schronić się do Vigo na wybrzeżach hiszpańskich. W zatoce téj korweta zatrzymała się tylko do drugiego dnia, zaledwie więc można było przejść się po wąskich, stromych ulicach i rzucić okiem na dziwne to miasto ze staremi murami, wieżami, kościołami i dziwnemi domami najrozmaitszych kolorów.

Po wypłynieniu na morze, korweta znowu musiała walczyć ze wzburzoném morzem, wypogodziło się dopiéro za przylądkiem Finisterre, i dalsza droga pomyślnie się odbyła. Do Sheerness korweta zawinęła z powrotem 26 Maja 1876 roku.

OBYCZAJE MRÓWEK.

ODCZYT MIANY W SALI TOWARZYSTWA KRÓLEWSKIEGO W LONDYNIE

przez

Sear. J. Lubbock'a.

Bezwątpienia małpy antropoidalne zbliżają się więcéj do człowieka, w skutek budowy swego ciała, aniżeli wszystkie inne zwierzęta; lecz gdy weźmiemy pod uwagę obyczaje mrówek, ich organizacyą towarzyską, ich wielkie społeczeństwa, ich mieszkania sztucznie wykonane, ich drogi komunikacyi, fakt, że posiadają u siebie zwierzęta domowe, a nawet niekiedy i niewolników, to przyznamy, że pod względem inteligencyi mają one prawo być umieszczonemi tuż za człowiekiem. Zresztą przedstawiają one przedmiot do studyów nie tylko bardzo ciekawy, ale i bardzo rozległy. W Anglii posiadamy ich mniéj więcéj trzydzieści gatunków; lecz w krajach gorących mrówki są liczniejsze, tak pod względem ilości gatunków, jak i osobników, i liczba gatunków dochodzi tam do siedmiu set. A nawet ta liczba, pomimo, że jest tak wysoką, jest o wiele niższą od rzeczywistéj.

Trzymałem w niewoli prawie połowę naszych gatunków mrówek angielskich i w téj chwili mam w swoim pokoju przeszło trzydzieści gniazd, należących do 20 około gatunków, z których jednak pewna część nie należy do mrówek angielskich. Nie ma tam dwóch gatunków, których obyczaje byłyby zupełnie identycznemi; a ich sposób życia pod wielu względami wcale nie jest łatwy do zbadania.

Przedewszystkiém bowiem przepędzają one większą część swego życia pod ziemią; całe wychowanie młodych, naprzykład, odbywa się w ciemności. Nadto, mrówki nie są stworzone do życia w odosobnieniu; w niektórych przypadkach trudno jest utrzymać w niewoli kilka osobników, a przytém obyczaje ich zmieniają się zupełnie w podobnych warunkach. Z drugiéj strony, jeżeli weźmiemy całe towarzystwo mrówek, to znowu wielka ich ilość sprowadzi nową trudność i zawikłanie. Co więcéj, w jednym i tym samym gatunku indywidua zdają się różnić co do swych właściwości, i często jedno i to samo indywiduum zachowuje się w sposób bardzo rozmaity, stosownie do okoliczności. To téż, chociaż mrówki ściągały na siebie uwagę wielu naturalistów, takich jak Gould, De Geer, Swammerdem, Latreille, Leuvenhoeck, Huber, i choć niedawno były przedmiotem ciekawych obserwacyj Fryderyka Smith'a, Belt'a, Moggridge'a, Bates'a, Mayr'a, Emery'ego, Forel'a i innych, to jednak przedstawiają jeszcze dotąd rozległe pole do studyów i doświadczeń.

Gąsienice mrówek, tak jak gąsienice pszczół i os, są to małe istoty robaczkowate, białe, kształtu nieco stożkowego, zwężające się ku głowie. Są one wychowywane i żywione z największą pieczołowitością; robotnice przenoszą je z jednéj izby do drugiéj, prawdopodobnie dla tego, aby je umieścić w takim stopniu ciepła i wilgoci, jaki jest dla nich najodpowiedniejszym. Zauważyłem także, iż bywają one klasyfikowane według wieku. Często bardzo zajmującym jest widok ich, w gniazdach które posiadam, rozdzielonych na grupy według wielkości, tak dobrze, że zdaje się niejako, iż widzimy szkołę, składającą się z pięciu lub sześciu klas. Gdy dorosną zupełnie, zamieniają się na poczwarki, niekiedy nagie, niekiedy pokryte oprzędem jedwabnym; kokony te stanowią to, co nazywamy „jajkami mrówczemi.“ Po kilkodniowym pobycie w tym stanie, mrówki wydobywają się z oprzędów, jako owady doskonałe. W wielu jednak przypadkach zginęłyby one, czyniąc to wysilenie, gdyby im nie dano pomocy; piękny jestto widok, kiedy stare mrówki pomagają wykluć się młodym, kiedy im starannie wyprostowują nóżki i gładzą skrzydełka z czułością i delikatnością prawdziwie macierzyńską. Zwykle mrowisko, podobnie jak ul, składa się z osobników trojakiego gatunku: robotnic czyli samic niedoskonałych (stanowiących większość w mrowisku), samców i samic doskonałych. Jednakże w gnieździe mrówek bywa często wiele samic, kiedy, jak wiemy, w ulu jest tylko jedna królowa. Królowe mają skrzydła, lecz po pierwszym locie wyrywają je sobie same i już więcéj nie opuszczają mrowiska. Oprócz robotnic zwykłych, u niektórych gatunków bywa druga, a raczéj trzecia forma samic. We wszystkich

prawie mrowiskach możemy zauważyć, że robotnice różnią się mniéj więcéj pomiędzy sobą co do wielkości. Jednakże ta różnica zależy głównie od gatunków. Naprzykład u *Lasius niger*, małéj mrówki brunatnéj, mieszkającéj w naszych ogrodach, robotnice są tuszy daleko jednostajniejszéj, aniżeli u małéj mrówki żółtéj łąkowéj, albo u *Atta barbara*, gdzie niektóre są przeszło dwa razy większe od innych. Lecz pewne mrówki przedstawiają jeszcze znaczniejsze różnice. I tak u jednego z gatunków meksykańskich, oprócz zwykłych robotnic, które mają postać mrówek nijakich zwyczajnych, są jeszcze inne, których odwłok zamienił się w ogromną kulę, prawie przezroczystą. Są one bardzo nieczynne i zajmują się głównie wyrabianiem miodu pewnego rodzaju. (1) U gatunku *Pheidole*, bardzo pospolitego w Europie południowéj, istnieją takie dwie formy odmienne, bez żadnego stopniowania przejściowego; jedna z nich odznacza się głową zwykłéj proporcyi, druga zaś ma ogromną głowę, opatrzoną bardzo szerokiemi szczękami. Przypuszczają powszechnie, że te ostatnie odgrywają rolę żołnierzy, a wielkość głowy pozwala muskułom, poruszającym ich szczęki, dojść do niezwykłych rozmiarów; atoli i małe mrówki bywają także bardzo wojownicze. Ta różnica w budowie niektórych osobników, która je uzdalnia do specyalnych funkcyj, zdaje mi się być bardzo godną uwagi, gdyż należy sobie przypomnieć, że nie zależy ona ani od wieku, ani od płci.

Pokarm mrówek składa się z owadów, których one niszczą znaczną ilość; z miodu, nektaru (kwiatów) i owoców; co prawda, nie ma żadnego zwierzęcia ani słodkiéj substancyi, którąby one pogardziły. Niektóre gatunki, takie np. jak nasza brunatna mrówka ogrodowa, włażą na krzaki dla polowania na mszyce (aphidae). W razie znalezienia mszycy, mrówka uderza ją łagodnie swemi rożkami, w skutek czego mszyca wypuszcza z siebie kroplę płynu słodkiego, który mrówka wypija. Niekiedy nawet mrówki robią kryte drogi dla dojścia do mszyc; ukrywają je one i bronią przeciwko napadom innych owadów. Mrówki angielskie nie przygotowują zapasów na zimę; natura ich pokarmu nie pozwala na to. Jednakże, niektóre gatunki na południu wyspy mieszkające, zgromadzają pożywienie, i to często w znacznéj ilości. Co więcéj, jakkolwiek nie można powiedzieć stanowczo, iż mrówki angielskie czynią zapasy, niektóre z nich przynajmniéj przygotowują się do tego, żeby mogły je zebrać w przyszłości. Naprzykład mała, żółta mrówka łąkowa (Lasius fla-

---

(1) Westwood, *Modern Class of Insects*. vol II p. 225.

vus) żywi się głównie słodką wydzieliną pewnych mszyc, które wysysają korzenie ziół. Mrówki zanoszą mszyce do mrowiska i, jak sam miałem nieraz sposobność stwierdzić, bacznie czuwają nietylko nad mszycami, ale i nad ich jajkami, czynność, w której skłonni jesteśmy widzieć przezorność, a która w tym przypadku dowodzi roztropności wyższéj, od spotykanéj u niektórych dzikich ludzi. Oprócz mszyc, wiele innych owadów żyje w mrowiskach. Jeśli je uważać będziemy za zwierzęta domowe, to przyjdziemy do wniosku, iż mrówki posiadają więcéj zwierząt domowych, aniżeli człowiek. Znaczna większość tych gości mrówek składa się z tęgopokrywych. Niektóre z nich, np. ciekawy mały *Claviger*, są zupełnie ślepe i żyją tylko w mrowiskach, a mrówki mają o nich tak wielkie staranie, jak o swe własne potomstwo. Jasną więc jest rzeczą, iż one przynoszą mrówkom, w ten lub ów sposób, pożytek lub przyjemność. Lecz okoliczność ta należy do liczby mało zrozumiałych i bardzo trudnych do badania. Grimm i Lespés utrzymują, że niektóre tęgopokrywe wydzielają płyn słodki, podobnie jak mszyce, a istniejąca pomiędzy temi owadami analogia, wskazuje, iż to jest prawdopodobne. Inne owady, żyjące zwykle w mrowiskach, jak mała *Beckia albinos*, albo ślepa wesz drzewna *(Platyarthrus)* są może użyteczne przez usuwanie nieczystości. Mrówkom nie brak wcale nieprzyjaciół. Oprócz ptaków i nieprzyjaciół większego wzrostu, jeśli w lecie poruszycie gniazdo mrówek brunatnych, zobaczycie zapewne pewną ilość małych muszek, unoszących się po nad mrowiskiem i od czasu do czasu rzucających się na pojedyncze mrówki. Muchy te należą do rodzaju *Phora*, do gatunku, który nie jest jeszcze nazwany, a który p. Verrall chciał łaskawie mojém mianować nazwiskiem. Składają one jajka na mrówkach, w których wnętrzu żyją ich gąsiennice. Inne gatunki tego rodzaju, są w ten sam sposób pasorzytami pszczół. W roku zeszłym, 14 Października zauważyłem, że jedna z moich mrówek ma molika przyczepionego do niższéj części głowy. Molik, który siedzi jeszcze dzisiaj w tém miejscu, jest już prawie tak wielki jak głowa. Mrówka sama nie może go usunąć. Nie wychodziła nigdy z gniazda, tak, że nie mogłem zastąpić jéj w téj czynności, żadna zaś z jéj towarzyszek od 14 Października aż do dziś dnia nie pomyślała o wyświadczeniu jéj téj przysługi.

Rozmaite gatunki mrówek różnią się bardzo od siebie swojém usposobieniem. *Formica fusca*, będąca *par excellence* mrówką niewolniczą, jest, jak można się domyśléć, nadzwyczaj bojaźliwą, przeciwnie zaś *F. cinerea*, tak bardzo do niéj zbliżona, odznacza się wielką odwagą.

F. rufa cechuje się szczególnie, według p. Forel'a, brakiem

inicyatywy indywidualnéj i chodzi zawsze gromadą. P. Forel uważa rodzaj *formica* za wielce godny uwagi, choć niektóre inne przewyższają go pod pewnemi względami, naprzykład pod względem czułości zmysłów. *F. pratensis* rozrywa trupy swych nieprzyjaciół; *F. sanguinea* zaś nigdy tego nie czyni. *Formica rufescens* jest może najodważniejszą ze wszystkich. Jeśli jedna z nich zostanie otoczona przez nieprzyjaciół, to nie usiłuje ona nigdy uciekać, tak jak to czynią inne mrówki, lecz przebija jednego za drugim, rzucając się na prawo i na lewo z wielką zwinnością, dopóki nie ulegnie przemocy liczebnéj.

Mrówka *Myrmica scabrinodis* jest bojaźliwa i łupieżcza: podczas wojen większych gatunków, chodzi na pola walki i pożéra trupy. Powiadają, iż *Tetramorium* jest bardzo żarłoczna, a *Myrmecina* bardzo flegmatyczna.

Pracowitości mrówek nie przewyższa czynność pszczół i os. Pracują przez cały dzień, a w porze upałów pracują nawet w nocy, jeśli tego potrzeba. Pewnego dnia obserwowałem mrówkę, pracującą bez wypoczynku od szóstéj zrana do trzech kwadransy na dziesiątą wieczorem. Położyłem ją na spodeczku napełnionym gąsienicami, a przez czas swéj pracy przeniosła do mrowiska, nie mniéj jak sto ośmdziesiąt siedm sztuk. Innym razem obserwowałem przez kilka dni mrówkę, którą już poddałem przedtém kilku doświadczeniom. Zrana, kiedym przybywał do Londynu, i wieczorem przed udaniem się do łóżka, miałem zwyczaj wrzucania jéj w małą flaszeczkę; jednakże w chwili, gdy jéj zwracałem wolność, powracała zaraz do pracy.

Pewna okoliczność zmusiła mnie do opuszczenia domu na tydzień; po powrocie wypuściłem mrówkę z flaszki i umieściłem ją na niewielkim stosie gąsienic, w odległości około trzech stóp od gniazda. W tych warunkach, nie spodziewałem się wcale, żeby wróciła do mrowiska. Jednakże, jakkolwiek była w więzieniu przez sześć dni, dzielne żyjątko schwytało natychmiast gąsienicę i zaniosła ją do gniazda; po półgodzinnym zaś odpoczynku powróciła, aby wziąść drugą.

Bardzo mało dotychczas mamy wiadomości o długości życia mrówek. Ponieważ najwięcéj brane są pod uwagę różne fazy ich przeobrażeń, więc nie trudno jest skonstatować w sposób przybliżony długości ich trwania. Wiadomo naprzykład, że u niektórych gatunków, takich jak nasza mała mrówka łąkowa, gąsienice letnie nie trwają więcéj jak kilka tygodni, gdy tymczasem gąsienice jesienne utrzymują się, ulegając bardzo małym zmianom, przez całą zimę. Daleko jest trudniéj oznaczyć długość życia owadu dosko-

nałego, tak z powodu zwyczaju gromadnego życia u mrówek, jak i dla trudności odróżniania pojedynczych indywiduów. Jednakże przypuszczają powszechnie, że one żyją mniéj więcéj przez porę letnią i zapewne jest to prawda; lecz posiadam jeszcze robotnice *F. cinerea*, schwytane w Castellamare w Listopadzie 1875 r. i kilka robotnic *F. sanguinea i F. fusca*, które już posiadam od Września tegoż samego roku. Mają więc one dzisiaj półtora roku. Mam także kilka królowych gatunku *F. fusca*, które obserwuję od Grudnia 1874 r. i które dotychczas zdają się być zupełnie zdrowemi. Gdyby żyły dłużéj i gdyby umiały korzystać z doświadczeń nabytych, mrówki dzięki swemu potężnemu rozmnażaniu się, mogłyby nawet w strefach umiarkowanych walczyć z człowiekiem, bez zbyt wielkiéj dla siebie szkody.

Stosunki mrówek pomiędzy sobą różnią się wielce, według tego czy mrówki są trzymane w odosobnieniu, czy téż w licznem towarzystwie. Mrówka, która w pierwszym przypadku usiłowałaby uciec, będzie w drugim razie odważnie walczyła.

Prawie konieczną jest rzeczą przyznać, że w ogóle każdy gatunek żyje oddzielnie. Jednakże istnieje kilka ciekawych wyjątków z téj reguły. Mała *Stenamma Westwoodii* mieszka wyłącznie tylko w mrowiskach *F. rufa*, która jest od niéj większą, oraz w mrowiskach *F. pratensis* pokrewnéj poprzedniemu gatunkowi. Nie wiemy, jakie istnieją stosunki pomiędzy temi dwoma gatunkami. Jednakże rzecz pewna, iż mrówki *Stenamma* udają się za mrówkami *Formica*, gdy te zmieniają mrowisko, krążą około nich, przebiegają pod ich nogami, uderzają je w sposób bardzo zajmujący rożkami, a niekiedy nawet włażą im na grzbiet, jakby dla odbycia przechadzki; przy tém wszystkiém większe mrówki, zachowują się tak, jakby wcale o tém nie wiedziały. Są one tedy niejako psami, że tak powiem, albo raczéj kotami, mrówek. Inny mały gatunek, *Solenopsis fugax*, który buduje swe mieszkania w murach mrowiska większych gatunków jest najzajadlejszym wrogiem swych gospodarzy. Ci ostatni, będąc większemi, nie mogą dostać się do norek małego *Solenopsis*, który żyje tym sposobem bardzo bezpiecznie i czyni wycieczki do komór wielkich mrówek dla zrabowania gąsienic, stanowiących jego pokarm. Wyobraźmy sobie, cobyśmy czuli, gdybyśmy widzieli mieszkających w murach naszych małych kozłów, wysokich na 45—60 centymetrów, którzyby od czasu do czasu chwytali nasze dzieci i zanosili do swych strasznych kryjówek.

Prawda, że i inne mrówki kradną przy sposobności gąsienice i poczwarki obcych gatunków; a okoliczność ta tłomaczy, a przynajmniéj czyni w części zrozumiałym ciekawy fakt istnienia niewol-

nictwa u mrówek. Jeśli położymy pewną ilość gąsienic i poczwarek blisko mrowiska gatunku *Formica rufa*, to zostaną natychmiast zabrane przez te ostatnie; pewna liczba zabranych gąsienic, których mrówki zaraz nie pożrą, pozostaje przy życiu jeszcze przez kilka dni. Jednakże nie mogłem sobie zdać sprawy z sposobu, w jaki są żywione podczas téj niewoli. *Formica rufa* i mrówka niewolnicza (F. fusca) są gatunkami bardzo licznemi, musi więc często się zdarzać, że pierwsze zmuszone są głodem rzucać się na drugie i zabiérać im pewną ilość gąsienic i poczwarek. W takich przypadkach, często się zdarza, że poczwarki dosięgają chwili swego wyklucia się w mrowiskach nieprzyjaciela, i niekiedy, choć co prawda rzadko, napotykamy mrowiska, w których, obok prawowitych właścicieli, mieszka kilka osobników *F. fusca*. Jednakże u *Formica rufa* fenomen ten jest bardzo rzadkim i zupełnie wyjątkowym, u pewnego zaś gatunku pokrewnego *F. sanguinea*, który żyje w hrabstwach południowéj Anglii i w całéj Europie, zjawisko to zamieniło się w prawdziwy obyczaj. Mrówki, należące do gatunku *F. sanguinea*, robią peryodyczne wycieczki, napadają na najbliższe mrowiska gatunku *F. fusca* i zabiérają z nich poczwarki. Te ostatnie doszedłszy do dojrzałości, znajdują się naraz w mrowiskach, w których żyją obok siebie *F. sanguinea* i *F. fusca*, pochodzące z wycieczek poprzednich. Zastosowują się więc do okoliczności, towarzyszą mrówkom w zwykłych zajęciach wewnątrz mrowiska i, nie mając własnego potomstwa, pielęgnują i wychowują potomstwo *F. sanguinea*. Lecz choć *F. sanguinea* taką ma pomoc z *F. fusca*, jednakże nie traci instynktu do pracy. Bez wątpienia musi istnićć pewien podział pracy pomiędzy temi dwoma gatunkami, lecz nie mamy o tém żadnéj dokładnéj wiadomości, i bądź co bądź, pewną jest rzeczą, że *F. sanguinea* może wszystko sama wykonywać i utrzymywać mrowisko,—jeżeli to jest konieczném,—bez pomocy niewolników.

Inaczéj jednak rzecz się ma u innego gatunku *Polyergus rufescens*, niemieszkającego w Anglii. Mrówki te dają uderzający przykład osłabienia zdolności, spowodowanego przez niewolnictwo, albowiem stały się zupełnie zależnemi od swych niewolników. Nawet budowa własnego ich ciała uległa zmianie. Szczęki ich utraciły zęby (wyrostki) i stały się poprostu obcążkami, które, co prawda, mogą jeszcze zadać cios śmiertelny, ale nie są zdatne do niczego innego, prócz do walki. Straciły one większą część swoich instynktów, swoję sztukę, to znaczy zdolność wrodzoną do budowania mieszkań, swe obyczaje rodzinne, albowiem wcale już nie troszczą się o swe potomstwo, i w tych wszystkich czynnościach zastępują je niewolnicy;—nie zajmują się téż bynajmniéj codziennem zbieraniem

pokarmu;—gdy kolonia zmienia miejsce zamieszkania, niewolnicy przenoszą wszystkich panów do nowego mrowiska; a co jest jeszcze ciekawsze, panowie utracili nawet zwyczaj żywienia się. Pewnego razu Huber zamknął w pudełku trzydzieści tych mrówek wraz z kilkoma gąsienicami, poczwarkami i zapasem miodu.

„Najprzód, powiada, zwróciły uwagę na gąsienice, ciągnęły je tu i owdzie i wreszcie skończyły na tém, że je pozostawiły na miejscu. Więcéj jak połowa *amazonek* zginęła z głodu w niespełna dwa dni, nawet nie zaczęły robić gniazd, a mrówki pozostałe przy życiu w liczbie kilku były znużone, bez sił. Uczułem litość nad niemi i dałem im jednę z ich murzynek. Przywróciła ona wkrótce porządek; uformowała gniazdo w ziemi, zabrała gąsienice, pomogła wykluć się wielu młodym mrówkom, które były już zdolne wyjść ze stanu poczwarki i ocaliła życie *amazonkom*, które dotąd pozostały przy życiu (1).“

Obserwacye te zostały najzupełniéj potwierdzone przez innych przyrodników. Choćby jak najszczuplejszém było ich więzienie, choćby jak największą była ilość pokarmu danego im do użycia, głupie te stworzenia wolą raczéj umrzéć z głodu wśród obfitości pokarmu, aniżeli same się żywić. Długo obserwowałem jedno z gniazd tego gatunku, a nigdy nie widziałem, aby która z pań zadała sobie trud nakarmienia się. Zachowywałem indywidua w odosobnieniu przez kilka tygodni, dając im codzień, tylko na godzinę lub dwie niewolnika, aby je oczyścił i nakarmił; tym sposobem utrzymywałem je przy życiu; bez niewolnika zaś, zmarłyby za dwa lub trzy dni. Nie znam w naturze żadnego innego przykładu gatunku, któryby utracił instynkt żywienia się.

U *Polyergus rufescens*, mrówki zwane robotnicami, jakkolwiek takie bezbronne i głupie, są liczne i energiczne, a nawet zdumiewają nas one pod pewnemi względami. U innego zaś gatunku, trzymającego niewolników, u *Strongylognathus*, robotnice są o wiele mniéj liczne i tak słabe, że trudno pojąć, w jaki sposób mogą one zdobywać niewolników.

Wreszcie, u czwartego gatunku, *Anergates atratulus*, wcale nie ma robotnic: samce i samice dzielą się swém mrowiskiem z robotnicami należącemi do innego gatunku, *Tetramorium caespitum*. W tych warunkach, robotnice *Tetramorium*, nie mając własnéj królowéj, i wskutek tego, nie posiadając swojego potomstwa, wychowują po-

---

(1) Huber *Histoire naturelle des fourmis.*

tomków *Anergatów*. Jest to więc fakt analogiczny z zjawiskiem napotykaném u *Polyergus*, z tą tylko różnicą, że niewolnictwo zdegenerowało się prawie aż do parazytyzmu. Nie jest to jednak przykład pasorzytnictwa prawdziwego, albowiem mrówki *Tetramorium* mają wielkie staranie o *Anergates*, i w razie jakiego niebezpieczeństwa unoszą je i umieszczają w miejscu bezpieczném.

P. Forel w wybornéj pracy o mrówkach zauważył, że bardzo młode mrówki poświęcają się w początku pielęgnowaniu gąsienic i poczwarek i nie przyjmują udziału ani w obronie mrowiska, ani w innych prawach zewnętrznych, dopóki nie dojdą do wieku dni kilku. Rzecz ta zdaje się być zupełnie naturalną, gdyż skóra ich jest z początku stosunkowo bardzo delikatną, a więc obarczanie się pracą zbyt ciężką byłoby dla nich szkodliwém; mogłyby téż uledz jakiemuś innemu nieszczęściu, gdyż broń ich nie miała jeszcze czasu stwardnieć. Są nadto powody do przypuszczenia, że podział pracy u mrówek jest jeszcze daléj posunięty. Nie mówię o samych tylko przypadkach, w których robotnice należą do gatunków obcych, lecz i o tych, w których one stanowią część gatunku. Zdaje się np. być prawdopodobném, że u *Lasius flavus* zajęcia młodych robotnic różnią się nieco od zajęć starszych, lecz ten podział pracy nie jest jeszcze stwierdzonym. U *F. fusca* zauważyłem pewien fakt, który mnie bardzo zadziwił. W jesieni 1875 r. widziałem mrówkę zewnątrz mrowiska, żywiącą się na osobności. Następnego dnia mrówka ta wyszła znowu sama,—a mogłem ją łatwo poznać, gdyż przypadek pozbawił ją pazurków u jednéj z nóg tylnych. To podrażniło moję ciekawość, więc obserwowałem gniazdo przez kilka tygodni i widziałem, że zawsze mrówka owa wychodziła regularnie z mrowiska, nigdy zaś inna. Téj zimy obserwowałem dwa mrowiska z nadzwyczajną uwagą; w tym celu umówiłem się z memi córkami i ich nauczycielką panną Wendland, obserwatorkami jak najsumienniejszemi, abyśmy przez cały dzień obserwowali mrowisko, zmieniając się co godzina; w ten sposób dozorowaliśmy mrowiska od połowy Listopada; rzadkie zaś wyjątki, które się przytrafiły, nie mogły szkodzić dokładności naszych obserwacyj. Pierwsze mrowisko zawierało około dwóchset mrówek, drugie około czterech set; ponieważ były one dość apatyczne i nie miały gąsienic, któreby żywić należało, więc potrzeba im było bardzo mało pokarmu. Tylko dwie lub trzy mrówki wychodziły po pożywienie, mniéj więcéj dwa razy na dzień, a przytém bywały dni, w które wcale nie wychodziły. Sądząc, że te osobniki są może wyjątkowo żarłoczne, lub że jest w nich coś niemoralnego, uwięziłem furażujące mrówki, należące do jednego z mrowisk. Następnego dnia spostrzegłem, że wyszły z niego dwie

nowe, które poczęły szukać żywności i prowadziły swe zajęcie przez kilka dni następnych. Uwięziłem i te, lecz dwie nowe mrówki wyszły znowu z gniazda, dla zastąpienia ich, co wykazuje, jak sądzę, że towarzystwo potrzebowało żywności, że dostarczanie jéj było obowiązkiem niektórych indywiduów.

Jedném z najbardziéj interesujących zadań badania mrówek jest oczéwiście oznaczenie stopnia ich inteligencyi. Zdawało mi się, że odpowiednim środkiem do osiągnięcia tego celu będzie wybór jakiegoś przedmiotu, zdolnego do obudzenia ich pożądliwości, a następnie wsunięcie pomiędzy nie a przedmiot pożądany jakiejś przeszkody, którąby mogły przebyć, przy pomocy małéj dozy inteligencyi. W tym celu umieściłem naczynie porcelanowe, zawiérające pokarm na płytce szklannéj, otoczonéj wodą, lecz dostępnéj dla mrówek przez most papiérowy, mający 16 milimetrów długości i 8 szerokości. Włożyłem do naczynia mrówkę czarną (F. nigra), pochodzącą z jednego z mych mrowisk; zaczęła ona wynosić z naczynia pożywienie, i wkrótce pewna liczba towarzyszek przyszła jéj do pomocy. Gdy około 25 mrówek zajęło się tą pracą, odsunąłem nieco mostek papiérowy, w ten sposób, aby powstała przerwa dość wielka, któréjby mrówki przejść nie mogły. Przybyły one na brzeg przepaści i czyniły wielkie wysilenia, aby ją przebyć; ale nie przyszło im na myśl posunąć mostka papiérowego, coby łatwo uczynić mogły, gdyż odstęp nie wynosił więcéj, jak około 8 milimetrów. Po próbach trwających mniéj więcéj kwadrans, porzuciły zamiar i wróciły do mrowiska. Powtarzałem kilka razy to doświadczenie. Sądząc, iż może papiér jest substancyą, do któréj mrówki nie są przyzwyczajone, spróbowałem zastąpić go źdźbłem słomy, długiém na 25 milimetrów, a szerokiem na 3. Skutek był takiż sam. Robiłem dwa razy doświadczenie przy zachowaniu ostatniego warunku. Umieściłem potém kawałki pożywienia bardzo blisko mrowiska i nad niém, lecz w ten sposób, że przystęp był jedynie przez dróżkę kilka stóp długości mającą. W tych okolicznościach jasną było rzeczą, że dla oszczędzenia czasu i pracy trzeba było zrzucić pokarm blisko mrowiska, albo przynajmniéj zeskoczyć z pokarmem zabranym, aby sobie oszczędzić drogi. Lecz chociaż często powtarzałem to doświadczenie, mrówki ani razu nie użyły jednego z tych dwóch środków. Urządziłem następnie rzecz w ten sposób, że szkło na którém znajdował się pokarm, było tylko na 8 milimetrów wzniesione po nad mrowiskiem. Mrówki próbowały zejść z niego, a odległość była tak mała, że gdy przypadkiem jedna z mrówek chciala zstąpić, w téj chwili, kiedy druga już się zwiesiła na dół, mrówka wyżéj będąca mogła stawiać nóżki na grzbiecie zwieszonéj i w ten sposób zejść na

dół. Lecz to się tylko przypadkowo zdarzało i nie myślały one wcale o zrzucaniu pokarmu, ani też, co mnie bardzo dziwiło, o zeskoczeniu na dół. Umieściłem następnie grudkę lekkiéj ziemi bardzo blisko szkła, ale zawsze tak daleko, że go nie mogły dosięgnąć. Którejkolwiek bądź mrówce łatwo byłoby zrobić sobie most dla dojścia do pokarmu, gdyby tylko przesunęła cząstkę ziemi o 6 milimetrów, ale nie zdobyły się one na tak prosty sposób. Drugim razem, włożyłem trochę pokarmu do pudełka płytkiego, nakrytego szkłem, pozostawiwszy tylko jedno przejście z boku, przez które wpuściłem do pudełka kilka okazów *Lasius niger*. Skoro tylko mrówki zabrały się do pracy, pilnie przenosząc żywność do mrowiska, i gdy doskonale poznały drogę, nasypałem trochę delikatnéj ziemi przed otworem pudełka w ten sposób, żeby go zakryła na wysokość około 12 milimetrów. Następnie wydobyłem z pudełka pozostałe tam mrówki. Skoro tylko minęło wstrząśnienie, wywołane przez zjawisko powyższe zupełnie dla nich niespodziane, zaczęły biegać wokoło pudełka, szukając jakiegoś innego otworu przez któryby wejść mogły. Nie znalazłszy jednak żadnego, zaczęły grzebać w ziemi nad samym otworem, wybierając ziemię, cząstkę po cząstce, i składając ją bez żadnego porządku około siebie, w odległości od 12—150 milimetrów, dopóki zupełnie nie odkopały wejścia,—a wtedy zaczęły na nowo przenosić pożywienie, tak jak poprzednio. Powtórzyłem to doświadczenie trzy czy cztery razy w dniach następnych, a zawsze rezultat był taki sam.

Rozmaici obserwatorzy opowiadają, jako dowód inteligencyi mrówek i ich życzliwości dla przyjaciół, że gdy przypadkiem kilka z nich zasypie ziemia, towarzyszki odkopują je i ocalają. Nie poddając w wątpliwość tych faktów, przypomnijmy sobie, że mrówki mają zwyczaj urządzania mieszkań w ziemi świeżéj i miękkiéj, a szczególnie, że zręcznie ryją nowe galerye pod ziemią, gdy ich mrowiska zostaną uszkodzone. Otóż zdawało mi się, że nietrudno byłoby odróżnić czy wyżłobienia, wykonywane w powyższych okolicznościach przez mrówki, są rezultatem tego zwyczaju powszechnego, czy też przeciwnie istotnym ich powodem, jest pragnienie oswobodzenia swych przyjaciółek. W tym celu przedsięwziąłem (20 Sierpnia) doświadczenia następujące: Blisko mrowiska *Lasius niger* położyłem trochę miodu na płytce szklanéj, otoczonéj wodą i tak umieszczonéj, że mrówki, chcąc się dostać na nią, musiały najprzód przejść przez drugie szkło, pokryte warstwą ziemi przesianéj, mającą około 8 milimetrów grubości. Następnie umieściłem kilka mrówek blisko miodu, i powoli zgromadziła się tam znaczna ilość tych owadów. Następnie o godzinie pierwszéj minut 30 po południu, za-

grzebałem w ziemi jednę z mrówek, z tegoż gniazda pochodzącą, i zostawiłem ją pod ziemią, aż do piątéj godziny wieczorem, o któréj przyszedłem ją oswobodzić. Nie znajdowała się ona wcale w złym stanie, lecz przez cały ten czas żadna z jéj przyjaciółek nie pomyślała wcale o niéj.

1-go Września znowu umieściłem miód w ten sam sposób. O godzinie piątéj wieczorem było na miodzie około pięćdziesięciu mrówek, i znaczna ilość tych owadów oddalała się i przybywała. Zakopałem wtedy, jak to poprzednio uczyniłem, jednę z mrówek z tegoż samego gniazda. O siódméj godzinie wieczorem ilość mrówek zgromadzonych na około miodu prawie się podwoiła. O godzinie dziesiątéj były w jeszcze większéj liczbie i zabrały już może dwie trzecie miodu. Nazajutrz rano o siódméj godzinie miód znikł zupełnie; dwie czy trzy mrówki błąkały się jeszcze po miejscu dawniéj przez miód zajętém, lecz żadna z nich nie zwróciła uwagi na uwięzioną, któréj wreszcie przywróciłem wolność. Pozwoliłem im zabrać cały miód, gdyż sądziłem, iż możnaby powiedziéć, że zapewne ruch wywołany widokiem tak wielkiego skarbu rozerwał ich uwagę, albo nawet, że chcąc jak najwięcéj korzyści przynieść większéj liczbie mrówek, dały dowód inteligencyi, pełnéj oględności, zapewniając sobie posiadanie cennego pokarmu, przed daniem pomocy towarzyszce, któréj, choć była uwięzioną, nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Lecz do mrówek, o których mówimy, rozumowanie to nie może być zastosowaném. Muszę dodać, że powtarzałem to samo doświadczenie znaczną liczbę razy, w niektórych przypadkach, nawet z innym gatunkiem, *Myrmica ruginodis*, i zawsze otrzymywałem takież same rezultaty. Chwalono często czułość mrówek dla swych towarzyszek. Jednakże zdaje się, że pod tym względem są one bardzo niestałe. W każdym razie, wszyscy ci, którzy je często obserwowali, skonstatowali fakta jak najbardziéj sprzeczne z sobą, Wsadzałem często mrówki pomazane substancyą kleistą na płytk. przysunięte do mrowisk, a bardzo rzadko tylko towarzyszki uwięzionych zwracały na nie uwagę, lub starały się wydobyć je z kłopotu. Spróbowałem także doświadczenia następującego: pewna liczba małych mrówek żółtych (L. flavus) wyszła na zewnątrz mrowiska i jadła miód. Wziąłem pięć z pośród nich i również pięć z innego mrowiska, lecz do tego samego gatunku należących; zachloroformowałem je i położyłem obok miodu, na drodze, po któréj szły mrówki z gniazda i do gniazda, tak że ofiary mego doświadczenia nie mogły zostać niespostrzeżonemi. Szkło, na którém leżał miód, było otoczone małym rowkiem napełnionym wodą. Miałem wtedy sposobność skonstatować jednocześnie, do jakiego stopnia mrówki

są skłonne dawać pomoc swym bliźnim, będącym w stanie niemocy, i jakie wyróżnienie czynią pomiędzy towarzyszkami z jednego mrowiska i obcemi, należącemi do innéj gminy. Mrówki chloroformowane położyłem o godzinie dziesiątéj z rana. Przez całą godzinę, jakkolwiek wiele mrówek przychodziło je dotykać swemi rożkami, żadna jednak nic nad to nie uczyniła. Nakoniec wzięły jednę z obcych, zaniosły na brzeg szkła i tam wrzuciły ją w wodę bez żadnéj gwałtowności, raczéj spuściły ją do wody bardzo delikatnie. Wkrótce wzięły jednę ze swych towarzyszek zachloroformowanych i postąpiły z nią w ten sam sposób, i tak stopniowo powrzucały do wody wszystkie mrówki zachloroformowane. Jednę atoli z obcych mrówek zaniosły do swego gniazda, lecz mniéj więcéj w pół godziny późniéj wyniosły ją napowrót i wrzuciły w wodę tak jak wszystkie inne. Powtórzyłem to doświadczenie z pięćdziesięciu mrówkami, z których połowa składała się z towarzyszek a połowa z obcych mrówek, i za każdym razem z dwudziestu pięciu mrówek dwadzieścia wrzucano w wodę, tak jak to wyżéj opisałem. Niektóre tylko zostały zostawione w miejscu, na którém je położyłem, i gdybym czekał dłużéj, to nie wątpię, że byłyby tak traktowane jak inne. Jedna z dwudziestu pięciu towarzyszek i trzy obce zostały najprzód zaniesione do mrowiska, lecz wkrótce uległy temu samemu losowi co ich towarzyszki. Zdaje się więc, na podstawie tych faktów, że mrówki nie czynią żadnéj różnicy pomiędzy swemi przyjaciołkami a mrówkami obcemi.

Możnaby jednakże powiedzieć, że ponieważ w doświadczeniu tém, mrówki pozostają aż do końca pod wpływem chloroformu i mają zupełny pozór trupów, więc nie można spodziéwać się, aby towarzyszki były wyróżniane i traktowane z większemi względami aniżeli obce. Dla téj przyczyny, postanowiłem powtórzyć to samo doświadczenie, lecz już nie z chloroformowanemi, ale spojonemi mrówkami. Doświadczenie to było jeszcze trudniejszém od poprzedzającego. Żadna z mrówek nie pozwoliła się dobrowolnie spoić trunkiem, i nie łatwo było osiągnąć żądany stopień tego pijaństwa przymusowego. Wreszcie były zupełnie pijane i leżały na grzbiecie bez żadnéj władzy. Mrówki, które nie piły, zdawały się być bardzo zdziwionemi na widok swych towarzyszek, przyprowadzonych do niemocy i do tego ohydnego stanu. Pochwyciły je i nosiły przez czas pewien bez żadnego widocznego celu, podobnie zakłopotane z powodu swych opojów, jak my bywamy z powodu swoich. Jednakże, nakoniec postąpiły w ten sposób: uniosły z sobą dwadzieścia pięć towarzyszek i trzydzieści obcych mrówek. Dwadzieścia przyjaciółek zaniosły do mrowiska, gdzie bezwątpienia wytrzeź-

wiły się one, przynajmniéj nie zobaczyłem ich już więcéj, a pięć wrzuciły w wodę. Przeciwnie dwadzieścia cztery z pomiędzy obcych wrzuciły w wodę i tylko sześć zaniosły do mrowiska; jednakże cztery z pomiędzy tych ostatnich wyniosły wkrótce napowrót z mrowiska i wrzuciły w wodę.

Przyjaciółki więc i obce były traktowane w sposób odmienny.

Muszę dodać, że mrówki martwe bywają zawsze wynoszone po za mrowisko i kilka razy znalazłem w pewnéj okolicy małe wzgórki, które miały prawie pozór kurhanów grobowych.

Zrobiłem także kilka doświadczeń nad zdolnością mrówek do poznawania swych przyjaciółek. Huber podaje bardzo ciekawe opowiadanie o zachowaniu się kilku mrówek, które, będąc odosobnione przez cztery miesiące, poznały się wzajemnie, gdy je złączono z sobą „i pieściły się nawzajem swojemi rożkami“. Jednakże Forel uważa te ruchy za wskazówkę bojaźni i niespodzianki raczéj aniżeli czułości, jakkolwiek i on był bardzo skłonny do wierzenia, z powodu własnych swych doświadczeń, że mrówki poznawają się wzajemnie po rozłące kilku miesięcy trwającéj. Spostrzeżenie, dokonane przez Hubera, było zupełnie przypadkowe, i zdaje się, że ani on, ani nikt inny nie starał się go stwierdzić dalszemi doświadczeniami. Atoli fakt ten jest tak interesujący, że postanowiłem spróbować innych doświadczeń nad tym przedmiotem. W tym celu, 4 Sierpnia 1875 r. rozdzieliłem na dwie części jedno z mych mrowisk *F. fusca* i przerwałem wszelką komunikacyą pomiędzy dwiema połowami.

Następnie, od czasu do czasu przenosiłem po jednéj mrówce z jednéj połowy do drugiéj, a jednocześnie z nią wprowadzałem mrówkę obcą. Obcą zawsze wypędzano natychmiast, a nawet niekiedy zabijano. Przeciwnie zaś, na przyjaciółkę nigdy nie napadano, choć z drugiéj strony, muszę przyznać, że nie widziałem nigdy żadnych dla niéj oznak życzliwości, i nie ściągała ona na siebie żadnéj, choćby najmniejszéj uwagi otaczających mrówek.

Nie chciałbym nużyć czytelnika zbyt drobnemi szczegółami, jednakże niech mi będzie wolno dodać kilka faktów odnoszących się do pewnego przypadku szczególnego.

W roku zeszłym, 12 Listopada, a zatém w rok i trzy miesiące po rozdzieleniu mrowiska na dwie połowy, wprowadziłem jednocześnie przyjaciółkę i obcą do jednéj z tych połów. Przyjaciółka została przyjęta jakby w własnym domu. Co się zaś tyczé obcéj, to jedna z mrówek ujęła ją za jeden rożek i ciągnęła to tu, to owdzie.

O god. 11 min. 45. Przyjaciółka jest jak pomiędzy swojemi.
Obca ciągle włóczona.

O god. 12 min. oo.	Przyjaciółka w zupełnie dobrych stosunkach. Trzy mrówki uchwyciły obcą za łapki i jeden rożek.
„ 12 „ 15.	Tak samo.
„ 12 „ 3o.	Tak samo.
„ 12 „ 45.	Tak samo.
„ 1 „ oo.	Tak samo.
„ 1 „ 3o.	Jedna z mrówek chwyta przyjaciółkę, ale zdaje się, że prędko spostrzegła swą omyłkę i puszcza ją znowu na wolność.
„ 1 „ 45.	Przyjaciółka w zupełnie dobrych stosunkach. Na obcą napadają. Przyjaciółkę prawie zupełnie oczyszczono, na obcéj zaś farba jest prawie nienaruszoną (1).
„ 2 „ 15.	Dwie mrówki muskają przyjaciółkę, dwie zaś drugie ciągną obcą za nóżki.
„ 2 „ 3o.	Przyjaciółka jest już teraz prawie zupełnie wymyta, tak że zaledwie ślady barwy na niéj pozostały. Przeciwnie obca jest jeszcze prawie tyle zafarbowaną co poprzednio. Jest ona w téj chwili blisko wyjścia i sądzę, że chiałaby odejść, lecz dwie mrówki przybiegają i chwytają ją.
„ 3 „ oo.	Dwie mrówki napadają na obcą. Przyjaciółka już się niczém nie różni od innych mrówek.
„ 3 „ 3o.	Tak samo.
„ 4 „ oo.	Tak samo.
„ 5 „ oo.	Tak samo.
„ 6 „ oo.	Obca ucieka z mrowiska i umieszczam ją wpośród jéj towarzyszek.

Sposób, w jaki były obie te mrówki traktowane, jest bardzo różny. Przyjaciółka została powoli obmytą, z wyjątkiem kilku chwil, kiedy widocznie zaszło nieporozumienie, nie doznała żadnéj napaści. Przeciwnie obca nie została obmytą; jedna, dwie lub trzy mrówki chwytały ją, włóczyły przez kilka godzin, z kilku tylko minutami przestanku, i nakoniec ledwie się zdołała ocalić ucieczką, w chwili, gdy żadna z mrówek nie była zewnątrz mrowiska.

(1) Autor zapomniał dodać, że dla odróżnienia mrówek pomazał je odmiennemi farbami.

Wiele gatunków ma bardzo delikatne powonienie. Umieściłem mrówki na pasku papierowym, którego końce były podtrzymywane przez dwie szpilki. Szpilki stały w wodzie. Mrówki biegały w tę i w owę stronę wzdłuż papieru, usiłując zejść z niego. Gdym zawiesił nad papierem pędzelek z włosia wielbłądziego, przechodziły pod nim, nie zwracając nań najmniejszéj uwagi; gdy zaś go umoczyłem w wodzie lawendowéj, zatrzymywały się na czas krótki, gdy się do niego zbliżyły, okazując w sposób jak najpewniejszy, że czują zapach. Zdaje się, że u mrówki rożki są organem powonienia, ale być może, że nie same one funkcyą tę spełniają. Przywiązałem do płytki nadzwyczaj cienką nitką mrówkę z drugiego gatunku *Formica ligniperdas*, i w chwili, gdy była zupełnie spokojną, przybliżyłem do końca jéj rożka perfumowany pędzelek z włosia wielbłądziego; usunęła nagle rożek, a nie czyniła tego, gdy pędzelek nie miał żadnéj woni.

Z drugiéj strony, rzecz się ma zupełnie inaczéj pod względem zmysłu słuchu. Zbliżyłem się do mrówki i, w chwili gdy była zupełnie nieruchomą, wydobyłem kilka razy z fletu piszczałki, lub skrzypiec, dźwięk silny i ostry, a także własnym głosem urobiłem dźwięki nagłe, przenikliwe; tego wszystkiego jednak zdawała się nie słyszéć. Pomimo to strzegę się wyciągnąć z tego wniosek, że mrówki są rzeczywiście głuche; jakkolwiek zdaje się być rzeczą pewną, że sposób w jaki słyszą, jest znacznie różnym od naszego. Wiemy, że pewne owady do nich zbliżone wydają dźwięk, trąc jedne pierścienie odwłoka o drugie. Landois utrzymuje, że mrówki wydają także dźwięki tym sposobem, chociaż dźwięki te nie są przez nas słyszane. Wszystko zatém przemawia, iż czułość naszego słuchu jest bardzo ograniczoną, i zapewne w wszechświecie dużo jest harmonij, których dosłyszéć nie możemy. W rożkach mrówek są zresztą pewne organa nadzwyczaj interesujące, które, być może, służą do przyjmowania wrażeń słuchowych. Jest ich dziesięć do dwunastu w końcowym członku u *Lasius flavus*, małéj mrówki łąkowéj, jest ich tyleż u wielu innych gatunków, które badałem, a w każdym członku pośrednim znajduje się takich organów jeden lub dwa. Organa te składają się z trzech części: małéj bańki kulistéj, otwiérającéj się na zewnątrz, rurki długiéj i wąskiéj, oraz ciałka wydrążonego, mającego formę wydłużonego ciężaru zegarowego. Organa te mogą służyć do powiększania rezonansu dźwięków; funkcyonują one poniekąd, że użyję wyrażenia profesora Tyndalla, który je wraz zemną oglądał, „jak stetoskopy mikroskopijne“.

U większéj części mrówek przyrządy wzroku są bardzo skomplikowane i zupełnie widzialne. Składają się one w ogólności z trzech

ócz, ułożonych w trójkąt na wierzchołku głowy, i z wielkiego oka złożonego, umieszczonego z każdéj strony głowy, zawiérającego niekiedy przeszło tysiąc ścianek. Pomimo to, wzrok mrówek nie zdaje się być bardzo dobrym. Oto doświadczenie, które wykonałem dla przekonania się do jakiego stopnia mrówki kierują się wzrokiem. Umieściłem ołówek na deseczce, przymocowawszy go, żeby stał prosto i służył za znak. Przy niższym końcu ołówka umieściłem szkiełko, zawierające pożywienie, na którém położyłem jeden egzemplarz *Lasius niger;* gdy już mrówka poznała doskonale drogę ze szkła do mrowiska i odwrotnie, chodziła w prostéj linii pomiędzy temi dwoma punktami. Skorzystałem z chwili, kiedy mrówka była na szkle i odsunąłem je o 75 około milimetrów. W tych okolicznościach, gdyby mrówka dostatecznie kierowała się wzrokiem to nie miałaby żadnéj trudności w znalezieniu drogi do mrowiska. Lecz mrówka przeciwnie, została zaraz zbita z toru i, błąkając się przez pewien czas, doszła do mrowiska drogą inną, bardzo zbaczającą od pierwszéj. Zmieniłem potém doświadczenie w sposób następujący. Umieściłem pożywienie w małém naczyńku porcelanowém na wierzchołku ołówka, który stanowił w ten sposób kolumnę podpierającą, mającą 187 milimetrów wysokości. Gdy mrówka poznała drogę, chodziła do mrowiska i powracała z niego drogą bardzo prostą. Następnie odsunąłem ołówek dość daleko i połączyłem go z drogą poprzednią paskiem papiérowym. To ją wielce zdziwiło: przechodziła tam i napowrót w miejscu gdzie z początku był ołówek; powracała wiele razy swojemi śladami prawie aż do mrowiska i znowu odbywała tę samę drogę, okazując wiele wytrwałości, jeżeli nie wielką przenikliwość. Przysunąłem wtedy ołówek o 15 centimetrów. Znalazła go wreszcie, ale po wielu zboczeniach.

Powtórzyłem następnie to doświadczenie z trzema innemi mrówkami i otrzymałem ten sam rezultat; druga błąkała się siedem minut zanim odnalazła ołówek i ostatecznie zdawało się, że go znalazła przypadkiem; trzecia błądziła nie mniéj jak pół godziny, przebiegając kilkakrotnie mostek papiérowy.

Przypuśćmy na chwilę, że zrobiliśmy podobne doświadczenie z człowiekiem. Ponieważ długość mrówki wynosiła 4 milimetry, a długość ołówka 187 milimetrów, więc ołówek był 42 razy większy od mrówki. Stosunek więc, istniejący pomiędzy mrówką a ołówkiem, jest równy stosunkowi człowieka do kolumny mającéj 75 metrów wysokości. Jeżeli się odsunie ołówek o 15 milimetrów, to odnośnie do mrówki skutek jest taki sam, jak gdyby człowiek, umieszczony w pewnéj dokładnie mu znanéj okolicy, został nagle odsunięty o kilkaset stóp, albo téż, gdyby znajdując się w kwa-

dracie wynoszącym około 40 arów, nie mógł znaléźć kolumny wysokiéj na 75 metrów, to jest wyższéj od kolumny hrabstwa York.

Oto jeszcze przykład słabości wzroku mrówki; jeżeli w czasie kiedy moje mrówki *L. niger* przenosiły do mrowiska pożywienie, umieszczone w naczyńku na deseczce, odwracałem deseczkę w ten sposób, że strona bliższa mrowiska stawała się bardziej oddaloną, i *vice versa*,—mrówki oddalały się z deseczki tą samą co i poprzednio ścieżką, a więc zwracając się tyłem do mrowiska. Gdy przeniosłem płytkę na drugą stronę gniazda, rezultat był ten sam. Widoczném więc było, że szły torem nie zaś według kierunku celu.

Rzecz dziwna, że dotąd nie wiemy, nawet nie dokładnie, w jaki sposób powstaje gniazdo mrówek. Jestże to kolonia, oddzielona od gniazda dawniéj istniejącego; czy też błąkające się robotnice, które przypadkiem spotkały królowę, przyłączają się do niéj w pewnych okolicznościach i tworzą nowe gniazdo; czy też może królowa mrówek, podobnie jak królowa os, buduje sobie komórkę i sprowadza do niéj kilka robotnic, które biorą na siebie wszystkie prace rodziny? to są pytania, na które właśnie odpowiedzieć nie umiemy. Społeczeństwo zaś raz założone utrzymuje przez długie lata następujące po sobie pokolenia. Królowe nigdy nie opuszczają mrowiska, lub wydalają się zeń bardzo rzadko; są one karmione przez robotnice, i zdaje się, że oprócz składania jaj, nic więcéj nie robią.

Nie należy brać za jedno gniazda mrówek z wzgórkiem, wzniesionym przez mrówki (mrowiskiem). Gniazdo bardzo często nie zawiéra więcéj, jak jednę osadę, a u większéj części gatunków rzadko więcéj, jak trzy lub cztery. Niektóre jednak zawiérają liczne kolonie. P. Forel sam znalazł gniazdo *F. exsecta*, które zawiérało nie mniéj, jak dwieście kolonij i zajmowało przestrzeń okrągłą, któréj promień wynosił około 182 metry. Wszystkie mrówki żyjące dotąd na téj przestrzeni ziemi zostały wytępione przez mieszkańców gniazda, z wyjątkiem kilku gniazd *Tapinoma erraticum*, które im się wymykały dzięki swéj zwinności. Liczba mrówek, które się w ten sposób zgromadziły w téj okolicy, musiała być bardzo znaczna. Nawet w pojedynczém gnieździe Forel szacuje ilość osobników na pięć tysięcy do pół miliona.

Sposób prowadzenia walk jest zmienny, stosownie do gatunku mrówek. Niektóre gatunki są o wiele mniéj wojownicze, aniżeli inne. *Myrmecina Latreillii*, naprzykład, nigdy nie napada i nawet rzadko usiłuje bronić się. Skóra jéj jest bardzo twardą, więc podczas napaści mrówka zwija się tylko w kłębek; co więcéj, nie broni ona nawet swego gniazda, gdy na nie kto napadnie; jednakże dla zabezpieczenia go o ile można od napadów, robi wejścia bardzo małe przy

których trzymają straż robotnice, zamykające te otwory, w razie niebezpieczeństwa, swemi głowami. Być także może, że odór, którym się odznacza ten gatunek, służy mu także za obronę. *Tetramorium caespitum* ma zwyczaj udawania trupa. Jednakże mrówki tego gatunku nie zwijają się w kłębek, jak *Myrmecina Latreillii*, lecz wyciągają nogi i rożki wzdłuż ciała.

Formica rufa, pospolita mrówka czerwona, napada zwartemi masami, rzadko występuje w małéj liczbie i prawie nigdy pojedynczo nie walczy. Bardzo rzadko udaje się widzieć ją ścigającą uciekającego nieprzyjaciela; lecz nie daje ona pardonu,—zabije tylu nieprzyjaciół ile zdoła i nie waha się nigdy poświęcić dla dobra publicznego.

Przeciwnie, *Formica sanguinea*, przynajmniéj w wycieczkach przedsiębranych dla zdobycia niewolników, stara się więcéj o wywołanie paniki, aniżeli zabijanie. Prawda, że gdy napadnie na gniazdo, nie rzuca się na uciekających, jeżeli nie usiłują unieść z sobą poczwarek, a jeżeli usiłują to są zmuszone do porzucenia ich. *Formica sanguinea* stara się podczas walki bić nieprzyjaciela szczękami.

Formica exsecta jestto gatunek bardzo delikatny, ale wielce czynny. Rzuca się ona do walki w masach zbitych, a podczas starcia gryzie na prawo i na lewo i rzuca się nieraz na bok dla uniknięcia ciosu. Gdy się bije z nieprzyjacielem należącym do większego od niéj gatunku, to skacze mu na grzbiet i chwyta za szyję, lub za rożki. Posiada ona także instynkt grupowania się w małe oddziały. Trzy lub cztery osobniki *F. exsecta* chwytają najprzód nieprzyjaciółkę i wloką ją w rozmaitych kierunkach, w ten sposób, że nie może ona dosięgnąć żadnéj z przeciwniczek. Następnie jedna z ostatnich skacze jéj na grzbiet i odcina jéj, a raczéj odpiłowuje głowę. W walkach toczonych przez te małe mrówki z znacznie większą od nich *F. pratensis*, można widzieć wielką liczbę tych ostatnich, mających na karku małą mrówkę *F. exsecta*, zajętą odpiłowywaniem głowy.

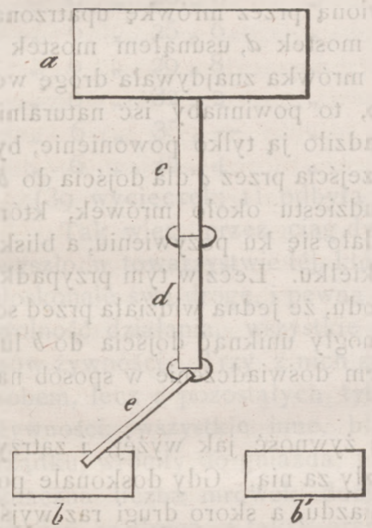
Na pierwszy rzut oka można osądzić, że mrówki uzbrojone w żądła, mają wielką przewagę nad temi, które są ich pozbawione. W niektórych razach jad jest tak silny, że trzeba nim tylko dotknąć nieprzyjaciela, aby go uczynić niezdolnym do walki, albo przynajmniéj unieruchomić go, ze wszelkiemi objawami wielkich cierpień. Gatunki, posiadające to uzbrojenie, mają odwłok bardzo ruchliwy.

U wszystkich gatunków rodzaju *Lasius* liczba zastępuje siłę. Znaczna ich ilość chwyta jednocześnie nieprzyjaciółkę za no-

gi, lub za rożki. a ująwszy ją, wolą się dać raczéj rozerwać na sztuki, aniżeli ją puścić.

Polyergus rufescens, słynna mrówka polująca na niewolników, czyli mrówka—amazonka, walczy w sposób prawie jedyny w swoim rodzaju. Szczęki jéj są nader silne i opatrzone w ostre wyrostki. Jeżeli jest napastowaną,—jeśli np. druga mrówka uchwyci ją za nóżki, obejmuje zaraz głowę przeciwniczki swemi szczękami, a to już zwykle zmusza ją do puszczenia ofiary. Jeśli jednak przeciwniczka nie porzuca swego zamiaru, *Polyergus* zamyka swe szczęki, ostre jéj wydatności zagłębiają się w górną część systemu nerwowego i paraliżują ten system. Przeciwniczka pada, drgając konwulsyjnie i wypuszcza na wolność straszną nieprzyjaciółkę. W ten sposób, stosunkowo, mała ilość Polyergusów może bez obawy napaść na armią o wiele liczniejszą, rzadko tylko doznając straty i to bardzo małéj.

Prawie wszystko to, co powiedziano o właściwéj pszczołom mrówkom zdolności komunikowania się pomiędzy sobą, polega na tym fakcie, że gdy jedna z nich znajdzie na wycieczce jakieś pożywienie, znaczna ilość towarzyszek znajduje wkrótce drogę do niego. Tymczasem nie jest wcale koniecznym warunkiem tego faktu zdolność opisania miejscowości. Jeżeli pszczoły, lub mrówki, idą tylko za towarzyszką bardziéj od nich szczęśliwą, albo jeżeli się kierują wonią po jéj śladach—to zjawisko to jest stosunkowo bardzo prostém; lecz byłoby ono nadzwyczajném, gdyby przeciwnie mrówka owa opisywała im już z góry drogę. Chcąc mieć pewne dane co do tego przedmiotu, wykonałem mnóstwo doświadczeń, z których tylko kilka opiszę w tém miejscu. Zwykle, gdy mrówka znajdzie pożywienie, przynosi go do gniazda tyle, ile może, następnie wraca po nową porcyą, zwykle w towarzystwie wielu przyjaciółek. Po powrocie do gniazda, wyprowadzają one z sobą znowu większy orszak i tym sposobem tworzy się cały łańcuch mrówek. Mogę zapewnić, że przy zaniedbaniu najdrobniejszych ostróżności podczas doświadczenia, a według moich



a deseczka; *b*, *b′* płytki szklanne; *c*, *d*, *e*. małe paski papierowe.

informacyj były one zaniedbywane w dawniejszych doświadczeniach, doświadczenie bardzo mało wykazuje.

Dla zapobieżenia temu, przedsięwziąłem środki następujące. Jedno z gniazd moich małych mrówek brunatnych ogrodowych, *Lasius niger*, połączyłem z deseczką, na której zwykle umieszczałem zapasy żywności i wodę. W małej odległości od deseczki umieściłem dwa szkiełka (*b*, *b'*) z których *b* zawierało pewną ilość pożywienia. Następnie połączyłem szkiełko *b* z deseczką *a* za pomocą trzech małych pasków papierowych *c*, *d*, *e*, i postawiłem mrówkę na żywności. Zaniosła ona pewną jéj ilość do gniazda, powróciła po drugą porcyą i tak daléj. Wiele mrówek szło za nią, lecz wszystkie chwytałem i zatrzymywałem aż do końca doświadczenia. Gdy upatrzona mrówka przeszła znaczną liczbę razy po mostkach papierowych, postąpiłem jak następuje. Wszystkie towarzyszki, które szły za nią, usuwałem z mostków, gdy ona przez nie przechodziła. Gdy mostki były puste, to w chwili, gdy jedna z towarzyszek wstępowała na mostek *c*, usuwałem mostek *e* i pociérałem go lekko palcami, aby zniszczyć, a przynajmniéj zmienić woń pozostawioną przez mrówkę upatrzoną; skoro tylko towarzyszka weszła na mostek *d*, usunąłem mostek *e* i kładłem go pomiędzy *d* i *b'*. Gdyby mrówka znajdywała drogę według opisu poprzednio jéj udzielonego, to powinnaby iść naturalnie od *c* do *b*. Jeśli zaś przeciwnie prowadziło ją tylko powonienie, byłaby przynajmniéj także skłonną do przejścia przez *c* dla dojścia do *b'*. Lecz skutek był taki, że ze stu dwudziestu około mrówek, które przeszły przez *d*, dwadzieścia tylko udało się ku pożywieniu, a blisko sto przeszło przez *c* ku próżnemu szkiełku. Lecz w tym przypadku mrówki szły na mostek *e*, z tego powodu, że jedna widziała przed sobą drugą, a będąc już na nim nie mogły uniknąć dojścia do *b* lub do *b'*. Dla zaradzenia temu, zmieniłem doświadczenie w sposób następujący.

Postawiłem mrówkę, dałem jéj żywność jak wyżéj, i zatrzymałem wszystkie towarzyszki, które szły za nią. Gdy doskonale poznała swą drogę, zwróciłem ją ku gniazdu, a skoro drugi raz wyjść chciała, schwyciłem ją i odrazu postawiłem na pożywieniu.

W tych warunkach, bardzo mała ilość, jak zobaczymy, znajdywała drogę do żywności. Rozpocząłem swe spostrzeżenia o godzinie 5-téj minut 30, w chwili, kiedy mrówka wróciła do gniazda. O 5 min. 34, wyszła zeń znowu, w towarzystwie dziesięciu przyjaciółek, i znowu została zaniesioną przezemnie na pożywienie. Pozostałe błąkały się tu i owdzie, lecz wkrótce wróciły do gniazda i żadna z nich nie znalazła drogi do zapasów żywności. Pierwsza

mrówka wzięła trochę pożywienia, zaniosła je do gniazda i o 5 minut 39, wyszła znowu w towarzystwie ośmiu przyjaciółek; nastąpiło znowu to wszystko co za pierwszym razem. Wyszła znowu

o god. 5	min. 44	z 4	towarzyszkami		o god. 6	min. 44	z —	towarzyszk.
„ 5	„ 47	„ 4	„		„ 6	„ 46	„ 3	„
„ 5	„ 49	„ 1	„		„ 6	„ 49	„ 2	„
„ 5	„ 52	„ —	„		„ 6	„ 56	„ —	„
„ 5	„ 54	„ 5	„		„ 6	„ 59	„ —	„
„ 5	„ 58	„ 2	„		„ 7	„ 2	„ 2	„
„ 5	„ 59	„ 2	„		„ 7	„ 4	„ —	„
„ 6	„ 1	„ 5	„		„ 7	„ 6	„ 3	„
„ 6	„ 4	„ 1	„		„ 7	„ 8	„ 3	„
„ 6	„ 7	„ —	„		„ 7	„ 10	„ 5	„
„ 6	„ 11	„ 3	„		„ 7	„ 13	„ —	„
„ 6	„ 14	„ 4	„		„ 7	„ 17	„ 3	„
„ 6	„ 17	„ 6	„		„ 7	„ 19	„ 7	„
„ 6	„ 20	„ —	„		„ 7	„ 21	„ 5	„
„ 6	„ 23	„ 5	„		„ 7	„ 24	„ —	„
„ 6	„ 25	„ 6	„		„ 7	„ 26	„ 3	„
„ 6	„ 29	„ 8	„		„ 7	„ 29	„ 1	„
„ 6	„ 32	„ 2	„		„ 7	„ 31	„ 2	„
„ 6	„ 35	„ —	„		„ 7	„ 35	„ —	„
„ 6	„ 42	„ 4	„					

(39 wycieczek; 11 odbyła sama a 28 z 120 towarzyszkami).

Tak więc, przez ciąg dwóch godzin, więcéj jak 120 mrówek wyszło w towarzystwie téj, którą obserwowałem. Ta ostatnia znała doskonale swą drogę, i pewną jest rzeczą, że gdybym jéj pozostawił wolność działania, wszystkie mrówki poszłyby za nią aż do zapasów żywności. Trzy z nich zdołały to uczynić przypadkowym sposobem, lecz z pozostałych tylko pięć znalazło sposób trafienia do żywności; wszystkie inne, błąkając się przez pewien czas bez porządku, wróciły do gniazda, nic nie znalazłszy: wnoszę ztąd, że gdy znaczna liczba mrówek dochodzi aż do pożywienia, jedna idzie w ślad za drugą, a także przynajmniéj do pewnego punktu wiedzie je powonienie. Nie wynika zaś ztąd wcale, że mrówki mają do wysokiego stopnia rozwiniętą zdolność porozumiewania się z sobą. Jednakże są pewne okoliczności, któreby mogły doprowadzić do zupełnie odmiennego wniosku. Powiedziałem już naprzykład, że, gdy kolonia *Polyergus* zmienia miejsce swego gniazda, wszystkie panie są przenoszone do nowego gniazda przez niewolnice. Jeśli nadto pewna liczba mrówek *F. fusca* zostanie zamkniętą w pudełku, i jeżeli w ciemnym kącie tego pudełka będzie trochę ziemi, którąby im

mogła służyć za schronienie, jedna z mrówek wkrótce znajdzie do niéj drogę. Powraca ona następnie do towarzyszek i wybiéra z nich jednę, którą ujmuje szczękami. Ta zwija się w kłębek i pozwala się zanieść do grudki ziemi. Następnie obie wracają i postępują tak samo z innemi towarzyszkami i tak daléj, dopóki wszystkie towarzyszki nie zbiorą się razem w miejscu bezpieczném. Lecz zdaje mi się, że trudno przypuścić, iżby one przyjęły tak powolny środek transportu, gdyby były obdarzone zdolnością porozumiewania się z sobą i opisywania przedmiotów. Z drugiéj strony, sądzę, że mogą one sobie udzielać pojęcie prostszéj natury. Na poparcie tego co mówię, mogę zacytować doświadczenie następujące: do deseczki już wspomnianéj przystosowałem dwa paski papiérowe, równoległe od siebie, i położyłem na końcu każdego z nich po kawałku szkła. Na jedném szkle umieściłem znaczną liczbę (od trzech do sześciuset) gąsienic. Na drugie zaś położyłem tylko dwie lub trzy gąsienice; schwytałem następnie dwie mrówki i postawiłem jednę z nich na szkle, na którém było dużo gąsienic, a drugą na tém, gdzie ich było tylko dwie lub trzy. Każda z mrówek wzięła jednę gąsienicę, zaniosła do gniazda, powróciła znowu po drugą i tak daléj. Po każdéj podróży dorzucałem na szkło, gdzie tylko były dwie lub trzy gąsienice, nową gąsienicę, dla utrzymania zawsze jednéj i téj saméj liczby. Jeżeliby w tych warunkach przychodziły na szkiełko inne mrówki, czy to przypadkiem, czy dla tego, że jedna szła w ślad za drugą, czy téż dla tego, że widząc gąsienice przyniesione, wniosły że i one mogą je znaléść w téj saméj okolicy, bądź co bądź, jeżeliby którekolwiek z tych różnych przypuszczeń odpowiadało rzeczywistości, to liczby mrówek wędrujących do każdego ze szkiełek nie powinny były znacznie się różnić od siebie. W każdym razie, liczby wędrówek dokonanych przez te mrówki po każdym z pasków papiérowych powinnyby być mniéj więcéj równe, a więc, jeżeliby były wiedzione powonieniem, stosunki pod tym względem na obu drogach powinnyby być też same.

Niepodobieństwem byłoby dla mrówki, patrzącéj na towarzyszkę niosącą gąsienicę, ocenić ile gąsienic pozostało za niosącą. Z drugiéj strony, gdyby i obce wyprawiły się także na gąsienice byłoby ciekawém widzieć, czy przybyłyby w większéj liczbie na szkło, na którém było więcéj gąsienic, aniżeli na to, gdzie ich było tylko dwie lub trzy. Zaznaczę także, iż wszystkie obce mrówki były uwięzione aż do końca doświadczenia. Podam kilka wypadków przezemnie otrzymanych.

1-e *doświadczenie.* Trwało godzinę. Mrówka postawiona na szkiełku, gdzie było mało gąsienic, odbyła sześć podróży i nie

przyprowadziła towarzyszek. Mrówka chodząca na szkiełko, gdzie dużo było gąsienic, odbyła siedm podróży i przyprowadziła z sobą jedénaście towarzyszek.

3-e *doświadczenie*. Trwało trzy godziny. Mrówka z szkiełka, gdzie mało było gąsienic, zrobiła dwadzieścia cztery pochodów i przyprowadziła pięć towarzyszek. Mrówka z szkiełka, na którém było dużo gąsienic odbyła trzydzieści ośm podróży i przyprowadziła dwadzieścia i dwie towarzyszki.

5-e *doświadczenie*. Trwało godzinę. Mrówka z szkiełka zawierającego mało gąsienic odbyła dziesięć podróży i przyprowadziła trzy towarzyszki. Druga odbyła pięć, a przyprowadziła z sobą szesnaście towarzyszek.

9-e *doświadczenie*. Trwało godzinę. Mrówka z szkiełka, gdzie mało było gąsienic, przeszła jedénaście razy, a przyprowadziła jednę towarzyszkę. Mrówka druga odbyła piętnaście wędrówek, a sprowadziła trzynaście towarzyszek.

10-e *doświadczenie*. Zmieniłem miejsca szkiełek i puściłem te same dwie mrówki, których używałem od początku doświadczenia, lecz, ma się rozumiéć, mrówka, która poprzednio miała mało mrówek do przeniesienia, miała ich teraz dużo, i *vice versa*. Doświadczenie trwało dwie godziny. Mrówka chodząca teraz na szkła, gdzie mało było gąsienic, odbyła dwadzieścia i jednę wędrówek i przyprowadziła jednę towarzyszkę. Mrówka ze szkiełka, gdzie dużo było gąsienic, odbyła 22 podróże i przyprowadziła dwadzieścia towarzyszek. Zdaje mi się, iż te dwa doświadczenia są nadzwyczaj przekonywające.

W rezultacie więc, przekonałem się, że w przeciągu około pięćdziesięciu godzin, mrówka chodząca do szkiełka, na którém leżało dużo gąsienic, przyprowadziła z sobą dwieście pięćdziesiąt siedm towarzyszek, gdy tymczasem mrówka z szkiełka, gdzie mało było gąsienic, nie przyprowadziła z sobą więcéj nad ośmdziesiąt dwie. Rezultat ten będzie jeszcze bardziéj uderzającym, jeśli zauważymy, że pewna liczba mrówek, mniéj więcéj dwadzieścia pięć, doszły do gąsienic własnym przemysłem; gdy więc odtrącimy te dwadzieścia pięć mrówek, to będziemy mieli liczby: dwieście trzydzieści dwa, oraz pięćdziesiąt siedm, pomiędzy któremi zachodzi bardzo znaczna różnica.

Mówiłem gdzieindziéj o stosunkach, istniejących pomiędzy kwiatami a owadami, i studyowałem specyalnie pszczoły, oraz sposób, w jaki są zmodyfikowane kwiaty, aby dać pszczołom możność przenoszenia pyłka z jednego kwiatu na drugi. Mrówki są także bardzo pożyteczne dla roślin, przedewszystkiém z powodu zmniejszania

ilości owadów żywiących się niemi. Jednakże, o ile wiem, nie ma roślin zmodyfikowanych specyalnie do przyjmowania pyłku za pośrednictwem mrówek, a zresztą, nawet dla tak małych kwiatów, któreby najmniejszy owad mógł zapłodnić, odwiedziny owadów skrzydlatych znaczą daleko więcéj; albowiem, jak to wykazał Darwin w swojém wyborném dziele o roślinach jednoplciowych i dwupłciowych, ważną jest rzeczą, aby pyłek został przyniesiony nietylko z innego kwiatu, ale także z obcéj rośliny, tymczasem owady pełzające, jakiemi są mrówki, przechodzą naturalnie tylko z kwiatu na kwiat tegoż samego osobnika.

W skutek tego lepiéj jest dla roślin być wolnemi od wizyt mrówek, albowiem owady te wypijają ich sok, nie dając za to żadnego wynagrodzenia. Natura umiała zaradzić téj niedogodności i jeśli opatrzyła kwiaty w liczne środki przynęcania pszczół, dała im też inne, dla odpędzania mrówek; w ten sposób mrówki wywarły więcéj wpływu na świat roślinny, aniżeli się tego spodziewano. Niektóre, naprzykład, kwiaty są bronione przez częstokoły złożone z kolców i włosów, skierowanych z góry na dół *(Carlina, Lamium)*; inne są opatrzone w pewną ilość gruczołków, wydzielających płyn lepki, przez który mrówki przedostać się nie mogą (Liunaea, porzéczka); u innych znowu sama rurka kwiatu jest bardzo wąska, albo też wnętrze jéj jest prawie zamknięte włosami lub kolcami, które jednak zostawiają dość miejsca na trąbkę pszczoły. Nakoniec niektóre gatunki, a głównie kwiaty zwieszone (Cyclamen, pierwiosnek), mają powierzchnią tak gładką i tak śliską, że mrówki nie mogą wejść do wnętrza, bo często wyślizgują się, gdy usiłują to uczynić i tym sposobem wnętrze kwiatu jest dla nich tak samo zamknięte, jak wiszące gniazda ptaków—tkaczy dla wężów. Zresztą jest to rozległe pole do studyum, którego dziś rozpocząć nie mogę.

Niech mi wolno będzie w zakończeniu powtórzyć, że zdaje mi się, iż pomimo prac wielkich naturalistów, o których z uznaniem wspomniałem na początku niniejszéj pracy, mało jest w historyi naturalnéj rozleglejszychpól badania i więcéj obiecujących odkryć ciekawych, od studyów nad obyczajami mrówek.

UMIEJĘTNOŚĆ JĘZYKA.

STREŚCIŁ PODŁUG WHITNEY'A

Adolf Dygasiński.

(Dalszy ciąg).

IV.

Szczep indoeuropejski albo aryjski obejmuje w sobie następujące rodziny języków: *indyjską*, *perską*, *grecką*, *romańską*, *słowiańsko-litewską*, *germańską* i *celtycką*, a każda z powyższych rodzin składa się z licznych narzeczy. Nazwa tego szczepu *indoeuropejski*, choć jéj bardzo często używamy, nie jest zupełnie właściwą, bo nie wszyscy mieszkańcy w Europie mówią językami wspomnianéj grupy,—w Azyi zaś oprócz indyjszczyzny należą tu jeszcze języki irańskie. Jeszcze mniéj właściwą jest nazwa szczepu *jafeckiego* w przeciwstawieniu do semickich języków, albowiem nazwa ta prowadzi do mylnych pojęć o podziale ludzi na rasy według Biblii. Nie jest téż bynajmniéj trafną nazwa szczepu *indogermańskiego*, jakkolwiek chętnie jéj używają uczeni niemieccy ze względu jakoby w niéj mieściły się nazwy dwóch najgłówniejszych tego szczepu rodzin. Naszém zdaniem najlepszą jest nazwa szczepu *aryjskiego* od starodawnéj nazwy narodu: *Aryowie*. Hypotetyczna bowiem *Arya* miała być ojczyzną ludów, które dziś mówią językami *aryjskiego* szczepu. Dla wykazania wspólności języków pnia aryjskiego, lingwiści używają pospolicie porównywania między sobą liczebników, zaimków, oraz wyrazów, oznaczających pobratymstwo krwi; tu bowiem nigdy nie wystąpiła skłonność wytworzenia synonimów i terminy te utrwaliły się w użyciu tak, że im

wyparcie z języka nigdy nie groziło. Szczególniéj zaś daje się to stosować do liczebników oraz zaimków. Nasze—*trzy* odpowiada sanskryckiemu *tri*; perskiemu *thri*; greckiemu *treis*; łacińskiemu *tres*; celtyckiemu *tri*; litewskiemu *tri*; gotyckiemu *thri*; niemieckiemu *drei* itd. Zaimek drugiéj osoby *ty*: odpowiada sanskryckiemu *twam*; perskiemu *tum*; greckiemu *sy*; łacińskiemu *tu*; celtyckiemu *tu*; litewskiemu *tu*; gotyckiemu *thu*; niemieckiemu *du* i t. d. Te i im podobne językowe fakta jużby wystarczyły, aby utrwalić węzły pokrewieństwa pomiędzy językami, z których fakta owe wzięte zostały.

Odpowiedniości tego rodzaju i w takim zakresie uważać za dzieło przypadku byłoby nierozsądném. Również bardzo niewłaściwém byłoby chcieć stosować tutaj hypotezę naturalnéj odpowiedniości pomiędzy dźwiękiem a znaczeniem, według któréj twórcy języka w rozmaitych krajach, jakoby nie wiedząc jedni o drugich, wpadli na podobne nazwy dla jednych i tych samych pojęć. Może ważniejszym jeszcze dowodem pokrewieństwa języków aryjskich jest zgodność gramatycznéj ich budowy, przebijająca się w słoworodzie, deklinacyi i koniugacyi. Ponieważ trudno jest wyszukać słowa, któreby we wszystkich językach aryjskich wspólny kształt przechowało, przeto podajemy tu tylko końcówki koniugacyjne czasu teraźniejszego:

	Liczba pojedyncza		*Liczba mnoga.*
Język polski	m-sz-t	(w *jest*)	my-cie-ą-an (t)
„ rosyjski	m (dam) sz-t	—	m-te-t
„ sanskrycki	mi-si-ti	—	masi-tha-nti
„ grecki	mi-si-ti	—	mes-te-nti
„ łaciński	o-s-t	—	mus-tis-nt
„ litewski	mi-si-ti	—	me-te-ti
„ celtycki	m-d	—	m-d-t
„ niemiecki	e-st-t	—	n-t-n.

W tém miejscu możnaby się szeroko rozpisać i na większą skalę przeprowadzić porównanie obfitych materyalnych oraz formalnych odpowiedniości w językach indoeuropejskich. Czyniąc atoli zadosyć sprawozdawczéj naturze naszego artykułu, odsełamy ciekawych już do pracy Whitney'a, z któréj treść niniejszą czerpiemy, już do innych dzieł jeszcze więcéj pouczających pod tym względem, jak np. „Grundzüge d. griech. Etymologie" G. Curtius. Zresztą żywimy przekonanie, iż kwestya wspólnego pochodzenia języków jako też i ludów rodziny aryjskiéj jest powszechnie już utartą i tylokrotnie z nią przychodzi się spotykać w zakresie różnych umiejętności, że dla czytelników naszéj pracy wywody obszerniejsze byłyby dosyć zbyteczne.

Gdzie żyli pierwotnie twórcy wspólnego aryjskiego języka, jest pytaniem, będącém dotąd bez odpowiedzi. Powiadają, że ojczyzną ich były północno-wschodnie okolice płaskowzgórza irańskiego, że u spadków gór Hindu-Kusz należy szukać ich siedzib, jednak na oznaczenie dokładniejszéj topografii nie zdobyto się dotychczas. Podobnież nic nas nie poucza o wędrówkach tych ludów do ich dzisiejszych siedlisk. Na 2.000 lat prawie przed erą naszą występuje w historyi pierwsza tych ludów rodzina indo-perska. Plemiona mówiące sanskrytem, przekroczywszy progi Indyj wschodnich, posunęły się na doliny rzek i w piaszczyste pustynie północno-zachodniéj części Indyi, zwanéj Pendżabem; rozpostarły się w odległych a żyznych krainach, które wodami swemi zrasza Ganges oraz jego przypływy. Otóż wiemy przynajmniéj tyle, że Indye nie były ojczyzną, ale jedną z późniejszych zdobyczy Aryów, która miała miejsce już po ich rozdziale. Wspólna ojczyzna Indów i Persów znajdowała się niewątpliwie w północno-wschodnim Iranie, w ognisku najstarszych perskich podań o bogach i bohatérach. Ale nic nie skłania do twierdzenia, że to byli pierwotni mieszkańcy téj okolicy i że późniejsze wędrówki odbywały się w kierunku zachodnim. Historya Greków i ich podania wkraczają w drugie tysiącolecie przed Chrystusem, lecz Grecy byli już wtedy spokojnymi panami małego półwyspu, otaczających go wysp i leżącego naprzeciw azyatyckiego wybrzeża, gdzie wytrysło światło greckiego Geniuszu, którego odblaskiem opromieniony późniéj został świat cały. Co tu sądzić z opowiadania ich o swojém pochodzeniu?.. Może wyrośli z ziemi, a może urodzili się z kamieni, które Deukalion i Pyrrha za siebie rzucali! Szczep łaciński przy pierwszém wystąpieniu na arenę dziejów jest garstką ludzi żyjących na małéj przestrzeni i wypartych do środkowéj Italii przez pobratymcze szczepy; ale żadne podanie o ich wędrówce na półwysep włoski nie ma w sobie historycznego ziarna. Od pisarzy rzymskich dochodzą nas najprzód wiadomości o Celtach i Germanach; pierwsi z nich nie mogą się już wówczas utrzymać w starych siedzibach w obec parcia sąsiadów, same zaś celtyckie podania o wędrówkach tych ludów do europejskich siedzib są to oddźwięki wiadomości, jakie Celtowie znacznie późniéj otrzymali ze wschodu. Germanów znajdujemy w nieustannéj fermentacyi, rozsyłają oni swoje niespokojne zastępy na wszystkie strony i długo odgrywają rolę niszczycieli spokoju świata. Ślady ich znajdujemy i nad Wołgą i u słupów Herkulesa, ale daremnie zapytujemy, skąd i kiedy przybyli? Nareszcie na scenę najpóźniéj występują Słowianie w miejscowościach, odpowiadających dzisiejszym ich siedzibom. Szczep ten w zaciętéj walce

o byt dowiódł wytrwałości swojéj, a losy jego mają jeszcze olbrzymią przyszłość w dziejach świata. I o ich pochodzeniu nic powiedzieć nie można.

Tak więc gdy mowa o ojczyznie Aryów, historya i mit robią nam całkowity zawód; ale, niestety, i w języku nie znajdujemy żadnych pod tym względem wskazówek. Najbardziéj wschodnie rodziny, Perska oraz Indyjska, wykazują wprawdzie najmniéj zboczenia od języka pra-aryjskiego, jaki przeciętnie ze wszystkich tego szczepu języków dał się wywnioskować, lecz z tego bynajmniéj nie wynika, żeby ludy mówiące tymi językami pozostały najbliżéj wspólnéj swojéj ojczyzny; bo wędrówki narodów nie zawsze wprawiają przemiany językowe w przyspieszone tempo, jakoteż z drugiéj strony pobyt narodu na jedném miejscu nie warunkuje ściśle niezmienności języka. Chociaż Grecy przemieszkiwali daléj od wschodniéj ojczyzny Aryów niż Armeńczycy, jednak pierwsi przechowali w języku swoim znacznie więcéj wspólności z powszechno-aryjskim językiem niż drudzy. A taki język litewski lub islandzki dyalekt niemczyzny są w Europie dzisiaj najbliżéj swego zasadniczego typu.

Ale także i stosunki, w jakich się pomiędzy sobą znajdują rodziny języków indo-europejskich, nie rzucają światła należytego na historyą wędrówek.

Schleicher usiłował nakreślić genealogiczne drzewo języków aryjskich, przyczém wyszedł on z przypuszczenia, że pierwotny język Aryów podzielił się na dział północny i południowy. Pierwszy obejmował niemczyznę i sławo-litewszczyznę; drugi rozpadł się na dwa typy: indo-perski i południowo-europejski. Język południowo-europejski wydał ze siebie: grekę i język italo-celtycki, z którego to ostatniego wywiązał się język italski z łaciną na czele i celtycki.

W téj próbie genealogicznéj zadziwia nas stanowisko języka celtyckiego, gdzie pierwotny charakter aryjski, w skutek działania upadku dźwięków oraz przemian gramatycznych i leksykalnych, zatarł się w tak wysokim stopniu, iż nie możemy ze Schleicher'em podzielać przekonania, jakoby ten język był najpokrewniejszy łacinie. Może nadejdzie chwila lepsza dla zbudowania genealogicznego drzewa aryjszczyzny, a wtedy i światło dobre rzucone zostanie na kierunek oraz następstwo po sobie wędrówek.

Wątpimy jednak bardzo, czy te odkrycia doprowadzą do ścisłego oznaczenia miejscowości, z któréj wędrówki się rozpoczęły, a tymczasem uważamy już za rzecz właściwszą przyznać się do nieświadomości, niż polegać na poglądach nieuzasadnionych. Jeżeli

kwestya miejscowości pozostała nierozstrzygniętą, to również niepewność rozpościéra się i nad kwestyą czasu. Po przez starsze warstwy języka, które się w niepamiętnych czasach ułożyły, przeszły gwałtowne rewolucye i sprawiły tu straszliwe spustoszenie, a miara czasu i rozwoju języka jest zbyt chwiejną, aby dawała rękojmią postawienia jakichś pewniejszych wniosków. Co się tyczé stopnia wykształcenia i sposobu życia szczepu aryjskiego przed jego rozdziałem na historycznie znane narody, umiejętność języka ma możność wypowiedzenia już czegoś pewniejszego. Od późniéj zarobionego językowego majątku różnych narodów można odróżnić mienie ze skarbu wspólnego odziedziczone, a w które zasobny naród każdy szedł sobie budować przyszłość.

Językowa paleontologia dostarczyła już znacznego w tym względzie materyału i wyczekiwać można coraz szczęśliwszych rezultatów, w miarę jak postępują porównawcze badania. Stąd to dowiadujemy się, iż pierwotny aryjski naród był osiadłym, budował nawet miasta i żył częścią z rolnictwa, częścią z hodowli bydła. Najważniejsze zwierzęta domowe, jak: koń, wół, owca, koza, świnia i pies, były mu znane. Ze zwierząt drapieżnych, niszczących trzody, prześladowano niedźwiedzia i wilka.

Podobnie, jak nas dzisiaj, niepokoiły owoczesnych ludzi muchy oraz myszy. Kraj przez aryów zajmowany był bogaty w widoki, lecz nie dosięgał morskich wybrzeży. Z pór roku stale przechowała się w pokrewnych językach nazwa zimy.

Jako pokarm roślinny uprawiano jęczmień (może także pszenicę) i przemieniano go na mąkę (?). Z miodu wyrabiano napój wzmacniający i upajający. Znaném było również użycie niektórych metali, ale czy umiano przerabiać żelazo, tego nie wiemy. Tkactwo było już podówczas wynalezioném: robiono tkaniny z wełny i konopi (?) a może i ze lnu (?).

O innych przedmiotach i zajęciach domowego gospodarstwa u tych ludów nie można nic stanowczego wypowiedzieć; atoli to jest pewném, że wspomniane sprawy nie mogłyby być praktykowane, gdyby nie posiadano znajomości innych. Do obrony i napadu używano miecza, tarczy (?) dzidy, łuku. Znane téż były czółna, wprawiane w ruch za pomocą wioseł. Co się tyczé formy rządu i urządzeń społecznych, to prawdopodobnie naród ten pierwotny żył rozpadnięty na pomniejsze plemiona pod zwierzchnictwem nie królów, ale raczéj wodzów, naczelników drużyn a społeczne urządzenia nosiły piętno życia patryarchalnego, gdzie nie zbywało także na niewolnictwie, praktykowaném nad pojmanym w wojnie nieprzyjacielem. Rachowano podług systemu dziesiątkowego, przynajmniéj do

stu, gdyż na oznaczenie *tysiąca* nie ma wyrazu wspólnego indoeuropejskim językom. Księżyc był miarą czasu. Religia miała charakter politeistyczny; był to kult personifikowanych sił przyrody, przy którym nie miała współudziału kasta kapłanów.

Rozpatrzywszy w pobieżnych rysach pokrewieństwo oraz ogólny charakter szczepu aryjskiego, musimy z kolei zastanowić się nad pojedynczemi rodzinami ten szczep stanowiącemi.

Najstarszą formą języka w rodzinie *słowiańskiéj* jest język *starosłowiański* albo *starobulgarski*, dyalekt, na który apostołowie słowian, Cyryl i Metody przed tysiącem lat prawie przełożyli pismo święte. Dziwnym zbiegiem okoliczności pierwsze pojawienie się słowiańskiéj mowy piśmiennéj nastąpiło prawie w téj saméj miejscowości, skąd wyszła także najstarsza księga, jaką zna literatura niemiecka, Ulfilasowa Biblia. Starożytne bowiem państwo Słowian bulgarskich leżało na południowym brzegu dolnego Dunaju, gdzie ono powstało bezpośrednio po zniknięciu tamże potęgi Gotów. Ów starosławiański język znany jest także pod nazwą *cerkiewno-słowiańskiego*, ponieważ przez wielu słowian przyjęty został do obrządków kościelnych, co i dziś jeszcze ma miejsce. Jest on dyalektem słowiańskim południowo-wschodniego działu, w którym największe miejsce zajmują języki ruskie, jak: *wielko-rosyjski*, *biało-ruski* i *mało-ruski*. Literatura tych języków zakwita szczęśliwie, a ślady jéj z czasów dawniejszych są dosyć skąpe i sięgają XI-go wieku. W piśmiennym ich rozwoju wywarł na nie znaczny wpływ język cerkiewno-słowiański. Do działu południowo-wschodniego należy także język *serbski* z pokrewnym sobie *kroackim* oraz *słoweńskim*, używanym w Karyntyi i Styryi. Zwłaszcza język serbski reprezentowany jest w literaturze przez szereg epicznych ludowych i bohatérskich poematów. Do drugiego zachodniego działu należy język *polski*, *czeski* wraz z *morawskim* i *słowackim*, *górno* i *dolno-łużycki* oraz *połabski* nad Elbą. Najstarszą jest tu czeszczyzna, choć niektóre teksty staro-czeskie, sięgające IX-go wieku, są podejrzanéj autentyczności. W Polsce aż do XIV w. literatura była łacińską; inne zaś zachodnie słowiańskie języki mogą się wykazać pomnikami językowemi dopiéro w XVI wieku. Co się tycze języka Słowian połabskich, ten dzisiaj nie jest już językiem żywym, albowiem Słowianie, mieszkający nad Elbą, do szczętu wyginęli w walce z germanizmem.

Grupę dyalektów *litewskich* albo *letyckich* zaliczają już do jednéj rodziny z językami słowiańskiemi, już téż uważają ją jako dział oddzielny. Jakkolwiek Litwini małą odgrywają rolę w historyi, a ich usiłowania literackie stoją daleko po za innemi aryjskiemi ludami, — jednak dla językoznawstwa litewszczyzna przedstawia ogromną war-

tość ze względu na cudownie przechowaną starożytność swoich dźwięków oraz form.

Sławny sanskrycista w Królewcu Bohlen miał podobno z mieszkającymi tam Litwinami zabawiać się rozmową w języku *Wed*; może to sobie być żartobliwą anegdotką, ale litewszczyzna niezaprzeczenie przewyższa wszystkie żywe oraz umarłe języki indoeuropejskie pod względem wiernego i bogatego przechowania starożytnego charakteru aryjskiego.

Germanizm, który, jak widzieliśmy, wyrządził dużo szkody słowiańszczyznie i na litewskie języki w zetknięciu się z niemi wywarł także swą supremacyą; pod jego to wpływem marnieje litewszczyzna w Prusach wschodnich, a starzy narzekają już, że ich młodzież nie rozumié.

To téż tém więcéj godną jest podniesienia zasługa ś. p. Augusta Schleichera, który zostawił językoznawstwu cenną spuściznę w ułożonéj przez siebie gramatyce, jakotéż wypisach języka litewskiego. Znakomity ten badacz przedsięwziął w r. 1852 podróż na Litwę, gdzie, wyuczywszy się najprzód po litewsku, z ust miejscowych wieśniaków wydobył każdą gramatyczną formę języka. Dla słusznych powodów ograniczył się Schleicher na języku *górno-litewskim*; ten bowiem jest najważniejszym dyalektem dzisiejszego językowego obszaru litewszczyzny. *Dolno-litewski* język przedstawia już młodsze formy, co się tém bardziéj stosuje do *języka Łotyszów* z Inflant i Kurlandyi, mającego się do języka litewskiego mniéj więcéj w tym stosunku, co język włoski do łaciny; z tém nadmienieniem jednak, że język ten nie wywodzi swéj genealogii bezpośrednio z litewszczyzny, ale jest gałązką rodziny litewskiéj. *Staro-pruski* język daleko pokrewniejszy właściwemu litewskiemu, niż język dopiéro co wspomniany, wygasł w XVII wieku, a jedynym zabytkiem po nim pozostałym jest krótki katechizm i dopiéro przed kilku laty (1868) wydany słownik, w którym znajdujemy około 800 wyrazów tego, równie jak górno-litewski, wielce starożytnego języka.

W rodzinie *niemieckiéj* znajdujemy trzy główne działy: 1) *Górno-niemiecki* w południowych i środkowych Niemczech; 2) *Dolno-niemiecki* w północnych Niemczech, Niderlandach, Anglii oraz w licznych angielskich koloniach po różnych częściach świata. 3) *Skandynawski* w Danii, Szwecyi, Norwegii oraz Irlandyi.

Dział górno-niemiecki przedstawia trzy peryody: *staro-górno-niemiecki* od VIII aż do końca XII wieku. Pomniki są tu bogate liczbą a także treścią, która nosi charakter przeważnie religijno-chrześciański. W tym peryodzie odróżniają się trzy narzecza: *frankońskie*, *szwabsko-alemańskie* i *bawarsko-austryackie*. W drugim peryodzie

średnio-górno-niemieckim, ciągnącym się od XII aż po koniec XV wieku, dyalekt *szwabski* doszedł do supremacyi panującego literackiego języka w swoich narodowych powieściach, bohatérskich, miłosnych i politycznych pieśniach. Nibelungi (Niebelungenlied), ów znany poemat bohatérski, pomiędzy utworami epicznemi wszystkich narodów ustępuje miejsca tylko Iliadzie i Odysei.

Co się tyczé peryodu nowo-górno-niemieckiego, ten rozpoczyna się od XVI wieku i sięga do naszych czasów.

W dziale dolno-niemieckim najważniejszym jest język *angielski*. Bogata jego historya w każdéj wybitniejszéj chwili oświeconą została przez cenne dzieła. Możemy ją zacząć od okrésu *średnio-angielskiego* (1350 do 1550) i posuwać się przez peryod *staro-angielski* (1250—1350), *pół-saski* (1150—1250) aż do *anglo-saskiego*, który to dyalekt sięga w VII stulecie naszéj ery i który, trzeba przyznać, pod względem wieku tylko jednemu z niemieckich dyalektów *gotyckiemu* ustępuje. Najstarsze poemata anglo-saskie, odpowiednio do swego stylu, miary wiersza oraz materyału i treści, należą do przedchrześciańskiéj epoki, co się stosuje koniecznie przynajmniéj do jednego z nich, znanego pod nazwą Beovulfa. Z Anglo-Saskim najbliżéj pokrewne są: *Staro-fryzyjski* i *Staro-saski*. Pierwszy z nich jest językiem, panującym u mieszkańców wysp Fryzyjskich na morzu Północném, a pomniki jego znajdują się w zbiorach praw z XII wieku. Chociaż atoli data tak świéża, starożytność budowy języka niewiele ustępuje staro-górno-niemieckiemu. Drugi staro-saski, na przestrzeni między Renem i Elbą, jest bardzo ważnym dyalektem północnych Niemiec, ale starsza historya jego pogrążona jest dla nas w ciemności, z któréj tylko w IX wieku błyska „Heliand,“ t. j. „Heiland,“ — opis życia Chrystusowego. Oba te języki straciły dziś charakter języków literackich i kursują jedynie w niższych warstwach narodu, jako tak zwany *platt* albo *platt-deutsch*; jakkolwiek obdarzony talentem spostrzegawczym i opisowym Fritz-Reuter oraz drugi jeszcze genialny poeta Claus-Groth wprowadzili je w literaturę niemiecką, coś jakby nakształt delikatesów. Język *holenderski* tylko przez oderwanie się stanów Niderlandzkich od państwa Niemieckiego uniknął losu, jakiego doznał język staro-saski. Zakwitał on bogatą literaturą w XVI wieku, w epoce zaciętych walk narodowych z groźną tyranią Hiszpanów. Język *flamandzki*, pokrewny językowi używanemu w belgijskiéj Flandryi, wykazuje pomniki starożytne w tym samym stopniu co holenderskie; bliskim on jest dzisiaj zniknięcia. Nareszcie w trzecim dziale Skandynawskim najstarszych pomników dostarcza nam Islandya, odległa i niegościnna wyspa, na któréj w IX-m wieku wygnańcy Norwegscy założyli państwo wolne, rozwijające się

prędko oraz szczęśliwie, a będące przez długi czas siedliskiem Skaldów i ich poezyi. Kiedy około roku 1000 chrześciaństwo zaprowadzone zostało w Islandyi, okazało się ono dla pogańskich tradycyj pobłażliwszém tutaj niż gdzieindziéj. Obie Eddy, zbiory pieśni i podań, utworzonych w Islandyi w wieku XII i XIII, są bez zaprzeczenia najcenniejszemi źródłami dla historyi niemieckiéj najodleglejszych czasów. Język téż, w którym one są spisane, choć późniejszy niż anglo-saski i staro-górno-niemiecki, ale nie ustępuje im obu pod względem pierwotności form i dźwięków. Dział Skandynawski wypełniają nareszcie języki: *norwegski*, *szwedzki* i *duński*, które już dosyć dawno reprezentowane są w literaturze.

Oprócz tych wszystkich języków w rodzinie germańskiéj istniały jeszcze inne, które przepadły stanowczo, podobnie, jak używający ich Herulowie, Longobardowie, Burgundowie i t. d. Pozostał jednakże wyjątek od téj reguły, o tyle ważny, że jedyny. Część potężnego i sławnego narodu Gotów w pierwszéj połowie IV-go wieku osiedliła się była w Mezyi. Tu przyjęli Gotowie religią chrześciańską, a biskup ich oraz przewódzca *Ulfilas* zajął się przekładem na język ojczysty Biblii, którą spisał alfabetem przez siebie wynalezionym, a będącym naśladownictwem greckiego. W pół tysiąca lat po Ulfilasie wygasł *gotycki* język wszędy, gdzie panował, a dzięki szczęśliwemu tylko trafowi przechowały się fragmenta gotyckiéj Biblii w rękopiśmie z V wieku, i cenny ten zabytek znajduje się obecnie w Upsali. Język gotycki wypełnia próżnią, będącą pomiędzy językami niemieckiemi i innemi indo-europejskiemi, jest on bowiem nietylko ze względu na czas, ale i na budowę bardzo starożytnym językiem. Nie jest to wprawdzie ojciec wszystkich niemieckich dyalektów, albo jednego z nich, ale jest to najstarszy ich brat.

Z kolei przystępujemy do języków *celtyckich*, które w zapasach z germańskiemi i romańskiemi pokonane zostały i schroniły się do ostatecznych fortec owego wielkiego obszaru, na którym niegdyś panowały. Szkocka wyżyna, niedostępne miejscowości w Irlandyi, wyspa Man, górzysta Walia, samotne wąwozy Kornwalu, francuska Bretania, oto są dziś jeszcze już od tysiącoleci przez język celtycki zajęte terytorya. Ale smutna jest przyszłość téj rodziny! *Kornijski* dyalekt, który do dni naszych dawał słaby znak życia, właśnie zgasł obecnie; *iryjszczyzna* szybkim krokiem biegnie do upadku; dyalekt *gelijski* nie może stawić oporu naciskowi angielskiéj cywilizacyi; narzecze zaś *bretańskich* wieśniaków wcześniéj czy późniéj pochłonięte zostanie przez francuszczyznę. To samo da się zastosować do *Walijczyków*, otoczonych dokoła ludnością, mówiącą po angielsku. Rzecz dziwna, że w historyi świata nie zjawił się nigdzie ucywilizowany

i samodzielny celtycki państwowy organizm, któryby mógł bronić języka narodowego w obec obcych pokuszeń, a tylko taka siła zdołałaby celtycyzm przed zagładą ocalić.

Tak zwana Celtomania sprawia wiele trudności krytycznemu opracowaniu historyi języków celtyckich, jestto bowiem choroba, którą dotknięci niektórzy badacze silą się na przesadzanie wieku, literatury, stopnia oświaty i znaczenia celtycyzmu w dziejach.

Wprawdzie łacina wyparła sobą stanowczo dyalekty *galijskie* w północnéj Italii, we Francyi i Hiszpanii, jednakże szczątki ich doszłe do nas już z samego łacińskiego języka (np. łaciński wyraz *rheda* =wóz jest galijski), już z języków romańskich lub z przytoczeń u dawnych pisarzy, z monet i t. d. wywołały pomiędzy celtologami kwestyą, czy te dyalekty zaliczać do jednego z dwóch głównych działów rodziny celtyckiéj, czy też ustanowić dla nich dział trzeci.

Obok skąpych i dosyć niezrozumiałych materyałów czerpniętych z napisów, jakoteż nielicznych wyrazów, przytoczonych przez starożytnych autorów, najcenniejszemi zabytkami dyalektu iryjskiego i walijskiego są zapiski celtyckich mnichów, umieszczone na brzegach rękopismów, lub między wierszami, pochodzące z tych czasów, kiedy Walia, a głównie Irlandya były środkowym punktem literackiéj działalności misyonarzy. Są to tłómaczenia tekstów religijnych, z których można sobie stworzyć dobry obraz stanu iryjskiego dyalektu na końcu VIII wieku.

Znamy też większy samodzielny literacki produkt staro-iryjskiéj literatury, odnoszący się do początku IX wieku; jest nim żywot Ś-go Patryka. Drugim dyalektem głównym działu *gadhelickiego* jest język *szkocko-gelijski*; znana jest tutaj pewna liczba pieśni, odnoszących się do XVI w. Pieśni Osyana, które wywołały tyle twierdzeń i zaprzeczań o swojéj autentyczności lub nieautentyczności, polegają prawdopodobnie w bardzo małéj tylko części na starych gelijskich podaniach.

W dziale *Cymryjskim* wspomniane już przez nas głosy, albo zapiski mnichów stanowią także najstarsze, ściśléj odatowane zabytki językowe. Są one jednoczesne z iryjskiemi, ale uboższe w materyał. Od wieków bardowie walijscy opiewali patetycznie smutny los swego narodu, i niektóre z ich pieśni datują się od przeszło 1.000 lat. Jestto może prawdą, ale nie mniejszą też jest prawdą, że wraz z tradycyą tych pieśni nieustannie modernizowano i język, tak że one w dzisiejszéj swojéj postaci reprezentują dyalekt walijski w formie cokolwiek tylko starszéj od téj, jaką znamy z rękopismów XII-go i XV wieku. Dyalekt Kornijski wykazuje się najstarszym pomnikiem, mogącym należéć do XII wieku; jestto łacińsko-kornijski spis wyrazów.

Język bretański albo *armorykański* reprezentowany jest w jednym, czy dwóch literackich zabytkach z wieku XV-go lub wcześniéj nawet. Jest on spokrewniony z dwoma dopiéro co wspomnianemi dyalektami tak ściśle, że trudno go uważać za reprezentanta staro-galijskich dyalektów, ale raczéj jestto może język kolonistów, lub wygnańców, którzy z Anglii musieli uchodzić do Bretanii.

Rozejrzyjmy się teraz w rodzinie języków *romańskich*, które, jak to już wspomnieliśmy, wyrosły z łaciny, a z których dwa: *Reto-romański* we wschodniéj Szwajcaryi, a *rumuński* na Wołoszczyznie i w Mołdawii, nie posiadają starych zabytków, w czasach zaś nowszych nie rozwinęły oryginalnéj literatury. Pięć innych: *włoski*, *portugalski*, *hiszpański*, *francuski*, *prowensalski* wyrosły z ludowych dyalektów i powoli, około XI, XII oraz XIII wieku, wzniosły się na stanowisko języków wykształconych i narodowych. Najdawniejsze fragmenta tekstów francuskich pochodzą z X-go wieku; bogata zaś staro-francuska literatura, wysoko rozwinięta w swojéj epicznéj części, należy do XII i XIII stulecia.

Poezya Prowensalska, uprawiana w pieśniach trubadurów szczególniéj na dworze tuluskim, była według rodzaju liryczną a według treści już erotyczną, już satyryczną; złoty jéj okrés obejmuje około 300 lat i kończy się prawie z XIV-ym wiekiem. Język włoski, jako język wykształcony, zjawia się po raz pierwszy na dworze Fryderyka II-go, a w ciągu następnego półtora wieku piszą w nim trzéj koryfeusze włoskiéj literatury: Dante (um. 1321), Petrarka (um. 1374), Boccaccio (um. 1375). Hiszpańskie romance rozpoczynają się z XII wiekiem, a prawie jednocześnie występują także pierwsze pomniki języka portugalskiego.

Języki, któreśmy tu nazwali romańskiemi, są późniejszymi potomkami jednéj rodziny szczepu aryjskiego, mianowicie *łaciny*, któréj od nas należy się także słów kilka poświęcić.

Porównywając język najdawniejszych poetów, jakich dzieła doszły do nas bądź całkowicie, bądź w ułamkach, z językiem Liwiusza Andronika, Plauta, Terencyusza, widzimy jak klasyczna łacina przez przydłuższe użycie doskonaliła się i upiększała, co będzie tém widoczniejsze jeszcze, gdy się zwrócimy do starych napisów, do pieśni Salijskiéj, lub pieśni braci rolnych (fratres arvales), które pochodzą z epoki dawnéj, niedokładnie oznaczonéj, a przy objaśnieniu których największy znawca łaciny zbłądziłby w ciemnościach, gdyby nie istniało stare, tradycyą przekazane tłómaczenie.

W tych i innych starołacińskich pomnikach przekazane nam są starożytne formy, z których wyciągnąć się dają drogocenne rezultaty dla historycznéj gramatyki łacińskiéj, do czego w znakomi-

téj części przyczynia się także porównywanie pokrewnych sobie italskich dyalektów.

Dyalekt *oskijski* w południowéj Italii był kiedyś językiem Samnitów i ludów do związku z nimi należących, którym Rzymianie wydarli berło panowania nad półwyspem po długich i zaciętych wojnach.

Język *umbryjski*, znany z tak zwanych iguwińskich tablic (odnoszących się do III-go lub IV wieku przed Chrystusem), używany był w części północnéj Italii. Z resztek, jakie się przechowały z języka *sabińskiego* lub *sabelskiego* i *wolskiego*, można wnosić, iż język Wolsków stał bliżéj umbryjskiego, a sabiński łacińskiego. Istnieją ciekawe teorye co do powstawania łaciny; niektórzy bowiem uważają ten język jako zlepek żywiołów rzymskich, sabińskich oraz oskijskich, a nawet i całkiem niepokrewnych etruskich. Była zaś chwila, kiedy modném było wywodzić łacinę z greki; obecnie jednak nigdy badacz języka nie zgodzi się na żadną z tych teoryj.

Co się tycze językowéj rodziny *greckiéj*, znajdujemy tu pomniki tak odległych czasów, że czegoś podobnego nie wykazała nam dotąd historya żadnego z poprzednio wspomnianych języków. Wprawdzie trudno zdobyć się na dokładne oznaczenie czasu, w którym powstała Iliada i Odysea, jednak powszechnie zgodzono się na to, że czas ich powstania nie sięga poniżéj 1.000 lat przed Chrystusem. Język Homera, podobnie jak i Hezyoda, jestto sztuczny dyalekt, powstały z różnych narzeczy z przewagą jednak jońskiego elementu. W bezpośrednio następującym peryodzie widzimy tu, podobnie jak w Italii, trzy dyalekty: *joński*, *dorycki* i *eolski*, nie licząc mnóstwa pobocznych, znajomość których zawdzięczamy najnowszym badaniom napisów greckich. Atoli, ze wzrostem dopiéro Aten w polityczną potęgę, dyalekt *attycki* staje się od 300 roku przed Chrystusem literackim językiem całego heleńskiego świata. Późniejszy attycki język znamy z fragmentów Solona, historyi Tucydydesa, a głównie z dramatów trzech wielkich tragików: Eschilosa, Sofoklesa i Eurypidesa (około 500 przed Chryst.). Jest on bliższy *starojońskiego* języka Homera oraz Hezyoda (około 700 przed Chryst.) i *nowojońskiego* Herodota (400 przed Chryst.), niż *doryckiego* u Pindara i Teokryta (do 250 przed Chryst.), lub *eolskiego* u Alceusza i Safony (blizko 600 przed Chryst.). Różnice pomiędzy dyalektami greckiemi są małoznaczące w porównaniu z wybitnie różniącemi się italskiemi narzeczami. I język *nowogrecki* ma swoje narzecza liczne, ale te jeszcze nie zostały należycie zbadane. Nowożytny język literacki nowogrecki nosi nazwę *romajskiego*, i jak w starożytności attyckim, tak dziś romajskim mówią wszyscy wykształceni grecy.

Różnica romajszczyzny od języka Platona i Demostenesa jest znacznie mniejszą, aniżeli różnica pomiędzy nowożytnemi romańskiemi językami a klasyczną łaciną Cycerona i Virgiliusza. W nowszych czasach powstało w Grecyi towarzystwo, które postawiło sobie zadanie nieco pedantyczne i utopijne, aby różnicę tę znieść zupełnie i w języku powrócić do stanu, jaki istniał w starożytnéj Grecyi, kiedy ona była pierwszym narodem świata.

Z rodzin azyatyckich przedewszystkiém zwraca na się uwagę najbliższa nas geograficznie rodzina *irańska* lub *perska*. Najstarsze pomniki tego języka przechowały się w napisach klinowych, w których władzcy dynastyi Achemenidów, Daryusz, Kserkses oraz ich następcy zostawili potomności niezatarte świadectwo swego imienia i czynów. Przed 50 jeszcze laty napisy klinowe były zagadką niedającą się rozwiązać, ale wytrwałe a umiejętne badania obok różnych pomyślnych okoliczności sprawiły, iż każdy znak i wyraz jest dzisiaj zrozumiały i należycie objaśniony. Najstarsze z tych napisów odnoszą się do V lub VI wieku przed Chrystusem. Do starszéj jeszcze epoki należy Święta Księga Zendawesta lub Avesta, ułożona przez Zoroastra, któréj język nazywany *Zendem*, *staro-irańskim* albo *staro-baktryjskim*. Zendawesta pisaną jest w dwóch dyalektach, a najstarsze jéj części mogą sięgać XIII wieku przed Chrystusem, w którym to czasie prawdopodobnie przypada działalność Zarathustry, podług zestawienia różnych wiadomości autorów greckich z podaniami w saméjże Zendaweście zawartemi. Inne części téj księgi powstały znacznie później, kiedy się już sformowała kasta kapłanów i wpływy jéj były ustalone. W epoce znacznie późniejszéj od najdawniejszych tekstów Zendawesty powstał przekład tego dzieła na język *Pehlevi* albo *Huzvaresz*, będący językiem państwowym dynastyi Sassanidów, budującéj w III wieku po Chr. potęgę nowoperskiéj monarchii, biorąc za podstawę wskrzeszenie staroirańskiéj wiary i panowała aż do VII wieku, t. j. do zawojowania tego państwa przez Arabów. Huzvaresz jest, jak się okazuje z badań M. Hauga, semickim idyomem. Inne dzieła treści teologicznéj w literaturze persów sporządzone są w języku irańskim, zwanym *pazend* albo *parsi*, pokrewnym Zendowi, odnoszącym się do epoki znowu wskrzeszonéj literatury i narodowości perskiéj; podczas gdy język Huzvaresz należy uważać jako pozostałość czasów dawniejszych, w których zaczął się w Iranie ustalać wpływ semityzmu. Pazend albo parsi obejmuje epokę od V — X wieku po Chryst., t. j. najbliższe wieki przed mahometańską inwazyą i po niéj. Poczém raz jeszcze wystąpiła silna reakcya narodowości irańskiéj przeciw semityzmowi, ale ta mogła jedynie ratować język a nie

wiarę Zoroastra. Ostatni wyznawcy religii światła, których dziś jeszcze spotykamy w Jezd i Kerman, wywędrowali do Indyj wschodnich, a na dworze Ghasnavidów we wschodnim Iranie zakwitła *nowo-perszczyzna*, najmłodsza latorośl języka perskiego, bogata w literaturę poetycką, historyczną i filozoficzną. Znajdujemy tutaj „Szahnameh“ (księga królów) narodowy poemat bohatérski, dzieło Firdusi'ego (um. 1020).

Język nowo-perski, podobnie jak w Europie angielski, zredukował swój system fleksyjny do ostateczności. Do języków irańskich zalicza się *scytyjski* i *sarmacki* lub *sauramacki*, który jest nam ze starożytności przekazany w bardzo skromnych pozostałościach. Języki niektórych ludów mało-azyatyckich, jak np. Licyjczyków i Lidyjczyków, z któremi często mieli styczność Grecy oraz Rzymianie, należą prawdopodobnie do rodziny irańskiéj, ale to nie jest faktem stwierdzonym przez niezbite dowody. Język *armeński*, który rozwinął literaturę bogatą, sięgającą do V wieku naszéj ery, trzeba także uważać jako członka téj wielkiéj rodziny, do któréj zaliczają się również i język *Osetyńców* na Kaukazie, język *Kurdów* w pogranicznych prowincyach między Persyą, Turcyą i Rosyą, oraz język *Afganów* lub *Puchtu*, który w najnowszych czasach wykazał niejaką literacką działalność. Język afgański jest przejściem z języków irańskich do indyjskich, co odpowiada jego geograficznemu położeniu.

Dochodzimy nareszcie do ostatniéj rodziny szczepu aryjskiego, zwanéj *indyjską*, któréj historya rozgrywała się w obszernych krainach Indyj Wschodnich. Atoli niewszystkie mnogie języki na tym ogromnym półwyspie, rozpostarte od Himalajów po ocean Indyjski, zaliczają się do naszego szczepu. Górzyste okolice wnętrza kraju i płaskowzgórze Dekhan zajęte są przez pierwotnych tuziemców, którzy na północy już w przedhistorycznych czasach wytępieni zostali przez Aryów, ciągnących tu z Iranu tym samym gościńcem, którędy przybywali do Indyj wszyscy obcy zdobywcy aż po czas odkrycia morskiéj, wschodnio-indyjskiéj drogi. Z pomiędzy żyjących języków indyjskich najważniejsze są: *Bengali*, *Sindhi*, *Mahratti*; prócz tego język *Kafirski* w północnym indyjskim Kaukazie jest najdaléj na północ wysuniętym posterunkiem indyjskich Aryów. Dyalektem języka Sindhi jest *Hindostani* albo *Urdu*, język powstały w obozach mahometańskich zdobywców Indyj. *Indyjska angielszczyzna* jest w formy uboższą niż Sindhi, a będąc przepełniona perskiemi i arabskiemi żywiołami, używaną jest jako powszechny konwersacyjny język, lingua franca, oraz jako urzędowy w całych Indyach wschodnich.

Język *cygański*, jakkolwiek nabrał barwy lokalnéj, stosownie do miejsca pobytu plemienia, które nim mówi, jednakże podług gramatycznéj budowy, oraz najważniejszych składników w swoim materyale, musi być uważany za idyom nowo-indyjszczyzny. Od żywych języków indyjskich wiedzie nas nić chronologiczna wprost do *Prakrytu* i *Pali*. Ten ostatni jest językiem budajskiéj religii w krajach położonych na południe i południo-wschód Indyj. Dyalekty prakrytu znane nam są z dramatów sanskryckich, gdzie kobiéty, słudzy i w ogóle osoby z klasy nieukształconéj przemawiają nie po sanskrycku, lecz po prakrycku, podobnie jak i obecnie w sztukach teatralnych całéj Europy autor, chcący lepiéj uwydatnić charakter osobistości z niższych warstw społecznych, każe jéj przemawiać językiem téj prowincyi, z któréj ona pochodzi, gdy tymczasem osobom wykształconym kładzie w usta zawsze język literacki. Ojcem tych wszystkich języków jest sanskryt, który już może od jakich 2.500 lat nie jest językiem żywym w zwykłém tego słowa znaczeniu, ale utrzymuje się przy życiu sztucznie, jako święty język brahmańskiéj religii i klasyczny w literaturze oraz umiejętnościach. Znane są dwie formy sanskrytu: *klasyczna* i starsza od niéj *wedycka*. Powiedzieliśmy, że sanskryt jest ojcem indyjszczyzny, właściwiéj byłoby go nazwać korzeniem, z którego wyrosły po większéj części wszystkie językowe tamtejsze organizmy z czasów od sanskrytu późniejszych. Bogata literatura tego języka rozciąga się na wszystkie sfery umysłowéj działalności, z wyjątkiem historyi; poezya religijna, dydaktyczna, liryczna, dramat, filozoficzne i gramatyczne systematy znalazły w Europie licznych wielbicieli i zostały przez nich dosyć niesłusznie postawione wyżéj nawet, niż arcydzieła greckiéj oraz rzymskiéj literatury.

Bardzo wiele dzieł spisanych w klasycznym sanskrycie ze względu na język, treść i materyał należy odnieść do epoki znacznie odległéj od naszéj ery. Ale od klasycznego nierównie starszym jest Sanskryt Wed, z których najstarszy zbiór (Rig-Weda) należy odnieść na 2.000 lat przed Chryst. Wedy przedstawiają się nie jako indyjska, ale jako powszechno-indo-europejska księga, jakby wspólna własność całego szczepu; noszą na sobie bowiem bardzo pierwotny charakter i odzwierciedlają wiernie oraz wyraźnie stopień cywilizacyi ludów aryjskich, osiągnięty przed ich rozdziałem.

O ważności i znaczeniu sanskrytu już na początku téj pracy wspomnieliśmy; tu możnaby jeszcze bardzo wiele powiedzieć, jednakże mamy powody ograniczyć się na pobieżnéj powyższéj wzmiance. Dodamy tylko, że sanskryt jestto główna kotwica, na któréj spoczywa językoznawstwo indo-europejskie; bez niego nic mógłby

był nigdy nastąpić prędki rozwój téj umiejętności, a jéj metodyczna pewność żadną miarą nie zostałaby osiągnięta w tak krótkim czasie, jak to ma miejsce obecnie.

Rozejrzeliśmy więc w aryjskim szczepie najważniejsze języki żywe i umarłe, oraz dyalekty do nich należące; zanim jednak przejdziemy do podobnego przeglądu innych szczepów językowych i poglądu na ich stosunek do aryjszczyzny, musimy przedtém rozważyć główne fakta historyi tworzenia się i kształcenia tego szczepu języków. Pierwszą kwestyą, która się tu nastręcza, jest przedstawienie, jakim był pierwotny stan języków aryjskich i jak powstała ich budowa. Jużeśmy poprzednio widzieli, że, aby nowe myśli i pojęcia wyrazić przez odpowiednie znaki, oraz ażeby wynagrodzić sobie straty powstałe przez umieranie i zacieranie się form, język tworzy nowe wyrazy ze starego materyału; widzieliśmy również, iż znaczenie wyrazów ulega ciągłym przekształceniom i przenośniom. Otóż procesa takie mogą się i w przyszłości powtarzać, a wśród nich wszelki dany język przemieni się w inny, aż nareszcie każdy z żyjących dzisiaj języków może się jeszcze rozpaść na liczne pobratymcze języki, tak niepodobne do swego typu, że zaledwie będzie można, lub wcale nie będzie można skonstatować pokrewieństwa.

Zapytujemy się teraz, czy coś podobnego nie mogło mieć miejsca w przeszłości także, czy wśród kaléjdoskopowéj przemiany nie mogło występować ciągłe niszczenie form starych, a tworzenie nowych przez składanie, aż w ten sposób zmieniła się zewnętrzna fizyognomia języka, a nie zmieniła się jednak gramatyczna jego budowa?

Zapytujemy się, czy na poparcie téj hypotezy posiadamy zabytki z jakiegoś języka, któryby w porównaniu z dzisiejszym stanem rzeczy mógł być uważany za pierwotny? Historyczne rezultaty badań lingwistycznych nie doprowadzają do punktu, gdzie się nagle nić zrywa, one pozwalają nam dotrzéć do takich elementów, które, jeśli nie są najstarszemi dźwiękami ludzkości, to mogą być uważane słusznie jako zarodki, z jakich się powoli rozwinęła mowa Aryów. Weźmy pod bliższą rozwagę np. wyraz *adwokat*, który pochodzi z łaciny, a my czujemy jeszcze bardzo dobrze jego cudzoziemskość, podczas gdy inny wyraz *anioł*, pochodzący z języka greckiego, odnosi się do dawniejszéj epoki, w któréj język nasz posiadał jeszcze siłę asymilacyi daleko większą niż dzisiaj i za pomocą właściwych sobie procesów nadał wyrazowi temu piętno polskości. *Adwokat* przeciwnie nosi na sobie charakter łaciński tak wyraźny, iż każdemu odrazu przychodzą na myśl inne tego samego pochodzenia wyrazy, jak: legat, konfederat, referat, delegat i t. d. Rozkładając wy-

raz ten na jego części, znajdujemy końcówkę *at*, oznaczającą sobą imiesłów bierny czasu przeszłego (podobnie jak w polszczyznie *ty* w bity, tknięty, kłuty, osnuty i t. d.); daléj widzimy tu początkową sylabę *ad*, która także znajduje się w *adjunkt*, *adjutant*, *adnotacya*. Nareszcie ostatnią częścią wyrazu adwokat jest sylaba *woke* którą spotykamy także w wyrazach *prowokacya* i *konwokacya*.

Ale sylaba ta znajduje się również w łacińskiém słowie *vocar*, „wołać", z czego widać, że słowo to jest starsze niż wszystkie tu przytoczone, a od niego pochodzące wyrazy, bo i w polskim języku wprzód musiało istnieć słowo *stać*, zanim z niego utworzone zostały: *rozstać*, *pozostać*, *powstać*, *ustać* i t. d. Otóż *wok* lub *voc* oznacza ogólne i nieoznaczone pojęcie „wołania", charakteru zaś oznaczoności nabiéra ta sylaba dopiéro przez łączenie się z różnemi końcówkami, co widzimy w łacińskich wyrazach: *vocat*, *vocabar*, *vocatio*, *vocs* (x) i t. d. Jeżeli się teraz zwrócimy do sanskrytu, to tu we formach *vak-mi*, *vak-shi*, *vak-ti* znajdujemy elementy zaimkowe *mi*, *shi*, *ti* połączone z *vak* w ten sposób, iż ono znaczy: wołać-ja, wołać-ty, wołać-on.

Według tego nie możemy wątpić, iż owo *wok* (vak) miało samodzielną i niezależną w swoim czasie egzystencyą, iż samo było wyrazem w żywym języku, a rozmaite wyrazy utworzone z niego przez proces składania, powstały tak, jak nasze: *bogo-bojny*, *wiatro-nogi*, *kręto-głów*, *małpo-zwierz* i t. d.

Aryjskie albo indo-europejskie pierwiastki rozpadają się na dwa gatunki: zaimkowe i słowne. Pierwsze mają naturę subjektywną, nie wyrażają przymiotu rzeczy, ale wzgląd przestrzenny, w jakim się rzecz znajduje do mówiącego. W naturze ich leży, że one służą nie do nazwania różnych przedmiotów, ale wszystkie razem i każdy w szczególe mogą mieć najrozmaitsze znaczenia, a to odpowiednio do stosunku, w jakim osoba, lub rzecz, może się znajdować do drugiéj osoby, lub rzeczy. Tylko jedna rzecz może nosić nazwę *słońce;* tylko pewna kategorya przedmiotów może nosić nazwę *białych*, ale nie ma nic takiego, coby nie mogło być kolejno już *ja*, już *ty*, *on*, *a*, *o*, albo *ten*, *ta*, *to* i t. d. nazwane. Pierwiastki zaimkowe, zaczynające się od *m*, służą głównie do oznaczenia subjektu. *ja*, te które mają na początku *t* i *u* wyrażają głównie wskazywanie, a rozpoczynające się od *k*—pytanie. Liczba ich jest skromna, przenosi zaledwie tuzin, licząc i takie, które są prawdopodobnie tylko odmianami jednego i tego samego pierwiastku.

Forma w któréj występują jest najprostsza, jaką sobie wyobrazić można, składa się bowiem albo ze samogłoski, lub też ze samogłoski i poprzedniéj spółgłoski, np. *ma*, *na*, *ta*, *tu*, *ka*.

Drugie pierwiastki, wyrażające czynność lub przymiot, są daleko liczniejsze, a w budowie swojéj bardziéj skomplikowane, albowiem może tu występować samogłoska pojedyncza, a może być w połączeniu z jedną lub więcéj poprzedzających i następujących spółgłosek. Te pierwiastki wyrażają sobą pewną materyalność i przedmiotowość rzeczy, przymioty i czynności dające się przeważnie zmysłami zauważyć, np. ruch, dźwięk, fizyczne natężenie i t. d. Wyliczamy tu niektóre z nich, występujące we wszystkich lub prawie we wszystkich językach indo-europejskich i dla tego przedstawiające się jak przynależne do wspólnego skarbca pierwotnéj mowy Aryów. I tak: *i* oraz *gam* oznaczają ruch w ogóle: *ak*-szybki ruch; *sta*-stanie; *as* i *sat*-siedzenie; *ki*-leżenie; *pad*-chodzenie; *vas*-mieszkanie; *sak*-następowanie; *vart*-kręcenie; *sarp*-czołganie; *pat*-latanie; *plu*-pływanie; *ad*-jedzenie; *pa*-picie; *an*-wianie; *vid*-widzenie; *kru*-słuchanie; *vak*-mówienie; *da*-dawanie; *rabh*-wzięcie; *dik*-wskazanie; *bhar*-noszenie; *kar*-robienie; *tan*-naciąganie; *skid* i *das*-dzielenie; *bhand*-wiązanie; *mar*-tarcie; *bhu*-wyrastanie i t. d.

Tak w starożytności jak i w nowszych czasach często poruszaną była kwestya, która część mowy najprzód wystąpiła, co należy uważać za starsze: imiona czy słowa? Na to odpowiadamy krótko, iż językoznawstwo w najstarszych elementach języka wykazuje nam przedewszystkiém nie nazwy konkretnych przedmiotów, ale nazwy czynności, ruchu i zmysłowych obserwacyj. Z całą słusznością mógłby kto rzucić pytanie: skąd my to wiemy, że przytoczone powyżéj i inne jeszcze pierwiastki są istotnie elementami naszego języka, niedającemi się już daléj rozłożyć? Dla czego one raczéj nie są produktami prastarych przemian językowych, na podobieństwo naszych wyrazów: *dziś*, *jest*, *był*, *strzedz*, *ciec* i t. d.

W języku polskim spotykamy wyraz *kosztować*, pochodzi on z niemieckiego *kosten*, mieć wartość; za pomocą końcówek urabiamy: *kosztowny*, *kosztuje*, *kosztujący*, i t. d. Ale niemieckie *kosten* pochodzi znowu od łacińskiego *constare*, a zanim przeszło do niemieckiego, miało we włoskim języku pośrednią formę *costare*. Czemużby więc jedno-sylabowe indo-europejskie pierwiastki nie miały powstać z wielo-sylabowych wyrazów w sposób podobny? Odpowiedź na to jest taka, że istotnie w każdéj fazie historycznego rozwoju, nawet w sanskrycie, spotyka się wiele pierwiastków, które pozornie tylko na aryjskim gruncie wyrosły.

Co więcéj, pomiędzy pierwiastkami wspólnemi wszystkim językowym rodzinom naszego szczepu są takie, które niezaprzeczalnie noszą na sobie cechę drugorzędnych utworów. Taki pierwiastek: *man*, oznaczający „myślenie“, spotykający się w łacińskiém *me-min-i*,

mon-co, *men-s*, w greckiém *men-os*, *man-tis*, litewskiém *men-u*, gotyckiém, *man*, niemieck. *meinen*, polskiém *mniemać*—jest prawdopodobnie już pochodnym od starszego pierwiastku *ma* „mierzyć.“ To atoli nie wpływa bynajmniéj na ograniczenie naszego twierdzenia, że gramatyczna budowa języków aryjskich wzniosła się na podstawie historycznie dającéj się udowodnić jedno-sylabowości pierwiastków.

Jeżeli bowiem w każdéj formie wyrazu znajdujemy elementa formalne, nadające wyrazowi temu cechę imienia lub słowa, i jeżeli zawsze docieramy przy wszelkiéj analizie wyrazu do elementów jednosylabowych, to trudno nie zdecydować się na ostateczny wniosek, iż zarodkami, z których język nasz powstał, były właśnie te jednosylabowe pierwiastki.

System dźwięków pierwotnego aryjskiego języka był następujący:

Samogłoski: i,-a,-u.

Półsamogłoska: r.

Nosówki: n-m.

Przydech: h (w połączeniu ze spółgłoskami tworzył aspiraty: gh,-dh, bh; kh, ph, th.)

Sycząca: S.

Nieme: g, d, b; k-t-p.

Te dźwięki dające się najłatwiéj wymawiać są najpowszechniejszemi w językach indoeuropejskich, a wszystkie inne powstały z nich późniéj, tak że aryjski szczep w ciągu tysięcy lat musiał opracowywać to, czego teraz dziecko w ciągu krótkiego czasu nauczyć się może. Jestto kwestyą wykształcenia się narządów mowy i słuchu.

W podobnyż sposób pierwsze próby języka na poły dziecinnego, składającego się z pierwiastków jednosylabowych, wydoskonaliły się w ciągu wieków tak pod względem znaczenia, jako też i całéj pełni wyrażania rozmaitych względów i odmian; a gdy to nastąpiło, uczy się już używać języka dziecko, zanim na człowieka wyrosło.

Najstarsze wyrazy dwuzgłoskowe powstały ze złożenia pierwiastków zaimkowych ze słownemi. Widzieliśmy to już, kiedy była mowa o pierwiastku *vak* w połączeniu z *mi*, *si*, *ti*.

Formy takie, jak *vakmi*, *vaksi*, *vakti* „ja tu mówię, ty tam mówisz, on tam mówi,“ wyrobiły stanowczą różnicę pomiędzy istotą słowa a imienia.

W podobnyż sposób przez połączenie dwóch zaimków (*ma-si* „ja-ty=my;“ *ta-si* „on-ty lub *ty-ty=wy*“ i *anti*, którego pochodzenie wątpliwe) powstały formy liczby mnogiéj. Nareszcie przyłączyły się

trzy osoby liczby podwójnéj, któréj końcówki powszechnie uważane są jako poboczne formy końcówek liczby mnogiéj, i w ten naturalny sposób wyrósł najstarszy system koniugacyjny w językach aryjskich. Pierwotnie nie było tu prawdopodobnie cechy teraźniejszości, przeszłości lub przyszłości, dopiéro późniéj powoli przywyknięto dodawać *a* (tam), jako tak zwany augment na wyrażenie sfery, w któréj należy sobie pomyśléć czynność wypowiedzianą i na téj drodze powstał czas przeszły. Wprawdzie zabytki takiego augmentowego czasu przeszłego (Aoryst. Imperfectum) posiadamy tylko tu i owdzie, a w wielu językach bardzo niepewne są ich ślady, jednak ta forma pierwotnie wszystkim językom aryjskim była wspólna.

Następnie znowu powtarzano pierwiastek, najprzód cały, a późniéj tylko początek jego, i w ten znowu sposób powstał drugi czas przeszły (perfectum). Od pierwiastku *da* „dać“ będzie w sanskrycie czas ten brzmiał *dadau*, w greck. *dedoka*, w łacinie *dedi*. Taki reduplikowany czas przeszły, tworzy w grece i sanskrycie wykończoną cząstkę systemu koniugacyjnego; w łacinie przechował się on u znacznéj części starszych słów a niemniéj w języku gotyckim, jak np. *haihald* od *haldan* „trzymać,“ *saislep* od *slepan* „spać.“

Coś podobnego ma miejsce i w czasie teraźniejszym, gdzie w najstarszych językach naszego szczepu słowa, tworzące czas ten z pierwiastku niewzmocnionego, jak *as-mi*, *vak-mi*, stanowią coraz bardziéj znikającą mniejszość; w ogóle zaś czas teraźniejszy wzmacnia się albo przez reduplikacyą jak sanskryck. *dadami*, greck. *didomi*, albo téż przez przybranie głoski lub zgłoski np. greck. *dam* (*ne*) *mi*, *deik* (*ny*) *mi* i t. d.

Psychologicznym motywem reduplikacyi jest, iż przez nią chciano wyrazić powtórzenie, albo trwanie czynności. Już ze wzmocnionego pierwiastku powstawał augmentowy czas przeszły wyrażający trwanie w przeszłości, obok czego przechował nam się starożytny czas przeszły na oznaczenie nieokreślonéj przeszłości (w greck. tak zwany Aoryst drugi), utworzony z czystego pierwiastku.

Podług Curtiusa z takich wzmocnionych form czasu teraźniejszego powstają tryby: łączący z charakterem *a*, wsuniętym między pierwiastek a końcówkę osobową; życzący z podobnież umieszczoném *i* lub *ja*. Niektórzy w tém *i* trybu życzącego upatrują resztkę pierwiastku *i* „iść“ (późniéj „pragnąć“) i uważają tryb życzący jako formę złożoną. Taką formą bezwarunkowo jest indoeuropejski czas przyszły, którego końcówki są trybami życzącemi od pierwiastku *as* „być,“ i w którym końcówka pierwszéj osoby brzmi *syami* zamiast *as-jami*. Że zaś czas przyszły należał do pierwotnego stanu języka, daje się to okazać licznemi dowodami z pokrewnych sobie języków

czerpanemi. Także w złożonym czasie przeszłym, jakim jest grecki I Aoryst na *sa* i sanskrycki na *sam*, zawiera się pierwiastek *as* jako słowo posiłkowe.

Nareszcie, aby przedstawić przymuszoną czynność subjektu, utworzono w drugiéj osobie liczby pojedynczéj i mnogiéj tryb rozkazujący, którego końcówki zbliżone są ściśle do końcówek trybu oznajmującego.

Bardzo wcześnie rozwinęła się również koniugacya medyalna za pośrednictwem zmiany w końcówkach osobowych na stronie czynnéj.

W sanskrycie *tudati* znaczy „bije,“ a *tudate* „bije się;“ w grece *lyonti* (późniéj *lyousi*) „wiążą“ a *lyontai* „wiążą się lub wiążą sobie.“ Te formy medyalne przeszły późniéj w znaczenie bierne.

Co się tyczy imiesłowów i trybów bezokolicznych, te nie należą wcale do systemu koniugacyjnego, są to zwykłe formy przymiotników oraz imion, odgrywające role głównie w składni, przy konstrukcyi słów. Pełny system form imiesłowowych dla czasu teraźniejszego i przeszłego, dla strony czynnéj, biernéj i medyalnéj dopełnia zwykle koniugacyą wszystkich słów indoeuropejskiego szczepu; formacya ta musiała się przeto bardzo wcześnie rozpocząć. Jakkolwiek formy trybów bezokolicznych różnią się w pokrewnych sobie językach oddawna już w wyższym stopniu niż formy imiesłowów, jednakże właściwości ich konstrukcyjne znane są od dawnych czasów.

Przy objaśnieniu pochodzenia imion i powstawania ich form spotykamy się z daleko większemi trudnościami niż to miało miejsce przy słowach. Niektóre imiona, jak np. łaciński *vox (voc-s)* i *rex*, utworzone zostały bezpośrednio z pierwiastków przez dodanie końcówek, którym użycie samowolnie nałożyło funkcyą przemieniania czynności w osobę lub rzecz, podobnie, jak końcówki osobowe słowne wyrażają sobą opowiadanie o czynności. *Vox* wyraża czynność samę, *rex* zaś w sposób po części przymiotnikowy, częścią rzeczownikowy oznacza sprawcę czynności; pierwszy z tych wyrazów przypomina tryb bezokoliczny, drugi imiesłów lub przymiotnik słowny, a stąd już droga ubita do imienia pospolitego. Trudno powiedzieć, czém były te końcówki i przez jakie stopnie rozwoju przechodziły zanim się zamieniły na to czém są, to jest na całkowicie formalne elementy, dające się porównać z sufiksami trybów i czasów. Pochodzenie ich po większéj części jest zaimkowéj natury.

Przypadków pierwotnie było siedm; z tych trzy wyrażały względy przestrzenne: Ablativus (odbieracz), pierwotnie zakończony na *t*

lub *d*, np. w sanskrycie *açvat*, w łacinie *equod* od końca odpowiadał na pytanie skąd? Locativus—(miejscownik), (zakończony na i) na pytanie gdzie? w czém? Instrumentalis (narzędnik)—na pytanie czém? lub przy czém? Takie wyrażenia na oznaczenie przestrzeni z łatwością przeszły w pojęcia przyczynowości lub w inne.

Dwa inne przypadki, genitivus (dopełniacz) i dativus (celownik), wyrażały względy już nie tak zmysłowéj natury. Ostatni zakończony na *ai* można było oddać przez rzeczownik z przyimkiem *dla*, pierwszy zakończony na *asja* lub *as* oznaczał posiadanie lub w ogóle przynależność. Accusativus (biernik) z końcówką *m* wyrażał sobą stosunek najbardziéj bezpośredniéj zależności, co i dziś jeszcze we wszystkich nowożytnych językach wyraża, bez pomocy przyimka, a nadto oznaczał on dążenie w kierunku najprostszym, na pytanie dokąd? Nominativus (mianownik) posiadał końcówkę *s*, w czém leży dowód skłonności indoeuropejskiego języka pierwotnego do wytworzenia z każdego wyrazu istotnéj formy do nacechowania każdego znaczenia znakiem zewnętrznym. Ostatni przypadek Vocativus (wołacz) był również członkiem systematu deklinacyjnego, ale nie posiadał on własnéj końcówki; miał formę czystego tematu deklinacyjnego, mianownika, lub téż niekiedy różnił się od nich bardzo mało.

Wiele języków używa dla rzeczowników liczby mnogiéj tych samych końcówek co dla liczby pojedynczéj, dodając tylko cechę wyrażającą pojęcie mnogości. Otóż taki sufiks mnogości usiłowano wykazać w najdawniejszéj dobie języków aryjskich, jednak usiłowanie to nie powiodło się bynajmniéj, i tyle tylko powiedzieć możemy, że w pierwotnéj mowie Aryów liczba mnoga, podobnie jak podwójna, wyróżniała się od podwójnéj przez oddzielne końcówki, których pochodzenie jest problematyczne. System końcówek liczby podwójnéj nie rozwinął się należycie, albowiem w najdawniejszéj epoce spotykamy ich tylko trzy.

Kiedy przychodzi mówić o odróżnianiu pomiędzy sobą rodzajów, zdaje się być najprawdopodobniejszém, że przedewszystkiem pewne wyrazy posiadające przymioty żeńskie oddzieliły się od formy zasadniczéj, przechowanéj w rodzaju męskim, i nacechowane zostały nieznaczną zmianą, polegającą częstokroć na przedłużeniu samogłoski w końcowym dźwięku. Różnica rodzaju nijakiego od męskiego wystąpiła późniéj dopiéro i nie doszła nigdy do wielkiéj wyrazistości; można powiedzieć, iż główne siedlisko jéj znajduje się w mianowniku oraz bierniku.

Ten pierwotny system deklinacyjny w dalszych historycznych fazach, kiedy każdy z języków aryjskich prowadził już życie samo-

dzielne, doznał zmian niemniejszych co i koniugacya. Liczba podwójna, posiadająca małą praktyczną wartość, rychło zaginęła w wielu językach. U nas ślady jéj znajdujemy w dopełniaczach, narzędnikach i miejscownikach niektórych wyrazów, jak: *oczu*, *oczyma*, *uszu*, *uszyma*, *w ręku*, *rękoma* i t. d. Przypadki najpełniéj przechowały się w indyjszczyznie i perszczyznie, a i tu już widzimy, że w téj albo drugiéj liczbie, w tym i owym wyrazie niejednokrotnie dwa przypadki zlewają się w jeden. W łacinie i grece proces ten postąpił daléj jeszcze; w grece genetivus i ablativus są jednym przypadkiem co do formy; w łacinie locativus i instrumentalis są identyczne z dativem i ablativem. W języku polskim miejscownik bezprzyimkowy zatarł się, a w użyciu jest obecnie ten przypadek tylko z przyimkiem; ślady jednak starego miejscownika przechowały się w przysłówkach i przyimkach, np. *podle*, *wedle*, *pewnie*, *przeciwnie*, *między* i t. d. Jeszcze pisarze Zygmuntowscy używali *lecie*, *zimie*, zamiast czego piszemy dzisiaj w *lecie*, w *zimie*.

W angielszczyznie jednym zależnym przypadkiem, jaki pozostał, jest dopełniacz, a i ten utracił wiele z dawnéj swojéj funkcyi i dziś oznacza tylko posiadanie.

W językach romańskich nie może być mowy o końcówkach przypadkowych. Różnice rodzajowe w jezyku angielskim i nowoperskim zupełnie zaginęły; we francuskim z trzech rodzajów dwa tylko pozostały. Przejrzawszy najgłówniejsze części mowy, winniśmy tu dodać jeszcze, iż przysłówki zarówno na najwcześniejszych, jak i na najpóźniejszych stopniach językowego rozwoju są zwykle zamarłemi przypadkami rzeczowników, przymiotników lub zaimków, tak iż co zginęło jako przypadek, utrzymało się nieraz jako przysłówek. I tak np. końcówka przysłówków francuskich *ment* jest narzędnikiem łacińskim wyrazu *mente*; *bonnement* = *bona mente* „dobrą myślą“ Greckie *os* (w *kakos* „źle“) jest starożytną końcówką Ablativu.

Przyimki pierwotnie nie były tém, za co je dziś uważamy; były to wyrazy przysłówkowe, łączące się ze słowem dla bliższego oznaczenia czynności; późniéj dopiéro zaczęto ich używać z imionami, co też było przyczyną znikania przypadków. Pochodzą one od pierwiastków zaimkowych przeważnie, ale także i od słownych.

Spójniki należą już do późniejszych formacyj językowych; styl czasów pierwotnych był zanadto skromny, ażeby ich potrzebować miano. To samo powiedzieć można o artykułach, z których oznaczony wywodzi ród swój od zaimka wskazującego, nieoznaczony—od liczebnika *jeden*.

Nareszcie wykrzykniki, które jakkolwiek są wyrażeniami bardzo wyrazistemi i pełnemi znaczenia, jednak nie możemy ich uważać za

właściwe części mowy; nie mają one żadnego wpływu na budowę zdań, ale oznaczają bezpośredni wykrzyk uczucia np. *ah! oh!*, lub wkraczają w zakrés języka mimicznego, np. *pst! sza!* gdzie się najbezpośredniéj objawia wola.

Niektóre z nich jednak są zepsutemi wyrazami lub wyrażeniami, np. niemieckie *potz tausend—O Gottes (Jesu) tausend Wunden. Bigott! Bei Gott* i t. d. nasze *bodaj! Bóg daj! N'estety!* dawniéj *niestoty!* jest ciemnego pochodzenia i znaczy tyle co *biada!*, którego rodowód odpowiada wyrazowi *biéda.*

Otoż podaliśmy obraz, o ile można, najkrótszy, przedstawiający jak indoeuropejski pierwotny język z jednosylabowego pierwiastkowego peryodu wzniósł się do stanowiska pełnego flekcyjnego języka. Nie możemy podzielać opinii tych, którzy chcą skończony język na jeden raz z niczego wyprowadzić. Najstarsze zupełnie wykształcone wyrazy, zawierające w sobie element pierwiastkowy oraz formalny, tylko na bardzo powolnéj drodze rozwinąć się mogły. Już w tej fazie historycznéj, która poprzedziła rozpadnięcie się na części zasadniczego języka Aryów, należy przypuszczać szereg rozmaitych szczebli, na które kolejno wstępował język. Była chwila, że kierunek syntetyczny doszedł w języku do zenitu, poczém przeciwko niemu wystąpiły procesy dalszego rozwoju, które możnaby w ogóle nieustannym upadkiem form nazwać.

Przeciwnicy hypotezy jednosylabowego, pierwiastkowego peryodu twierdzą, że im bardziéj cofamy się do początków historyi języków aryjskich, tém bardziéj znika nam z przed oczu ta jednozgłoskowość języka.

Albowiem starsze języki przedstawiają formy wyrazów dłuższe niż wyrazy języków nowożytnych. I tak np. sanskryckie *lagamasi* przeciwstawić można naszemu *leżemy*, lub łacińskie *fuisset* francuskiemu fût. Inną razą, długie i skomplikowane wyrazy języków starożytnych zastąpione zostały w językach nowszych przez zwroty złożone z wielu pojedyńczych wyrazów, jak np. polskie *gdybym był był*, niemieckie *ich würde gewesen sein* lub *ich wäre gewesen.* Podobnie i w deklinacyi różne względy, które pierwotnie przez końcówki dały się wyrażać, obecnie wyrażają się za pomocą przyimków. Taki kierunek języka znany jest w ogóle pod nazwą *analitycznego*, a nigdzie nie wystąpił on tak silnie jak w języku angielskim, gdzie wszelkie względy gramatyczne przez słowa posiłkowe, przyimki i spójniki powszechnie są wyrażane.

Jeżeli zatém języki aryjskie w ciągu historycznego swego rozwoju nieustannie odbiegały od syntetycznego kierunku, a wyrazy ich stawały się coraz krótszemi, to czyż nie mamy prawa przypuszczać

iż język rozpoczął od bardzo skomplikowanych form a później formy te zmieniały się na krótsze?

Do takiego przypuszczenia bylibyśmy zupełnie upoważnieni, gdybyśmy się przekonali, że kiedykolwiek w języku wyłącznie i samowładnie panował kierunek analityczny, tj. że nigdy oddzielne elementa nie stapiały się w syntetyczną wyrazową jedność, ale jedynie na drodze zestawiania wyrazów z wyrazami budowano analityczne agregaty wyrazów. Wiemy atoli, iż sprawa ta ma się inaczéj. Jeżeli bowiem grecki i łaciński system deklinacyjny jest mniéj doskonały niż był w pierwotnym stanie języka aryjskiego, to za to system koniugacyjny rozwinął się tutaj, zwłaszcza téż w grece, bardzo bogato i pełen jest form syntetycznych.

Nowsze romańskie języki zaś utraciły wprawdzie niejedno z bogatego łacińskiego skarbca, ale poczyniły téż one i własne nabytki, tak że słowo ich może się śmiało mierzyć ze systemem koniugacyi, który nam przekazany został z prastarych czasów mowy Indoeuropejczyków. Języki nowoindyjskie zatraciły znowu końcówki przypadków właściwych sanskrytowi, ale wytworzyły sobie nowy system deklinacyjny, nieustępujący bynajmniéj staremu. Dzisiejsze języki słowiańskie posiadają nawet wysoką zdolność do syntetycznéj twórczości, jaką się mało który język starożytny odznaczał. Dwa wyrazy: *bez Boga* mogą się stopić tutaj w jeden temat, z którego można już wyprowadzić długi szereg wyrazów pochodnych, np. *bezbożny*, *bezbożnik*, *bezbożność*; rosyjsk. *bezbożniczestwo*, *bezbożniczestwowal* i t. d. Otóż, zamiast mówić o nieustanném skracaniu form syntetycznych w językach aryjskich, wypada raczéj przyznać, że niektóre z tych języków w swojéj syntetycznéj budowie zastąpiły tę lub owę część przez formy analityczne; inne zaś, jak germańskie, a zwłaszcza téż angielski, przybrały przeważnie analityczny kierunek.

(dok. n.)

SPÓŁKI
ZALICZKOWO-OSZCZĘDNOŚCIOWE
W PÓŁNOCNO ZACHODNICH GUBERNIACH.

Zdaniem mojém, w obecnéj chwili, u nas człowiek uczciwy a myślący nie może większéj usługi oddać swojemu zakątkowi, jak zakładając stowarzyszenie, którego nazwę wypisałem na czele tego artykuliku. Przyniesie ono wielkie, niespodziewane, nieobliczone korzyści ekonomiczne i społeczne. Mówię to nie z widoków teoretycznych jedynie, ale z praktyki, bo niemało już takich spółek i nie od wczoraj działa nietylko zagranicą, ale i w naszym kraju, chociaż mało o nich u nas wiadomo, bo nic prawie w tym przedmiocie nie pisano; dla tego właśnie biorę pióro do ręki i pozwalam sobie skorzystać z łaskawie nadesłanych mi sprawozdań i wskazówek o kilku najbliżéj mnie znanych i położonych tego rodzaju stowarzyszeniach.

I.

Nasamprzód jednak muszę, dla osób nieoznajomionych bliżéj z celami i zasadami tych stowarzyszeń, poświęcić kilka słów opisujących takowe; a zatém czytelnika, wiedzącego o co rzecz idzie, upraszam, aby opuścić raczył ten ustęp i przeszedł do dalszego, w którym trochę uzbiéranych faktów przedstawiam.

Cel spółki zaliczkowo-oszczędnościowéj jest dwojaki· najprzód dostarczanie ludziom mniéj zamożnym łatwego i stosunkowo taniego kredytu; powtóre przyjmowanie na procent uzbiéranych oszczędności i w ogóle zapasów pieniężnych. Spółka tedy jest niewielkim bankiem pożyczkowym i zarazem kasą oszczędności. To są dwa główne jéj zadania. Za pomocą ich spełnia ona następne finansowo-

ekonomiczne posługi: ułatwia krążenie pieniędzy w danéj okolicy, dając możność zbywającym kapitałom odsetkowania się i służenia tym, którzy ich nie posiadają; stanowczo zabija lichwę, dostarczając potrzebującym pożyczek na niski stosunkowo procent; dopomaga przemysłowi i handlowi, przynosząc mieszkańcom tani i łatwy kredyt, złożony z zapasów, któreby inaczéj albo pleśniały w schowaniu i bez odsetków, albo by się dostawały do rąk niepewnych i na zbyt długi termin; daje możność bezpiecznego i korzystnego lokowania najdrobniejszych nawet oszczędności, które zwykle leżą bez procentu i narażone bywają na stracenie przez pożar, kradzież i t. d. Oprócz tych celów ekonomicznych, spółki dopinają wielu społecznych i moralnych; pomówię o tém na końcu niniejszéj ramotki, gdy się czytelnik obezna z faktami i łatwiéj wnioski z nich wysnuwać potrafi. Tymczasem przypatrzmy się bliżéj sposobowi zakładania, oraz prawidłom i mechanizmowi stowarzyszeń w mowie będących.

I zakładanie i prowadzenie ich są nader łatwe: trochę dobréj woli, wytrwałości, inicyatywy, kilka godzin lekkiéj pracy na tydzień, oto wszystko; czego wymaga drobna na pozór, ale w gruncie niezmiernie pożyteczna instytucya (1).

Prawo wymaga, aby w zaprojektowaniu spółki zaliczkowo-oszczędnościowéj wzięło udział przynajmniéj dwadzieścia osób; po napisaniu i podpisaniu ustawy, któréj szemat dostaje się albo od zarządu spółek już istniejących, albo od petersburgskiego Komitetu takowych, wysyła się ta ustawa z prośbą o zatwierdzenie do ministra spraw wewnętrznych. Po otrzymaniu takowego zgromadzają się założyciele oraz kandydaci na członków i stowarzyszenie rozpoczyna swe działanie.

Odbywa się ono na następnych prawidłach.

Każdy członek wnosi, lub obowiązuje się wnieść częściami w ciągu pewnego czasu (np. roku lub dwóch) rubli np. pięćdziesiąt; ta opłata nazywa się udziałem i nie przestaje być jego własnością; oprócz tego wnosi jeszcze pół rubla wpisowego (mniéj lub więcéj stosownie do ustawy), które idzie na utworzenie kapitału zapasowego. Nie każdy jednak życzący złożyć te pieniądze staje się członkiem: trzeba aby go przyjęli wpisani już członkowie, lub upoważniony do tego Komitet. Po przystąpieniu do spółki, członek korzysta z pewnych dogodności, lecz zarazem przyjmuje odpowiedzialność w jéj działaniach pieniężnych i to do pewnéj ustawą oznaczonéj

---

(1) Wkrótce ogłoszę w „Ateneum" lub oddzielném pisemku szczegółowe przepisy i wskazówki zakładania oraz prowadzenia spółek, w mowie będących.

wysokości. Główną dogodnością jest to, iż za poręką jednéj, dwóch lub więcéj osób dostać może z kasy spółki pożyczkę, w wysokości przechodzącéj sześć razy spłacony udział, przy pięćdziesięciorublowym przeto otrzymać może 300 rubli, na termin półroczny, z prawem przedłużenia go jeszcze o kwartał za poprzedniém oznajmieniem, zwykle na 9 lub 10 procent; jeżeli zaś członek mógł początkowo złożyć tylko część udziału, np. rubli 6, to może dostać pożyczkę nie wyższą nad rubli 36 i t. d.

Poręczycielami mogą być albo współczłonkowie, albo téż osoby nienależące do spółki, lecz w oczach zarządu posiadające moralne i materyalne rękojmie wypłatności.

Z drugiéj znowu strony, jako kasa oszczędności, spółka przyjmuje kapitały od najmniejszych (zwykle od 1 rubla) na procent; wysokość jego określa zgromadzenie ogólne członków na rok z góry, albo téż, co się częściéj praktykuje, pozostawia naznaczenie stopy odsetkowéj komitetowi, czyli stałemu zarządowi; wysokość procentu od oszczędności i pożyczek udzielanych spółce, różną bywa odpowiednio do terminu i wielkości kwoty, mniéj więcéj od 4% do 7%; rzecz więc oczéwista, iż po odtrąceniu kosztów zarządu, które powinny być jak najmniejsze, pozostaje z końcem roku (zwykle kościelnego) przewyżka procentów otrzymywanych nad opłacanemi i ta stanowi czysty zysk spółki, którym, po upływie każdego roku, dzielą się członkowie, odpowiednio do wysokości swych udziałów.

Członkowie spółki zgromadzają się raz do roku lub częściéj na walne zgromadzenia: po wysłuchaniu sprawozdania zarządu z czynności za rok ubiegły, wybiéra ono nowy lub zatwierdza dawny zarząd spółki, zasiadający zwykle raz na tydzień w pewném oznaczoném miejscu i prowadzący interesa stowarzyszenia, korzystając z większego lub mniejszego zakrésu pełnomocnictwa, udzielonego mu przez ustawę i walne zgromadzenie. Zarząd składa się pospolicie z trzech osób, dyrektora i dwóch jego pomocników. Oprócz tego walne zgromadzenie wybiéra radę nadzorczą, złożoną z pięciu członków i prezesa, któréj obowiązkiem jest przeglądać, sprawdzać i zatwierdzać czynności zarządu, zwykle co dwa lub trzy miesiące.

Największą trudnością w prowadzeniu spraw spółki bywa czasami brak pieniędzy, to jest zapotrzebowanie pożyczek większe od sumy udziałów i depozytów; szczególnie bywa to w pierwszym roku istnienia spółek, dopóki nie mają kredytu w banku państwa; po upływie bowiem tego terminu, jeśli ze sprawozdania, złożonego ministrowi finansów, okaże się, iż zarząd prowadzono regularnie, bank państwa udziela na żądanie zasiłków odpowiednich potrzebie; w pierwszym zaś roku zarząd powinien się starać o pieniądze u kapitalistów,

tak, aby nigdy nie odmówił pożyczki dla braku gotówki, — co zresztą dla ludzi obeznanych ze swoją okolicą i posiadających zaufanie nie jest trudném.

II.

Przechodzę teraz do szczegółów o sześciu bliżéj mi znanych spółkach, działających w guberniach Kowieńskiéj i Wileńskiéj. Pięć z nich znajduje się w gub. Kowieńskiéj a jedna w Wileńskiéj i ta, ile wiém, jest jedyną w téj gubernii. Wprawdzie świéżo wydane (czwarte) sprawozdanie petersburgskiego komitetu spółek wiejskich, zaliczkowo-oszczędnościowych i przemysłowych, utworzonego z ramienia towarzystwa rolniczego moskiewskiego, wykazuje ilość spółek zaliczkowo-oszczędnościowych w gub. Wileńskiéj za r. 1876 w liczbie trzech i to jakoby w powiecie Wileńskim; ale mimo starania moje nie mogłem odkryć na miejscu tych zakładów w takim kształcie przynajmniéj, jak się je zwykle pojmuje, i dla tego utrzymuję, iż w gub. Wileńskiéj jedno jest tylko takiego rodzaju stowarzyszenie, o którém właśnie poniżéj mówić będę i to w powiecie Święciańskim, założone w roku bieżącym. W gub. Kowieńskiéj, ile się dowiedzieć mogłem, istnieje spółek przynajmniéj dziewięć; mówię przynajmniéj, bo z pewnością ilości ich nie wiem; sądzę jednak, iż liczba 14, podana o gub. Kowieńskiéj we wspomnianém sprawozdaniu komitetu petersburgskiego, może być niedokładną. Ponieważ nie mam szczegółowych wiadomości o czterech stowarzyszeniach kowieńskich, niżéj więc mówić będę o pięciu lepiéj mi znanych. Ale wprzódy postaram się rozjaśnić zarzut, który czynię sprawozdaniu komitetu petersburgskiego, i z powodu którego obawiam się brać na seryo liczby w niém podawane.

Nie łatwo jest mieć pewne wskazówki o rozrzuconych po kraju spółkach zaliczkowych. Widać to nawet w Niemczech: tam od lat kilkunastu corocznie prawie połowa spółek nie nadséła komitetowi centralnemu swoich sprawozdań; czy powodem tego zaniedbania jest lenistwo, czy nieuznawanie korzyści zześrodkowania wiadomości o spółkach, — tego nie wiém. To samo dzieje się i w cesarstwie Rosyjskiém: komitet petersburgski, mimo swe prośby i zachęty, mimo administracyjny nacisk nawet, jaki wywiéra na spółki prowincyonalne przez miejscowych gubernatorów, domagających się corocznego sprawozdania, w r. 1876 na 770 zatwierdzonych przez rząd spółek nie otrzymał żadnych wiadomości o 197, które może nie tylko nie istnieją obecnie, ale nawet i nie otwiérały swych czynności. Drugiém źródłem niepewności wskazówek wymienionego spra-

wozdania są wiadomości o spółkach, które niby działają, ale działanie ich nie zasługuje na nazwę porządnego, a przynajmniéj nie jest działaniem spółki zaliczkowo-oszczędnościowéj, jak ją pojmuje Schultze-Delitsch i cały świat. Znam takie np. nominalne stowarzyszenia przy gminach na Litwie, które, skutkiem propozycyi wyższéj władzy, prosiły i otrzymały od lat kilku zatwierdzenie z tytułem „X....skiéj Spółki zaliczkowo-oszczędnościowéj,“ ale nigdy nie działały porządnie, bo nikt nie potrafił, czy nie chciał zastosować się do zatwierdzonéj ustawy; w jednéj gminie np. znajduje się kapitału żelaznego przeszło 1.000 rub., który powierzono zwanéj spółce zaliczkowo-oszczędnościowéj; ale w gruncie rzeczy zarząd gminy wypożyczył tę sumę jednemu gospodarzowi na 6% na lat trzy.

Niewszystkie zapewne tak sobie czynności uproszczają, ale rzecz niezawodna, iż w rzędzie wymienionych w sprawozdaniu petersburgskiém niemało spółek ma tylko ustawę i nazwisko. Chociaż tedy właściwie komitet nie winien temu, że wielka część stowarzyszeń, o których mówimy, nie nadséła mu sprawozdań, lub istnieje tylko pozornie, tém nie mniéj ze sprawozdania tegoż komitetu korzystać należy nader ostrożnie i z wielką krytyką.

Wracając do spółek kowieńskich i wileńskiéj, przedstawiam tu obraz ich czynności za rok 1876, nadmieniając, że założone zostały w następnym porządku chronologicznym: w Styczniu r. 1874 Podbirżańska i Konstantynowska, w Październiku r. 1875 Kupiska i Traszkuńska, w Lipcu 1876 Nowo-miejska, w Styczniu 1877 Szemetowska. Inne cztery, o których bliższych szczegółów nie posiadam, położone są w gub. Kowieńskiéj w Rakiszkach, Remigole, Kurszanach i Żagarach, założone zaś pierwsza przed kilku laty, reszta niedawno.

Podbirżańska znajduje się w majątku Poniemoniu, powiecie Poniewiezkim, pod kierownictwem barona Budberga. Konstantynowska działa w majątku Wielkich Grużach, powiecie Poniewiezkim, założona i zarządzona przez dziedzica téj wsi Pawła Puzynę. Spółce w Kupiszkach, miasteczku powiatu Wiłkomierskiego, przewodniczy obywatel sąsiedni, właściciel dóbr pan Peliski. Traszkuńską, położoną w gminie włościańskiéj miasteczka Traszkun, powiecie Wiłkomierskim, zarządza miejscowy obywatel Stanisław Montwiłł. Spółka Nowo-miejska znajduje się we wsi Jodkanach, powiecie Poniewiezkim, pod kierownictwem dziedzica téj wsi Nikodema Butryma. Wreszcie Szemetowska, położona w majątku Szemetowszczyznie, powiecie Święciańskim, działa od kilku miesięcy dopiéro pod zarządem dziedzica Konstantego Skirmunta.

Oto jest zestawienie głównych wskazówek statystycznych o pięciu spółkach kowieńskich za r. 1876 i o Szemetowskiéj za rok bieżący od 18 Stycznia do 11 Sierpnia. Dla uproszczenia rachunku, kopiejki są odrzucone. Spółka Szemetowska nie dawała jeszcze dywidendy, ponieważ istnieje od kilku miesięcy dopiéro; po dzień 11 Sierpnia r. 1877 czystego zysku posiadała r. 660, które, po opłaceniu procentów od pożyczek zaciągniętych, pójdą na dywidendę z końcem roku.

SPÓŁKA	Ilość członków	Obrot	Suma udziałów	Kapitał żelazny	Udzielono pożyczek	Zaciągnięto pożyczek i przyjęto depozytów	% od pożyczek udzielanych	% od pożyczek zaciąganych	Dywidenda w % od udziałów	Suma kredytu w Banku Państwa
Podbirżańska	530	80.432	9.597	841	28.716	18.513	10	5—6	10	nie wiadomo
Konstantynowska	696	595.724	23.059	1.818	197.872	80.938	10	6—7½	12⅓	40.000
Kupiska	265	23.408	2.008	9	3.471	3.629	12	6—7	18	—
Traszkuńska	317	129.908	9.431	147	54.902	15.376	10	5—6	15½	7.000
Nowomiejska	94	22.717	2.958	51	9.532	6.204	10	6—7	12	—
Szemetowska	104	29.460	4.293	74	12.770	9.294	10	4½—7	—	—
Ogół 6-ciu spółek	2.006	887.649	51.346	2.940	307.263	133.954				

Do tych cyfr dodać jeszcze winienem, że klasę społeczną, przeważnie spółki zasilającą, stanowią włościanie, których jest w każdéj z sześciu wymienionych 75%; daléj idą właściciele więksi w stosunku 20%, kupcy (żydzi) 4% i urzędnicy 1%. Co do stosunku klas pożyczających spółkom, lub lokującym w nich pieniądze, następne mam wskazówki: w Konstantynowskiéj: w ciągu r. 1874 przeważnie obywatele, a włościanie tylko 5% sumy ogólnéj; w 1875 włościanie dostarczyli już 50% czyli połowę kapitałów, a 25% udzielił Bank Państwa; w 1876 obywatele 20%, włościanie 30%, Bank 50%. W spółce Traszkuńskiéj w r. 1876 kapitały wpłynęły: od obywateli 50%, od włościan 30%, z Banku 20%. W Kupiskiéj od obywateli 70%, od włościan 30%. W Nowo-miejskiéj od obywateli 90% od włościan 10%. W ogóle rzec można, że z początku istnienia spółek włościanie nie zupełną ufnością są do nich przejęci i mało im pożyczają lub w depozyt oddają; w następnych latach zaufanie wzrasta, wraz z poczuciem pożytku, i kapitały przypływają coraz obficiéj. Kończę wzmianką o przymusowém odbiéraniu udzielonych pożyczek: bywają takie wypadki, ale bardzo rzadko. W Konstantynowskiéj Spółce w r. 1874 przytrafiło się to raz jeden tylko, w 1875 pięć razy, w 1876 siedm, co na 696 członków jeden procent tylko stanowi i wcale pomyślném jest zjawiskiem. W spółce Podbirżańskiéj, na 530 członków, ośmnastu w r. 1876 zmuszono przez proces do oddania pożyczek. W innych nie było ani jednego takiego zajścia.

III.

Nie będę wypisywał obszernych uwag nad zamieszczoną wyżéj tabelką: liczby same przemawiają. Dość spójrzéć na szereg cyfr malujących spółkę Konstantynowską, aby się przekonać, że stowarzyszenia, o których mówię, są u nas na czasie i mogą się rozwijać, bo oto, po upływie trzech lat, 696 ludzi korzysta z dobrodziejstw taniego kredytu, a zapewne przeszło tysiąc z pewnéj i bezpiecznéj kasy oszczędności; skromne to stowarzyszenie wiejskie obraca w ciągu jednego roku prawie 600 tysiącami rubli i posiada blisko 2.000 rubli zapasowego kapitału. A co jeszcze bardziéj pociesza, to że w roku bieżącym liczba członków i obrotu sum ciągle wzrasta, tak, iż np. na wiosnę jednego tygodnia spółka ta miała przeszło 50 tysięcy rubli obrotu, co jéj wróży około 2 milionów rocznego bilansu.

Starałem się już powyżéj wykazać korzyści ekonomiczne, które się osiągają z tego rodzaju stowarzyszeń. Ale i pożytki moralno-społeczne nie są małéj wagi. Rzecz oczéwista, że po pewnym czasie istnienia spółki, najmniéj nawet rozwinięty jéj członek dostrzega

niepospolitych z niéj korzyści, a to w nim rozwija przekonanie o dobrodziejstwach stowarzyszeń w ogóle, zachęca go do przemyśliwania nad innemi, praktycznie w oczach jego stwierdzając przysłowie, że gromada to wielki człowiek, — jednèm słowem, zaszczepia i pielęgnuje w ludzie myśl stowarzyszania się, tak dlań niezbędną i zbawienną. Powtóre, przyzwyczaja do oszczędności, ułatwiając przechowanie i spożytkowanie każdego zbywającego grosza; a wiadomo, że nałóg oszczędności to źródło bogactwa. Daléj, ponieważ spółki, lub ich zarządy przyjmują lub odrzucają chcących do nich przystąpić, a czynią to na zasadzie dobréj, lub złéj reputacyi aspiranta, oprócz więc interesu pieniężnego rozwija się jednocześnie ambicya, chęć należenia do towarzystwa, w którém zasiadają i panowie i kupcy i wieśniacy bez różnicy stanów, a wszystko ludzie akuratni i uczciwi; słowem, istnienie spółki przyczynia się do wyrobienia opinii w danéj okolicy, a zatém do podniesienia moralności w ogóle.

Zdaje mi się tedy, iż mogę powtórzyć od czegom zaczął: że w obecnéj chwili u nas człowiek uczciwy, a myślący nie może większéj usługi oddać swojemu zakątkowi, jak zakładając spółkę zaliczkowo-oszczędnościową. Zresztą przykład stowarzyszeń już istniejących nie tylko na Litwie, oraz przypatrzenie się statystycznym wskazówkom ich działalności może więcéj zachęci światlejszą część publiczności naszéj od gołosłownych zapewnień. Dlatego więc myślałbym, iż komukolwiek z innych prowincyj wiadome są szczegóły obrotów sąsiednich spółek, dobrzeby zrobił podając je do czasopism, bo tym tylko sposobem otrzymamy dokładne wskazówki o ich istnieniu i działaniu, oraz przyczynimy się do rozmnożenia tych wysoce pożytecznych zakładów.

Jan Karłowicz.

KRYTYKA.

Monumenta medii aevi historica, tomus II: Codex epistolaris saeculi decimi quinti. Pomniki dziejowe wieków średnich, t. II: Kodeks listów z XV stólecia, zebrany pracą A. Sokołowskiego i J. Szujskiego. Kraków 1876, 8-vo, str. LXX, 158, 368, nakładem Akademii Umiejętności.

Wydany w roku zeszłym przez komisyą historyczną nowy tom naszych dziejowych zabytków piśmiennych, objętością swoją bardzo jest poważny a treścią pociągający badacza, żądnego nowych materyałów do epoki, z której nam ich niewiele zostało. Składa się on z dwóch części, poprzedzonych krótką przedmową łacińską, spisem kodeksów i archiwów, z których wydawcy czerpali, wykazem chronologicznym dokumentów i obszerną przedmową polską, w której znajdujemy bibliograficzne opisanie wyczerpywanych rękopisów, przegląd nowo zdobytych materyałów i uwagi, tyczące się strony wydawniczéj. Format wygodny, druk wyraźny, papiér piękny—słowem zewnętrzna strona kodeksu nic do życzenia nie zostawia: znać, że wydała go akademia, któréj wszystkie wydawnictwa wyróżniają się pod tym względem z pomiędzy wielu innych. Co zaś do wewnętrznéj strony, to ponieważ kodeks składa się z dwóch części i każda przytém przez innego autora opracowaną została, przeto o każdéj z nich wypada nam mówić osobno.

Pierwsza część zawiera materyały historyczne, głównie dyplomaty, z lat od 1384 do 1444 r.; wydawcą jéj jest p. A. Sokołowski. Materyały te odnoszą się do stosunków książąt litewskich i litewsko-ruskich względem Wielkiego Księcia a zarazem króla polskiego Władysława Jagiełły, wyjaśniają nam nieco stosunki kościoła polskiego, z jednéj strony, wewnętrzne, a z drugiéj—do papieżów i sobo-

ru bazylėjskiego, traktują wreszcie sprawy polityczne z sąsiedniemi narodami, głównie z Węgrami i Czechami, a także z krzyżactwem. Z pomiędzy 134 dokumentów téj części, 8 tylko wydanych jest z oryginałów, reszta z kopij późniejszych: jedne z nich pochodzą z XV wieku i te dochowały się w paru rękopisach biblioteki Jagiellońskiéj, w kodeksach kapituł krakowskiéj i kujawskiéj, w rękopisie ks. Chodyńskiego, drugie zaś pochodzą z końca XVIII wieku, ze zbioru nazywanego „Teki Naruszewicza"; te ostatnie były głównėm źródłem, z którego p. S. czerpał. Kopistami, którzy dla Naruszewicza robili odpisy, byli często ludzie do takiéj pracy nieuzdolnieni należycie, niezbyt biegli w paleografii i łacinie, w skutek tego kopie, przez nich przygotowane, wyjąwszy chyba te, które kollacyonował sam Naruszewicz, nie są zbyt krytyczne; mógł się o tém przekonać każdy, kto miał sposobność je przeglądać, a czego dowodzi także i niniejszy kodeks: wydane w nim dokumenty z tego źródła znacznie niekiedy różnią się od oryginałów; dla dowodu przytaczam poniżéj parę przykładów, a to na podstawie kopij, jakie przepisałem z oryginałów, znajdujących się w zbiorach ks. ks. Czartoryskich:

	w kodeksie jest:	w oryginale zaś:
str. 14 dok. 14 w. 12	*ad*	*sed*
„ „	*omnibus*	*viribus*
„ 13	*ac*	*et*
„ 14	*appensum est*	*est appensum*
„ 15	*Lucko*	*Luczsko*
dok. 81 str. 76 w. 1 od doł.	*quod*	*quomodo*
„ „ 77 „ 4 od góry	*ambiguitatis*	*ambiguitatem*
„ „ „ 9 „	*Opporowo*	*Opporow*
„ „ „ 10 „	*Zaremba*	*Zaramba*
„ „ „ 12 „	*sollennibus*	*solempnibus*
„ „ „ 16 „	*solidentur*	*solidenter*
dok. 97 str. 93 w. 15 od dołu	*Osvancimenses*	*Oswanczimienses*
„ „ „ 13 „	*damnorum*	*dampnorum*
„ „ „ „ „	*profluxa*	*profluvionem*
„ „ „ 12 „	*affirmare*	*affectare*
„ „ „ 11 „	*fiducia*	*sciencia*
„ „ „ „ „	*potius*	nie ma tego w oryginale
„ „ „ 9 „	*regem et dominum*	*regem etc., dominum*
„ „ „ „ „	*coranamque subditos*	*coronamque suam, subditos*
„ „ „ 6 „	*et*	*ac*

	w kodeksie jest:	w oryginale zaś:
dok. 97 str. 93 w. 6 od dołu	po wyrazie *videlicet* opuszczono:	*sancti Michaelis Archangeli proxime lapso usque ad alïud festum . .*
„ „ „ 1 „	*regni*	*regi*
„ str. 94 „ 3 od góry	*omnino*	*quymmo*
„ „ „ 9 „	*electo duci, domini*	*electo, dicti domini*
„ „ „ 15 „	*ac*	*et*
„ „ „ 20 „	*in turpiis*	*vituperiis*
„ „ „ 21 „	*poterit*	*potuerit*
„ „ „ 23 „	*impugnare*	*repugnare*
„ „ „ 25 „	*Pluswicza*	*Plusnicza*
„ „ „ „ „	*Dalne*	*Dolne*
„ „ „ 26 „	*Thoschec*	*Toschek*
„ „ „ „ „	*Michael Czechowski*	*Nickil Czechowsky*
„ „ „ „ „	*Bonurkil*	*Boznickil*
„ „ „ 27 „	*Juzman de Odwalin*	*Irzman de Cottulin*
„ „ „ „ „	*Ancosch de Waldzerzowicz*	*Micosch de Walczerzowicz*
„ „ „ „ „	*Syroty*	*Siroty*
„ „ „ 29 „	*Oswancimensis*	*Oswanczimiensis*
„ „ „ 34 „	*ab hacque tacebimus*	*ad hocque tenebimus*
„ „ „ 35 „	*haec*	*hoc*
„ „ „ „ „	*facere*	*seruare*
„ „ „ 39 „	*Thoschek*	*Toschek*

Porównywając oba teksty, widzimy, że oprócz małych różnic będących kwestyą pisowni, są też i znaczne różnice, które znaczenie tekstu czynią niezrozumiałém, lub go zmieniają; z tych przykładów można przez anologią sądzić o innych dokumentach z Tek Naruszewicza wziętych; że ich tekst nas niezadawalnia, nie jest to wina wydawcy, jak raczéj źródła, z którego korzystał. Wydawcy możemy zrobić tylko ten zarzut, że niezawsze zwracał uwagę na te miejsca, w których sens widocznie szwankuje; podobne omyłki można dostrzedz i w dokumentach skąd innąd wziętych, np. na str. 11 w. 6 od dołu stoi *quam* zamiast *qua*, *Plocensem* zam. *Polocensem*, na str. 29 w. 20 od dołu po *principem* opuszczono widocznie imię księcia, a raczéj króla, na str. 30 w. 20 jest *haberetis* zam. *haberet*, str. 44 w. 3, *duraturis* zam. *duraturas*, w. 1, *proximum instantis* zam. *proxime instanti*, w. 26, *sanxitas* zam. *sancitas*, str. 46 w. 6 od dołu po wyrazie *sub* opuszczono zdaje się *paena*, na str. 47 w. 20 jest *Lanciciensi*, *Gnesnensi* zam. *Lanciciensis*, *Gnesnensis*, a w w. 24 *episcopo* zam. *archiepiscopo*, na str. 53 w. 3—*Devotionem vestram* zam. *devotiones ves-*

tras, *attentosque* zam. *attenteque*, na str. 47 w. 9—*obstantis* zam. *obstante*; niedobrze wydawca rozwiązuje czasami końcowe skrócenia, jak to np. na str. 2 w. 1 zamiast *regendum* lepiéj byłoby *regendam*, w. 4 od dołu *defendenda* lepiéj niż *defendendum*, na str. 42 w w. 24—*tractando* niż *tractandis*. Wydawca może wprawdzie odpowiedzieć, że są to omyłki drukarskie i powołać się na zastrzeżenie poprzedzające wykaz takowych, ale w takim razie wykaz omyłek winien być bardzo dokładny, bez tego nie można wiedzieć na kogo spędzić winę za omyłki czy były one w oryginale, czy też zrobili je kopista, wydawca lub zecer. Za omyłki drukarskie można uważać jedynie takie, jak *prinups* zamiast *princeps* (str. 18 w. 10), *capiteneus* zam. *capitaneus* (str. 28 w. 2 od dołu), *gratiae* zam. *gratia* (str. 42 w. 6), odpowiedzialność za wszystkie inne spadnie chyba na wydawcę.

Przyjętém jest mniéj więcéj za zasadę, wydając dokumenty z kopij, modernizować w nich pisownią. Wydawca trzyma się téj zasady, lubo tylko względem łacińskich dokumentów; inne, w języku litewsko-ruskim, byłoby, co prawda, trudno zmodernizować albo i niemożebnie, oryginalny więc ich text został zachowany; co do niemieckich natomiast, to w nich starą niemiecką pisownią śmiało można było zarzucić. Zasada modernizacyi przeprowadzona jest konsekwentnie—mało przynajmniéj spotkać można od niéj wyjątków; przytaczam ich parę: str. 20 w. 2 od dołu *cominationibus* zam. *comminationibus*, str. 26 w. 21 od dołu *ammissione* zam. *amissione*, str. 127 w. 16 od d. *prelatis* zam. *praelatis*, str. 129 w. 4 *ceptum* zam. *coeptum*. Zasadzie téj nie podlegają nazwiska osób, miejscowości i t. p., które też i wydawca podaje w téj formie, w jakiéj zachowali je kopiści; Poważanie swoje dla kopistów p. S. posuwa aż do tego, że i mimowolne ich błędy zachowuje, oznaczając je czasami wyrazem „*sic*", np. na str. 29 w. 19 *magnorum* zam. *magnarum*, na str. 66 w. 9 od dołu *Nicola* zam. *Nicolao*, tamże w. 8 od d. *capitanei* zam. *capitaneo*; w dokumencie 48 w paru miejscach zachowuje wydawca formy *Turcorum*, *Turcos*, tém bardziéj niesłusznie, że w tym samym dokumencie jest i prawidłowa forma *Turcam* (1). Zdaje mi się, że w takich wypadkach byłoby najlepiéj w tekście zrobić należytą poprawkę, a w przypiskach, nie chcąc wykraczać przeciw wierności, zanotować, że w daném miejscu taka poprawka uskuteczniona została, jak to wydawca uczynił przy dokumencie np. 51-ym. Zbyteczném mi się także wydaje podanie przez wydawcę nadpisów, robionych nad do-

(1) W dokumencie N. VII pozostawione błędy kopisty: *widil... słyszil* zamiast *widit.. słyszit;—u chstwu cielowanij* zamiast *u chrestnom cielowanii*. (*Przyp. Red.*)

kumentami przez kopistów (podano je przy niektórych tylko dokumentach. np. 55, 56, 59, 60, 61 i t. d.); wydawca uważa te nadpisy jakby integralną część dokumentu; uważam to za zbyteczne dlatego, że treść dokumentów i bez tego podaną jest dwa razy: w spisie chronologicznym po łacinie i w nagłówku przed samym dokumentem po polsku; jeżeli wydawcy chodziło o ich pomieszczenie, to zdaje mi się, że w przypiskach byłoby dla nich najodpowiedniejsze miejsce.

Nie można powiedzieć, żeby interpunkcya zadawalniała czytelnika. W wielu miejscach jéj nie ma, a w wielu nie jest odpowiednia, lub zbyteczna: oddzielają się przecinkiem orzeczenie od dopełnienia (str. 1 w. 7 od d.), lub nawet podmiot od orzeczenia (str. 2 w. 18 od dołu); brak przecinków przed zdaniami podrzędnemi, zaczynającemi się od qui, quod lub skróconemi (str. 2 w. 2 i 18 od d., str. 47 w. 1); przed *idcirco* za słabym znakiem jest przecinek (str. 21 w 15 od dołu), nieoddzielane są także przecinkami zdania wtrącone jak np. *quod absit*, *ut dicitur* (str. 3 w. 17, str. 21 w. 23), lub też przecinek postawiony z jednéj tylko strony, jak to ma np. miejsce przy *ut praedicitur* (str. 21 w. 27).

W topograficznych objaśnieniach, które wydawca podał, panuje wielka rozmaitość. Tak np. gdy mowa o miejscowościach Litwy, a tych tutaj stosunkowo najwięcéj, wydawca dla pojaśnienia bliższego, gdzie one się znajdują, wskazuje raz województwo (np. dokument III nota 6, VIII 3, XVII 3), drugi raz województwo i powiat (VIII 2, 4, 9, 10, XVIII 2), trzeci raz gubernią (IX 4, 24, 25), albo gubernią i powiat (IX 5, 9, 18, 19, XXIII 4, XXXII 1), lub téż mówi, że dana miejscowość leży na pograniczu dwóch gubernij (IX 6, 7). Toż samo i względem miejscowości dzisiejszego Królestwa Polskiego: raz wskazano województwo i powiat (II 2, XV 1, XXI 4), drugi raz gubernią i powiat (IX 17, CXXIV, 1). Są także objaśnienia i z innego względu niedokładne, np. w nocie 2 przy dok. VI powiedziano, że Niepołomice położone w *dawnym* obwodzie bocheńskim (1). Przy niektórych dokumentach nie ma wcale topograficznych objaśnień, np. przy 113, 116.

Do każdéj części dołączony jest osobny spis czyli index. Dla

---

(1) W dokumencie XLVII powiedziano, że rabusie, którzy kradli konie w Polsce, w okolicy leżącéj między Nakłem a ziemią Stołpeńską, wyszli „de civitate Fredlanth de Prussia"; wydawca mylnie odnosi tę wzmiankę do Friedlandu w regencyi Królewieckiéj. Dla złodziei końskich byłaby to za daleka wyprawa; w rzeczywistości, wyszli oni z miasta Preussisch-Friedland, leżącego między Złotowem a Człuchowem, właśnie po drodze z Nakła do Stołpia. Jest to ten sam „Fredland", wspomniany obok Chojnic i Hamersztyna w liście z r. 1459 (cz. II, str. 186), oraz w 1460 r. (cz. II, str. 199). (*Przyp. Red.*)

czego tylko osób? Miejscowości w tym kodeksie nie wiele, spisanie ich nie wymagałoby dużego czasu; nie można zaś powiedzieć, żeby taki spis był zbyteczny. Lecz i o tym indeksie jaki jest, wypada także parę słów powiedzieć. Nazwy osób, złożone z imienia i miejscowości z przyimkiem *de*, umieszczone są w nim pod pierwszą literą imienia ze wskazaniem stronicy, na któréj są wspomniane, miejscowość umieszczona także pod właściwą literą i postawiony obok niéj odnośnik, odsełający do odpowiedniego imienia np. *Petrus de Ossava* umieszczony ze wskazaniem stronicy pod literą *P*, przy *Ossava* zaś stoi odnośnik: *vid. Petrus*. Nazwy jednak miejscowości nie zawsze są zaciągnięte w regestr, np. *Johannes de Olesznica* lub *Johannes de Tenczyn* umieszczeni pod lit. *J*, ale pod literami *O*, *T* nazw *Olesznica*, *Tenczyn* nie znajdujemy. Nazw osób, składających się z imienia i nazwiska (np. *Nicolaus Smoliczky*), także pod pierwszą literą imienia szukać należy, chociaż znowu znaléźć niezawsze ich będzie można, bo np. *Nicolaus Lasocki* nie pod *N* ale pod *L* wskazany. Są także i opuszczenia, np. przy *Vladislaus Jagello* i przy *Skirgalo* nie ma odnośnika do str. 7, przy *Stanislaus de Dobrzelino* do str. 78, a przy *Theodorus Romanowicz* stoi fałszywy odnośnik do str. 81. *Pijersko de Domanowicz* ze str. 72 w indexie został opuszczony.

Kończąc uwagi nad pierwszą częścią kodeksu, zauważę jeszcze, że w dok. 34 i 52 spotkałem w texcie średniowieczne daty, których wydawca na nowe nie zamienił, że niepodane jest źródło, z którego pochodzą dok. 1 i 3, pomieszczone w dodatku, i że wreszcie w przedmowie opisane są dwa rękopisy ks. S. Ch., pod dokumentami zaś cytuje się jeden tylko kodeks ks. Chodyńskiego a drugi kapituły kujawskiéj, o którym w przedmowie nie ma żadnej wzmianki; ta ostatnia uwaga odnosi się także i do drugiéj części kodeksu. Uznanie wreszcie nakazuje mi także wspomnieć, że p. Sokołowski opatrzył niektóre dokumenty w cenne uwagi historyczno-krytyczne; chociażbym na niektóre z nich nie zgodził się, nie mając jednak tutaj (w Wiedniu) potrzebnych dzieł, na które musiałbym się powoływać i opiérać, w polemikę z p. S. wdawać się nie mogę. (1).

(1) W przypiskach do aktu N. III z 14 sierpnia 1385 r. wydawca zwraca uwagę na wyrażenie „Christinum tutorem Kazimiri", a lubo zna tytuł „tenutarius Cazimiriensis" z którym Krystyn wspomniany jest u Długosza, zdaje się, że nie daje mu wiary i zadaje sobie pytanie, ktoby to był ów Kazimierz, którego jednak nie rozwięzuje. Za wersyą Długoszową poszedł niegdyś Szajnocha; zowie on Krystyna „dzierżawcą Kazimierskim" (Jadw. i Jag. t. II ed. 1855 r. str. 309), tłómacząc w ten sposób wyrażenie aktu 11 stycznia 1386 r. „tutor Kaziminiae" (tamże, str. 393). Wykład ten, pomimo pozornej trafności, nie jest bez zarzutu, Szajnocha bowiem wziął text łaciński z kopii, znajdującej się w rękopisie biblioteki Ossolińskich, w oryginale zaś tego aktu, ogłoszonym w tomie trzecim kodeksu dypl.

Wydawcą II-éj części kodeksu, obejmującéj dokumenty z lat od 1444 do 1492 r., jest p. J. Szujski. Część ta objętością swoją, liczbą dokumentów, dwa razy większa jest od pierwszéj, a ważnością treści bodaj czy nie przewyższa jéj także. Walka Kazimierza Jagiellończyka, dążącego do samodzielnych rządów, z teokratyczno-arystokratyczném stronnictwem Małopolski, stosunki króla do kuryi apostolskiéj, do spraw ościennych, wojna pruska, uchwały sejmów, projekty podatkowe i reformy wojska z 1477 r.—oto ustępy dziejów i sprawy, na które zbiór niniejszy nowe rzuca światło; niemniéj ważne materyały i przyczynki znajdujemy tutaj do działalności pojedynczych osobistości, osobliwie Zbigniewa Oleśnickiego, daléj Jana Długosza, Mikołaja Lasockiego, Włodka z Domaborza i wiele innych ważnych materyałów, wyliczanie treści których, choćby i nieszczegółowe, przechodzi zakrés niniejszego pisma.

Główne źródło, z którego wydawca czerpał, są tak zwane *libri formularum*; z nich niemal 150 dokumentów jest tutaj podanych: bogaty to rezultat, a odpowiedni gorliwości i zabiegom, z jakiemi p. S.

Rzyszczewskiego, czytamy: „Cristinus tutur Kazimiri“ (str. 337). Ponieważ wyraz *tutor* lub *tutur* znajduje się w oryginałach dwóch aktów, od siebie niezależnych, a odczytany został w ten sposób przez takich znawców paleografii, jak pp. Sławiński i Sokołowski, nie możemy zatém przypuszczać ani dwukrotnego błędu pióra, ani przeoczonego skrócenia wyrazu *tenutarius*. Nie mogąc tedy iść za Długoszem i Szajnochą, szukać nam raczéj wypada istotnego znaczenia wyrazu *tutor*. Przedewszystkiém przychodzi tu na myśl przywilej z d. 18 lutego 1386 r., w którym Władysław Jagiełło, zaślubiony już z Jadwigą, ale jeszcze nie koronowany na króla, tytułuje się „tutor regni Poloniae“ (Bandtkie, Jus Polon. str. 189), gdzie *tutor* oznacza pewien stan władzy tymczasowej. Uchwały zjazdu Radomskiego 1384 r., które powierzają rządy tymczasowe w każdej ziemi sześciu panom, w ziemi Sandomierskiej jednym z owych sześciu wyznaczają właśnie Krystyna z Ostrowa; z téj więc już zasady Krystyn mógłby się mianować *tutor*, zwłaszcza, że nie nosił wtedy innego tytułu urzędowego. Dodatek zaś „Kazimiri“ musiałby się odnosić do Kazimierza Dolnego, leżącego wówczas w ziemi Sandomierskiéj, a posiadającego obronny zamek, zbudowany przez ostatniego z Piastów. Otóż na mocy pomienionych uchwał, wszystkie urzędy, któreby w tym czasie zawakowały, winny były pozostać nieobsadzone, a nieposłuszeństwo wybranym rządcom najsurowszemi zagrożone zostało karami; przyjąć tedy można łatwo, iż zwierzchnictwo nad grodem Kazimierskim, czy skutkiem śmierci dotychczasowego dowódcy, czy usunięcia go za nieposłuszeństwo, zawakowało, zamek zaś oddany został w zarząd Krystynowi, który przeto był onego opiekunem doczesnym, *tutor*. Za jego wyborem mogły przemawiać względy dogodności praktycznéj, albowiem w okolicach Kazimierza Dolnego mieli posiadłości Rawicze, zowiący się nawet w XV wieku Kazimirskiemi (Liber-benef. II, 541—543, 554, 555; III, 247), a właśnie Krystyn z Ostrowa był Rawiczem.

Przy tej sposobności zaznaczymy, że dokumenty NN. XXVII, XXVIII i XXIX niepotrzebnie drukował wydawca z odpisów, skoro w Aktach Zachodniéj Rusi wydrukowano je z oryginałów, znajdujących się w bibliotece publicznej w Petersburgu; pierwszy z tych aktów ma tam datę zredukowaną inaczéj, bo na dzień 5 lutego.

(*Przyp. Red.*)

gromadził go. Nie każdemu może wiadomo, że *libri formularum* były to księgi, w które kanceliści, sekretarze, profesorowie wpisywali rozmaite dokumenty, jako *wzory stylu*, a to dla użytku kancelaryjnego, lub dla nauki. Stosownie do tego celu, przepisywaczom szło nie tyle o fakt historyczny, którym dany list lub dokument się zajmował, ile raczéj o zewnętrzną jego stronę; to téż w podobnych kopiach opuszczano zazwyczaj datę dokumentu, a nazwiska oznaczano tylko pierwszemi początkowemi lub nawet innemi dowolnie wziętemi literami. Z tych względów, nie zgadzałbym się ze zdaniem p. Szujskiego, który, idąc za Palackim, zalicza *libri formularum* do najznakomitszych i najwydatniejszych źródeł historyi średniowiecznéj. Są to zawsze kopie tylko, często niezupełne i z opuszczeniami; przed innemi kopiami można im jednak dać pierwszeństwo na téj podstawie, że pisane były przez ludzi mniéj więcéj oświeconych i z łaciną obeznanych, więc na przepisanym przez nich texcie bezpieczniéj można polegać; oczéwiście bardzo zważać także należy, czy kopia była robiona wprost z oryginału, lub z innéj kopii, jak nie mniej brać na uwagę również trzeba historyą i pochodzenie rękopisu, a także stanowisko jego autora. Jakiekolwiekby jednak miał kto zdanie o tych księgach, każdy zgodzi się zapewne na to, że w obec ubóstwa źródeł naszéj historyi z XV-go wieku, materyału, który się zachował w *libri formularum*, wcale odrzucać nie można, i że nie małą jest zasługą wydawcy, iż na ten rodzaj źródeł zwrócił należytą uwagę, wydobył z nich wiele ciekawych materyałów; będzie to zapewne nie dla jednego pobudką do pracy w tym kierunku; materyały wspomniane czerpał p. S. z 8 kodeksów biblioteki Jagiellońskiéj, z formularzy także 2-ch ks. Chodyńskiego, jednego Willanowskiego i jednego biblioteki Ossolińskich.

Drugiém źródłem wydawcy były Teki Naruszewicza: ⅓ podanych w téj części dokumentów z nich pochodzi. Co sądzić mamy o ich krytyczności—już mówiłem wyżéj; dla lepszego poparcia mego zdania porównam jeszcze jeden dokument z téj części kodeksu z kopiją, którą przepisałem z oryginału, znajdującego się w zbiorach ks. ks. Czartoryskich; przy téj sposobności wypełnię zarazem luki, które porobił kopista i które do kodeksu także się dostały, są one w dokumencie 124-tym, poniżéj z odpisem z oryginału porównywanym:

			w kodeksie jest:	w oryginale zaś
str. 133 w	9	od góry	*Oświencimensis*	*Oszwanczimiensis*
„	„ 15	„	*saevissemus*	*laesissemus*
„	„ 17	„	*benevolam*	*beniuolam*
„	„ 22	„	*Czyżów*	*Czyssow*
„	„ 23	„	*Thanczyn*	*Thauczin*
„	„ 23	„	*Brzezie*	*Brzezye*

	w kodeksie jest:	w oryginale zaś:
str. 133 w. 21 od dołu	*mareschalcum*	*marsalcum*
„ „ „ „	*Becensem*	*Beczensem*
„ „ „ „	*Schafraniec*	*Schaffranyecz*
„ „ 20 „	*Szcecociny*	*Szekoczyny*
„ „ 19 „	*Pienianżek*	*Pyenyanszek*
„ „ „ „	*Witów*	*Vithow*
„ „ 17 „	*invenimus*	*iniuimus*
„ „ 16 „	*benevolentiae*	*beniuolencie*
„ „ „ „	*dignosci*	*dinosci*
„ „ 13 „	*Oszwancym*	*Osswanczim*
„ „ 10 „	*magnifici*	*magnifici domini*
„ „ 9 „	*ducimus*	*dabimus*
„ „ 3 „	*quod extunc*	*quod exnunc*
str. 134 w. 1 od góry	*feudalis*	*feodalis*
„ „ 7 „	*suffragare*	*suffragari*
„ „ 9 „	*paratam*	*parata*
„ „ 12 „	*impetiri*	*impartiri*
„ „ 18 „	*invenimus*	*inuenerimus*
„ „ „ „	*omagium*	*et omagium*
„ „ 23 „	*christianae*	*christianice*
„ „ 25 „	*ex*	*ab*
„ „ 22 od dołu	*quidem*	*quindecim*
„ „ 21 „	. . . .	*sua per nos*
„ „ 20 „	*viris*	*viis*
„ „ 19 „	. . . .	*gratiam inuenire*
„ „ 17 „	. . . .	*Kyliani*
„ „ 14 „	*post elapsum*	*post lapsum quatuor*
„ „ 13 „	*Oswancimensi*	*Oszwanczym*
„ „ 10 „	*reformationem*	*refeccionem*
„ „ 7 „	*servari*	*obseruari*
„ „ 6 „	*quos*	*priores*
„ „ 3 „	*repositorum*	*expositorum*
str.135 w. 1 i 2 od góry	*Hilarii*	*Kyliani*
„ całego wiersza 3:	*praestare et omnia superius descripta adimplere infra hinc et festum sancti Hilarii*	niema w oryginale
„ w. 5 od góry	*obligamus*	*obliganimus*
„ „ 8 „	*condempnaverunt*	*condempnauerint*
„ „ 13 „	*aeque*	*regno*
„ „ „ „	*censebimus*	*censebimur*

	w kodeksie jest	w oryginale zaś:
str. 135 w 16 od góry	*habete*	*habere*
„ „ 20 „	*constitimus*	*constituimus*
„ „ „ „	*consignamus*	*resignamus*
„ „ 26 „	*Ruczski*	*Ruczky*
„ „ „ „	*Czechowicze*	*Czechowycze*
„ „ „ „	*Bartholdo de*	*Gothardo de*
„ „ „ „	*Przerzyschyn*	*Przeczyeschin*
„ „ 27 „	*Bouschowo*	*Boyschow*
„ „ „ „	*Mischowski de*	*Miskowsky de*
„ „ „ „	*Przerzynów*	*Przeczyczow.*

Najmniéj i w téj części dokumentów przepisanych dla kodeksu wprost z oryginałów, lub współczesnych ksiąg urzędowych, jak np. Metryki koronnéj lub aktów konsularnych krakowskich; można ich się doliczyć zaledwie trzydzieści kilka. Co się tyczé ich tekstu, to nic do powiedzenia nie pozostaje, nazwiska pp. Pawińskiego, Szujskiego, Boeszoermeny'ego są wystarczającą rękojmią, by na nim zupełnie polegać można. W poprawniejszéj redakcyi przedrukował także wydawca 38 dokumentów, są to przeważnie listy Zbigniewa Oleśnickiego i Jana Długosza, które, ile ich jest dotąd znanych, są tutaj wszystkie zebrane.

Text dokumentów jest modernizowany, ale bardzo niestarannie, na str. np. 5 znajdujemy przeciwne téj zasadzie formy: *Polonie* wiersz 8 i 23, *predictis* w. 11, *intencione* w. 18, *contingenciis* w. 18 od dołu, *amicicias* w. 17 od d., *prestolari* w. 14; a na str. 32 naliczyliśmy dwadzieścia pięć wyrazów niezmodernizowanych. Podane przez p. S. na str. LXX objaśnienie, że pomięszanie ortografii pochodzi od tego, że odpisy kopiowane były wedle ortografii dawnéj nie może służyć za usprawiedliwienie, bo można było przed oddaniem do druku poprawić odpis, lub przeprowadzić staranną korektę.

Opuszczone przez przepisywaczy wyrazy wydawca przywraca w samym texcie, biorąc je w nawias, jak to ma miejsce w dok. 5, 6, 7, i t. d. Niezawsze jednak możnaby się zgodzić z wydawcą na wyraz uzupełniający, np. na str. 12 w. 10 po *incolarum* stawia p. Sz. na miejscu wyraźnie opuszczonego wyrazu: *regnorum*; stać tu powinien raczéj wyraz *dominiorum*, albowiem w niniéjszym ustępie dokumentu mowa o Polsce i Litwie. Litwa zaś nie była *regnum*, albowiem cokolwiek niżéj w takim samym zwrocie ten wyraz jest w oryginale: „....incolarum *dominu utriusque* Regni Poloniae videlicet et Magni Ducatus Lithuaniae....." Zdarzają się czasami zachowane bez żadnego zwrócenia na to uwagi widoczne nawet błędy

kopistów; jeżeli wydawca chciał je zachować, należałoby w takim razie postawić za niemi wyraz *sic*, albo jeszcze lepiéj nieprawidłową formę, lub omyłkę poprawić i zanotować to w przypisku; odnosi się to do takich np. form, jak *mee* (str. 1 w. 4), *litera* (str. 12 w. 4 od dołu), *in prorum* (?, zapewne *in presbyterum*, str. 36 w. 19 od d.). Interpunkcya nie wszędzie ścisła lub brak jéj; appozycye oddzielane tylko jednym przecinkiem, równie jak zdania podrzędne skrócone i wtrącone, oddzielane znowu od siebie przecinkiem główne części jednego zdania (np. str. 135 w. 10, 131, 12 od d., 6, 32, 14 od d., str. 31 w. 6 od d.); zamiast przecinka stoi kropka przed et na str. 134 w. 16, a w wierszu 20 po expositis niepotrzebny przecinek, ani po regiis kropka, jak to podano w erratach.

Nie ma w kodeksie jednostajności co do sposobu pisania tytułów i często spotykanych wyrazów (jak np. *vestra fraternitas*, *sanctitas*, *serenitas*, *ecclesia*, *cardinalis episcopus*): raz są pisane w całości, drugi raz w skróceniu lub pierwszą tylko literą oznaczane; taż niejednostajność w pisaniu dużemi lub małemi literami początkowemi takich przymiotników, jak: *posnaniensi*, *Sandomiriensi*, *piotrkoviensi*, lub złączonych z niemi rzeczowników: *Episcopo*, *palatino*, *Conventione*; w takich połączeniach rzeczownik pisze się zwykle przez małą literę a przymiotnik przez dużą. Do II-éj części kodeksu stosuje się także to, co powiedziałem wyżéj o przytoczeniu przed dokumentami tytułów, dodanych przez kopistów; wspomnę jeszcze, że tutaj nie wszędzie, osobliwie przed listami, podana jest po polsku ich treść, jak to ma miejsce w części I-éj kodeksu.

Uwag krytycznych, lub historycznych mniéj spotykamy w téj części kodeksu aniżeli w pierwszéj; w każdym razie wdzięczność należy się wydawcy za mozolne poszukiwania celem ustanowienia daty listów i wykrycia nazwisk adresanta lub adresata. Czasem jednak pomijał wydawca wątpliwości co do nazwiska osoby, która np. na str. XXV nazywa się *Trevisino*, na str. 33 *Treviso*, a na str. 36 *Tervisio*. Wydawca nie objaśnia również położenia miejscowości, (np. w dok. 23, 216), nie wspomina także skąd poczerpnął dokument 3 (w dodatku str. 314) (1).

Index części II-éj ułożony jest wprost przeciwnie, jak index części I-éj: pod pierwszą literą imienia znajdujemy tu odnośnik do

---

(1) W formule, zatytułowanéj „Vituperatio Clenodii", opisany jest herb zwany *Wągrody*, przedstawiający na tarczy łodygę rośliny wodnéj grzybień z wyrastającemi z niéj sześciu liściami łopianu, a w hełmie wyżła z ogonem kogucim; świadkowie stwierdzający szlachectwo należą między innemi do herbu Opale. Wydawca czyni przy tém uwagę, że herbarze nie znają klejnotu Wągrody, ale jest dom Wągrodzkich, są Łopieńscy, zaś Opale może być w związku z Opalińskiemi. Domysły te wydają nam się chybione-

pierwszéj litery miejscowości, gdzie wskazana stronica; jeżeli mamy np. nazwisko *Andreas de Bnin*, to pod *Andreas* znajdziemy odnośnik: *vide Bnin* i tam będzie wskazana stronica kodeksu; chociaż i od tego są wyjątki, bo *Barczal de Dobra*, *Bogdan de Hruzdowo* są pod literą B, a nie ma ich pod literami *D*, *H*., jakby należało. Pod pierwszą literą imienia umieszczeni ci, co nazwiska nie mają, np. *Albertus notarius*, *Nicolaus abbas Suleioviensis* i t. d. Opuszczeń i niedokładności można w tym indexie dostrzedz więcéj, jak w poprzednim: *Nicolaus electus episcopus Vladislaviensis* str. 112 i 113, *Johannes archepiscopus Gnesnensis* str. 198, *magister Thomas*, *magister Thaddaeus* str. 104 nieumieszczeni w spisie; przy *Stanislaus de Ostrorog* nie wskazana str. 198, przy *Johannes de Olesznica palatinus Sandomiriensis*—str. 154, przy *Elgoth*—str. 104; *Belze Martinus*, *Liganza Johannes*, *Teschar Johannes* są w spisie, ale nie podane wcale stronice, na którychby ich znaleźć można; obok *Leopoldus*, *Lasocki Michael*, *Lopyan* stoją fałszywe odnośniki do stronic 118, 261, 352. *Logendorf* str. 228 nazwany w indexie *Legendorf*; *Lang Cuncze* str. 215 w spisie znajduje się pod literą *L*, taż osoba na str. 214 nazwana *Czunczclang* i pod *K* drugi raz wspomniana.

Zdanie moje o kodeksie mogę streścić w paru słowach: ma on wielką naukową wartość ze względu na treść swoją, wielką téż jest zasługą wydawców, że tyle nowego materyału historycznego w nim zebrali; do ujemnych stron jego zaliczyć wypada: drobne usterki pochodzące z nie dość ścisłego trzymania się metody wydawniczéj, jako téż niekrytyczność pewnéj części zawierających się w nim dokumentów. Kończąc, ośmieliłbym się zrobić jeszcze jednę uwagę. Z paru wyrażeń p. Sz. w przedmowie wnosić można, że w skład drugiego tomu niniejszego kodeksu wejdą w znacznéj części odpisane z Tek Naruszewicza dokumenty, do czasów Aleksandra odnoszące się, a do Tek przepisane z Metryki litewskiéj, która dotąd dochowała się a złożona jest w Moskwie. Otóż życzyćby należało, ażeby, w obec niekrytyczności odpisów w Tekach, akademia postarała się o bezpośrednie kopie z oryginału—musielibyśmy, co prawda, dłużéj czekać na ukazanie się drugiego tomu kodeksu, ale daleko więcéj zyskałby on przez to na wartości; zamiast niego pragnęlibyśmy ujrzeć jak najprędzéj inne nie mniéj ważne materyały, mające się wydać przez komisyą histo-

---

mi: herb Wągrody, jak widać z jego opisu, jest czysto pomysłem fantazyjnym, podobnie jak ów fantazyjny dyplomat, wzmiankowany w przedmowie do kodeksu (str. LII); humorystycznie opisany herb może być wprawdzie nie bez alluzyi do jakiéj rzeczywistéj sprawy herbowéj, ale może téż być rubaszną satyrą na herby, bo takie satyry, mające formę jeszcze bardziéj prostaczą, tradycyjnie dotąd z ust do ust krążą. *(Przyp. Red.)*

ryczną, jak np. Listy Andrzeja Zebrzydowskiego, i jak najwięcéj tomów korespondencyi Stanisława Hoziusza. W 7 Nr. Przeglądu Krytycznego na podstawie zapewne urzędowych wiadomości wyrażona jest obawa czy za dwa lata nawet ukaże się pierwszy tom téj korespondencyi—oby się ta obawa nie sprawdziła!

Teodor Wierzbowski.

Bibliographische Berichte über die Publicationen der Academie der Wissenschaften in Krakau. Erstes Heft 1876. Krakau, Verlag der Academie der Wissenschaften, 8-vo, str. 24.

Przeczytawszy wypisany powyżéj tytuł téj małéj publikacyi, czytelnik zadziwi się zapewne i poważnym głosem zaprotestować gotów. Jakto! polska akademia za polskie pieniądze wydaje rozprawy po niemiecku pisane!? W danym jednak razie protestacya podobna byłaby przedwczesna. Publikacya, o któréj mowa, przeznaczona jest dla cudzoziemców; wydanie jéj dosyć dawno było postanowione i zapowiedziane; jeżeli mię pamięć nie myli, prezes akademii, na publiczném dorocznem posiedzeniu 3 Maja r. z., motywował je przed zgromadzoną licznie publicznością słusznemi powodami: wejściem akademii w stosunki z licznemi zagranicznemi naukowemi instytucyami, zainteresowaniem się cudzoziemców rezultatami badań polskich uczonych, których znaczna część w tym ognisku nauki się skupia; że jednak między cudzoziemcami język polski bardzo mało jest upowszechniony, przeto żeby ich zachęcić do uczenia się go, przez pokazanie jakiéj wartości i znaczenia prace w nim się drukują, żeby ich zaciekawić i zainteresować jeszcze bardziéj polskim naukowym ruchem, postanowiła akademia wydawać podobne „wiadomości" w języku niemieckim i francuskim, obejmujące streszczenie wszystkich dzieł i rozpraw, przez nią wydawanych.

Odwróciwszy okładkę na pierwszych trzech stronicach znajdujemy krótkie pióra p. Szujskiego wspomnienie o powstaniu akademii, podziale na wydziały, liczbie i kategoryach członków, posiedzeniach, pierwszych pieniężnych darach, daléj listę członków wszystkich trzech wydziałów, spis prezydujących i sekretarzy komisyj, dni zwyczajnych i nadzwyczajnych posiedzeń, uwiadomienie wreszcie, że na przyszłość, stosownie do możności, dwa razy do roku wiadomości takie będą wydawane.

Główną część zeszytu str. 3—20 stanowią krótkie, może niekiedy nawet za bardzo, streszczenia wszystkich prac, drukowanych przez akademią w ciągu pierwszych trzech lat jéj istnienia, ułożone

według wydziałów filologicznego, historyczno-filozoficznego i matematyczno-przyrodniczego, jak niemniéj w chronologicznym porządku. Streszczenia te są w niniejszym zeszycie krótkie, jak powiedziałem; rzadko przechodzą liczbę kilkunastu wierszy ścisłego druku, niekiedy zaś mieszczą się tylko w kilku; najobszerniejsze są w dziale matematyczno-przyrodniczym; w przyszłości, kiedy podobne wiadomości częściéj będą wychodziły, będą zapewne streszczenia bardziéj wyczerpujące, co bezwątpienia wartość wydawnictwa podniesie; wspomnieć wypada, że redakcyą streszczeń zajmują się sekretarze wydziałów, pp. K. Estrejcher, J. Szujski i S. L. Kuczyński.

Następnie podane są łacińskie i polskie, z niemieckiém tłómaczeniem, tytuły wydawnictw akademii, spis publikacyj b. Towarzystwa Naukowego Krakowskiego i prośba od prezydującego w komisyi historycznéj, p. Szujskiego, do dyrektorów archiwów i bibliotek o nadsełanie materyałów, lub wiadomości o nich, do dwóch bliskich wydawnictw téjże komisyi: „Acta Stanislai Hosii" i „Acta Johannis III Sobieski". W smutnéj wreszcie czarnéj ramce zakomunikowana na ostatniéj stronnicy wiadomość, że podczas składania i druku tego dziełka ze składu akademii ubyło przez śmierć pięciu członków: Franciszek Palacki, Franciszek Pawłowski, Ludwik Wołowski, Aleksander Fredro i August Bielowski.

Takiém jest nowe wydawnictwo akademii—chociaż przeznaczone dla cudzoziemców, niemniéj może być użyteczne i dla nas, służąc za wskazówkę, gdzie żądaną pracę lub rozprawę wydrukowaną znajdziemy, i przedstawiając w krótkości całość i wartość naukowego ruchu w akademii.

Tr. Wi.

Głos, ucho i muzyka, rozprawa Augusta Laugel'a, przetłómaczona i uzupełniona przez Felicyą Bakszewicz. Kraków. 1876, w 8-ce m. str. XX i 148.

Słynny profesor Helmholtz, wynalazca oftalmoskopu czyli wziernika, jeden z najlepszych fizyków i fizyologów nowoczesnych, wydał w r. 1862 sporą księgę, p. t. Die Lehre von den Tonempfindungen als physiologische Grundlage für die Theorie der Musik, czyli: Nauka o wrażeniach dźwiękowych, jako podstawa fizyologiczna teoryi muzyki; dzieło to, owoc ośmioletnich badań i doświadczeń autora, dokonało rzec można przewrotu w akustyce, zyskało dlań rozgłos europejski i wyszło w trzeciém już wydaniu r. 1870. Z powodu jednak swéj obszerności oraz czysto naukowego, a zatém niezbyt dostępnego sposobu wykładu, znakomita zkądinąd praca ta nie wielu

znaléźć mogła i znalazła czytelników w szerszych kołach publiczności europejskiéj. Ale na szczęście, sposobem nieraz już skutecznie praktykowanym, ciężka, obszerna i wykładem swym odstraszająca księga niemiecka znalazła popularyzatora francuza, który stylem jasnym i dostępnym, na stu kilkudziesięciu stronicach, zaznajamia każdego, choć trochę ukształconego i cierpliwego czytelnika z głównemi wynikami długoletniéj pracy i wieloarkuszowéj księgi profesora Helmholtza. Tym popularyzatorem odkryć jego jest wielostronny i wysoce uzdolniony August Laugel, którego „Zagadki życia“ posiadamy od lat kilku w przekładzie polskim. Książeczka Laugela nie traci swéj wartości nawet w obec świéżo wyszłego z biblioteki międzynarodowéj dziełka prof. rzymskiego Blaserny (Le son et la musique; toż po niemiecku i angielsku), bo i to ostatnie jest właściwie streszczeniem i uprzystępnieniem wniosków i spostrzeżeń Helmholtza.

Z prawdziwą przeto przyjemnością i wdzięcznością dla tłómacza witamy książeczkę Laugela, spolszczoną i wydaną przez pannę F. Bakszewiczównę. Wypełnia ona brak istotny w naszém piśmiennictwie i wypełnia go dobrze. Ktokolwiek chce się dowiedzieć, jak się najnowsza akustyka zapatruje na przyczynę i naturę dźwięku w ogóle, a akordów harmonicznych w szczególności, ten w dziełku obecném znajdzie jasną i prostą odpowiedź; oświeci się także o powodach zjawiska, uważanego przed Helmholtzem za tajemnicze, mianowicie o różnicy zabarwienia brzmień rozmaitych narzędzi muzycznych, to jest zda sobie sprawę, dla czego ta sama nuta wzięta np. na flecie a zaraz potém na oboju lub trąbce, robi na nas inne wrażenie i najmniéj wprawnemu uchu daje się poznać, jako wydobyta z innego instrumentu.

Oprócz przedmowy i tekstu autora, panna B. podała czytelnikowi polskiemu własną przedmówkę, oraz na str. 69—73 dopełnienie do dziełka Laugela, według trzeciego wydania badań Helmholtza. W przedmowie swéj panna B. nader słusznie zachęca publiczność naszę do głębszego zazierania w muzykę, stosując wezwanie swe głównie do matron naszych, o których powiada (str. XVI), że nie na to uczą muzyki swoje córki „aby wykształcić w nich poczucie piękna, ale na to jedynie, aby je przyjemniejszemi w salonach uczynić.“ Takie zdanie, wychodzące z pod pióra młodéj panienki, chlubnie świadczy o jéj odwadze cywilnéj i postępowych zasadach, oraz obudza w nas nadzieję ogólnego polepszenia w tym kierunku, bo gdy słowa nagany za lekceważenie sztuki dają się słyszéć właśnie z ust winniejszéj w tym względzie połowy rodzaju naszego, skuteczność ich stanie się niewątpliwą.

Dopełnieniem książeczki Laugela tłómacz stawi ją na równi z postępem prac Helmholtza, gdyż autor francuski opracował dzieło profesora niemieckiego według pierwszego jego wydania (1862), a gdy niedawno wyszło trzecie i znalazły się w niém zmiany, szczególnie w poglądzie na budowę ucha ludzkiego, słusznie tedy należało odpowiedni ustęp francuskiego popularyzatora sprostować.

Przekład panny B. wydaje mi się na ogół dobrym: oddaje jasno myśli autora francuskiego i odznacza się wcale czystą polszczyzną. Są w nim i usterki, niezbędne niestety! w każdéj sprawie ludzkiéj a tém więcéj w pracy poczynającéj literatki. Z obowiązku recenzenta muszę podnieść ważniejsze. Najprzód: nazwiska cudzoziemskie powinnyby się pisać według pisowni cudzoziemskiéj, a jeśli nie, to przynajmniéj według jednéj zasady; tymczasem spotykamy w książce panny B. raz Helmholtz, Müller, Laplace i t. d., a gdzieindziéj Kornel i Korneil (Corneille), Rasyn, Mendelson, Kepler i t. p. Powtóre przekład niniejszy obfituje w zbyt wielką ilość wyrazów obcych, które albo oddawna już zastąpiono u nas swojskiemi, albo też mało lub wcale się nie używają, jak np. atrakcya, akompaniament, analiza, atrybut, asocyacya, debatowany, denominacya, dyspozycya, element, elementarny, faza, fluktuacya, fraza, gradacya, identyczny, kontemplacye, kreacya. kultywowany, parcelować, peryod, perturbacye kosmiczne, rasa, spontaniczny, spontanicznie, weryfikować,— banalnie, ekspresywność, cóś intymnego, kadry, karillony, rudymenty. Dość dziwnie też wyglądają w książce, tłomaczonéj z języka francuskiego, frazesy francuskie, jak na str. 75 „w takiém ciągłém va-et-vient,“ albo str. 130 „maniera polegająca na prawdziwych tours de force.“ Po trzecie: spotykamy pewną ilość prowincyonalizmów litewskich, głównie zaś rusycyzmów, jak np. częste używanie *a* zamiast ale, *przegnać* zamiast wygnać, *napominający* zam. przypominający, *walec* zam. walc, *skrzypacy* zam. skrzypkowie, *gałęź* zam. gałąź, *naliczono się* zam. naliczono, *pęta* zam. pęty, *potenczas* zam. wtenczas, wówczas, wtedy, naówczas; zły szyk wyrazów, osobliwie skłonność do umieszczania przymiotnika przed rzeczownikiem, jak np. *naturalny wdzięk, zachodnim narodom, biograficznych monografij, przyrodnicze prawo, fizyologiczna podwalina* i wiele tym podobnych; następne zaś wyrazy są zgoła niesłychanemi: *słabnićć, zanotowując, trzéćtonowy.* Po czwarte: nie dziw, że do przekładu z francuskiego wkradło się też nieco galicyzmów, jak np. *traktat fizyki* zam. o fizyce, *więzy* (le lien) zam. związek, stosunek, *syksta* zam. seksta i t. p. Po piąte: radziłbym w ogóle, a szczególnie w dziełach mających być dostępnemi, nie używać staroświeckich, ciężko brzmiących

wyrazów, jak: *społem*, *snadno*, *azali*, *iście*, *pospołu*, a szczególnie gdy się je mylnie zgadza z innemi wyrazami, jak np. *gwoli* z drugim przypadkiem zamiast z trzecim; z drugiéj strony w pracy naukowéj należałoby téż unikać wyrazów zbyt lekkiego kalibru, jak *jeno*, *pono* i t. p. i w ogóle trzebaby stronić od wszelkiéj nienaturalności i przesady, wszelkich wyrazów i zwrotów wyszukanych. Niezawsze jednak panna B. ucieka się do obcych wyrazów, owszem, śmiało tworzy kilka nowych i, jak mi się zdaje, wcale udatnych, jak np. *przeciwstawność* zamiast kontrast, wyraz daleko zgrabniejszy od Trętowskiego *przeciwstawu; rozdźwięcznie* (str. 13) zamiast dyssonansowo niezgodnie; szkoda tylko, że tuż obok (str. 14) *rozdźwięczne* pudło znaczy już *rezonansowe*, chociaż o kilka wierszy wyżéj panna B. *rezonans* spolszczyła przez *współbrzmienie*. Czytamy także *kojarznia* (str. 4), *czuciowość* (11), *następczy* (123), wyrazy mniéj pożądane, bo bez szczególnéj potrzeby improwizowane. Przymiotniki, *dźwięczny*, *harmonijny* i *melodyjny*, przywykliśmy pojmować jako *dobrodźwięczny* lub *głośnodźwięczny*, *pełen harmonii*, *melodyi;* wolelibyśmy przeto, aby w tłómaczeniu używano wyrazów *dźwiękowy*, *harmoniczny*, *melodyczny* w takich zestawieniach, jak np. *prawidła dźwiękowe*, *muzyka harmoniczna*, *rysunek melodyczny* i t. p., gdyż *prawidła dźwięczne* znaczy *prawidła głośno* lub *przyjemnie brzmiące*, a *prawidła dźwiękowe* wyraża *prawidła dźwięków, do dźwięków się odnoszące.* Niektóre wyrazy, szczególnie techniczno-muzyczne, panna B. spolszcza niedokładnie: str. 6 *małym fletem*, tłómacząc dosłownie z francuskiego, nazywa narzędzie zwane u nas flecikiem albo pikuliną; str. 4 pisze *diapazon* zamiast kamerton; str. 37 i 145 nazywa *rogiem myśliwskim* waltornią; str. 60, 122 i in. używa *partycyi* w znaczeniu *partyi*, *głosu*; str. 128 zamiast *kirchy zreformowanéj* wolelibyśmy kościół ewangelicki; str. 140, 145 *harmonium* nazywamy częściéj melodykonem; str. 134 zamiast *orkiestracya* mówimy *instrumentacya* lub *instrumentowanie*; wyrazu *przestanek* tłómacz używa bardzo często w znaczeniu interwalu, zdaniem mojém niewłaściwie, gdyż *przestanek* znaczy u nas odpoczynek czasowy, pauzę i do kategoryi przestrzeni nie da się odnieść; panowie Żeleński i Roguski używają wyrazu *interwał*, spolszczając go raz tylko (Nauka Harmonii str. 5) słowem *odległość*. Szkoda wielka wreszcie, że panna B. nie utrzymała nazwy *przytonów* zamiast złożonéj i dwuznacznéj *tonów górnych*, (str. XIX i dal.), oddając cudzoziemskie *alikwoty*.

Następne dość liczne pomyłki pochodzą nie z winy tłómacza, ale z niedbałości korekty; wymieniam je raz dlatego, aby osoby posiadające ten przekład Laugela mogły go oczyścić od błędów nieraz sens zmieniających, powtóre, aby pannie B. ułatwić przygotowanie

drugiego wydania téj pożytecznéj pracy, wreszcie, aby protestować przeciw zaniedbaniu naszych panów drukarzy, którzy coraz bardziéj lekceważą sobie poprawność swoich wydawnictw. Str. IX przed *Cyd* powinien być średnik. Str. X *pantominach* zamiast pantomimach. Str. XVIII wiersz trzeci od dołu *jest* zam. są i daléj *myzyki* zam. muzyki. Str. XIX *badaj* zam. bodaj. Str. 2 *usiłowaniem* zam. usiłowaniom. Str. 29 *grającą* zam. grającéj. Str. 30 *pizzicata* zam. pizzicato. Str. 31 *rozmaity stopień* zam. rozm. stopnia. Str. 51 *dająca* zam. dającą. Str. 69 *nieopacznie* (!) zam. nieopatrznie. Str. 71 *hipotezą* zam. hipotezę. Str. 75 *klapsydry* zam. klepsydry. Str. 90 wiersz od góry 13 zamiast *6 drgań* powinno być 5 drgań. Str. 94 *tejm* zam. téj. Str. 96 *splątają się* zam. splatają się; tamże dwakroć *monoficzna* zam. monofiniczną. Str. 98 *monokord* zam. monochord. Str. 99 *Apollon* zam. Apollo. Str. 107 *o toniki* zam. do toniki. Str. 109 *Tereswati* zam. Saraswati. Str. 122 *partacyj* (!) zam. partycyi. Str. 146 *pietnaście* zam. piętnaście.

Zanadto może się rozszerzyłem nad formą, a za mało nad treścią książki Laugela, wynikło to stąd, iż mówić chciałem głównie o przekładzie, ale nie o oryginale. Powtarzam tedy, iż zdaniem mojém i treść i forma książki są dobre, że zatém dziełko wybrane i przetłómaczone przez pannę B. uważam za pożyteczne i godne polecenia czytającéj powszechności.

Jan Karłowicz.

PROJEKTA, ŻĄDANIA I ZACHCIANKI.

W numerze 64-m „Niwy” pan A. G., traktując kwestyą projektowanego banku hipotecznego, roztrząsa wszystkie korzyści i niedogodności kredytu, sięga śmiało do samego dna kwestyi i wykazuje jasno, że dobrodziejstwa kredytu zależą od tego, jaki się z niego robi użytek. Pragnąc „zbyt wygórowane nadzieje zbawiennych owoców nowéj instytucyi sprowadzić do rzeczywistych granic“, autor szuka podstaw, jakie kredyt ziemski może jeszcze dzisiaj dla siebie znaléść w naszym kraju, i lubo twierdzi stanowczo, „że kredyt nie jest pokarmem, ale tylko lekarstwem choremu podanym“, uważa jednak, „że gdy stosunki rolnicze tego kraju w ogóle są w wysokim stopniu chorobliwe, przeto do wyleczenia potrzebują lekarstwa, t. j. odpowiednio obmyślanego kredytu.“

Zgadzając się w zupełności na te twierdzenia szanownego autora, żałujemy bardzo, że brak cyfr i danych statystycznych nie pozwala nam dokładniéj określić stopnia obciążenia hipotek, ani też oznaczyć ilości ciężaru jaki one udźwignąć jeszcze mogą. W braku zaś cyfr dokładnych, rozumowania i przypuszczenia pana A. G. lepiéj niż ktokolwiek znającego warunki i okoliczności krajowego gospodarstwa, zdają się nam najzupełniéj zasługiwać na wiarę, i nie myślimy bynajmniéj zaprzeczać jego twierdzeniom, a tylko zdało się nam potrzebném dopełnić czy raczéj rozwinąć jego uwagi, uwzględniając ekonomiczne prawa powstawania i skutków kredytu.

Jeżeli rzeczy tak stoją, że wysokie procenta, opłacane przez rolników, nie dozwalają im prowadzić gospodarstwa prawidłowo, pożądaną byłoby rzeczą, aby bank hipoteczny uregulował ten uciążliwy stosunek; a jeśli, jak to powiada pan A. G., zabezpieczenie hipoteczne dla nowéj emisyi papiérów jeszcze istnieje, nie widzimy przyczyny, dla któréjby bank hipoteczny nie mógł się urządzić. Kurs biletów jego zależéć naturalnie będzie od ogólnéj stopy procentowéj w kraju i chociaż zapewne nie dojdzie do *pari*, zawsze jednak przez opłatę dzisiejszych wierzycieli może znacznie zmniejszyć ilość procentów corocznie wymagalnych od właścicieli ziemskich i uwolnić ich zarazem od ciągłego niepokoju opędzania się wielkiéj ilości kredytorów. Samo urządzenie banku hipotecznego, chociaż mo-

żebne, nie jest jeszcze łatwém, bo powstając obok Tow. Kred. Ziem. musi poprzestać na drugim numerze hipoteki, a lubo uregulowanie wzajemnego stosunku dwóch tych hipotek, oparte na obowiązujących przepisach prawa, nie napotkałoby pono zawad, należyte jednak urządzenie porządku egzekucyjnego w razach niewypłacalności przedstawi niemałe trudności do zwalczenia. Trudności te wszakże nie są szkopułami, o które rzecz rozbićby się musiała koniecznie, i bez wątpienia pokonać się dadzą, a proponowane przez pana A. G. wiązanie się właścicieli ziemskich pewnych okolic, czy powiatów, w gruppy solidarnie odpowiedzialne zdaje się wskazywać właściwą do tego drogę.

Nie na tém jednak kończą się wymagania, czy raczéj chęci właścicieli ziemskich, żądają oni w wielu miejscach kredytu, chociażby o krótszych terminach, któryby im ułatwiał wypłaty na bieżące potrzeby gospodarskie, t. j. jak się niektórzy wyrażają: dostarczył kapitału obrotowego. Mówiąc wyraźnie i dokładnie, znaczy to, że gospodarze rolnicy, nieposiadający własnego zapasu pieniędzy na opłatę robotnika, remont inwentarza i inne bieżące potrzeby gospodarstwa, chcieliby aby im takowe ktokolwiek mógł na dogodnych warunkach zaawansować aż do czasu, kiedy będą mogli produkta swe sprzedać korzystnie. Uwolniłoby to ich naturalnie od wymagań lichwiarskich procentów, lub od sprzedawania produktów przed czasem, a pozwalając wyczekiwać dogodnéj ceny mogłoby ich wyzwolić, jak to ogólnie powiadają, z rąk nienawistnych pośredników handlarskich, wyzyskujących bezlitośnie i niesumiennie ich trudne położenie.

Jakkolwiek korzystne prowadzenie gospodarstwa na kredyt zdaje się być rzeczą zupełnie niemożebną, że jednak nikt wiedzieć nie może, ani tego obliczyć podobna, czy gospodarzowi braknie całego kapitału obrotowego, czy tylko pewnéj jego części w pewnych peryodach czuje niedostatek, więc teorya nic mieć nie może przeciwko urządzaniu kredytowych instytucyj, usiłujących temu niedostatkowi zapobiedz, a już praktyka sama bliżéj określi, komu i w jakim stopniu kredyta takie udzielane być mogą.

Na kilku naradach gospodarzy, o których dawały sprawozdanie pisma peryodyczne, kwestya ta była podnoszoną, a chociaż, o ile nam wiadomo, nie rozwiązano jéj jeszcze w praktyce, nie mniéj jest ona bardzo interesującą, bo żywo obchodzi wielu właścicieli ziemskich. Nam się tylko zdaje, że nadzieje, jakie właściciele ziemscy pokładają na urządzeniach kredytowych w ogóle, są zbyt przesadne; czytając naprzykład wywody rozwijane na naradach

a streszczone w NN. 153 i 154 „Gaz. Pol.“, zdawałoby się, że wysoki stan kultury w Czechach zależy od urządzenia kredytu.

Tymczasem kredyt, jak i każdy fakt, czy objaw życia społecznego, o tyle może na to życie korzystnie oddziaływać, o ile dochodzi do harmonii ze wszystkiemi innemi jego warunkami, i o ile warunki te sprzyjają jego rozwijaniu się. Udoskonalone formy, dobre i dogodne urządzenia kredytowe, wtedy tylko zjawiać się mogą, kiedy znajdują materyał, z któregoby powstać i formować się mogły. W tychże numerach „Gaz. Pol.“ przytoczone są opowiadania p. Hawralka o głębokiéj orce w Czechach, nam by się zdawało, że ta głęboka orka więcéj, aniżeli urządzenia kredytowe, przyczyniła się do wzbogacenia Czechów; albo stawiając rzeczy na właściwém miejscu, orka głęboka mogła być podstawą urządzeń kredytowych, a nie naodwrót kredyt wywoływał orkę. Fakty życia społecznego tak się z sobą ściśle wiążą, tak jedne na drugie wpływają i oddziaływają, że ostróżnie bardzo trzeba brać się do rozplątywania tego ich stosunku; analiza, odrywanie pojęć ogólnych od wypadków bieżącego życia wymaga wielkiéj ścisłości, aby mogła być pouczającą.

Widzimy w życiu codzienném, że kredyt z wielką łatwością znajdują: najprzód ludzie bogaci, a powtóre ludzie pracowici i oszczędni. Człowiek bogaty łatwo zawsze znajdzie kredyt do pewnéj sumy, dla tego, że chociażby mu się podobało tę sumę stracić i zmarnować, wierzyciel może odzyskać swoję należność z jego majątku, jednakże same trudności egzekucyi, zwłoka czasu koniecznie przytém zachodząca, muszą sumę wierzytelności utrzymywać znacznie niżéj od ceny szacunkowéj, czyli wartości majątku. Kredyt człowieka pracowitego i oszczędnego opiéra się na zupełnie innych warunkach; ufają jego moralnym przymiotom, ufają, że odda na termin pożyczone pieniądze, bo z pracy swéj zysk osiągnie, a zyskanego grosza nie straci, ani zmarnuje; kredyt takiego człowieka stosuje się do zakrésu jego działania i wzrasta zwykle w miarę rozwijania się jego czynności. Jeżeli te dwa warunki, bogactwo i pracowitość z oszczędnością połączona, znajdą się w jednéj osobie, kredyt jéj może wzrastać bez granic prawie, aż do wyczerpania zasobów, nagromadzonych w obrębie, który zajmuje, lub do którego dosięgnąć może działalność tego człowieka. Na téj drodze powstają potęgi finansowe parafialne, powiatowe, lub krajowe, które umieją same sobie radzić, więc nie potrzebujemy wglądać w ich działania, bo dla nich pomoc ogólnych instytucyj niepotrzebna, lub podrzędne ma znaczenie.

„Mieć majątek czysty, a nieco zasobu w kalecie, toć istotnie ideał zabiegów rolnika“, powiada pan A. G. Rzeczywiście, właści-

ciel ziemski średniéj fortuny, średnich przymiotów gospodarskich, jeżeli nie ma długów, może w dostatku pędzić żywot spokojny, może, dbając o ulepszenie gospodarstwa, poprawiać je zwolna i stopniowo, używając na to części własnych dochodów, a z ulepszeń tych osiągać coraz to większe korzyści; nikt nie zaprzeczy, że takim jest stan idealny, do któregoby każdy właściciel dążyć powinien, o którym każdy marzy niezawodnie, szczególnie w chwilach wypłaty procentów, lub kapitałów swym wierzycielom. Lecz powodzenia idealne zbyt rzadko się spotykają w rzeczywistości.

Jeżeli tenże właściciel ma do opłacania Towarzystwo, pozycya jego staje się już więcéj zależną, raty mu ciągle ciążą na myśli, lecz pozycya ta w naszym kraju jest jeszcze zupełnie znośna, bo przy gospodarowaniu staranném i porządku w domu, raty Towarzystwu mogą być uiszczane z łatwością.

Jeżeli do Towarzystwa dodamy pożyczkę tak pożądanego banku hipotecznego, pozycya właściciela stanie się o wiele cięższą; będzie miał trzy, czy cztery raty corocznie do wniesienia, i to pod karą egzekucyi.

Jeżeli wysokość pożyczki dojdzie do $^3/_4$ hipoteki, trzeba już będzie niepospolitéj zabiegliwości i skrzętności gospodarskiéj, ażeby mieć zawsze na termin gotowe pieniądze. Tak obciążony gospodarz, chociaż zachowa w społeczeństwie i w obec prawa stanowisko właściciela ziemskiego, we własném sumieniu jednak, a szczególnie w obec własnéj księgi przychodów i rozchodów, będzie już musiał uważać siebie za dzierżawcę, który, za pozostawioną w jego ręku ziemię, jako warsztat do pracy, opłacać musi wysoką cenę dzierżawną, opłacać ją kapitalistom, którzy bank hipoteczny urządzili. Ponieważ bank hipoteczny będzie osobą jurydyczną, a stosunek z nim czysto-prawny i formalny, więc zależność właściciela będzie o jeden stopień lżejszą, aniżeli dzisiejsza jego zależność od jednéj, czy kilku osób żywych, które, oprócz przypominania terminów wypłaty, mogą mu wyrządzać i osobiste nieprzyjemności. Bank hipoteczny oprócz uwolnienia właściciela od dręczącéj go zmory jednorazowéj wypłaty kapitału, oprócz usunięcia osobistych nieprzyjemności, oprócz unormowania, uporządkowania, ujednostajnienia wypłat należnych od własności ziemskiéj, niewiele więcéj zrobić może. Obostrzenie egzekucyi, konieczne przy urządzeniu instytucyi ogólnéj, będzie zapewne dla wielu gospodarzy pobudką do pilniejszego i skrzętniejszego zajęcia się gospodarstwem; ale sama instytucya wpłynąć może na ulżenie ich kłopotów, dopiéro po długim szeregu lat ciężkiéj pracy, kiedy podnoszące się ceny produktów i ziemi zrobią opłacanie procentów stosunkowo znacznie łatwiejszém.

Wypowiadając to wszystko, zgoła nie myślimy twierdzić, aby urządzenie banku hipotecznego było rzeczą nieużyteczną, albo nawet obojętną dla kraju; i owszem, może on wyświadczyć ważne i wielkie usługi, ułatwiając pozycyą ludzi obciążonych dzisiaj długami prywatnemi; tym zaś, którzy szczęśliwie od nich są wolni, dając sposobność dostania piéniędzy na melioracye. Tylko skuteczne działanie banku zależéć zawsze będzie od użytku, jaki właściciele zrobią z udzielonego sobie kredytu, bo i melioracye chociaż zalecane są przez agronomów i ekonomistów, zawsze jednak z tém zastrzeżeniem, aby były robione, o ile można, nie za pożyczone piéniądze; dzisiaj jednak przy wzmagającéj się coraz bardziéj czynności gospodarskiéj, przy dogodnych warunkach wypłat rozłożonych na długi szereg lat, zdaje się, że mogą być one korzystnie przedsiębrane i za pożyczony kapitał.

Czy jednak zaciągnięta w banku hipotecznym pożyczka użytą będzie na spłacenie wierzycieli, czy na melioracye gruntu, gospodarz zaciągający pożyczkę będzie miał własność obciążoną często do $^5/_4$ wartości, i zdaje nam się, że przy takich warunkach, już po dalszy kredyt na hipotekę nie będzie mógł sięgać.

Skądże się wezmą jeszcze podstawy dla kredytu właściwie rolniczego, sukursującego kapitał obrotowy gospodarstwa. Przytoczone w N. 154 „Gaz. Pol.“ streszczone rezonowanie jednego z rolników, że ta część majątku, która pozostanie swobodną po zabezpieczeniu pożyczek Tow. i Banku hipotecznego, może służyć jeszcze za podstawę kredytu zdaje nam się zupełnie mylném. Pożyczka, ażeby być zabezpieczoną hipotecznie, musi być znacznie niższą od wartości ziemi zabezpieczającéj. W wielkich majątkach może się jeszcze coś na téj pozostałéj części pomieścić, ale w folwarkach średniéj wielkości, a takich przecięż najwięcéj, nic już na téj części ulokować się nie będzie mogło.

Pozostaje druga podstawa naturalna kredytu — pracowitość i oszczędność. Nie myślimy, aby było zbyt trudném urządzić w szczuplejszych kółkach, w rozmaitych okolicach kraju, towarzystwa zaliczkowe na zasadach wzajemnego kredytu; istnieją już one po małych nawet miasteczkach, a kilka tego rodzaju banków, funkcyonujących od lat paru w gub. Wileńskiéj i Kowieńskiéj, stwierdzają ich praktyczność. Jak wiadomo, zasada takich stowarzyszeń polega na tém, że każdy z uczestników wnosi do banku pewną sumę i *może* za to korzystać z kredytu *dziesięć razy większego*; trzeba tylko pamiętać, że z kredytu tego on *korzystać może*, ale niekoniecznie *ma prawo dostać pożyczkę skoro zażąda*, bo przyznanie kredytu, czyli wydanie pożyczki zależy od zarządu, który w każdym razie musi

mieć władzę przyznawania lub odmawiania kredytu, bez wyłuszczania powodów. A zarząd niewątpliwie, przy wydawaniu pożyczki, będzie się głównie kierował widokami na wypłatność pożyczających i prędzéj narazi się na to, że członkowie niezadowolnieni odmową kredytu będą się usuwali, aniżeli na niekakuratność wypłat pożyczonych piéniędzy.

W każdéj okolicy kraju są ludzie, którzy corocznie zaoszczędzają cokolwiek z dochodu i odkładają to na kapitał, na wypadek nieszczęścia lub na stare lata, drobne te sumki częstokroć lokowane są u ludzi zamożnych, u których na zażądanie mogą być podniesione. Na ile takie lokaty są bezpieczne, o tém nikt sądzić nie może oprócz samego wierzyciela, ale jak się zdaje, nie ulega wątpliwości, że w każdym razie pewniejsze one będą w kasie stowarzyszenia, aniżeli w ręku człowieka prywatnego, dla którego zresztą bywają one nieraz nawet ciężarem niedogodnym, i dlatego śmiało twierdzić można, że one do tych kas powoli spływać będą. Sami stowarzyszeni, właściciele ziemscy lub inni ludzie gospodarni, jak np. włościanie, rzemieślnicy, handlujący (bo nie widzimy dobréj racyi, dla czegoby podobne stowarzyszenia miały być wyłącznie z właścicieli ziemskich złożone i utrudniać przystęp ludziom, w innych gałęziach gospodarstwa krajowego pracującym), otóż sami stowarzyszeni miewają często u siebie gotowiznę, która im w danéj chwili nie jest potrzebna, i piéniądze te dla samego bezpieczeństwa w kasie lokować będą. Z tych źródeł spływające piéniądze zwiększą kasę, tak iż zarząd będzie w możności udzielania stowarzyszonym pożyczek znacznie większych, aniżeli wniesione przez nich sumy.

Więc stowarzyszenie zaliczkowe, czy wzajemnego kredytu nie rozmnoży kapitału, ilości jego nie powiększy, ani nawet nie ściągnie do okolicy kapitałów ze stron dalszych, a tylko piéniądze, które się w okolicy znajdują, skupi w jedno miejsce i odda je w rozporządzenie ludzi znających się na tém komu bezpiecznie pożyczać można, kto pracowitością i przemyślnością daje dostateczne rękojmie akuratnéj wypłatności.

Więc ono kredyt uporządkuje i ureguluje, przez co będzie bardzo dogodném dla całéj okolicy, a ludziom pracowitym prawdziwe wyświadczy dobrodziejstwo; zawsze jednak z tego powodu nie koniecznie jeszcze ma zakwitnąć przemysł rolniczy, ani też każdy gospodarz, będzie mógł mieć sobie dostarczony kapitał obrotowy, do prowadzenia gospodarstwa niezbędny, i nie przeto wyzwoli się on już z rąk tych pośredników handlarskich, którzy, wedle słów wielu publicystów, jak pijawki wysysają krew z gospodarzy.

Nic zapewne nie ma naturalniejszego, ani więcéj prawnego i prawego nawet, jak staranie producentów o uwolnienie się od faktorów, od pośredników wciskających się między nich a spożywców. Tylko tutaj nie należy ogółem potępiać rzeczy, które często bywają niezbędne, a nawet pożyteczne, boć przecię handel niczém innném nie jest, jeno pośredniczeniem między wytwórcą a spożywcą.

Często słyszymy narzekania na to, że handel jest u nas w ręku żydów; ale w czyimże ręku ma się on znajdować, jeżeli ludzie z innych klas nim się nie zajmują. Rolnik gospodarz nie może zajmować się handlem, bo musi pilnować roli, i nie ma czasu jeździć po świecie, dowiadywać się gdzie kto czego potrzebuje, ani téż może prowadzić obszernéj korespondencyi i zbierać wiadomości o cenach na głównych targach zbożowych. Ale nie rozumiemy, dlaczego nie mógłby się tém zająć syn gospodarza rolnika dorosły i wykształcony, szczególnie jeżeli jest ich kilku w domu, i kiedy tak często narzekają, że przed nimi są zamknięte wszystkie drogi na świecie, że nie mają co robić i muszą marnieć w próżnowaniu.

Sztuka handlowa na tém zależy, ażeby wiedzieć, jakie są ceny na produkty w rozmaitych punktach, do których one dowiezione być mogą, aby znać dokładnie koszta przewozu i być w stanie skombinować (zawsze z niejakiém ryzykiem), czy te ceny utrzymać się mogą do czasu przywiezienia produktu na miejsce zbytu. Na tych wiadomościach opierając się, oblicza kupiec cenę, jaką dać może za produkt, a jeżeli potrzebuje tego produktu szukać, musi wysłać w tym celu jednego, albo kilku komisantów; komisanci mogą zapewne trafić na stręczycieli i faktorów miejscowych, którzy im wskazują folwarki czy wioski, gdzie można znaleść to lub owo ziarno, wełnę, mąkę i t. p. Bywają faktorowie nie dość sumienni, bywają komisanci nadużywający zaufania kupców, i kupcy téż korzystają z tego, że widzą ludzi koniecznie potrzebujących zbyć swój towar i ofiarują im niską cenę; wszystko to prawda, i codziennie to się widzieć daje, ale rzeczy takie same dzieją się wszędzie na świecie, i ani nasze społeczeństwo i jego apatya, ani żydzi temu nie są winni, a winien ten, kto oszukuje, lub ten, kto przez nieoględność własną doszedł do takiego stanu, że musi sprzedawać zboże na pniu.

Dzisiaj już niemało młodzieży nieżydowskiéj próbuje zajmować się interesami handlowemi, ale chociaż są chrześcianami, pewno nie dadzą wysokiéj ceny za zboże na pniu, ani zapłacą drogo tam, gdzie mogą kupić tanio. Co więcéj, zaliczki wydawane rolnikom na produkta przez banki Warszawskie, bodaj wcale nietanio kosztują, bo niemniéj jak 10—12%, a jak niektórzy twierdzą do 18% za

to zapłacić potrzeba. Ciężkie to prawo ekonomii społecznéj, ale obejść go nie ma sposobu, i kto raz wydał pieniądze, których nie miał, czy to nieoględnością powodowany, czy to nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności zmuszony, będzie musiał potém długo się męczyć i ciężko pracować, nim potrafi pokryć ten niewczesny wydatek. A koło takiego człowieka zawsze znajdą się ludzie, tego lub innego wyznania, gotowi korzystać z jego przykréj pozycyi, i coraz to wyższych procentów od niego żądać nie omieszkają.

Zresztą w obecnym stanie naszego kraju i sił jego społecznych wątpić można, czy handel mógłby się obejść bez żydów; i zdaje nam się, że zawiązane już, lub projektowane spółki obywatelskie do prowadzenia handlu zbożem, niebardzo potrafią uniknąć stosunków z żydami; niejedna z nich zapewne będzie zmuszona używać żydów za komisantów, a to dlatego, że żyd komisant umie taniéj odbywać podróże, ciaśniéj się pomieścić, łatwiéj i prędzéj pozbiéra potrzebne wiadomości; i dla tego usługi jego często bywają korzystniejsze. Chociaż więc nie widzimy ani potrzeby, ani możności zupełnego usunięcia żydów od interesów handlowych, nie przeto mamy uspakajać ludzi i mówić, że nie potrzebują starać się o uwolnienie od zbytecznéj ilości pośredników handlowych, szczególnie zaś bronić się od ich natarczywości i działać przeciw zmowom handlarzy na sztuczne utrzymanie cen niskich, przeciwko tak zwanym żydowskim „hajrymom,“ o których nieraz w pismach publicznych wspominano.

Ale jeżeli podobne zmowy na utrzymanie cen niskich wydają się nam nagannemi, skoro są skierowane przeciwko ziemianom, nielepszemi też zapewne wydać się mogą, a może i gorszemi, jeżeli się układają lub projektują przeciwko robotnikom. Dlatego też dziwném nam się wydawało podnoszenie dyskusyi w kwestyi ujednostajnienia opłaty sług, czeladzi gospodarskiéj i najmu na roboty rolne, o któréj wzmiankuje „Gazeta Polska,“ w NN. 180 i 181, w streszczeniu innych znowu narad gospodarzy. Prawda, że rolnicy dyskutowali tylko o tém i przekonali się sami, że dokazać tego nie można. Przytaczane jednak w dyskusyi argumenta zdają się być tak dalece jednostronne, że zdziwiło nas trochę, iż tylko przed praktyczną niemożebnością wykonania zatrzymało się poważne koło, i dla tego w imię praw ekonomicznych, a nawet w imię sprawiedliwości pozwalamy sobie wtrącić się do téj dyskusyi.

Prawda, że dla gospodarza niewygodném jest zmieniać sługi i czeladź prawie co roku, ale czyż dlatego tym sługom zabronić mamy szukania dogodniejszego dla siebie miejsca, gdzie się spodziewają znaleść albo wyższą płacę, albo lżejszą robotę? Wszak gospo-

darz nie zawaha się odprawić służącego lub parobka, który mu się zdaje niedogodnym, za cóż ma on sztucznie ścieśniać swobodę tego służącego i zmawiać się z sąsiadami, aby mu wyższéj ceny nie płacili, aby mu drugiéj krowy trzymać nie pozwalali, celem zmuszenia go do pozostania na służbie na miejscu wbrew jego woli. Powié kto może, iż ten parobek nie znajdzie nigdzie lepszych warunków, że wszędzie jest tak samo traktowany, takiéj saméj roboty od niego wymagają i prawie to samo płacą. Ale najprzód taka zupełna jednostajność nie jest zgoła możebną, muszą koniecznie zachodzić w tém jakiekolwiek pomiędzy rozmaitemi folwarkami różnice; a powtóre, jeżeliby nawet zdarzyła się taka absolutna jednostajność, czemuż odbiérać człowiekowi możność osobistego przekonania się o tém że: tylko tam wydaje się dobrze, gdzie nas nie ma; poco stawianiem takiéj przeszkody budzić w nim zażalenie na siebie i swoich? Kto chce uniknąć niewygody ze zmiany sług, ten czy ofiarowanemi im korzyściami, czy nawet serdecznością obejścia i dbałością o nich, będzie się starał przywiązać ich do siebie, i przy dobréj woli dopiąć tego zdoła; ale sztuczne środki ujednostajnienia opłaty będą próbą jawnie dla sług i czeladzi nieprzyjazną, a co gorsza próbą bezskuteczną, bo potrzebujący robotnika z bliższéj lub dalszéj okolicy zawsze potrafi mu wyższą cenę zaofiarować.

W dalszéj dyskusyi powiadano, że należy się zobowiązać do niepłacenia za roboty polowe letnie wyżéj nad pewną słuszną cenę. Ciekawibyśmy byli ktoby o owéj słuszności wyrokował, i czy cena, ustanowiona przez jednę tylko ze stron interesowanych w téj kwestyi, mogłaby mieć zawsze ów pożądany przymiot słuszności. Wszak samo pojęcie *słusznéj ceny* na niczém zgoła się nie opiéra; przeszłoroczna cena w stosunku do cen produktów, które się w bieżącym roku ustalą, może być albo zbyt wysoką, albo zanadto niską, w każdym razie w ciągu robót stosunek ten jeszcze jest nie wiadomy, i dla tego słuszność ceny roboty nie może się stosować do interesu gospodarza; bo jego interesem dzisiejszym chwilowym będzie zawsze dążenie do ceny jak najniższéj, zatém może być ona słuszną chyba względnie do potrzeb robotnika.

Ale tutaj znowu spotykamy narzekanie powszechne na to, że lud nasz ma tak mało potrzeb, i że dlatego nie można go do roboty zachęcić. Jakimże sposobem dojść on potrafi do wyraźniejszego poczucia potrzeb, do przyswojenia wykwintniejszych nawyknień, do lepszego pokarmu i odziania, jeżeli wygody, czy dogodności tych rzeczy nie spróbuje, z nią się nie zapozna, a jakże znowu ma ich spróbować, jeśli zarobek jego się nie powiększy. Rzeczy te wiążą się z sobą tak ściśle, tak się mocno siebie trzymają, iż nie ma możności

oddzielić ich od siebie. Wzrastanie cen na robotę ludzką nigdzie jeszcze nie było klęską dla przemysłu, chociaż przemysłowcy wszędzie się odeń bronić próbują; niedostatek robotników, brak ich staje się dopiéro klęską prawdziwą dla przemysłu, i od tego niedostatku broniąc się jeszcze energiczniéj, przemysłowcy cenę roboty sami podnoszą dobrowolnie. Zwiększone tak zarobki dają robotnikom możność obfitszego opędzania swych potrzeb, przez co znowu zwiększa się spożycie produktów, a przemysł, z tego nowe ciągnie zyski; taka jest zwykła koléj rozwijania się dobrobytu w narodzie, i nikt na tém nie szkoduje.

W rolnictwie naprzykład hodowla bydła na wypas daje obfity nawóz i wysokie zyski tam, gdzie cena mięsa jest wysoka, za mięso płacą drogo, gdzie go wiele spożywają; wiele spożywać nie będą póki wyrobnicy w ogóle mięsa jeść nie zaczną, a wyrobnicy jeść go nie zaczną, póki cena ich roboty się nie podniesie dostatecznie, aby go kupować mogli. Robotnik dobrze nakarmiony więcéj ma siły do roboty, a lepiéj opłacony może staranniéj wykonywać robotę, znowu zadowolnionego i silniejszego robotnika łatwiéj do pilniejszéj i staranniejszéj roboty przyzwyczaić, a robota staranna w dziesięćkroć opłaca się gospodarzowi. Odszukać zaś tego punktu, na którym cena roboty nie będzie ani za niską, ani za wysoką, a tylko *słuszną*, nikt nie potrafi; dowodem tego są zmowy fabrykantów i zmowy robotników, powtarzające się dość często w krajach wielkiego przemysłu, tam jedni i drudzy starają się na swoję stronę przeciągnąć szalę téj ceny, a pomimo tych starań i olbrzymich przytém nieraz wysileń, często muszą oni sobie robić wzajemne ustępstwa. Dlatego to teorya wygłasza, jako prawo zasadnicze ekonomii, że nie należy nigdy niczém ścieśniać umowy o cenę, że cena ma swe naturalne granice w stosunku podaży do popytu, a że jeżeli kto, uwodząc się interesem chwilowym, próbuje wprowadzić do tego stosunku sztuczne kombinacye ścieśnień lub przymusu, może miéć stąd zysk chwilowy, ale z biegiem czasu zawsze to się musi na jego niekorzyść obrócić, zawsze zgubne sprowadzić następstwa.

Jakże zresztą przypuszczać można, aby gospodarz, patrzący na łany dojrzałego zboża, palony gorączką jak najprędszego ukończenia żniwa, zawahał się dać o kilka, czy kilkanaście groszy wyższą cenę robotnikom, dlatego, że sąsiedzi jego jeszcze żniwa nie skończyli; pozwalam sobie wątpić, aby zmowa, nietylko w powiecie, ale i między sąsiadami, mogła zobowiązać kogoś moralnie, do niezapłacenia robotnikowi w czasie żniwa tego co on zażąda.

Czémże nakoniec byłaby taka cena postanowiona na naradzie moralnie obowiązująca, jeżeli nie takim samym „hajrymem,“ przez

przedsiębierców rolniczych przeciwko robotnikom wiejskim zawiązanym. Dlatego nie przestaję się cieszyć, iż rolnicy na naradach swoich doszli do przekonania, iż tego zrobić nie mogą, a co zatém idzie, że tego robić nie należy.

Warto mieć zawsze na pamięci zdanie jednego z najtrzeźwiejszych myślicieli: „Żądza zysku jest bez wątpienia rzeczą zwyczajną i naturalną; ale, zakładając sobie cel, do wykonania którego brak nam środków, narażamy się na zasłużoną naganę, dopuszczamy się błędu.“ (Il principe. C. III.)

Na zakończenie streszczamy rzecz naszę. Jeżeli projektowane urządzenia kredytowe dadzą się zorganizować i wejdą w życie, okażą one niezawodnie pomoc skuteczną rolnikom pracowitym i oszczędnym, bo wskazując im miejsce, gdzie łatwo kredyt znaleść mogą, uwolnią ich od wielu kłopotów, zachodów i straty czasu. Ale nie możemy sądzić, aby to ułatwienie było już dostatecznym środkiem do dźwignienia przemysłu rolnego na wyższy stopień. Przemysł ten, chociaż powoli, ale nie przestaje dźwigać się ciągle, a wzrastająca ciągle ludność kraju jest tego dowodem i zarazem przyczyną, bo im ciaśniéj ludzie na ziemi żyć muszą, tém lepiéj muszą ją uprawiać, aby z niéj pożywienie wydobyć; główną zaś sprężyną ruchu pozostanie zawsze przemyślność i pracowitość rolników. Wznoszenie się zarobku wyrobników jest, przy normalnych warunkach gospodarskich w kraju, koniecznem następstwem podnoszenia się produkcyi krajowéj, następstwem bardzo pomyślnem, bo samo staje się znów przyczyną lepszéj i pilniejszéj, a więc więcéj produkującéj roboty. Starajmyż się pozostać na téj normalnéj drodze pochodu ku lepszéj przyszłości i miejmy nadzieję, że żaden chwilowy obłęd myśli, żadne egoistyczne zaślepienie nie sprowadzi nas z niéj na te błędne ścieżki, któreby nazwać można manowcami ekonomicznemi.

Alexander Oskierka.

KRONIKA NAUKOWA.

Wejście na szczyt góry Illimani.

Karol Wiener wdarł się dnia 19 Maja roku bieżącego na niedostępny dotąd szczyt Illimani i obliczył jego wysokość na 20.112 stóp.

W téj niebezpiecznéj i wiele sił i energii wymagającéj podróży, towarzyszyli Wienerowi, inżynier baron Grumkow, młody peruwiańczyk Ocampo oraz siedmiu wypróbowanych przewodników indyjskich.

Orszak ten wyruszył o godzinie 4-éj minut 40 rano z Hacienda de Cotanna, położonéj na wysokości 8.012 stóp angielskich nad poziom morza.

Ostatnie ślady roślinności znikły na wysokości 11.392 stóp. O 2.600 stóp wyżéj musiano pozostawić zwierzęta juczne. O godzinie 10 minut 48 dosięgli wędrowcy granicy śnieżnéj, na wysokości 14.902 stóp rozciągającéj się, a o godzinie 4 minut 50 po południu, t. j. we dwanaście godzin po wyruszeniu z miejsca, stanęli po nadzwyczajnych wysileniach na południowo-wschodnim wierzchołku góry, któremu Wiener nadał nazwę „Pic de Paris.“

Z pomiędzy siedmiu przewodników indyjskich, czterech zostało na wysokości 19.000 stóp, i tylko trzéj pozostali wspinali się w dalszym ciągu z Wienerem.

Podróżnik amerykański Gibbon, który poprzednio powziął zamiar wdarcia się na Illimani, dotarł tylko do wysokości 13.500 stóp.

Dokument, stwierdzający bytność Wienera na szczycie, został zamknięty w hermetycznem naczyniu szklaném na „Pic de Paris,“

a kopia jego została złożona w archiwach francuskiego ministeryum oświaty. P. Wiener bowiem odbywa podróże z polecenia rządu francuskiego.

Po krótkim odpoczynku na szczycie zabrano się do bardziéj jeszcze od wstępywania trudnego schodzenia. Odbyło się ono jednak szczęśliwie i o godzinie 9 minut 43 wieczorem, dosięgli wędrowcy Casa del Ilacata na wysokości 9.992 stóp położonéj. Tam przepędzili noc, a nazajutrz doszli do punktu wyjścia, Cotanna.

Rząd boliwijski powinszował Wienerowi pomyślnego skutku wyprawy i uznał urzędowo nadaną przez niego najwyższemu szczytowi Illimani nazwę „Pic de Paris."

Aby czytelnicy mieli skalę do porównania, powiemy, że szczyt Mont Blanc wznosi się na niecałe 15.000 stóp nad poziom morza, Kazbek na Kaukazie około 15.500 stóp.

Nowy metal.

Pan Serge Kern nadesłał Akademii nauk w Paryżu notę, w któréj donosi, że odkrył nowy pierwiastek. Nazwał go *Davyum* na cześć sławnego chemika angielskiego Humphry Davy. Ciężar właściwy nowego metalu wynosi 9,385 przy 25° Cel.; jest on twardy, lecz kowalny w temperaturze czerwoności. Autor sądzi, że Davyum odpowiada metalowi hipotetycznemu, którego miejsce przypada między molibdenem a rutenem w klasyfikacyi Mendelejewa. Jeżeli tak jest rzeczywiście, to równoważnik Davyum powinien wynosić 100. Nowy metal zdaje się być bardzo rzadkim w naturze; piasek platynodajny, z którego go Kern otrzymał, nie zawiéra go więcéj, jak 0,045.

Odkrycie księżyców Marsa.

Dotychczas sądzono, że planeta Mars wcale nie posiada księżyców: okazało się jednak, iż rzecz się ma przeciwnie. Oto co donoszą pisma amerykańskie:

Profesor Hall, obserwując niebo wielkim teleskopem obserwatoryum astronomicznego w Waszyngtonie, dostrzegł dnia 16 Sierpnia o godzinie 11 wieczorem małą gwiazdę, idącą za Marsem, i oznaczył jéj odległość od planety. We dwie godziny potém spojrzał znowu ku planecie i ku wielkiemu zdumieniu swemu zobaczył, że ciągle jeszcze zdaje się, jakoby gwiazda szła za Marsem. Ponieważ odległość pomiędzy niemi nie powiększała się, chociaż Mars biegł z prędkością 15 minut na godzinę, więc Hall wykonał staranne pomiary, które wykazały, że satelita jest o 80 sekund oddalony od

planety. W godzinę potém widać jeszcze było gwiazdę, ale Hall nie czynił już dalszych obserwacyj, nie wierząc sobie samemu, że odkrył trabanta. Nazajutrz pokazał swe obserwacye profesorowi Newcomb, który z nich natychmiast powziął przekonanie, że przedmiot obserwowany jest satelitą Marsa. Obliczył w przybliżeniu, że czas jego obrotu około planety wynosi jeden dzień i ośm godzin, lub cokolwiek mniéj. Ztąd wniósł, że satelita ukryje się na pewien czas za planetą i że jeżeli nie pokaże się wcześnie wieczorem, to zobaczy się go przed świtem. Wieczorem nie było go widać, jednakże pojawił się, tak jak przewidziano, około pierwszéj godziny po północy, i to nie sam, lecz w towarzystwie drugiego trabanta. Profesor Hall nie wątpił już dłużéj o istnieniu prawdziwego satelity Marsa i zawiadomił o swojém odkryciu admirała Rogers'a, superintendenta obserwatoryum. Pomimo to, uważano za stosowne rzecz całą zachować w tajemnicy i czekać do nocy, aby się przekonać, czy rzeczywiście nie miała miejsca jakaś iluzya, tém więcéj, że z obliczeń prof. Newcomb'a wypadło, że satelita będzie téj nocy z przeciwległéj strony planety. Rzeczywiście, ujrzano tam satelitę i położenie jego zostało oznaczone przez wielu astronomów. Podczas nocy znalazł p. Todd nowy przedmiot, bliższy jeszcze planety, o którym sądził, że jest drugim trabantem Marsa; jednakże czasu jego obiegu nie można było oznaczyć. Obserwacye pierwszego trabanta wykazały, że czas jego obiegu wynosi około 30 godzin: na dokładną liczbę trzeba jeszcze czekać kilka tygodni. Naukowe powagi uważają odkrycie trabanta Marsa za jedno z największych odkryć eleskopowych obecnego stulecia. Dwa tylko są ważniejsze od niego: odkrycie grupy asteroid w 1801 roku i planety Neptuna w roku 1846.

Odległość pierwszego trabanta od Marsa wynosi czternaście do piętnastu tysięcy mil (angielskich), która to odległość jest znacznie mniejszą od odległości każdego ze znanych księżyców od swéj planety. Stanowi ona szesnastą część odległości księżyca od ziemi. Drugi trabant, o którego istnieniu astronomowie nie są jeszcze zupełnie przekonani, krąży jeszcze bliżéj planety. Średnica nowego trabanta jest bardzo małą, albowiem prawdopodobnie nie wynosi więcéj, jak 50—100 mil angielskich.

Dnia 19 Sierpnia zawiadomił prof. Newcomb o tém odkryciu wszystkie obserwatorya astronomiczne europejskie.

Funkcya rożków u owadów.

Dotychczas nie dowiedziono dokładnie, jakiemu zmysłowi odpowiadają rożki u owadów. Z tego powodu bardzo są interesujące doświadczenia p. Trouvelot, ogłoszone w The American Naturalist.

P. Trouvelot zamazał oczy kilku motylom (Limenitis disippus) gęstym atramentem, po którego wyschnięciu puścił owady na wolność. Wbrew wszelkiemu oczekiwaniu, oślepione motyle latały bardzo dobrze, nie uderzając wcale o przedmioty otaczające; gdy się do nich zbliżyły, zdawało się, iż wiedzą o nich, gdyż zręcznie je wymijały.

Możnaby zarzucić temu doświadczeniu, że Trouvelot niezupełnie odebrał wzrok motylom. Ale przeciwko temu przypuszczeniu przemawia okoliczność, że nie dążyły one, tak jak owady widzące, ku jasnemu oknu.

Następnie Trouvelot odciął rożki tak oślepionym motylom. Wtedy już wcale nie wzlatywały i spadały na podłogę, gdy je do góry rzucano. Czasami nawet skrzydeł nie roztaczały i zupełnie były niezdolne do kierowania się.

Pozbawionemu wzroku i rożków motylowi zwilżył Trouvelot głowę w kilku miejscach rostworem cukru, za pomocą delikatnego pędzelka. Owad nie okazywał żadnego wrażenia. Gdy jednak pomazał tym płynem pieniek pozostały po odciętym rożku, owad zaczął bardzo raźnie szukać słodkiego płynu.

W dalszym ciagu doświadczeń, Trouvelot przekonał się, że samce z odciętemi rożkami nie dokonywują płciowego połączenia się z samicami mającemi całe rożki. Że przyczyny tėj abstynencyi nie był ból w skutek skaleczenia, przekonał się eksperymentator tém, iż rana w innėm miejscu ciała samca nie wywoływała takiego upadku instynktu płciowego.

Następnie schwytał kilka mrówek z pośród długiego łańcucha, który szedł w pewnym kierunku, i poobcinał im rożki. Mrówki te natychmiast tak się zmieniły, że zdawało się, iż nie poznają swych towarzyszek; wyszły z szeregu, opuszczając tór wspólny, i krążyły w około, szukając prostėj drogi a nie mogąc jėj znaléść.

Z doświadczeń tych, możnaby wyprowadzić wniosek, że rożki owadów są siedliskiem specyalnego zmysłu, który ma najwięcėj wspólności z powonieniem.

Nowe doświadczenie z radyometrem.

Następujące doświadczenia, pomyślane i wykonane przez p. Franciszka Rossetti, dowodzą jak najjaśniéj, że obrót radyometru zależy wyłącznie tylko od promieni ciepła, czy to jasnych, czy ciemnych.

W ciemnym pokoju znajdują się dwa naczynia, jedno napełnione wodą z lodem, drugie zaś ciepłą wodą, mającą np. 40° Cel. Temperatura powietrza otaczającego ma 20°. Radyometr nie porusza się, jeżeli go jednak zanurzymy w wodę ciepłą, to obrót rozpocznie się i będzie trwał czas niejaki a wreszcie ustanie, zapewne z powodu zrównania się temperatury wnętrza z temperaturą wody. Po wyjęciu instrumentu i ciepłéj wody, młynek obraca się w stronę odwrotną dopóty, dopóki aparat nie przyjmie temperatury otaczającego powietrza.

Jeżeli zanurzymy radyometr w wodę zimną, to wystąpią te same zjawiska, tylko w sposób odwrotny.

Drugie doświadczenie:

Do ciemnego pokoju, w którym się znajduje radyometr będący w spoczynku, wpuszcza się promień światła przez mały otworek w okienicy: młynek poczyna natychmiast się obracać ze znaczną prędkością. Jeśli przed otworem umieścimy rostwór jodu w siarku węgla, zatrzymujący promienie światła, a przepuszczający bez przeszkody promienie ciepła, to młynek w dalszym ciągu będzie się obracał z wielką szybkością.

Natomiast promienie świécące, lecz nie grzejące, okazały się niezdolnemi do poruszania młynka. I tak np. Rossetti nie zauważył żadnego ruchu młynka, gdy go oświetlił jasném światłem rurki Geisler'a. Podobnież pozostało bez wpływu światło ciała fosforyzującego. Właśnie to niepobudzające światło rurek Geisler'a i ciał fosforyzujących pozwoliło Rossetti'emu bezpośrednio obserwować działanie ciepła w ciemności; wszelkie bowiem inne światło, jako zawierające promienie ciepła, mąciłoby czystość doświadczenia.

Dzieworodztwo u rośliny okrytonasiennéj.

P. A. Kerner, chcąc się przekonać czy rośliny z krajów arktycznych mogą się przyjąć w Alpach, założył na południowéj stronie Innsbruck'a, na wysokości 2.200 metrów nad poziomem morza, ogród doświadczalny, w którym, pomiędzy innemi roślinami arktycznemi zasadził roślinę Antennaria alpina, rosnącą w Skandynawii

pomiędzy 59,5°, a 71° szerokości północnéj, oraz w Rossyi, Syberyi, Ameryce i Grenlandyi, pomiędzy szerokościami 60° i 72°. Pewna liczba egzemplarzy otrzymanych z Norwegii doskonale się przyjęła, wzrost ich był silny, i kwitły oraz owocowały corocznie.

Ponieważ jednak wszystkie te egzemplarze były rodzaju żeńskiego, więc Kerner nie użył ich owoców do rozpłodu i prosił, aby mu z Norwegii nadesłano kilka egzemplarzy męskich. Jednakże zdumiony został odpowiedzią od osoby zupełnie kompetentnéj, że w Norwegii dają się widzieć tylko Antennarye żeńskie i że po przejrzeniu odnośnéj literatury przekonano się, iż tylko jeden uczony *jedyny raz* widział egzemplarz męski.

Wypada więc ztąd jasny wniosek, że Antennaria owocuje bez zapłodnienia przez egzemplarze męskie, że przedstawia rzadkie zjawisko dzieworodztwa, czyli partenogenezy.

Przyjąwszy ten wniosek Kerner postanowił wypróbować siłę żywotną nasion, powstałych bez udziału pyłku. Zasadził więc na wiosnę r. 1875 30 owoców, zebranych w Maju r. 1874. Wkrótce wyrosło z nich sześć roślinek, z których 4 wprawdzie zmarniały, ale dwie pozostałe rozwinęły się jak najlepiéj, tak że były podobne zupełnie do istot macierzystych, a pod względem świeżości i siły wzrostu, nic nie pozostawiały do życzenia.

Fakt dzieworodztwa Antennarii, jak powiada Kerner, żadnéj nie może ulegać wątpliwości, albowiem pomiędzy egzemplarzami użytemi dla doświadczeń żadnego męskiego egzemplarza nie było. Wniosek ten można rościągnąć jeszcze daléj i, na téj podstawie, że dotychczas jeden tylko egzemplarz pręcikowy antennarii był widziany, można przyjąć, że i w stanie dzikim antennaria nie inaczéj się rozmnaża.

Czy fuksyna, którą farbują wina czerwone, jest szkodliwą dla zdrowia?

Obok przemysłu prawdziwego, który opierając się na nowszych odkryciach naukowych czyni olbrzymie postępy w naszym wieku, w równéj a może i większéj mierze rozwija się przemysł fałszerstwa, z potężniejszą jeszcze skwapliwością szukający w zdobyczach naukowych środków do zysku nieprawego. Szczególniéj w produkcyi wina fałszerstwo stało się tak powszechném, że każdy pijący wino węgierskie niezbyt drogie może być pewnym, że pije płyn zaprawiony alkoholem i gliceryną, każdy zaś, używający stołowego wina czerwonego, wlewa w siebie pewną dozę fuksyny. Fabrykacya taka dokonywa się nietylko w piwnicach kupców, ale prowadzą ją na wielką skalę sami producenci, do tego stopnia, że we Francyi, ojczyznie wina czerwonego, prawie codzień słychać w prasie nauko-

wéj narzekania na ten rodzaj oszustwa i codzień niemal jest omawiany wpływ fuksyny na zdrowie.

Fuksyna jest barwnikiem pięknéj natężonéj wiśniowéj barwy, otrzymywanym z dziegciu węgli kamiennych. Ponieważ do fabrykacyi jéj używają arszeniku, więc zwykle bywa zanieczyszczoną małą ilością téj trucizny. Można jednak otrzymać fuksynę zupełnie czystą, pozbawioną zupełnie śladów arszeniku. Ponieważ barwa jéj jest bardzo zbliżoną do barwy wina czerwonego, ponieważ nadzwyczaj mała jéj ilość może zafarbować znaczne ilości płynu, więc fabrykanci wpadli na pomysł używania jéj do nadawania pięknego koloru winom. Co więcéj, dla taniości używają substancyi nieczystéj, otrzymywanéj przy fabrykacyi fuksyny a zwanéj grenatem, która dawniéj nie miała żadnéj wartości handlowéj, a obecnie z powodu tego zastosowania drogo jest sprzedawaną. Fuksyna, lub grenat wchodzą również w skład „karamelu,“ „koloryny“ i „purpuryny“ itp. środków, sprzedawanych pod różnemi nazwami do sztucznego zabarwiania win.

Jeśli tedy sztuczne zabarwianie wina fuksyną stało się przemysłem na wielką skalę, warto wiedzieć, czy te wina są szkodliwe dla zdrowia. Dr. Bouchut daje na to następującą odpowiedź.

W doświadczeniach nad królikami, którym zadawano 50 centygramów fuksyny, pozbawionéj arszeniku, nie spostrzeżono żadnych szkodliwych skutków. Przy dozie 1½ grama, skutek był również nieszkodliwy. Lecz doza wynosząca 8 gramów jakkolwiek nie zatruła zwierzęcia, nasyciła fuksyną całe jego wnętrze, a płuca były przepełnione krwistemi ziarnami.

Pp. Ritter i Feltz zaobserwowali, że doza 50 gram. wywołuje pierwszego dnia u człowieka czerwone zabarwienie uszu, nabrzmienie dziąseł i ból w skroniach, po dłuższém zaś użyciu téj substancyi następuje choroba kiszek i białkomocz (albuminurya). Białkomocz, choroba bardzo poważna, był także obserwowany u psów, którym przez dwa tygodnie dawano fuksynę.

Wypadałoby więc z tych doświadczeń, że fuksyna w większych dozach jest bardzo trującą, ale doświadcznia Clouet'a i Bergeron'a Feltz'a, St. Denis i Bouchut'a osłabiają doniosłość tego wniosku., Doświadczenia te okazały, że fuksyna dawana w dozach wynoszących 20—25 centigramów dziennie, jest zupełnie nieszkodliwą. Co więcéj, zamiast wywoływać białkomocz, fuksyna może służyć za środek leczniczy w téj chorobie, Bouchut twierdzi, że cztery obserwacye, odnoszące się do tego przedmiotu, nie pozostawiają pod tym względem żadnéj wątpliwości.

Możnaby zarzucić, że jeżeli fuksyna czysta jest mało szkodliwą, to nie idzie zatém, żeby nie przynosiła szkody organizmowi fuksyna nieczysta, arsenikalna. Lecz dla rozwiązania téj kwestyi, trzeba wiedzieć ile arszeniku zawiera fuksyna domieszana do wina, gdyż bardzo małe dozy arszeniku są raczéj pożyteczne, niż szkodliwe dla zdrowia. Wszakże i woda Vichy zawiera arszenik. Otóż Ritter wykazał, że w kwarcie wina fuksynowanego bywa co najwięcéj 0,0008 grama kwasu arsenawego, ilość ta zaś jest zupełnie nieszkodliwą, nawet przy długiém użyciu podobnego wina. Chorzy przyjmują często ilości daleko większe, a mianowicie 5, 10 i 20 tysiącznych grama. Jednakże, ponieważ niektóre osoby nie znoszą wcale preparatów arsenikalnych, więc użycie podobnego wina może po kilku miesiącach znacznie ich zdrowiu zaszkodzić.

Tak więc, konkluduje Bouchut, wino fałszowane, zawierające bardzo małą dozę fuksyny, od 20 do 40 miligramów na litr cieczy, nie jest niebezpieczne: można nawet zażyć bezkarnie dziesięć razy więcéj fuksyny. Jeśli fuksyna jest arsenikalną, to ponieważ w litrze wina nie ma więcéj nad 8 dziesięciotysiącznych grama, więc także nie grozi żadném niebezpieczeństwém dla życia, a zaburzenia wystąpić dopiéro mogą po ciągłém używaniu tego wina.

Tyle, co się dotycze trującego działania fuksyny. Lecz oprócz szkody, które ponieść może zdrowie ludzi często używających win sztucznych zabarwianych fuksyną, jest tu jeszcze druga kwestya, kwestya oszustwa i zafałszowania napoju, który dla wielu osób jest przedmiotem codziennego użytku. Z tego stanowiska nie potrzeba uważać, czy wino jest szkodliwe, czy nie szkodliwe, dość że jest fałszowane z zamiarem sprzedania gorszego za lepsze.

Falsyfikatów bywają trzy rodzaje: Jeden rodzaj wina sztucznego fabrykuje się bez użycia winogron, z mięszaniny wody i alkoholu z dodatkiem rozmaitych substancyj i fuksyny. Tu należą tanie wina czerwone. Naturalnie jest to mikstura, świadcząca o bezczelném oszustwie ze strony fabrykantów, lub kupców. Inne wina fabrykowane są z wytłoczyn winogron raz już przefermentowanych z dodatkiem cukru: i tu także jest widoczne oszustwo. Wina południowe, rozcieńczone wodą, wzmocnione alkoholem i zabarwione fuksyną, są bardziéj od powyższych podobne do wina, lecz jeżeli nie są one produktem oszustwa tak bezczelnego, jak dwa powyższe gatunki, to jednak nie ulega żadnéj wątpliwości, że są prawdziwemi falsyfikatami.

W każdym więc razie,—konkluduje Bouchut, higienista i prawodawca nie widzą nic innego w fuksynowaniu win, jak oszustwo i fałszerstwo, które należy śledzić i karać.

Zkąd się bierze węgiel w roślinach.

Po spaleniu suchych części roślin bez przystępu powietrza, pozostaje znaczna ilość węgla, wynosząca prawie połowę wagi pierwotnéj ilości substancyi roślinnéj. Wykazano już dokładnie, że węgiel ten pochodzi z kwasu węglanego zawartego w powietrzu, który się rozkłada w liściach pod wpływem ziarek zieleni (chlorofilu) i światła. Węgiel pozostaje w liściach w formie związku, jako ciało stałe, a tlen się wydziela. Że tak się dzieje w ogóle, przyjmowali wszyscy uczeni, jednakże u ostatnich powstało wiele wątpliwości co do szczegółów téj funkcyi, a głównie poruszono kwestyą, czy oprócz węgla otrzymywanego przez liście z powietrza, nie pochłaniają rośliny węgla z innego źródła i inną drogą?

Wszystko, co wiémy o téj kwestyi, zawdzięczamy szeregowi prac wielu uczonych. W zeszłym jeszcze wieku Bonnet odkrył wyziewy gazowe z żywych roślin, Priestley wykazał, że gaz wyziewany jest tlenem, Ingenhouz zaobserwował, że tlen wydziela się z liści tylko przy świetle dzienném. Sennebier spostrzegł, że tlen pochodzi z rozkładu dwutlenku węgla (kwasu węglanego), i sądził, że rośliny otrzymują dwutlenek z rostworu wodnego. Następnie, w naszych już czasach, Saussure wykonał cały szereg doświadczeń, wykazujących stosunek pomiędzy tlenem kwasu węglanego a tlenem wywiązującym się z liści, i oznaczył ilość tego gazu w powietrzu, przyjazną dla pomyślnego rozwoju roślin. Wreszcie inni uczeni rozwiązali rozmaite szczegóły, odnoszące się do tego odkrycia.

Dr. Moll, na zasadzie wszystkich znanych doświadczeń, wyprowadza wniosek, że mączka, powstająca w liściach z węgla kwasu węglanego, nigdy się nie tworzy w liściach, jeżeli powietrze otaczające liście jest pozbawione kwasu węglanego, bez względu na to, jaka ilość tego gazu jest w zetknięciu z innemi częściami rośliny nad lub pod ziemią.

Cały więc węgiel, z którego się roślina składa i który stanowi główną podstawę jéj tkanki, wchodzi do rośliny przez liście. Korzenie ani śladu węgla nie dostarczają roślinie i służą tylko do wyciągania z ziemi innych pierwiastków pożywnych.

Bakterye karbunkułowe.

Po ogłoszeniu przez Kocha badań nad stosunkiem *Bacillus anthracis* do karbunkułu, z których daliśmy sprawę w jednym z poprzednich zeszytów „Ateneum,“ dwaj uczeni francuscy Pasteur i Jou-

bert przedsięwzięli szereg ścisłych doświadczeń dla sprawdzenia wniosków Kocha. Rezultat téj kontroli był jak najkorzystniejszy dla tego ostatniego i uczeni francuscy przekonali się, iż rzeczywiście karbunkuł wywoływanym bywa przez szczególny gatunek bakteryi, i sprawdzili, że rozwój jéj, odbywa się zupełnie według opisu Kocha. Nadto, Pasteur i Joubert położyli nacisk na pewną bardzo ważną okoliczność, któréj Koch nie zbadał, i doszli do rezultatów bardzo rozszerzających zakrés odkrycia Kocha.

Pasteur i Joubert skonstatowali, że bakterye karbunkułowe albo bakterydye potrzebują koniecznie powietrza, czyli że są istotami aërobijnemi. Pochłaniają one ten gaz z wielką energią i dlatego téż zabierają krwi cały jéj tlen w stanie swobodnym będący i tym sposobem wywołują szybką śmierć przez uduszenie, niebędące niczém inném w zwykłéj swéj formie, jak pozbawieniem krwi tlenu.

Oto jest przyczyna niebezpieczności bakterydyj. Jednakże krew normalna nie jest odpowiednią do podtrzymywania życia tych pasorzytów, a to z następującego powodu.

Wśród niższych organizmów, rozwój jednéj formy hamuje rozwój drugiéj. Jeśli jakiś płyn zawiéra ferment organizowany, albo istotę potrzebującą powietrza do życia (*aërobium*), to trudno będzie innemu organizmowi rozwinąć się w tym płynie, choćby jak najbardziéj sprzyjające warunki rozwoju dla niego przedstawiał. Krew krążąca w żywym organizmie zawiéra wielką ilość ciałek, którym do życia funkcyonalnego potrzeba swobodnego tlenu; można więc powiedzieć, że zdrowa krew posiada w swych ciałkach czerwonych istoty żyjące powietrzem, aërobia. Jeśli tedy bakterydye dostaną się do krwi normalnéj, to zastaną w niéj niezmierną ilość istot organicznych, które z niemi będą prowadziły walkę o byt, które jaśniéj mówiąc będą zabiérały tlen potrzebny bakterydyom do rozwoju. Według Pasteur'a i Joubert'a, jest to jedyne możliwe objaśnienie następującego faktu. Wiadomo, że ptaki nie ulegają karbunkułowi. Gdy jednak experymentatorzy zasiali bakterydye w krwi wypuszczonéj z żywego ptaka, a lepiéj jeszcze w oddzielonéj z niéj surowicy, to rozwijały się bardzo szybko, tak, że już po dwudziestu czterech godzinach, w płynie były ogromne ich ilości. Rzecz miała się przeciwnie, gdy wpuszczono bakterye do żyły szyjowéj żywego koguta; bakterydye nietylko że nie przyprawiły o śmierć ptaka, nietylko, że się nawet w małéj ilości nie rozwinęły, ale nawet za pomocą mikroskopu nie można było odkryć ich śladu; przy braku bowiem tlenu, jak bezpośrednie doświadczenia okazały, rozpadają się bakterydye na niekształtne nadzwyczaj małe i nieszko-

dliwe ziarenka. Życie ptaka jest, że tak powiém, na wysoki ton nastrojone: ciałka więc krwi, energicznie działając, nawet debiutu bakterydyom odbyć nie dozwoliły.

To, co się powiedziało o ciałkach krwi krążących w ptaku, stosuje się również według powyższych uczonych do ciałek krwi zwierząt, podlegających karbunkułowi. Bakterydye, wpuszczone do żyły szyjowéj zupełnie zdrowéj świnki morskiéj, z trudnością się tylko we krwi rozwijają, i śmierć jéj dopiéro wtedy następuje, gdy się wprost pod skórę zaszczepi bakterye. Przeciwnie zaś, we krwi wypuszczonéj ze zwierzęcia, rozwijają się one w niezmiernéj obfitości już po kilku godzinach.

Na zasadzie tych faktów i poglądów, Pasteur i Joubert wykonali jeszcze następujące doświadczenie, które prawdopodobnie będzie miało wielką doniosłość praktyczną.

Mocz obojętny, lub lekko alkaliczny, jest wybornym gruntem dla rozwoju bakterydyj: jeżeli mocz i bakterydye są czyste, to i istoty te po krótkim przeciągu czasu tak się rozmnożą, że ich długie nitki wypełnią cały płyn pilśnią podobną do futra. Gdy jednak jednocześnie z bakterydyami wprowadzimy do moczu inną istotę aërobijną, naprzykład zwyczajne bakterye: to bakterydye albo wcale się nie rozwiną, albo też bardzo mało, i w krótkim czasie zupełnie zginą. Godném jest uwagi, powiadają daléj wymienieni uczeni, że toż samo zjawisko ma miejsce we krwi zwierząt najbardziéj skłonnych do karbunkułu, i dochodzimy do zdumiewającego rezultatu, że można do krwi zwierzęcia wprowadzić znaczną ilość bakteryj karbunkułowych, a jednak nie ulegnie zarazie: trzeba tylko w takim razie dodać do płynu, w którym wprowadzamy bakterydye do organizmu, pewną ilość bakteryj zwyczajnych. Wszystkie te fakta upoważniają do wielkich nadziei ze stanowiska terapeutycznego. Obecnie jednak, choć o tém przesądzać nie możemy, widzimy w nich przynajmniéj objaśnienie fizyologiczne dziwnego faktu, że istnieją zwierzęta, które nigdy na karbunkuł nie zapadają. Ciekawe są takie rezultaty badań Pasteur'a i Joubert'a nad stosunkiem bakteryów do sprawy gnicia krwi. Oto ich konkluzye:

1-o Krew zwierzęcia zdrowego nie zawiéra nigdy organizmów mikroskopijnych, ani ich zarodków; nie gnije, ona przy dostępie powietrza, gdyż przyczyną gnicia są zawsze tylko organizmy mikroskopijne z rodzaju wibryonów, a one samodzielnie we krwi powstać nie mogą, gdyż samorodztwo nie istnieje.

2-o Krew zwierzęcia karbunkułowatego nie zawiéra żadnych organizmów, oprócz bakterydyj, które są organizmami wyłącznie

aërobijnemi, a więc z tego powodu nie biorą one udziału w gniciu.

Krew więc karbunkułowa nie może gnić sama przez się.

W trupie, rzeczy przybiérają inny obrót. Krew karbunkułowa prędko gnić zaczyna, gdyż trup staje się siedliskiem wibryonów przybywających z zewnątrz, a w szczególności z kanału pokarmowego, zawsze napełnionego wybryonami wszelkiego rodzaju. Te zaś organizmy, od chwili, kiedy normalne życie tkanki przestało już im stawiać zaporę, rozchodzą się po całym organizmie i szybko go dezorganizują.

3-o Bakterydye znikają z cieczy zawierającéj kwas węglany w dostatecznéj ilości. Z krwi karbunkułowéj *czystéj*, to jest zawierającéj tylko bakterydye bez ciałek zarodkowych, znikają one po pewnym czasie nazawsze. Krew więc karbunkułowa może stracić zupełnie swą własność specyficznie zaraźliwą przez samo pozostawanie pod wpływem działania kwasu węglanego. Błędném natomiast jest mniemanie, że gnicie, *jako gnicie*, niszczy jad karbunkułowy krwi.

4-o Rozwój bakterydyj w obecności innych organizmów mikroskopijnych jest bardzo trudny. Jeżeli natychmiast, lub wkrótce po śmierci zwierzęcia karbunkułowatego, weźmiemy zeń kroplę krwi, to znajdziemy w niéj tylko bakterydye karbunkułowe bez najmniejszego śladu wibryonów gnicia. Lecz po pewnym czasie, krew, która natychmiast po śmierci żadnych śladów zgnilizny nie przedstawiała, zaczyna się roić wibryonami gnicia, które się po niéj rozeszły z kiszek przez tkanki i naczynia włoskowate.

O przezroczystych błonach metali i ich barwach.

Artur W. Wright, profesor fizyki cząsteczkowéj oraz chemii w Yale College, w ciągu swych prac nad widmami bardzo rozcieńczonych gazów zawartych w rurkach szklanych, przez które przechodzi prąd elektryczny, zrobił nadzwyczaj ciekawe odkrycie, którego się wcale nie spodziéwał. Odkrył bowiem sposób otrzymywania metali w nadzwyczaj cienkich blaszkach, a więc znalazł najlepszą sposobność poznania ich barw w świetle przechodzącém.

Widma gazów, zawartych w rurkach szklanych, w których wywołano próżnią za pomocą pompy rtęciowéj, okazują zawsze w spektroskopie linie, pochodzące od par rtęci, któréj ślady pozostały w rurce. Ponieważ w niektórych wypadkach obecność tych par wikłała Wright'owi jasność doświadczeń, więc postanowił pozbyć się ich. Sposób był łatwy: wrzucał w rurkę kawałek czystego

listka złota, zwiniętego w małą kulkę. Ponieważ metal ten łatwo się amalgamuje, więc zabiéra wkrótce pary merkuryalne i usuwa linie rtęci z widma. Jeszcze lepszym środkiem okazało się obwijanie końca elektrodu w kawałek listka złotego, albo przystosowanie do niego krótkiego drucika z tegoż metalu. Drucik złoty ulatnia się, osiada na ściankach rurki w warstwie nadzwyczaj cienkiéj i wystawia tym sposobem jak największą powierzchnią na działanie par rtęci.

Otrzymawszy taką błonkę, błyszczącą, zieloną w świetle na wskroś przechodzącém, Wright bardzo się zainteresował tém zjawiskiem i przeprowadził wiele doświadczeń, specyalnie mających na celu zbadanie tych błonek. Nie będziemy ich opisywali szczegółowo, podamy tylko same rezultaty.

Przystosowawszy do elektrodu drucik złoty, ⅕ milimetra w średnicy mający, Wright przepuszczał przez rurkę prądy z cewki indukcyjnéj. Pierwszym widocznym dowodem ulotnienia się złota, była lekka zmiana barwy rurki, będąca skutkiem osadzenia się złota na jéj ściankach; osad ten jednak zanadto był delikatnym, aby mógł okazać blask metaliczny w świetle odbitém. W świetle przechodzącém barwa jego była różową, wpadającą w kolor fioletowy, podobną do barwy najłamliwszéj części widma. W miarę grubienia warstwy, barwa przechodziła w niebieską, zielono-niebieską, a w końcu, gdy już była dostatecznie grubą, w świetną jasno-zieloną, wpadającą cokolwiek w niebieskawo-zieloną. W świetle zaś odbitém, warstewka ta miała blask bardzo świetny i barwę złotą. Na krańcach warstewka się ścieniała i okazywała to samo stopniowanie barw, jakie zauważono podczas jéj formowania się. Odblask metaliczny słabł w podobny sposób, ale nie sięgał granic zabarwienia, co jest zupełnie zgodne ze zjawiskiem, obserwowaném podczas tworzenia się warstewki.

Przy użyciu drucika srebrnego prawie téj saméj grubości, warstewka, która osiadła na rurce, była mniéj piękną i mniéj doskonałą. Blask zupełny rozwijał się stopniowo, a światło po przejściu przez nią barwiło się na czysty kolor ciemno-niebieski. Miedź daje piękne zwierciadło błyszczące, które wydaje się być ciemno-zielonem w świetle przechodzącém. Ulatnia się ono daleko trudniéj, aniżeli metale poprzedzające. Warstewkę bizmutową otrzymał Wright z największą łatwością; stos złożony z trzech małych ogniw Grove'go, działający przez cewkę dającą iskrę półcalową, wywołuje skutek żądany, po 2—3 minutach. Warstewka jest bardzo przezroczystą, a barwa jéj podobną jest do koloru, któryby powstał przez pomięszanie jasno-niebieskiego z szarym, lub tak zwanym kolorem

bezbarwnym. Warstewka ta jest bardzo jednorodną, nadzwyczaj piękną i świetnie błyszczy w świetle odbitém.

Platyna ulatnia się dość łatwo, szczególniéj w wąskiéj rurce. W małéj rurce warstewka jest bardzo błyszczącą i łatwo grubieje do tego stopnia, że się staje nieprzezroczystą. Gdy jest dość cienką, przepuszcza światło koloru szarego. Ołów daje błonkę bardzo równą, barwy właściwéj temu metalowi, o słabym blasku. Jest ona w wysokim stopniu przezroczystą, a gdy jest bardzo cienką, ma barwę ciemno-brunatną wpadającą w oliwkową.

Cynk i kadm dają świetne zwierciadła blasku srebrnego, a w świetle przechodzącém wydają się szarawo-niebieskiemi z odcieniem purpurowym. Barwa światła, które przez nie przeszło, jest mniéj ciemna od światła, które przeszło przez błonkę srebra, ale ciemniejsza od barwy bizmutu. Pomiędzy dwoma powyższemi metalami nie ma dającéj się ocenić różnicy—chyba, że barwa cynku odznacza się mniejszą mocą (intensywnością).

Glin (aluminium) ulatnia się z wielką trudnością; potrzeba na to pięciu lub sześciu ogniw Grove'go oraz silnéj cewki. Warstwa jego jest podobna do zwierciadła, które w świetle przechodzącém ma kolor brunatnawy. Magnez przedstawiał większe jeszcze trudności, i Wright nie osiągnął żadnych rezultatów, choć używał środków, które były skutecznemi we wszystkich innych przypadkach. Dopiéro po użyciu bardzo cienkiej rurki, większéj cewki i 6 ogniw Grove'go, powstało po kilku minutach bardzo silne światło zielone przy elektrodzie, i prawie natychmiast utworzył się osad na szkle. Warstewka ta miała blask świetny, a światło, które ją na wskroś przeszło, zabarwiało się na kolor szarawo-niebieski, podobny do koloru cynku i kadmu, lecz nieco ciemniejszy.

Cyna nie daje zadawalniającego rezultatu, gdyż cienki jéj drucik, którego użyć trzeba do doświadczenia, prędko się stapia i odpada od elektrodu. Jednakże Wright przy pewnych ostrożnościach otrzymał błonę i tego metalu. Nie jest ona tak piękną, jak błony metalów poprzedzających. W niektórych jednak częściach odznacza się srebrzystym blaskiem metalicznym, i można zauważyć, że w świetle przechodzącém okazuje barwę brunatnawo-szarą lub sepia.

Żelazo dało błonę zupełną i bardzo piękną, świetnego blasku i zadziwiającéj przezroczystości. Światło, które przeszło przez nią na wskróś, zbliża się do odcienia nazwanego bezbarwnością i wpada bardzo lekko w kolor brunatnawy. Błonkę tę bardzo trudno jest otrzymać, gdyż żelazo szybko się utlenia. Trzeba przedsięwziąć znaczne ostrożności, a mianowicie kilka razy przepłókać rurkę strumieniem wodoru.

Ponieważ z niklu i kobaltu nie udało się zrobić cienkich drucików, więc Wright ściérał je na proszek, formował z niego elektrod i postępując następnie metodą zwyczajną otrzymał z nich błony. Nie były one jednak tak dokładne, jak błony innych metali, gdyż niecały tlen został usunięty z aparatu. Pomimo to można było zauważyć, że barwa światła przechodzącego jest szara lub brunatnawoszara.

Tellur, do którego także trzeba było zastosować tę metodę, dał warstewkę świetnie błyszczącą, okazującą w świetle przechodzącém kolor bardzo ciemny.

Bronisław Rejchman.

WYSTAWA
ROLNICZA I PRZEMYSŁOWA
we Lwowie r. 1877.

Wyraz *wystawa*, który w ciągu paru ostatnich dziesiątków lat powtarza się prawie tak często jak wojna, oznacza porządny zbiór płodów naturalnych i dzieł pracy ludzkiéj, zebranych z jakiéjś większéj przestrzeni na jedno miejsce. Ze względu na obszar z jakiego pochodzą okazy, dzielą się wystawy: na powszechne, w których przyjmuje udział prawie cały świat; krajowe lub prowincyonalne, na których popisują się okolice i mieszkańcy jednego państwa lub prowincyi,—i powiatowe, urządzane przez producentów okolic najbliższych jakiemuś większemu miastu. Prócz tego bywają one ogólne, jeżeli przedstawiają wszelkie rodzaje bogactw ludzkich, i więcéj lub mniéj specyalne, zależnie od tego, czy występują na nich pojedynczo tak wielkie działy, jak rolnictwo, przemysł,—czy tak drobne ich gałązki, jak uprawa roślin, chów zwierząt, ślusarstwo, narzędzia naukowe i tym podobne.

W tych nowożytnych igrzyskach głównym bodźcem dla wystawy jest chęć popisu, dla zwiedzającego wystawę—ciekawość. Ostatecznym jednak rezultatem zbliżenia się jednych i drugich powinna być nauka. Jeżeli wystawcy nie poznają: o ile okaz jego jest gorszym, albo lepszym od innych,—i co wypada robić w celu podniesienia produkcyi na szczebel wyższy, jeżeli widzowie nie wzbogacą umysłów nowemi pojęciami i poglądami, jeżeli jedni i drudzy

nie wyniosą dokładniejszego wyobrażenia o ekonomicznym i duchowym stanie społeczeństwa, to doprawdy szkoda czasu i pieniędzy na urządzanie wystaw....

Wyznać potrzeba, że naukowa strona wystawy bywa o ile można uwzględnianą, lecz niezupełnie. Ideałem naprzykład wystawy prowincyonalnéj byłaby taka, na któréj widzowie, bez mozolnych poszukiwań wśród chaosu przedmiotów, łatwo mogliby poznać płody różnych okolic i wyroby różnych specyalnych gałęzi pracy, istniejących w danéj prowincyi. Do osiągnięcia jednak tego potrzeba trzech warunków. Najprzód, ani zbyt wielkiéj, ani zbyt małéj, ale dostatecznéj ilości okazów tak, aby żaden typ nie był pominięty, lecz i żaden nie powtarzał się. Powtóre, aby jakość przedmiotów przedstawianych nie była popisową, lecz zwykłą, aby nie silono się na rzeczy piękne i nie odrzucano rzeczy brzydkich, o ile takowe przedstawiają rzeczywisty stan produkcyi. Po trzecie, aby w obrębie saméj wystawy panowały: ścisła systematyczność i porządek, niepozwalające na pomieszczenie dziegciu obok wystawy ogródka froeblowskiego, jak to miało miejsce w Warszawie w r. 1874, lub maszynki do wyrabiania sucharków w dziale przyrządów przewozowych, a harmonijek i nożyczek do paznogci między instrumentami naukowemi, jak się to praktykowało w roku bieżącym na wystawie Lwowskiéj.

Z faktów tych jednak nie myślimy robić kryminału, dziś, gdy wystawy znajdują się jeszcze w pieluchach, gdy komitety ich rozporządzają małemi funduszami, niedostatecznemi materyałami do znajomości kraju, i zdawać się muszą na łaskę i niełaskę wystawców. Dlatego też w naszych czasach nietylko wystawy powszechne, ale nawet prowincyonalne należałoby urządzać w długich odstępach czasu: pierwszy zaś plan zająćby powinny częste wystawy specyalne. Ta ostatnia dążność bardzo silnie objawia się w całéj Europie; z przyjemnością też nadmieniamy, że przejęło się nią zupełnie warszawskie muzeum przemysłu i rolnictwa.

Myśl urządzenia ogólnéj wystawy galicyjskiéj, podał w początkach 1875 roku p. Stanisław Polanowski, miejscowemu Towarzystwu Gospodarczemu, które dla urzeczywistnienia jéj wybrało komitet pod kierunkiem hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego. Komitet ten w ciągu roku zniósł się z odnośnemi instytucyami i władzami, wypracował program, wystarał się o fundusze i zapewnił sobie współudział wielu rolników i przemysłowców. Termin wystawy oznaczono na miesiąc wrzesień r. b.

Pomyślano też o wygodach dla publiczności. Koleje zniżyły wystawcom ceny przewozowe do połowy, a zwiedzającym do dwu

trzecich części; rząd porobił ulgi cłowe dla przedmiotów mających się nadesłać; miasto pomyślało o kwaterach dla gości, a zarząd policyjny wymógł na skłonnych do ździerstwa właścicielach hotelów to, że ceny mieszkań, usługi i t. d. podwyższyli tylko o 25%. Chodziło widocznie bardziéj o pokazanie tego: „czem chata bogata,“— aniżeli o złupienie podróżnych przez lojalnych obywateli miasta, co naprzykład w Paryżu i Wiedniu głównie, zdaje się, miano na celu.

Ilość korespondentów, wysłanych do Lwowa przez pisma warszawskie, wskazuje jak wielką uwagę u nas obudziła tamtejsza wystawa. I słusznie—prowincya to bowiem bardzo osobliwa.

Na niewielkiéj stosunkowo przestrzeni (1.364 mil kwadr.) znajdujemy tam różne klimaty i różne grunta: począwszy od gór pełnych szczelin, wśród których wieczny śnieg leży, gdzie rośnie świérk i limba, ledwie dojrzewa lichy owies, a żyją orzeł, świstak i kozica, aż do Podola i Pokucia, gdzie rośnie bujnie anyż, tytuń, kukurudza, pszenica i gnieżdżą się łabędzie a nawet pelikany. Niemało tu spoczywa w ziemi bogactw mineralnych, niemało też na powierzchni jéj znajduje się lasów i pastwisk a nie brak wielkiéj rozmaitości i między ludźmi. Oprócz bowiem pierwiastków napływowych, jak: Żydzi, Niemcy i Ormianie znajdujemy w Galicyi sześć rodów, między ludnością zamieszkującą równiny, i trzynaście—między góralami.

Zdawałoby się, że na ziemi bogatéj, ludność tak różnorodna i gęsta (średnie zaludnienie Galicyi wynosi 3.972 mieszkańców na 1 milę kwadratową, a są powiaty liczące po 7.000 przeszło!) powinnaby stać dosyć wysoko pod względem materyalnym i moralnym. Na nieszczęście jednak wszyscy aż nadto dobrze wiémy, że tak nie jest: naturalny bowiem popęd społeczeństwa ku lepszemu hamowały tysiączne a systematyczne przeszkody. Dawneż to są czasy, kiedy każdą sztukę płótna lub sukna wyrobionego w Galicyi trzeba było stęplować w Wiedniu,—kiedy szkoły nie służyły do szerzenia oświaty, a instytucye, zamiast sprzyjać, krępowały osobistą inicyatywę?

Dawnoż to brzemię nieproporcyonalnie rozłożonych podatków gnębiło ogół, lichwa wysysała wieśniaka, wódka truła go, kiedy ludność pozbawioną prawie opieki lekarskiéj degenerowały fizycznie straszliwe choroby chroniczne.

Prawda, że dziś niektóre przynajmniéj z tych haniebnych czynników zostały usunięte, i że dzięki podobnemu ubytkowi poczyna się budzić wiecznie zdrowy duch społeczeństwa. Ale na powrót do

normalnego rozwoju długo jeszcze czekać wypadnie. Jeszcze istnieje pokolenie, w którém zamarło prawie poczucie szerszych obowiązków,—jeszcze w sejmie znajdują się posłowie mający odwagę głosować za rozpajaniem chłopa,—„bo inaczéj szlachcic nie będzie miał żyć z czego.“ Jeszcze na szali sumienia jednostek, interes publiczny daje się przeważyć jakąś koncesyjką, albo uwolnieniem od kary za nadużycia w gorzelniach. Jeszcze szlachta uważa się za lud wybrany i nie chce na równi z chłopstwem dźwigać ciężarów gminnych, a nawet bawić się pospołu z mieszczaństwem. Jeszcze młodzież wyższych zakładów naukowych myśli o nauce dla urzędów i niezbyt obciążone pracą życie cukruje zapomocą balików...

Na szczęście znalazły się w społeczeństwie pierwiastki świeże i zdrowe i one to wystąpiły do walki ze straszydłami przeszłości, a jedném z następstw tego starcia się żywiołów jest obecna wystawa. W niéj streściła się cała Galicya. Myśl jéj podniosły i popierały żywioły postępowe, zwalczały wstecznicze. Publicznie przecięż odzywały się głosy, że Galicya na wystawie okaże chyba własną nędzę, lub—że nie należy chwalić się z tego co jest w kraju, aby rząd podatków nie zwiększył!..

Wszystkie te jednak wybryki zbladły w obec wystąpienia partyi krakowskiéj, która postanowiła nie przyjmować udziału w wystawie i zamiar swój wykonała. Czy z obawy skompromitowania się ubóstwem swéj okolicy? Bynajmniéj,—ponieważ Galicya Zachodnia zaludnieniem, kulturą i bogactwem przewyższa Wschodnią. Chodziło tu o rzecz mniejszą: o antagonizm, istniejący między dwoma miastami, z których Lwów reprezentuje żywioły postępowe i demokratyczne, Kraków konserwatywne i arystokratyczne. Podobny objaw społeczny nazwalibyśmy bezprzykładnym, gdyby nam nie przyszły na myśl stosunki tego rodzaju, istniejące między Prusami i Francyą, z których pierwsze odmówiły udziału na przyszłéj wystawie paryskiéj.

Budynki wystawy mieszczą się na południowo-wschodnim krańcu miasta, w tak zwanym ogrodzie Jabłonowskich, z którego to punktu, prawie przed trzema wiekami, turecka i włoska artylerya podobno bombardowały ratusz. Ogród ten, a właściwie plac, ozdobiony dość foremnemi trawnikami i otoczony dokoła wieńcem starych drzew, zajmuje 19 morgów powierzchni i tworzy figurę dość podobną do prostokąta, którego wymiar dłuższy biegnie od wschodu na zachód, krótszy—od północy na południe. Główna i jedyna brama wjazdowa dla możnych świata tego, wchodowa dla maluczkich

znajduje się w północnym boku ogrodu, a po obu jéj stronach dwa budynki. W jednym mieści się poczta i telegraf, łączące plac wystawy z resztą ucywilizowanego świata, w drugim rezydował służbowy lekarz, komenda straży ogniowéj i komisarz policyi, pod którego potężnemi skrzydłami, redakcya czasopisma „*Wystawy*“ w nagłych wypadkach znajdowała tkliwą opiekę, a nadewszystko stolik i kałamarz.

Budynek główny, długi na 200 a szeroki na 40 kroków, złożony z pięciu pawilonów połączonych z sobą czterema korytarzami, stoi naprzeciw bramy wzdłuż południowego boku ogrodu. W nim, według programu, mieściły się: górnictwo i hutnictwo, przeroby chemiczne, pokarmy i napoje; odzież; wyroby metalowe, kamienne, gliniane i szklane; okazy pracy kobiecéj; stolarstwo i przemysł drobny, wystawa szkolna i przemysł domowy. Do ściany tylnéj tego budynku przylega pięć pawilonów ustawionych w podkowę i mieszczących w sobie: wystawę Arcyksięcia Albrechta, przemysł rolniczy i rolnictwo, rybołówstwo i kwiaty.

Południową granicę ogrodu tworzyły stajnie, przylegające tuż do parkanów. Wzdłuż ściany wschodniéj ciągnęły się jeszcze stajnie, a za niemi szopy na powozy i machiny rolnicze. Cały ten bok zresztą zajęty był przez machiny.

Prócz tych budowli największych, znajdowało się jeszcze kilkanaście mniejszych. Na prawo od wejścia piękny pawilon i stajnia ks. Sapiehy, na lewo pawilon i stajnia hr. Alfreda Potockiego, za nim *aquarium* i rezerwoar, z którego spływała woda do fontany, stojącéj na środku placu. Pawilony, balneologiczny, miasta Drohobycza, nafty i wosku ziemnego, a wreszcie stajenka koni tarantowatych, tworzyły szereg ciągnący się równolegle do ściany zachodniéj ogrodu, któréj środek zajmowała restauracya i estrada orkiestry.

Oto budynki najbardziéj rzucające się w oczy, bądź z powodu rozmiarów, bądź z powodu form estetycznych. Styl większéj ich części był jeden i ten sam, jak mnie objaśniono: kolejowo-wystawowy, w którym krzyżujące się belki i łaty zajmują miejsce ścian, lub stanowią ich ozdobę. Wcale ładnym wyjątkiem był pawilon Ks. Sapiehy; wyglądający tak, jakby go leśne bóstwa skleciły z kory i dziwnie powyginanych gałęzi. Zresztą, wrócimy jeszcze do niego, nadmieniając mimochodem, że piwiarni, budek z wodą sodową, tytuniem, owocami i piernikami wcale na wystawie nie brakło.

Takim jest w najogólniejszych rysach zewnętrzny widok wystawy lwowskiéj, która pod tym względem co najmniéj nie ustępowała téj, jakąśmy przed trzema laty w Warszawie widzieli. Przypatrzmy się teraz okazom.

Przedmioty wystawione dzieliły się na cztery wielkie i trzydzieści trzy mniejsze gruppy. Wielkie działy były następne:

I. Krajowe płody rolnicze i wyroby przemysłu rolniczego większych gospodarstw.

II. Krajowe płody rolnicze i wyroby przemysłu rolniczego gospodarstw włościańskich.

III. Krajowe wyroby przemysłu fabrycznego i rękodzielniczego, tudzież dział wychowania i nauki.

IV. Płody rolnicze i zwierzęce, tudzież maszyny rolnicze producentów zagranicznych.

Nasza wystawa z r. 1874 była tylko rolniczą, a niektóre okazy przemysłowe wśród niéj stanowiły pewien rodzaj kontrabandy. To téż porównywać ją możemy głównie z pierwszym i drugim działem wystawy lwowskiéj. Otóż, między obu wystawami, na pierwszy rzut oka dostrzédz można wybitne różnice. U nas exponentami były tylko jednostki; tam, prócz jednostek, znajdujemy jeszcze stowarzyszenia, instytucye prywatne i publiczne, miasta, a nawet gminy i powiaty, których członkowie występowali zbiorowo. Powtóre, w wystawie lwowskiéj, poważny udział przyjęli włościanie, czego o naszéj powiedzieć nie można. Potrzecie, we Lwowie Arcyksiążę Albrecht, hr. Alfred Potocki i ks. Adam Sapieha, posiadali pawilony własne, będące wiernèm odbiciem ich majątków i gospodarstwa, podczas gdy u nas tylko hr. Ludwik Krasiński zdecydował się na poniesienie tego rodzaju kosztów.

Grupa 1-a we Lwowie obéjmowała wszystkie ziemiopłody, które u nas dzieliły się na 35 konkursów, ustanowionych każdy dla innéj rośliny. Czytelnik uwolni nas zapewne od wydawania okrzyków podziwu nad olbrzymim słonecznikiem lub kukurudzą, a natomiast pozwoli zwrócić uwagę na osobliwości.

Co do zbóż, dostrzegliśmy sporo kukurudzy, która u nas uprawia się głównie jako roślina pastewna, jest mniéj bujną i mniéj plenną. Między roślinami strączkowemi zauważyliśmy bób i soczewicę, które u nas do konkursu przedstawiane nie były. Podobnie rzecz się miała z bulwami. Z roślin oleistych, słonecznik również nie figurował u nas w konkursie, tam zaś było kilka dość ładnych okazów. Z téjże kategoryi płodów chwalono: gorczycę białą, którą uprawiać można od Marca do późnéj jesieni i któréj kwiaty dają dobry pokarm pszczołom, ziarna pośledniejsze dostarczają oleju, a pięknicjsze idą do Francyi na musztardę. Wielka szkoda, że Galicya, posiadając tak użyteczny produkt, nie pomyślała jeszcze o kompletnèm zużytkowaniu go na miejscu.

Dobre gatunki pszenicy i owsa „Mamut“, pochodzące z Ameryki, mają się u nas łatwo aklimatyzować i nie ulegają zwyrodnieniu. Ziemniaki czerwono-białe, inaczéj „narodowe“, posiadają podobno 20% krochmalu, a ziemniaki cebulkowe szwedzkie mają go zawierać 20% do 26% i mniéj od innych odmian ulegają zgniliźnie.

Z roślin pastewnych widzieliśmy „Sorgo“, którego konkurs u nas nie doszedł do skutku. Mówiono téż, że „żywokost szorstki kaukaski“, także roślina pastewna, odznacza się niepospolicie silnym wzrostem.

Chmiel, który u nas przedstawiła tylko hr. Potocka, we Lwowie miał 35 wystawców, z których niejeden zbiéra go od 24 do 44 centnarów rocznie. Skutkiem wielkiéj obfitości tego produktu, piwo galicyjskie w porównaniu z naszém jest przewyborne i tanie, choć niektórzy producenci chmielu sprzedają go zagranicę, a niektórzy znowu piwowarzy sprowadzają go ztamtąd.

Z wystawców, którzy najwięcéj nadesłali okazów z téj kategoryi, wspominamy: p. Bolesława Augustynowicza (przedstawił 40 gatunków i odmian roślin gospodarskich), hr. Alfreda Potockiego (41) i p. Ludwika Żychlińskiego (47). Prócz tych Arcyksiążę Albrecht przedstawił 19 gatunków i p. Ignacy Zabielski 20 gat. roślin.

Co do ziemniaków, z tych: pp. Ludwik Żychliński i Leon Łuszczewski nadesłali po 20 odmian, Szkoła Rolnicza w Dublanach przeszło 100, a p. Adam Tański z Olszanicy (pierwsza krajowa produkcya ziemniaków nasiennych) około 150. Cyfry te o wiele przechodzą nasze, u nas bowiem p. M. Dobrski z Olbięcina nadesłał 28 a pp. Hordliczkowie z Trąbek 32 odmian ziemniaków, których nawet p. Busch z Pomeranii okazał tylko 123.

Szkoła Dublańska, prócz kartofli, przedstawiła jeszcze parę okazów szkodników zwierzęcych i roślinnych i jakieś preparaty pod mikroskopami, które miały zapewne kogoś nauczyć czegoś, ale kogo? i czego? nie umiałbym odpowiedzieć. Już to wystawa téj instytucyi nie była poważną, podobnie jak i naszéj szkoły rolniczéj w r. 1874. Natomiast i u nas i we Lwowie naukowa palma pierwszeństwa należy się Żabikowowi.

Ci z czytelników, którzy zwiedzali naszę wystawę, lub warszawskie muzeum przemysłowe, znajdą w niém znakomite dzieło szkoły żabikowskiéj: monografią pszenicy, obejmującą 180 odmian tego zboża, jego anatomią (w modelach woskowych), jego zastosowania techniczne, szkodniki zwierzęce i roślinne i próbki ziemi, na któréj najlepiéj udaje się. Obecnie, szkoła żabikowska upadła, lecz miejsce jéj zajęła: stacya kontroli nasion p. A. Sempołowskiego, który przysłał do Lwowa:

a) sto okazów nasion zbóż, roślin strąkowych i handlowych; *b)* sto okazów nasion traw i roślin pastewnych; *c)* czterysta okazów chwastów.

Dla objaśnienia drugiéj części wystawy p. Sempołowskiego nadmienimy, że niezbyt dawno wykryto, iż handlarze nasion fałszują je. Fakt ten spowodował wytworzenie się stacyi kontroli nasion, które to zakłady, z nadesłanych próbek dochodzą: czém i o ile jest sfałszowane nasienie, jaka jest jego wartość użytkowa i jaka siła kiełkowania?

Aby objaśnić publiczność o sposobach robienia podobnych analiz, p. S. przysłał narzędzia, a mianowicie: łyżeczki, pudełka, sitka, szkła, aparat Nobbego do kiełkowania i próbki nasion sfałszowanych, tudzież używanych do tego kamyczków, które wyrabiają się i sprzedają w różnych miastach europejskich po cenie umiarkowanéj.

W jaki sposób stacya w Żabikowie pojmuje swoję rolę, dowodzi fakt, że zniża ona koszta analiz dla domów handlujących nasionami, ale tych tylko, które zobowiążą się sprzedawać nasiona po cenie, odpowiadającéj ich wartości użytkowéj, wskazanéj przez stacyą.

Na zakończenie uwag o téj grupie, zestawmy liczbę odmian niektórych produktów rolnych i liczbę eksponentów z wystawy warszawskiéj i lwowskiéj.

	Warszawa		Lwów	
	Liczba odmian	*Liczba wystawców*	*Liczba odmian*	*Liczba wystawców*
Pszenica	25	72	37	104
Żyto	16	46	20	81
Jęczmień	11	29	17	51
Owies	16	34	24	59
Groch	8	16	12	37

Cyfry te obliczyłem na podstawie katalogów obu wystaw. Są one dla nas tak wymowne, że wszelkie uwagi wydają się być zbytecznemi.

Dla użytku tych jednak, którzy czują wstręt do wyprowadzania samodzielnych wniosków, powiemy, że lwowska wystawa dowiodła (o ile naturalnie wystawę zechce kto uważać za dowód), iż rolnictwo u nas stoi niżéj, aniżeli w okrzyczanéj i do tego wschodniéj Galicyi!....

W grupie 2-éj „Inwentarz żywy," — na pierwszém, jak zwykle miejscu, pomieszczono konie. Z zamiłowania do zwierząt tych słynie Galicya i posiada ich dużo, a nadewszystko ładnych: znajduje

się tu bowiem 103 stadnin, podczas gdy w pozostałych austryackich krajach koronnych, razem wziętych jest tylko — 43. Znawcy jednak twierdzą, że tak znakomicie rozwinięta hodowla jest nie tyle owocem dokładnego rozumienia potrzeb chwili obecnéj, ile raczéj gustem, odziedziczonym po rycerskich ojcach przez potomstwo, niebardzo lubiące namyślać się i rachować.

Najwięcéj uwagi zwracało na siebie kilka piękniejszych sztuk koni pochodzenia wschodniego i tyleż tarantów pocentkowanych jak tygrysy. Dr. Z. Rościszewski, były profesor szkoły Żabikowskiéj, w piśmie „Wystawa,“ chwalił szczególniéj okazy rasy arabskiéj pp. Wł. Drzewieckiego i hr. Jul. Dzieduszyckiego, fornalskie hr. Baworowskiego, umiejętne hodowanie rasy wschodniéj i arabskiéj w stadninie hr. Siemieńskiego, położył nacisk na system hr. Alfr. Potockiego, polegający na powolném i wytrwałém uszlachetnianiu koni roboczych za pomocą perszeronów, lecz za najpożyteczniejszą uznał hodowlę p. Ign. Cywińskiego, który przedstawił kilka doskonałych koni roboczych pochodzenia krajowo-włościańskiego.

W dniu 11 Września rozdano nagrody za konie. Między innymi, otrzymał medal zasługi p. Stanisław Makomaski z Królestwa za staranną hodowlę osobników rasy oryentalnéj.

Z pomiędzy włościan wystawców z téj saméj kategoryi, za dobre okazy sześciu otrzymało nagrody pieniężne, pozostałym zaś zwrócono koszta podróży.

Na drugi dzień, miejsce koni zajął inwentarz rogaty. W zbiorze tym znajduje się około 10 ras, przeważają jednak angielska, holenderska i szwajcarska. Niektóre sztuki, szczególniéj opasowe, odznaczają się ogromem. Dzięki uprzejmym wskazówkom i objaśnieniom d-ra Rościszewskiego, mogłem z korzyścią dla siebie przypatrzéć się téj klasie zwierząt domowych, a oto są uwagi naturalnie nie moje.

Hr. Wodzicki przedstawił bydło rasy krajowéj, a między innemi olbrzymiego buhaja, którego jednak podniesiony tył ciała zdaje się zdradzać pochodzenie górskie.

Wszelako, jeżeli okaz ten jest istotnie krajowym, wówczas jest też niewątpliwie najgodniejszym uwagi z całéj wystawy. Hr. Dzieduszycki sprowadził piękne bydło rasy styryjskiéj (siwe z czarnemi końcami rogów), zdatne do roboty i na opas. Najładniejsze holendry należą do hr. Miera, który okazał również Schwytze własnego chowu, nie ustępujące poprzednim.

Wyborną ma być obora hr. Alfreda Potockiego, który rasę miejscową powoli uszlachetnia za pomocą holenderskiéj. Najlepszą ilustracyą tego systemu stanowią krowy włościan z Łańcuta. Kiedy

udój z krowy rasy krajowéj dostarcza 260 garncy mléka rocznie, uszlachetniona, pół holenderska, daje od 450 do 500 garncy. Od pierwszych téż można miéć rocznie 97—130 kwart masła, od drugich—225—250. Dodać należy, że krowy te w czasie zimy otrzymują dziennie po dwa garnce buraków, obok sieczki, plew i zgonin.

Ogółem spędzono bydła na plac przeszło 300 sztuk.

Owce jeszcze za mojéj bytności nie występowały, zasięgnięcie tém samém opinii o nich było nie możliwe. O ile z katalogu wnosić można, będą tam dość licznie reprezentowane rasy zarówno dostarczające wełny, jak mięsa. Hr. St. Potocki ma między innemi okazać rasę bergamską, niewybredną w paszy suchéj i znoszącą pastwiska wilgotne: owce te bowiem nie ulegają motylicy.

Trzody chlewnéj, któréj także nie nadesłano jeszcze, ma być około sześciu ras, po większéj części angielskiego pochodzenia. Drób także się nie ukazał; zdaje się jednak, że pod względem rozmaitości ras musiałby ustąpić temu, jaki na naszéj widzieliśmy wystawie.

Jeden z ciekawszych okazów tego działu stanowią króliki, mało znane u nas, a silnie upowszechnione na zachodzie. Dostarczają one delikatnych futerek i puchu na tkaniny, a nadewszystko mięsa, które samo wprawdzie, według mego zdania, nie odznacza się smakiem, lecz buljon daje wyborny. Gorącym apostołem upowszechnienia ich hodowli w Galicyi jest p. Antoni Popiel; jego téż okazy zarówno liczbą, jak wzrostem i rozmaitością odmian odznaczyły się na wystawie. Obok klatek sprzedawano broszury o pożytkach płynących z chowu królików, a nad klatkami ustawiano model królikarni, która w niejednéj szkółce ludowéj mogłaby obudzić zazdrość.

Z porównania ilości wystawców, przyjmujących udział w zakresie téj grupy u nas i we Lwowie, otrzymaliśmy następną tabliczkę:

	w Warszawie	we Lwowie
	miały	*wystawców*
Konie	31	32
Bydło	52	41
Owce	47	16
Trzoda chlewna	13	12
Drób	7	5
Króliki	—	3

Cyfry te przemawiają poniekąd na naszę korzyść; nie zapominajmy jednak, że nie chodzi tu o porównanie z całą Galicyą, ale tylko z jéj częścią wschodnią.

Grupę 3-cią stanowią: „Wyroby przemysłu rolniczego i płody zwierzęce,“—okazy zaś pomieszczone tu podzielić można na następujące kategorye:

a) *Materyały pokarmowe roślinne:* kilka gatunków mąki i kaszy, konserwy z jarzyn i owoców. b) *Mat. pokarmowe zwierzęce*: kilka gatunków masła, 12 rodzajów séra, wędliny, marynaty. c) *Napoje:* wódki i nalewki domowéj roboty, soki, wino agrestowe i porzeczkowe, słód, żętyca. d) *Włos zwierzęcy:* szczecina, wełna. e) *Włókna roślinne:* len, konopie, pokrzywa, kłaki, przędza i płótno roboty domowéj. f) *Naczynia do gospodarstwa mlécznego:* przyrządy do cedzenia, chłodzenia i transportowania mléka, przyrządy do badania mléka i oznaczania ilości śmietanki, maszyny do robienia i wygniatania masła, kotły do robienia sérów i model sérowni.

Z pomiędzy wystawców zasługuje na wzmiankę p. Karol Berke za zużytkowanie pokrzywy, któréj liście mięsza koniom do obroku, a z włókien robi powrozy. P. Tadeusz Langie okazał masło, robione ze słodkiéj śmietanki, odznaczające się zarówno dobrocią, jak i trwałością. Naczynia do gospodarstwa mlécznego przedstawiło kilku wystawców: przedmioty te są po większéj części robione z blachy, która przy znaczniejszéj i umiejętnéj produkcyi stanowczo ruguje drzewo. Galicyjskich wystawców w téj grupie było ogółem 40.

Grupa 4-a obejmuje nawozy. Przedstawiano: pudretę, torf, nawozy mineralne i produkta otrzymywane z kości. Ogółem 12 rodzajów nawozów.

Najciekawszemi były okazy Arcyksięcia Albrechta, który przedstawił wszystkie produkta swojéj fabryki, zużytkowującéj kości. Prócz gotowego materyału, widzieliśmy tam plastyczne przedstawienie fabrykacyi kleju, spodium, mączki kostnéj i nawozów, a nadto rozbiory chemiczne, wykazujące ich wartość użytkową.

U nas nawozy odznaczały się większą nieco rozmaitością.

Grupę 5-tą stanowią: narzędzia i maszyny rolnicze. Z pomiędzy wszystkich działów wszelkich wystaw ten należy do najchętniéj oglądanych i najlepiéj, przynajmniéj powierzchownie znanych. Ponieważ zaś ani w naturze, ani w przemyśle nie ma skoków gwałtownych, ogólny więc pozór grupy machin był taki sam we Lwowie, jak i w Warszawie przed trzema laty. Drobne ulepszenia, jakie się tu i owdzie w ciągu tego czasu dokonały, przystępne są tylko dla specyalistów, rzeczy zaś nowych trzeba było wśród tłumu dawnych znajomości szukać bardzo uważnie.

Nowości tych jednak nie brakło, wspomnimy więc o nich kolejno.

A. Narzędzia, służące do uprawy ziemi. Prócz pługów „własnego wyrobu różnych fabrykantów,“ któremi o ile mi wiadomo, nie zachwycali się znawcy, przedstawił p. Karol Kling z Nadyb pług do rznięcia foss w celu odprowadzania wody. W oddziale zaś pana Wychery ze Lwowa zauważyłem narzędzie, za pomocą którego można ręcznie wiercić dziury do sadzenia drzew. Samo narzędzie przypomina kształtem śruby okrętów nowéj konstrukcyi; wierci ono otwory bardzo foremne, mające około ³/₄ łok. średnicy, i daje się używać bez wielkiego trudu. Sądzę, że z pożytkiem mogłoby się między ogrodnikami upowszechnić. Było też parę okazów hebli do równania łąk.

B. Narzędzia do siewu. Oprócz siewników, figurowała na wystawie „sadzarka kartofli“ pomysłu p. Ant. Brochockiego z Tarnowa. Jest to wózek posiadający dwa koła w tyle i jedno na przodzie. Za kołem przedniém idzie płużek robiący brózdę, za niém koło opatrzone dużemi guzami, które wytłaczają w ziemi otwory, — daléj blaszana rurka, z któréj spadają kartofle, sztuka po sztuce, a daléj radełka przysypujące je ziemią. Na wózku leży drewniany kosz, w który się kartofle sypią, i skąd za pośrednictwem koła łopatkowego, zamkniętego w bębnie, dostają się do rurki. Cały przyrząd waży 5 centnarów, potrzebuje na dzień 2 pary koni z odpowiednią obsługą, kosztuje 160 reń. i ma zastępować pracę 25 ludzi.

P. Kling przedstawił znacznik do sadzenia kartofli, tudzież garnitur Hornskyego do obrabiania kartofli, który wybudowany w jego fabryce ma być znacznie tańszy od oryginału.

C. Narzędzia do zbioru. Z téj klasy machin zwracały uwagę dwie żniwiarki pochodzące z Warszawy; jedna p. Grubińskiego, druga firmy Lilpop, Rau i Ska. Obie korzystnie wyróżniały się od amerykańskich nietylko lekkością, lecz i tém, że w każdéj z nich mechanizm, przenoszący ruch do noży, jest zamknięty. Wiadomo zresztą, że żniwiarka p. Grubińskiego odznacza się oryginalnością pomysłu, zaś firmy Lilpop, Rau i Ska, umiejętném i najpraktyczniejszém zużytkowaniem pomysłów znanych.

Niedaleko nich stała maszyna do kopania kartofli p. Cegielskiego z Poznania. O ile mogliśmy wyrozumieć jéj budowę, jest to osadzona na wózku łopata, która podbiéra kartofle z ziemi, podczas gdy umieszczony nad nią ruchomy ogonek w formie szabli odtrąca je na bok.

D. Narzędzia do omłotu. Przedstawiono młocarnie parowe, konne i ręczne, których (mówię o tych ostatnich) pożytek wydaje się być bardzo wątpliwym. P. Zieleniewski z Krakowa okazał młocarnią konną z kieratem przenośnym, którą tym sposobem można wyprowadzać na pole. Koszta młócenia za pomocą niéj mają być półtora

raza niższe niż za pomocą parowych, przytém zaś niebezpieczeństwo pożaru od padających z komina lokomobili iskier jest naturalnie usunięte.

D. Narzędzia do przeróbki materyałów surowych. Okazywano młyny konne i ręczne, szatkownice do buraków, parniki do gotowania karmu dla bydła i t. p. Między innemi zauważyłem sieczkarnią mieczową p. Klinga, z przyrządem do zatrzymywania wałków, która ma (według zapewnień) ciąć nadzwyczaj 'dużo sieczki a kosztuje 180 reń. P. Biskupski Lubin z Kołomyi przedstawił maszynę do łuskania i czyszczenia 3 do 5 korcy koniczyny dziennie i narzędzie do krajania tytuniu na włókna dowolnéj grubości. Kosztuje przyrząd ten na miejscu 65 reń. i może skrajać 2 — 3 centnarów tytuniu dziennie.

E. Motory. Prócz lokomobil dobrze już znanych światu, najwięcéj zwracały uwagę dwa amerykańskie wiatraki, jeden o sile 2, drugi 1½ konia mechanicznego, pompujące zwolna lecz nieustannie wodę. Motory te, ustawione na kilku piętrowych rusztowaniach, mają po sześć skrzydeł listewkowatych, które zdaleka wyglądają jak koliste rozety. Dzięki automatycznemu przyrządowi, skrzydła te regulują się same w taki sposób, że bez względu na siłę wiatru obracają się prawie ciągle z jednakową szybkością, a prócz tego zwracają się zawsze w tę stronę, od której wiatr wieje. Słowem, tworzą maszynkę, która raz ustawiona pracuje bez końca i spoczywa tylko w razie zupełnéj ciszy. Nie mniéj ciekawym ma być podobny do amerykańskich wiatraków motor p. Biskupskiego, złożony z dwu rozet (każda po 12 skrzydeł), osadzonych na jednéj osi poziomej. Wiatrak ten waży około 20 centnarów, jedna rozeta ma 26, druga 20 stóp średnicy, ale téż i robią wiele. P. Biskupski twierdzi, że w jego fabryce, w Kołomyi, motor podobny, przedstawiający wartość dwóch koni parowych przy słabym wietrze, a czterech przy silniejszym, obraca dwie tokarnie, młyn o 25 calowych kamieniach i piłę wstęgową i że pracuje od 15 do 24 dni na miesiąc.

Właśnie na parę dni przed moim wyjazdem zabiérano się do wzniesienia téj maszyny na placu wystawy, ani więc jéj saméj, ani skutków jéj nic widziałem. Sądzę jednak, że niewesołe musi być położenie tokarza, któremu warsztat, zależny od podmuchów wiatru, wśród najgorętszéj roboty odpoczywa, zaczyna zaś pracować, w porze obiadowéj lub w nocy!

Jakkolwiek jednak p. B. nikogo podobno nie przekona, aby nawet 24 skrzydłowy wiatrak oddał wielkie usługi warsztatom mechanicznym, w każdym przecież razie przyznać wypada, że sam autor jest człowiekiem pomysłowym. Wynalazł on bowiem, prócz tego,

pług do zgartywania błota i śniegu, za użyteczność którego poręcza municypalność kołomyjska. Pług ten jednak porusza się nie tyle zapomocą wiatru, ile—dwu zwykłych koni; może więc być praktyczny.

F. Wozy naturalnie gospodarskie, niemniéj licznie reprezentowane były,—tu jednak wspomniéć muszę o dziwowisku. Oto, widziałem dwa wozy: jeden wynalazku p. p. Kapiszewskiego i Czajkowskiego, drugi—p. Rzewuskiego z Bartkowic, różniące się wprawdzie kolorem, lecz bardzo podobne do siebie z tego względu, że koła ich stale osadzone były na osiach ruchomych. Wielki urodzaj przypadł widać na tego gatunku wozy, skoro w obecnym czasie wymyśliło je od razu aż trzech wynalazców, a nierównie wcześniéj zrobił to samo p. Wejhert w Warszawie. Nie mam ja zamiaru posądzać lwowskich wystawców o plagiat, w każdym jednak wypadku radziłbym p. Wejhertowi, aby zechciał sprawdzić: o ile téż oba wozy galicyjskie różnią się od tego, jaki on nam okazywał?

Koronę grupy machin stanowiły naszém zdaniem następujące przedmioty. Najprzód — pulsometr Halla, niewielka maszynka, za pomocą któréj para wodna rozszerzając się i kurcząc, bezpośrednio, bez pomocy tłoków, pompuje wodę. Drugi równie prześliczny okaz, stanowił: zbiór modeli różnych narzędzi rolniczych głośnego współobywatela naszego, p. Romana Cichowskiego z Linowa. Pługi jego znane są w kraju i zagranicą, p. Cichowski bowiem budując je opiérał się nie tylko na długich gospodarskich doświadczeniach, ale i na głębokiéj znajomości teoryi.

Godzi się téż wspomniéć o amerykańskim heblu, który, poruszany przez lokomobilę, w ciągu kilkunastu minut, jeżeli nie wkrótszym czasie, wygładził w naszych oczach na oba kanty i obie strony długą deskę. Przyrządem heblującym jest tu walec, jakby nabity ostrzami noży i obracający się z szybkością 3.000 razy na minutę.

Prócz pulsometru, zarząd drogi żelaznéj Karola Ludwika okazał jeszcze, umyślnie na wystawę zrobioną trąbę parową podobną do tych, jakie na wybrzeżach, wczasie gęstéj mgły, zastępują latarnie morskie. Ogromny ten instrument, na wysokiém ustawiony rusztowaniu, obracał się wraz z wiatrem, a para z lokomobili pełniła funkcyą trębacza, szczęściem raz tylko na dobę o 6-éj wieczorem, kiedy wypadało opuszczać plac wystawy. Równie przykrych ryków, jak te, które wydaje trąba, nigdy nie słyszałem i wcale nie martwiłbym się, gdyby mnie zapewniono, że nigdy już ich nie usłyszę.

Okazy sadownicze i ogrodnicze (grupa 6) rozpadają się na kilka klas. *a) Rośliny ozdobne* wystawione przez ogrodników lwowskich w cieplarni i na placu jako kląby. Było też kilka okazów kwiatów i bukietów wcale przyzwoicie zasuszonych. *b) Drzewka owocowe*, między któremi odznaczały się okazy z ogrodu pomologicznego w Łańcucie. Podziwiano szczególniéj karłowate jabłonie i grusze, rosnące w wazonach, a mimo to wielkiemi owocami ozdobione, i również wazonowe drzewka, które za pomocą podpórek zmuszano do rośnięcia pochyło, a nawet poziomo. W jakim celu? nie umiém powiedziéć. *c) Owoce i ogrodowizny*, a mianowicie: parę egzemplarzy ananasów, jabłka, gruszki,—kapusta, kalafiory, dynie i t. d. P. Jan Lityński ze Stanisławowa przedstawił bardzo piękne okazy owoców suszonych bez dymu, które, jak upewnia, chętnych nawet zagranicą znajdują nabywców. *d) Narzędzia ogrodnicze* między któremi, prócz modelu suszarni, nie było nic osobliwego, chyba koszyk do zbiérania owoców. Naczynie to wiesza się na gałęzi za pomocą tyki, a za pomocą innéj dokonywa się zbioru, nie narażając drzewa na dźwiganie ogrodników. Na naszéj wystawie znajdowali się eksponenci, którzy okazywali po 93 odmian gruszek, 60 odmian jabłek, 35 śliwek i t. d. Mamy więc wyższość nad Lwowem.

W grupie 7-éj „pszczelnictwo i jedwabnictwo,“ pierwsze niewątpliwie miejsce zajmuje Towarzystwo pszczelno-ogrodnicze galicyjskie. Członkowie jego, prócz wosku i patoki, zaprezentowali jeszcze stare miody, wysokiéj jak mówiono wartości i wyborne narzędzia. Najważniejszém z nich jest ul, mający zwykłą formę szafki i pewne oznaczone wymiary, co do których imformacyi zasięgnąć można w piśmie Towarzystwa p. t. „Bartnik postępowy.“ Ule takie mogą być robione nawet ze słomy, przy pomocy specyalnego narzędzia.

O klatkach na matki, łapkach na trutnie, centrofugach, sztucznych plastrach i workach do łapania rojów, jako rzeczach znanych specyalistom, a nieobchodzących profanów nie wspominam. Uważam jednak za słuszne poświęcić kilka wyrazów samemu Towarzystwu. Liczy ono z górą 500 członków, podzielonych na kółka rozsypane po całéj Galicyi, główną zaś siedzibą jego jest Lwów. Z tego miasta, wyjeżdża corocznie dr. Ciesielski, jeden z członków zarządu, na prowincyą i za pomocą improwizowanych odczytów propaguje między ludem zdrowe zasady pszczelnictwa, posługując się przy wykładach ułem ze szklanemi ścianami. Wpływ odczytów jest ogromny.

Tenże dr. Ciesielski wynalazł nowy trunek, mianowicie: wino

owocowe. Powstaje ono z miodu nalewanego na różne owoce, ma smak dość przyjemny, a nadewszystko odznacza się taniością.

Co do produktów jedwabniczych, tych przedstawiono mniéj niż w Warszawie. Najciekawszemi z nich były: wata jedwabna i kilka chustek wyrobionych z galicyjskiego jedwabiu w Tyrolu.

Prawdziwe, choć z objętości malutkie *curiosum*, stanowił: zbiór nasion z 1245 roślin kwitnących w okolicach Lwowa, owoc pracy jednego z członków Tow. pszczelniczo-ogrodniczego.

Grupa 8 Rybołówstwo—w Warszawie nie istniała, we Lwowie zaś miała własny pawilon i *aquarium*. Najciekawszą jego częścią była pstrągarnia ks. Sapiehy, składająca się z kilku kondygnacyj, mieszczących w sobie ikrę i pstrągi różnego wieku. Właściwe aquarium, stanowiła paka podzielona na dziesięć części, w których za zwierciadlanemi szybami, oprócz kilku gatunków ryb, pląsały lub spały: raki, małże, pijawki, a nawet gąbki krajowego pochodzenia. Małoletni krokodyl, jako obcokrajowiec, męczył się w osobnéj wanience, a kilka żab i bardzo niespokojny wąż uzupełniały tę wystawę istot niższych, urządzoną przez dr. Szymona Syrskiego.

Drugą część téj grupy stanowiło około 50 ślicznych okazów ryb preparowanych na sucho, kilkanaście form sieci, wędki i osty rybackie. Był to zbiór bardzo staranny, również dzieło d-ra Syrskiego.

W grupie 9-éj (opisy gospodarstw i rachunkowość) wystąpili trzéj magnaci galicyjscy. Hr. Alfred Potocki i ks. Adam Sapieha przedstawili, pierwszy—plany gospodarstw z mapami, drugi—wszelkiego rodzaju księgi. Rzeczy te mogłyby bardzo interesować buhalterów, rolników wreszcie, najbardziéj — wierzycieli Ich Ekscelencyj, jeżeli w obec tak dostojnych osób godzi się o wierzycielach wspominać. Dlatego też nie szperałem w księgach, poprzestając na ucieszeniu się widokiem ich okładek i na uwadze, że byłoby źle na świecie w ogóle, a w Galicyi w szczególności, gdyby nawet tak wielcy panowie nie mieli porządnie prowadzonych rachunków. Natomiast bardzo byłbym ciekawy dowiedzieć się, czy który z obu najszanowniejszych eksponentów jasno zdaje sobie sprawę z pozycyj pomieszczonych w ich wzorowych księgach, ale o tém, Bogu tylko wiadomo i buhalterom, których nazwiska zresztą nie figurowały na wystawie.

Nierównie wymowniéj do oczu i wyobraźni przemawiały okazy Arcy-księcia Albrechta. Jego Ces. Wysokość nie okazywał publicznie dna kieszeni, natomiast zaś, przedstawił statystykę swego gospodarstwa sposobem graficznym. Ciekawi mogli się z niéj przekonać: w którym roku jakie były urodzaje kilku gatunków zbóż i ro-

ślin pastewnych, jaki jest stosunek pól uprawnych do innych, jakie udoje krów i jaki postęp w zaprowadzaniu drenów.

Z pozostałéj reszty hrabiów i szlacheckiego pospólstwa, nikt żadnych nie przedstawił rachunków. Widocznie, księgi odnośne znajdować się muszą w rękach Abramków, którzy dla popisu nie chcą zalegać w rachunkach.

W grupie 10-téj (inżynierya wiejska) widzieliśmy plany budynków gospodarskich, fabryk i drenaży. Arcyksiążę Albrecht przedstawił, między innemi, model łąki systemu Petersena, którą za pomocą stosownych urządzeń można, wedle potrzeby, nawadniać lub osuszać. Przy tym systemie człowiek prawie zupełnie wyzwala się z pod wpływów kapryśnéj natury, i gdyby tak jeszcze można było posiłkować się kaloryferami do topienia śniegu a całość osłonić szklanym dachem, wówczas mielibyśmy gotowy ideał łąk sztucznych.

Przechodzimy do 11, bardzo poważnéj grupy: leśnictwa i przemysłu leśnego. Ogromną liczbę mieszczących się tu okazów, podzielimy w następny sposób:

a) *Drzewa* w postaci belek, wycinków, szczap, przekrojów i masztów. Większa ich część odznaczała się ogromnemi wymiarami średnicy i wysokości, lecz co ważniejsza, były między niemi okazy, należące u nas do osobliwości, lub nawet całkiem nieznane, jak: jesion, cis, topola naddniestrzańska, brzost, modrzew, jabrzedź (populus canuscens) i limba, dziś już nawet w Galicyi rzadka, a wyborna na skrzynie do futer, ponieważ mule do niéj wstręt czują. b) *Nasiona i sadzonki* w wielkiéj ilości. c) *Produkta drzewne na drodze mechanicznéj otrzymane*, jak: belki, tarcice, gonty, klepki, deszczułki resonansowe, kora spławikowe i garbarska,—głowy, dzwony i obręcze do kół i t. d. d) *Produkta z wypalania powstałe*: węgiel, smoła, dziegieć, terpentyna.

Obok strony praktycznéj, wystawa posiadała jeszcze teoretyczną. Przedstawiono plany lasów, statystykę porębów, cen drzewa i pracy sposobem graficznym, modele tratew różnego systemu, suszarni i sposobu spuszczania drzewa z gór na wodę. Ks. Sapieha przysłał ciekawe okazy gazów i nieprawidłowego wzrostu roślin, graficzne przedstawienie wzrostu i przyrostu drzew, narzędzia do sadzenia, czyszczenia i obróbki. Między innemi osobliwościami, była jedna grupa zatytułowana: „walka o byt na przestrzeni 10 metrów kwadratowych,“ gdzie za pomocą przekrojów udowodniono, że po 20-tu latach życia najgrubszą jest trześnia, po niéj brzoza, daléj grab a dąb — najcieńszy.

Hr. Alfred Potocki, między innemi, okazał snopek trawy morskiéj, rosnącéj w jego lasach, drzewa uszkodzone przez grzybki i owady, wraz ze sprawcami złego, a obok przekrojów ustawił próbki gruntu z kolejno następującemi po sobie warstwami wśród których rozwijały się korzenie. Toż samo zrobiła C. k. dyrekcya lasów, nadsyłając jednocześnie obfity zbiór owadów szkódników. Ksiądz Frańciszek Żaba przedstawił pięć odmian wikliny koszykarskiéj, odznaczających się łykowatością.

Obok spisu tych przedmiotów, rzeczywiście imponujących, figuruje w katalogu jedyny wystawca z Królestwa i to z okazem sosny złamanéj przez gołoledź, niewiększéj od goleni tęgiego mężczyzny. Był to jednak grosz wdowi, z którego nie należy żartować. To téż komitet umiał ofiarę ocenić i postawił złamaną przez gołoledź sosnę na miejscu honorowém, obok nabiału i marynat.

Łowiectwo (grupa 12), które reprezentowali hr. Potocki i ks. Sapieha, obejmowało: okazy rogów lub głów zwierząt zabitych, straszaki, trąbki myśliwskie i model tryzuba, czyli drabinek z daszkiem, gdzie kładą jedzenie dla sarn. Może myśliwy dopatrzyłby w tém coś ciekawego, my jednak wolimy wrócić jeszcze raz do leśnictwa.

Poraz — już nie wiem który zapewnić muszę czytelników, że pawilon ks. Sapiehy był prawdziwém leśném cackiem. Zamiast dywanów, lub kolorowych marmurów, ściany jego pokryte były korą brzozy, dębu, sosny i innych drzew. Wazony porobiono tu również z kory, etażerki z grzybów drzewnych, kolumny z pni, a ornamenta z tak cudackich gałęzi, że przypominały z kamienia rzeźbione koronki gotyku. Stoły téż i ławy, zamiast politury, ozdobione były także korą rozmaitéj barwy, niektóre zaś kanapy wyrobione z gałęzi miały formę tak fantastyczną i wdzięczną, że naprawdę mogłyby służyć za modele dla najozdobniejszych naturalnie leśnych sprzętów. Pomysł do tego pawilonu, podał p. Gutwiński, nadleśny z dóbr księcia.

Galicyjska Szkoła Gospodarstwa Lasowego nie wystąpiła na wystawie, natomiast sama przez się stanowi ciekawą instytucyą, którą miłośnicy oświaty z przyjemnością odwiedzać mogli. Istnieje ona od trzech lat, i przez ten czas wychowała 31 leśników, z których każdy otrzymał już posadę. Dyrektorem jéj jest głośny i u nas autor „Gospodarstwa Lasowego" dr. Henryk Strzelecki, który sam wykłada sześć przedmiotów i ma do pomocy: 2 nauczycieli etatowych, adjunkta i 6 docentów.

Szkoła lokuje się przy ulicy Ś-go Mikołaja, w skromnym dworku, wyglądającym na mieszkanie średnio zamożnego mieszczanina. W niewielkiém podwórzu znajduje się szkółka drzewek i szopa, a w

niéj laboratoryum botaniczne i zoologiczne, w których przygotowują się okazy.

Wejdźmy do samej szkoły. Ciasno tu tak, że modele i rysunki trzeba w przedpokoju umieszczać. Na prawo widzimy izdebkę profesorów, na lewo dyrektora, w obu szafy z książkami w liczbie niezbyt wielkiéj, bo instytucya to młoda i uboga.

Środek domku zajmuje muzeum, po obu stronach którego znajdują się dwie sale wykładowe. Stoły w każdéj z nich urządzone są tak, że mogą się przydać w czasie lekcyi rysunków. Ściany są zawieszone wizerunkami przedmiotów, wchodzących w zakrés botaniki, zoologii, geologii i inżynieryi leśnéj.

Muzeum jest ubogie, ale wzorowo urządzone. Znajdujemy w niém narzędzia leśnicze i miernicze, nasiona drzew, okazy do wykładu anatomii, fizyologii i patologii roślin, owady, parę okazów zwierząt ssących i ptaków, a wreszcie dział technologiczny obejmujący próbki wszystkiego, co z drzewa w jakikolwiek sposób zrobić można, począwszy od modeli tratew, kopyt, fajek, a skończywszy na terpentynie, papiérze drzewnym i włóknach z igieł sosnowych, służących do wyrobu tkanin.

Uczniów w szkole jest 34, między nimi wielu ludzi dojrzałych, a nawet jeden wojskowy. Wszyscy oni uczą się wybornie, spędzają czas w szkole nawet po za godzinami wykładowemi i własnemi rękoma uprawiają 5½ morgów ziemi stanowiącéj ich pole doświadczalne.

Tym, którzy zapytują dlaczego szkoła nie przyjęła udziału w wystawie, czcigodny dyrektor jéj ze słuszną dumą odpowiedzieć może:

Obejrzyjcie domki nasze, obrachujcie fundusze i porównajcie z rezultatami pracy. One to stanowią nasze okazy.

Adjunkt téj szkoły, Dr. Zygmunt Romer, wynalazł metodę wydmuchiwania gąsienic, które tym sposobem przynajmniéj ze względu na formy zewnętrzne długi czas przechowywać się dają. Tenże p. Romer pierwszy u nas, jeszcze w r. 1875, opisał słynnego dziś chrząszcza Colorado i nazwał go *Włócznikiem kartoflowym*. Wizerunki chrząszcza, jakie do téj pory widywałem, robione są na wzór chromolitografii, umieszczonéj przez p. Romera na czele jego broszury. (dok. nast.)

Aleksander Głowacki.

Wydawca **W. Spasowicz**, — Redaktor **J. Trejdosiewicz**.